

ROZDZIAŁ 1

Zegar w holu tykał donośnie. Gabriella Harrison stała cichutko w nieprzeniknionym mroku szafy pełnej zimowych płaszczy i futer, które łaskotały ją po buzi, gdy najgłębiej, jak to możliwe, usiłowała wcisnąć pomiędzy nie swą szczupłą sześciolletnią postać. Potknęła się o ciepłe buty matki. Wiedziała, że tu nikt jej nie znajdzie. Chowała się w tej szafie już dawniej, to zawsze była najpewniejsza kryjówka — ani razu nie przyszło im do głowy, aby tu jej szukać. A już na pewno nie wpadną na to teraz, w samym środku upalnego nowojorskiego lata.

W ciasnym wnętrzu panowała duchota; Gabriella ledwie ważyła się oddychać i wbijała w mrok szeroko otwarte oczy. Nagle usłyszała w oddali stłumiony odgłos kroków, a zaraz potem, jak koła niktącego przez miasto pociągu ekspresowego, zastukały obok szafy szpilki matki. Gabriella doznała takiego poczucia ulgi, że nie mogła się oprzeć wrażeniu, iż w duchocie garderoby jej twarz owionął chłodny powiew wiatru. Pozwoliła sobie na jeden jedyny oddech, jakby każdy następny mógł zwrócić uwagę matki. Mimo swoich sześciu zaledwie lat Gabriella dobrze wiedziała, iż matka ma nadprzyrodzone zdolności. Potrafiła znaleźć ją w każdej kryjówce — jak gdyby wyczuwała jej zapach, była wiedziona tajemniczym przyciąganiem, albo widziała wszystko swymi głębokimi granatowobrazowymi oczyma. Tak, matka umiała odnaleźć ją zawsze i wszędzie. Lecz mimo to Gabriella musiała próbować szczęścia, szukać jakiejś kryjówki i ucieczki.

Gabriella nie wyglądała na swoje sześć lat: była niższa i chudsza niż większość dziewczynek w jej wieku, a miękkie pukle blond włosów i ogromne niebieskie oczy sprawiały, że przywodziła na myśl elfa. Ludzie ujrawszy ją mówili, że przypomina aniołka. Miała wiecznie spłoszony wyraz twarzy — jak anioł, który nagle spadł na ziemię i nie wie, czego się może tu spodziewać. Jakikolwiek obietnice mogła usłyszeć będąc jeszcze w niebie, w najmniejszym stopniu nie przygotowały jej na to, przez co przeszła w ciągu pierwszych sześciu lat swojego krótkiego życia.

Znów, tym razem znacznie głośniejsze, zastukały w pobliżu buciki matki i Gabriella zrozumiała, że krąg poszukiwań się zacieśnia. Na pewno została już sprawdzona szafa w jej pokoju, schowek pod schodami, spiżarka, mała szopa w ogrodzie.

Harrisonowie zajmowali wąską kamieniczkę w East Side z małym, starannie utrzymanym ogródkiem na tyłach. Matka Gabrielli nie znosiła pracy w ogrodzie, ale dwa razy w tygodniu przychodził pewien Japończyk, który ścinał wszystko, co było akurat do wycięcia, kosił maleńki splechotek trawnika i zaprowadzał nienaganny ład. Albowiem matka Gabrielli nienawidziła bałaganu, zgiełku, brudu, kłamstw i psów, najbardziej zaś, jak nie bez podstaw podejrzewała Gabriella, nienawidziła dzieci. Bo dzieci — zdaniem matki — kłamią, hałasują i są nieustannie umorusane. Gabrielli powtarzano ciągle, że ma być czysta, siedzieć cicho w swoim pokoju i niczego nie ruszać. Nie pozwalano jej słuchać radia i używać kredek, bo kiedy nimi rysowała, potrafiła pobrudzić dosłownie wszystko. Kiedyś zniszczyła w ten sposób swoją najlepszą sukienkę. To zdarzyło się wówczas, gdy tata przebywał w miejscu o nazwie Korea. Był tam dwa lata i wrócił dopiero rok temu. Wciąż przechowywał swój mundur — Gabriella widziała go raz, ukrywając się w którejś z szaf. Był szorstki i miał błyszczące guziki, ale tata nigdy go nie wkładał.

Ojciec Gabrielli był wysoki, szczupły i przystojny, miał takie same oczy jak córka i tylko nieco ciemniejsze włosy niż ona. Kiedy wrócił z wojny, Gabriella uznała, że wygląda jak księżę z bajki o Kopciuszkę. Matka zresztą też przywodziła Gabrielli na myśl jakąś bajkową królową. Była piękna i elegancka, lecz zawsze na coś zła. Irytowały ją nawet drobiazgi, na przykład sposób jedzenia Gabrielli, okruchy na obrusie, przewrócona szklanka. Kiedyś Gabriella wylała sok pomarańczowy na sukienkę matki. Zrobiła w życiu wiele rzeczy, których nie powinna robić.

Pamiętała wszystkie swoje występki, a wiedząc, na czym polegały, wychodziła ze skóry, aby ich nie powtórzyć, czasem jednak była po prostu bezradna. Nie chciała nikogo irytować i dawać matce powodów do gniewu. Przecież nie brudziła się celowo, nie upuszczała z rozmysłem rzeczy na

podłogę, nie zapomniała specjalnie w szkole swojego kapelusika. To były przypadki, wyjaśniała każdorazowo matce, błagając swymi wielkimi oczyma o litość. I, mimo wszelkich starań, nieustannie się powtarzały.

W pobliżu szafy, tym razem wolniej, znów zastukały szpilki i Gabriella natychmiast pojęła, co to oznacza. Poszukiwania dobiegały końca, matka bowiem zdołała już sprawdzić większość możliwych kryjówek. Teraz wszystko jest tylko kwestią czasu. Wielkooka dziewczynka pomyślała przez chwilę, czy by nie wyjść z własnej woli, matka przecież mawiała czasami, że ominie ją kara, jeśli znajdzie w sobie dość odwagi, by tak postąpić. Przeważnie nie znajdowała. Wyszła sama zaledwie raz czy dwa razy, matka jednak uznała, iż zrobiła to za późno. Gdyby się nieco pospieszyła z kapitulacją, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Gabriella właściwie się zachowywała, utrzymywała w porządku swój pokój, odpowiadała na pytania, nie zagadnięta zaś — trzymała buzię na kłódkę. Gdyby nie brudziła obrusa groszkiem nieopatrnie zepchniętym z talerza, gdyby nie zostawiała swoich pantofelków w ogrodzie. Lista ułomności Gabrielli i jej wykroczeń nie miała końca. Dziewczynka aż za dobrze zdawała sobie sprawę, jaka jest okropna, jaka niegrzeczna była niemal od urodzenia, jak bardzo kochaliby ją rodzice, gdyby tylko wypełniała ich polecenia, i jak ubolewają, że nie mogą jej kochać, ponieważ jest nieposłuszna. Świadomość, że jest nieudanym dzieciakiem i wielkim rozczarowaniem dla rodziców, sprawiała dziewczynce straszny ból. Dźwigała przytłaczające brzemie tej wiedzy przez wszystkie

lata swojego krótkiego życia. Zrobiłaby wszystko, byle tylko wywalczyć miłość i aprobatę rodziców, jak dotąd jednak ciągle ich zawodziła. Matka nie pozwalała jej o tym zapomnieć ani przez chwilę i Gabriella płaciła za swe występki wysoką cenę.

Kroki ucichły tuż przed szafą i zanim drzwi zostały otwarte nagłym szarpnięciem, nastąpiła ciągnąca się w nieskończoność chwila ciszy. Kiedy do ciemnego wnętrza wdarła się smuga światła, Gabriella mocno zacisnęła powieki. To nie była właściwie smuga, lecz cieniutka nić, Gabriella poczuła się jednak tak, jakby stanęła znienacka w pełnym blasku słońca. Czuła w powietrzu ciężki aromat perfum matki, czuła jej bliskość. Szelest matczynych halek zabrzmiał jak dzwonki alarmowe i zaraz potem pałta zostały powoli rozsunięte na boki, tworząc prowadzący w głąb szafy głęboki prosty kanion. Przez długi moment Gabriella patrzyła w oczy matki. Nie padło żadne słowo. Gabriella wiedziała aż za dobrze, iż wyjaśnienia, przeprosiny czy nawet płacz nie mają sensu. Jej i tak wielkie oczy wypełniły na pozór całą twarz na widok wściekłości narastającej w spojrzeniu matki, która jednym nadludzkim gestem wyrzuciła do przodu rękę, chwyciła córkę za ramię i wyszarpnęła ją z szafy z taką szybkością, że rozległ się cichy świst, kiedy powietrze uciekało z płuc Gabrielli. Dziewczynka zdołała niepewnie wylądować na nogach, ale już chwilę później powaliło ją silne uderzenie. Nie rozległo się jęknięcie bólu, żaden dźwięk, kiedy matka walnęła ją w czubek głowy, potem znów poderwała na nogi i spoliczkowała ze wszystkich sił. To omal Gabrielli nie ogłuszyło.

— Znów się chowasz! — wrzasnęła jadownicie matka. Była wysoką szczupłą kobietą i mogłaby nawet zostać uznana za piękną, gdyby w oczach i twarzy nie miała bezgranicznej niepokohamowanej wściekłości. Jej długie włosy były upięte w luźny kok, była elegancka i zgrabna. Nosiła doskonale skrojoną sukienkę z drogiego granatowego jedwabiu, na palcach zaś dwa ciężkie pierścienie z szafirami, które teraz — jak to zresztą zdarzało się już w przeszłości — pozostawiły ślady na twarzy Gabrielli. Prócz tego dziewczynka miała na policzku rozległą czerwoną plamę, a na głowie niewielkie rozcięcie. Eloise Harrison uderzyła córkę w prawe ucho i potrząsając nią jak bezwładną kukielką wykrzyczała wprost w bladą pokancerowaną buzię: — Nieustannie się chowasz! Ciągłe stwarzasz nam problemy! Czego się boisz, wstrętny bachorze? Coś znowu zrobiła? Bo na pewno zrobiłaś, prawda? Oczywiście, że tak... bo z jakiego innego powodu chowałabyś się w szafie?

— Nic nie zrobiłam... przysięgam... — wyszeptała Gabriella, z trudem łapiąc powietrze. Uderzenia zaparły jej dech w piersiach, pozbawiły resztek ducha. Błagalnie podniosła na matkę załzawione oczy. — Przepraszam, mamusi... jest mi przykro...

— Nie, wcale nie jest ci przykro... nigdy ci nie jest przykro. Doprowadzasz mnie do szału tymi

swoimi wygłupami, tym chowaniem się po kątach. I co my mamy z tobą zrobić, żaloszny szczeniaku? Dobry Boże, to nie do wiary, co ja i twój ojciec musimy znosić!

Odepchnęła Gabriellę od siebie, nie na tyle jednak daleko, by chude drżące udo dziewczynki znalazło się poza zasięgiem dotkliwego kopnięcia wymierzonego czubkiem granatowej zamszowej szpilki. Największe sińce pojawiały się zawsze na nogach, ramionach i tułowiu małej, tam więc, gdzie nie mogły zostać dostrzeżone przez osoby postronne. Urazy twarzy znikwały zwykle po kilku godzinach. Matka Gabrielli instynktownie wiedziała, gdzie i z jaką mocą wymierzać razy. Poza tym miała sporo praktyki. Wieloletniej, bo trwającej niemal całe życie dziewczynki.

Kiedy stała nad córką leżącą u jej stóp, nie okazywała najmniejszej skruchy, nie próbowała przeproszać czy uspokajać małej, Gabriella zaś wiedziała dobrze, iż jeśli wstanie zbyt wcześnie, obudzi na nowo gniew matki, skurczona więc i zapłakana leżała jeszcze długo, wbijając wzrok w podłogę, bo Eloise Harrison najbardziej rozwścieczał widok umorusanej łzami buzi córki.

— Wstawaj! Na co czekasz? — Gniewnie rzuconym słowem towarzyszyło szarpnięcie za ramię i jeszcze jedno uderzenie w skroń. — Boże, Gabriello, jakże cię nienawidzę... jesteś żaloszna... odrażająca... brudna... gdybyś widziała swoją twarz!

Istotnie, policzki małej przecięły dwie smugi łez zmieszanych z kurzem.

Każdemu, kto ma w sobie choćby odrobinę człowieczeństwa, na widok Gabrielli rozdarłoby się serce, Eloise Harrison pozostawała jednak najzupełniej obojętna. Była istotą nie z tego świata; pasowało do niej zapewne wiele określeń prócz słowa „matka”. Już w dzieciństwie, podrzucona przez rodziców niezamężnej ciotce z Minnesoty, żyła w zimnym pustyni świecie, ignorowana przez opiekunkę, nieustannie zmuszana przez nią do noszenia drewna na opał i odśnieżania podwórka w czasie mroźnych zim. Były to lata Wielkiego Kryzysu; rodzice Eloise stracili niemal całą swoją fortunę i przenieśli się do Europy, aby tam żyć z resztek kapitału. W ich życiu i sercach nie było miejsca dla Eloise, do której nigdy, zwłaszcza po śmierci zmarłego na dyfteryt syna, nie żywili głębszych uczuć. Eloise mieszkała u ciotki do pełnoletności, potem zaś wróciła do Nowego Jorku, gdzie została przygarnięta przez dalszych krewnych. W wieku dwudziestu lat spotkała Johna Harrisona i dwa lata później wyszła za niego. Znała go już w dzieciństwie, przyjaźnił się bowiem z jej bratem. Rodzicom Johna sprzyjało większe szczęście niż rodzicom Eloise: ich fortuna przetrwała lata Kryzysu bez najmniejszego uszczerbku. Pochodzący z dobrej rodziny, doskonale wychowany, starannie wykształcony aczkolwiek pozbawiony większych ambicji i siły charakteru John dostał pracę w banku i wkrótce potem spotkał Eloise, której uroda oszołomiła go.

Eloise była wówczas młoda, bardzo ładna, a właściwie już piękna, jej chłód zaś doprowadzał Johna do szaleństwa. Prosił, błagał, zabiegał o jej względy, wychodził ze skóry, byle tylko zechciała go poślubić, im jednak goręcej się starał, tym bardziej była wobec niego wyniosła. Potrzebował dwóch lat, aby ją ostatecznie przekonać. Pragnął mieć dzieci natychmiast po ślubie, kupił piękny dom, a przedstawiając znajomym żonę niemal piał z zachwytu, minęły wszakże następne dwa lata, zanim Eloise zdecydowała się na macierzyństwo. Powtarzała wciąż, że jeszcze nie jest gotowa, prawda jednak wyglądała tak — choć Eloise nigdy otwarcie jej nie wyznała — iż dzieci nie były tym, na co miała choćby najmniejszą ochotę. Być może

odpowiadało za ten stan rzeczy jej własne nieudane dzieciństwo. Zgoda była jedynie wynikiem uporu Johna.

Eloise pożałowała swej ustepliwości niemal natychmiast. Ciężko znosiła ciążę, miała nieustanne torsje i wręcz koszmarny poród, którego nigdy nie było dane jej zapomnieć; z pewnością nie zamierzała tego powtarzać. Uroczej istotki w różowym beciku, którą nazajutrz złożono w jej ramionach, nie uznała za wartą zapłaconej ceny. Od razu również zaczęły irytować ją względy okazywane dziecku przez Johna. Takim uczuciem obdarzał kiedyś ją samą, a teraz to wszystko spłynęło na Gabriellę. Czy nie jest jej zimno — pytał nieustannie — czy już jadła... czy ją przewinięto... czy Eloise widzi, jak słodko małeńka się uśmiecha... Zauważał zdumiewające podobieństwo Gabrielli do matki. Po całej tej paplaninie Eloise na widok córki chciało się wyć z wściekłości.

Do zwykłych zajęć — zakupów, lunchów i herbatek z przyjaciółkami — wróciła najszybciej jak mogła, okazując nadto znacznie większą niż kiedyś skłonność do wieczornych wypadów.

Dzieckiem nie interesowała się ani trochę. Paniom, z którymi w środowe popołudnie spotykała się na partyjce bridża, wyznała wręcz, iż córka wydaje się jej nad wyraz nudna i nader odpychająca, przy czym uczyniła to w taki sposób, że przyjaciółki były raczej rozbawione, niżli zaszokowane. Tymczasem była jeszcze gorszą matką, niż mogło to wynikać z jej słów. John żywił jednak przekonanie, iż stopniowo wszystko zmieni się na lepsze; powtarzał sobie, że nie każdy ma od razu właściwy stosunek do dzieci i że jedną z tych osób jest jego piękna dwudziestoczteroletnia żona. Nie wątpił, że Gabriella zawojuje matkę, kiedy tylko nieco podrośnie. Taki dzień nie nadszedł wszakże ani dla Gabrielli, ani dla Eloise. W istocie, kiedy Gabriella zaczęła raczkować, a potem wstawać, pociągając przy okazji i przewracając różne rzeczy, Eloise reagowała wybuchami szału. — Boże... tylko popatrz na bałagan, jaki robi ten dzieciak — wykrzykiwała. — Wciąż coś przewraca i niszczy, ciągle jest umorusany...

— To jeszcze niemowlę, El — odpowiadał w takich przypadkach John. Kiedy pewnego razu wziął Gabriellę na

ręce i zaczął cmokać w goły brzusek, został surowo skarcony: — Przestań, to obrzydliwe!

Sama Eloise starała się unikać fizycznego kontaktu z córką. Niania, zatrudniona przez Harrisonów na początku, potrafiła bez trudu dodać dwa do dwóch i podzieliła się swoimi wnioskami z Johnem — oświadczyła mianowicie bez ogródek, że pani jest zazdrosna o Gabriellę. Zrazu John uznał to za absurdalne, ale po pewnym czasie i w jego sercu zagościły podejrzenia, Eloise bowiem wpadała w gniew, ilekroć mówił coś do małej albo brał ją na ręce. Kiedy zaś Gabriella miała dwa lata, dostawała od matki po rączkach, gdy tylko dotknęła czegoś w salonie albo sypialni rodziców. Wreszcie Eloise oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu, że miejsce Gabrielli jest w pokoju dzieciennym.

— Przecież nie możemy jej nieustannie więzić — oponował John, gdy po każdym powrocie do domu znajdował córkę w zamkniętym pokoju.

— Ciągle bałagani — odpowiadała jak zwykle ze złością Eloise. Ta złość jeszcze rosła, gdy John podkreślał jakiś szczegół urody małej. Kiedyś nieopatrznie zachwycił się jej pięknymi, spadającymi w puklach włosami: nazajutrz Eloise, w towarzystwie niani, zawiozła Gabriellę do salonu fryzjerskiego Best i Co i pukle zniknęły. John wyraził zaskoczenie, a wtedy usłyszał argument, że krótkie włosy sprzyjają utrzymaniu higieny osobistej.

Rywalizacja rozpetęła się na dobre, gdy Gabriella zaczęła mówić całymi zdaniami, a na widok ojca z radosnym piskiem rzuciła się biegiem do drzwi. Zwykle, wyczuwając niebezpieczeństwo, omijała matkę szerokim łukiem, Eloise zaś z największym trudem hamowała wściekłość, widząc, jak jej mąż bawi się z córką. Kiedy wreszcie John zaczął krytykować Eloise, iż zbyt mało zajmuje się Gabriellą, pomiędzy małżonkami otworzyła się przepaść. Eloise dostawała mdłości słysząc te narzekania, które uznawała za niemęskie i w gruncie rzeczy niesmaczne.

Swoje pierwsze cięgi Gabriella dostała w wieku trzech lat; zdarzyło się to pewnego ranka podczas śniadania, kiedy przypadkowo zrzuciła ze stołu i stuknęła talerz. Siedząca obok niej matka bez namysłu wyciągnęła ramię i wymierzyła córce siarczysty policzek.

— To się zdarzyło pierwszy i ostatni raz... rozumiesz?

— syknęła.

Gabriella wpatrywała się w nią szeroko rozwartymi, zażawionymi oczyma; jej buzia zastygła w wyrazie szoku i rozpacz.

— Słyszysz? — wrzasnęła Eloise. — Odpowiadaj!

— Przepraszam, mamusiu — wyszeptała Gabriella.

John wszedł do jadalni, popatrzył z niedowierzaniem na to, co się dzieje, ale był zbyt wstrząśnięty, żeby interweniować. Obawiał się zresztą, że tylko pogorszy sytuację. Nigdy dotąd Eloise nie była tak wściekła: hamowane latami gniew, zazdrość i frustracja eksplodowały teraz jak lawa z nabrzmiąłego wulkanu.

— Jeśli zrobisz to jeszcze raz, Gabriello, stuknę cię na kwaśne jabłko! — złowieszczym tonem wycedziła Eloise, potrząsając córką. — Jesteś bardzo, bardzo niegrzecznym dzieckiem, a nikt nie lubi niegrzecznych dzieci.

Gabriella uciekła spojrzeniem od wykrzywionej złością twarzy matki i popatrzyła na ojca, ten

jednak nic nie powiedział. Bał się. Uświadomiwszy sobie obecność Johna, Eloise chwyciła córkę na rękę, zaniósła ją do pokoju dzieciennego i zamknęła na klucz. Przed wyjściem wymierzyła jej mocnego klapsa. Gabriella padła na łóżko chlipiąc i pojękując.

— Nie musiałaś tego robić — stwierdził John, kiedy Eloise wróciła do stołu i naląła sobie następną filiżankę kawy. Trzęsły się jej dłonie i wciąż miała wściekłą minę.

— Gdybym tego nie zrobiła, pewnego dnia skończylibyśmy z młodocianą kryminalistką w domu — odparła Eloise.

— Surowa dyscyplina to najlepszy sposób wychowywania dzieci.

Johna, któremu rodzice okazywali wiele miłości, reakcja Eloise zbiła z tropu, miał jednak świadomość, że od narodzin Gabrielli jego żona zmieniła się — była wiecznie zdenerwowana i nieustannie na coś zła. Już dawno zrezygnował z marzeń o licznej szczęśliwej rodzinie.

— Nie wiem, czym cię zirytowała, ale nie mogło to być nic strasznego — powiedział spokojnie.

— Z rozmysłem stłukła talerz — odparła ostro Eloise.

— Nie zamierzam znosić jej wyskoków.

— Może to był przypadek — stwierdził John, usiłując uspokoić żonę, ale jak zwykle tylko pogorszył sytuację. Nie istniały argumenty, których mógł użyć skutecznie w obronie córki. Zresztą Eloise po prostu nie miała zamiaru ich wysłuchiwać.

— Wychowywanie Gabrielli to moje zadanie — wycodziła przez zęby. — Ja nie pouczam cię, jak prowadzić biuro.

Zerwała się z krzesła i odeszła od stołu.

„Wychowywanie” Gabrielli stało się dla Eloise celem życia. Zawsze mała popełniała jakąś zbrodnię zasługującą na karę w postaci klapsa, solidnego razu czy też mocnego bicia. A to bawiąc się w ogrodzie ubrudziła trawą kolana, a to podczas igraszek z kotem sąsiadów dorobiła się zadraśnięcia na ramieniu, a to wreszcie — za to przestępstwo, którego dopuściła się tuż przed swoimi czwartymi urodzinami, została zbita jak dotąd najmocniej — upadła na ulicy, plamiąc krwią całą sukienkę i skarpetki. John wiedział o wszystkich aktach przemocy, ale nie czynił nic, by je powstrzymać, żywił bowiem przekonanie, że Eloise i tak będzie robić swoje. Nie próbował nawet pocieszać córki, świadom, iż w ten sposób tylko pogorszy jej sytuację. Koniec końców wybrał milczenie, a nawet usiłował nie myśleć o losie Gabrielli. Może, wmawiał sobie, Eloise ma słuszość. Skąd mógł wiedzieć? Może istotnie surowa dyscyplina jest najlepszym sposobem wychowywania dziecka. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, nie miał więc nikogo, z kim mógłby — z kim by się ośmielił

— pomówić o tym, co z jego córką wyprawia Eloise.

Gabriella zaś stawiała się wzorowym dzieckiem: odzywała się z rzadka, starannie sprzątała stół i składała swoje ubranka, robiła, co jej kazano, nie sprzeciwiała się matce. Może więc Eloise miała słuszość, skoro osiągnęła tak imponujące rezultaty.

Podczas obiadów Gabriella siedziała w zupełnym milczeniu i tylko patrzyła na rodziców swoimi wielkimi oczyma,

a John Harrison brał strach sterroryzowanego dziecka za wynik dobrego wychowania.

W znacznie bardziej krytycznych oczach matki dziewczynce wiele brakowało do doskonałości; zawsze robiła coś zasługującego na naganę, karę czy „kilka klapsów”. Z czasem pojęcie „kilka” stało się straszliwym niedomówieniem, policzki zaś i bolesne uderzenia — nierozdzielny element każdej rozmowy pomiędzy matką a córką. Bywały chwile, kiedy John żywił obawę, iż Eloise może po prostu okaleczyć Gabriellę, zachowywał jednak te obawy dla siebie, wychodząc z założenia, iż ostrożność jest lepszą częścią odwagi, a także szukając argumentów na to, że postępowanie żony wcale nie jest złe. Czynił wszystko, aby nie dostrzegać sińców i zadrapań, zresztą zdaniem Eloise Gabriella nieustannie się przewracała i zezwolenie jej na jazdę na rowerze czy deskorolce po prostu nie wchodzi w grę. Szykany robione przez Eloise Gabrielli służyły zatem tylko dobru dziecka, sińce były najwyraźniej wynikiem jego niezgrabności.

Kiedy Gabriella miała sześć lat, bicie stało się w oczach całej trójki czymś naturalnym. John nie dostrzegał go, Gabriella oczekiwała, natomiast Eloise sprawiało ono wielką przyjemność. Choć oczywiście uniosłaby się sprawiedliwym gniewem, gdyby ktoś ośmielił się jej to wytknąć.

Utrzymywała, że stosowanie kar cielesnych jest „konieczne”. To dzięki nim Gabriella nie stanie się jeszcze bardziej zepsutym bachorem.

Gabriella zaczynała podzielać pogląd, że jest niedobrym dzieckiem. Bo przecież gdyby była grzeczna, matka by jej nie biła... gdyby była grzeczna, ojciec stawałby w jej obronie... gdyby była grzeczna, rodzice by ją kochali. Zdawała sobie sprawę, jak jest rozpuszczona, jakie okropne popełnia występki. Zdawała sobie sprawę, bo uświadamiała jej to matka.

Kiedy tego popołudnia leżała na podłodze, łkając, a potem, poderwana za ramię i jeszcze raz uderzona, uciekła — zgodnie z poleceniem matki — do swojego pokoju, widziała kątem oka, że od progu drzwi zajściu przypatruje się ojciec. Jak zwykle nic nie mówił. Na jego twarzy malował się wyraz ubolewania, ale nie wyciągnął ręki, by ukoić córkę, nawet nie próbował jej dotknąć. Po prostu odwrócił głowę, aby nie być świadkiem jej udręki. Nie potrafił dłużej tego znosić.

— Idź do swojego pokoju i ani mi się z niego rusz!

— dźwięczały w uszach Gabrielli gniewne słowa matki, kiedy stąpając korytarzem obmacywała drżącymi paluszkami obrzmiały policzek. Wiedziała, że jest już dużą dziewczynką i jej wysoki, które tak bardzo złościły matkę, są naprawdę okropne. Weszła do pokoju, z cichym płaczem podbiegła do łóżka i przytuliła swoją lalkę, jedyną zabawkę, na jaką jej pozwalano. Lalka, prezent od babci, miała wielkie niebieskie oczy, puszyste jasne włosy i nazywała się Meredith. Gabriella kochała ją nad życie, bo przecież była jedyną jej sojuzniczką. Z Meredith w ramionach, kołysząc się lekko w przód i w tył, długo siedziała na skraju łóżka i powtarzała w duszy pytania: dlaczego matka bije ją tak mocno... dlaczego ona, Gabriella, jest ciągle tak niegrzeczna... I nie mogła zapomnieć wyrazu twarzy ojca w chwili, kiedy go mijała. Dostrzegła w niej rozczarowanie, wywołane z pewnością faktem, że jego córka nie jest dobrą dziewczynką, tylko — zgodnie ze słowami matki

— obrzydliwym potworkiem. Tak, Gabriella również musiała w to wierzyć. Wszystko robiła źle.

Wychodziła wprawdzie ze skóry, żeby zadowolić rodziców, powstrzymać nieuchronne

— ale bez rezultatu. Teraz, kiedy z lalką w ramionach siedziała na krawędzi łóżka, zaczęła zdawać sobie sprawę, że to nigdy się nie skończy. Nigdy nie będzie dość grzeczna, by zdobyć akceptację i miłość rodziców. Wiedziała od początku, że jej nie kochają, w pewnym momencie zaś została skutecznie przekonana, że nie zasługuje na miłość. Zasługiwała najwyżej na ból, jaki zadawała jej matka. A mimo to wciąż zadawała sobie pytanie, dlaczego ten ból jest tak wielki... dlaczego matka jest tak wściekła... cóż ona, Gabriella, zrobiła złego, by obdarzono ją aż taką nienawiścią. Na te wszystkie pytania nie potrafiła udzielić żadnych odpowiedzi. Nikt nie mógł obronić jej przed nieuchronnym losem. Nawet ojciec. Miała na całym świecie tylko jedną przyjaciółkę, jedną sojuzniczkę — Meredith. Żadnych dziadków, cioć, wujków, przyjaciół czy krewnych. Nigdy nie pozwalano jej bawić się z innymi dziećmi — zapewne dlatego, że jest tak niegrzeczna. Zresztą pewnie by jej nie

polubiły. Nikt by jej nie polubił. No bo jeśli nie lubią jej nawet rodzice? Nigdy nikomu nie mówiła o swoich udrękach, bo czyniąc to przyznawałaby się, jak jest niegrzeczna. Pytana czasem w szkole o swoje siniaki, odpowiadała, że spadła ze schodów albo potknęła się o psa, choć przecież żadnego psa nie mieli. Musiała zachowywać tajemnicę, nie mogła pozwolić, by wszyscy dowiedzieli się o jej złym charakterze.

Nie mogła również mieć pretensji do rodziców. Nieposłuszeństwo, błędy, złość matki — to wszystko było jej winą. I kiedy leżąc na łóżku słyszała podniesione głosy rodziców, pojmowała dobrze, iż kłócą się z jej powodu. Kłócili się często. Prawie po każdym biciu ojciec zaczynał krzyczeć na matkę i chociaż Gabriella nie mogła zrozumieć słów, wiedziała, że to z jej powodu, z jej winy. Była więc prawdopodobnie jeszcze gorsza, niż mówili. To przez nią się kłócili i gniewali na siebie. To przez nią wszyscy byli tak nieszczęśliwi — równie nieszczęśliwi jak ona.

Głodna i zapłakana zasnęła o zmierzchu, a kiedy zasypiała, czując pulsujący ból w policzku i w nodze, tam gdzie kopnęła ją matka, usiłowała myśleć o innych rzeczach, innych miejscach... ogrodzie... parku pełnym szczęśliwych ludzi... roześmianych, rozbawionych dzieciach, które zapraszały ją do wspólnej zabawy... o wysokiej pięknej kobiecie, która wyciągnęła do Gabrielli

ramiona i powiedziała, że ją kocha...

To było najcudowniejsze uczucie świata, kiedy więc zasypiała tuląc swoją lalkę, pozwoliła, by z jej umysłu odplynęły w dal wszystkie inne rzeczy.

— Nie obawiasz się, że któregoś dnia po prostu ją zabijesz? — z naciskiem zapytał John.

Eloise popatrzyła nań ze wzgardliwym rozbawieniem. Był po kilku drinkach i stojąc przed żoną, z lekka się zataczał. Picie zaczęło się mniej więcej w tym samym czasie co bicie. Było łatwiejsze niżli próby powstrzymywania Eloise czy racjonalnego wytłumaczenia sobie jej postępowania.

Alkohol łagodził rozdrażnienie i pozwalał znieść nieznośną sytuację. Johnowi, nie Gabrielli.

— Może nie stanie się takim żalonym pijaczną jak ty, jeśli teraz wbiję jej do głowy trochę rozumu. Niewykluczone, że dzięki temu uniknie w życiu wielu rozczarowań — odparła Eloise, patrząc z jeszcze większą pogardą, jak John przyrządza sobie kolejne martini.

— Najbardziej przerażające jest to, że chyba sama wierzysz w swoje słowa.

— Sugerujesz, że jestem wobec niej zbyt surowa? — spytała wścikłym tonem Eloise.

— Zbyt surowa? Zbyt surowa? Czy kiedykolwiek przyjrzałaś się dobrze jej siniakom? Twoim zdaniem, jak się ich dorobiła?

— Jesteś śmieszny, jeśli twierdzisz, że ma je z mojej winy. Pada na buzię, ilekroć usiłuje zawiązać trzewiki. — Zapaliła papierosa i przypatrywała się, jak John pije swojego drinka.

— Eloise, rozmawiasz w tej chwili ze mną. Kogo próbujesz oszukać? Wiem, jakie wobec niej żywisz uczucia... ona też wie. Biedny dzieciak nie zasługuje na taki los.

— Ja też nie zasługuję. Masz pojęcie, co muszę znieść z jej strony? Pod tymi niebieskimi oczętami i kędziorami, które tak uwielbiasz, kryje się prawdziwy mały potwór.

Być może za sprawą wypitego alkoholu John Harrison poczuł się tak, jakby zasłona spadła mu z oczu. Popatrzył na żonę innym wzrokiem.

— Jesteś o nią zazdrosna, prawda, El? O to w tym wszystkim chodzi? O najzwyczajszą zazdrość. Jesteś zazdrosna o rodzoną córkę.

— Upiłeś się — odparła, lekceważąco machając papierosem.

— Mam rację i dobrze o tym wiesz. Jesteś chora psychicznie. Współczuję Gabrielli, żeśmy ją spłodzili. Nie zasługuje na los, któryśmy jej zgotowali... który ty jej zgotowałaś.

Ogromnie dumny, że sam nigdy nie uderzył Gabrielli, nie zamierzał brać na siebie cząstki win żony.

— Jeśli usiłujesz obudzić we mnie poczucie winy, możesz się nie fatygować. Bo go nie mam i nie będę miała. Wiem, co robię.

— Naprawdę? Katujesz ją prawie codziennie. Taki jest twój pomysł na wychowywanie dziecka? Opróżnił do dna czwartą szklaneczkę. Czasem potrzebował ich więcej, aby utopić myśli o wyczynach żony.

— Nie jest łatwym dzieckiem, John. Trzeba ją trzymać krótko, trzeba dać jej szkołę.

— Cóż, to ci się na pewno udało, El. Nie wątpię, że przez całe życie będzie pamiętać szkołę, którą jej daliśmy. Kiedy to mówił, miał szkliste oczy.

— Mam nadzieję. Z dziećmi nie można się ceregielić, bo to źle im służy. Nawet Gabriella wie, że mam rację. Nigdy nie oponuje, kiedy wymierzam jej karę, rozumie zatem, że na nią zasłużyła.

— Dobrze wiesz, że jest zbyt przerażona, aby oponować. Pewnie się boi, że zatłuczysz ją na śmierć, kiedy coś powie albo spróbuje się opierać.

— Rany boskie, mówisz, jakbym była patologiczną morderczynią.

Założyła jedną kształtną nogę na drugą, ale wdzięki żony nie działały na Johna już od wielu lat. Widząc, co wyprawia z dzieckiem, zaczął ją nienawidzić, nienawiść ta jednak wciąż była zbyt słaba, aby zechciał ją powstrzymać bądź porzucić. Brakło mu po temu siły woli i za to zaczynał nienawidzić również siebie.

— Za kilka lat powinniśmy wysłać ją do jakiejś szkoły. Niech na pewien czas zniknie z naszego życia, niech się znajdzie poza naszym zasięgiem. Przynajmniej tyle jej się należy.

— Przedtem należy się jej uczciwe rodzicielskie wychowanie.

— A więc tak to nazywasz? „Wychowanie”? Widziałaś dzisiaj ten siniak na jej policzku?

— Do rana nie będzie po nim śladu — odparła spokojnie Eloise.

Przyznawał z niechęcią, iż zapewne żona ma rację. Eloise dobrze wiedziała, ile siły włożyć w uderzenie, aby jego skutki nie były zbyt widoczne — przynajmniej na odsłoniętych częściach ciała. Ślady na ramionach i udach to coś zupełnie innego. Tak, Eloise zasługiwała na miano specjalistki. — Jesteś szaloną dziwką — powiedział tylko, kiedy niepewnie wychodził z salonu i ruszał w stronę sypialni. Była, ale nie potrafił nic z tym zrobić.

Zatrzymał się przy otwartych drzwiach pokoju córki i wbił spojrzenie w mrok: nie dostrzegł żadnego śladu życia, panowała absolutna cisza, a łóżko wydawało się puste, kiedy jednak wszedł do środka i przyjrzał się uważniej, zauważył w nogach łóżka niewielki wzgórek. Gabriella zawsze spała w taki sposób, przykryta z głową i zwinięta w kłębek, żywiła bowiem przekonanie, że matka jej nie znajdzie. John Harrison ze łzami w oczach patrzył na maleńką drobinę wielkiego strachu, w którą przemieniła się jego córka. Nie próbował ułożyć jej prosto, świadom, iż widok Gabrielli mógłby na nowo obudzić gniew Eloise. Zostawił więc Gabriellę w takim stanie, w jakim ją zastał — samotną i zapomnianą — a kiedy szedł powoli do swej sypialni, rozmyślał o niesprawiedliwości życia i nieludzkim losie, jaki przypadł w udziale jego córce. Wiedział jednak, iż nie potrafi jej ocalić. W pewnym sensie był wobec Eloise równie bezsilny jak Gabriella. Sam się za to sobą brzydził.

ROZDZIAŁ 2

Do kamieniczki przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej goście zaczęli przybywać tuż po ósmej. Było w ich gronie kilku znanych przedstawicieli socjety, rosyjski książę w towarzystwie młodej Angielki i panie, z którymi Eloise zazwyczaj grywała w brydża. Pojawił się również z żoną prezes banku, w którym pracował John Harrison. Kelnerzy w smokingach krążyli wśród napływających gości ze srebrnymi tacami zastawionymi kieliszkami szampana. Gabriella ukryła się u szczytu schodów, z zaciekawieniem spoglądając w dół. Lubiła obserwować gości uczestniczących w przyjęciach wydawanych przez rodziców.

Matka w sukni z czarnego atłasu wyglądała pięknie, a ojciec był przystojny i elegancki w swym doskonale skrojonym smokingu. Kreacje i klejnoty kobiet skrzyły się w blasku świec, gdy panie wchodziły do holu, brały z tac kieliszki szampana i odpływały w stronę zgłętku ludzkich głosów i muzyki.

Eloise i John uwielbiali wydawać przyjęcia. Ostatnio wprawdzie nie robili tego równie często jak kiedyś, niemniej jednak od czasu do czasu urządzali wystawną imprezę. Gabriella uwielbiała obserwować przybywających gości, a potem, leżąc w swoim pokoju, nasłuchiwać muzyki. Był wrzesień, początek nowojorskiego sezonu towarzyskiego. Gabriella zaczęła właśnie siódmy rok życia. Przyjęcie odbywało się bez szczególnej okazji i było po prostu spotkaniem najbliższych przyjaciół Eloise i Johna. Gabriella rozpoznała wielu z nich, niektórzy byli nawet mili wobec niej przy tych nielicznych okazjach, kiedy się z nią spotykali. Rodzice rzadko przedstawiali ją znajomym, rzadko pokazywali światu i z reguły po prostu pomijali milczeniem. Ot, była sobie, skryta gdzieś na górze i na ogół zapomniana. Eloise hołdowała zasadzie, iż dzieci powinny być wykluczone z życia towarzyskiego dorosłych, co w szczególności dotyczyło tak niewiele dla niej znaczącej Gabrielli. Pytana niekiedy przez przyjaciółki z klubu brydżowego o córkę, zbywała kwestię wdzięcznym gestem dłoni, czyniąc to w taki sposób, jakby opędzała się od natrętnego owada. W domu nie brakowało oprawionych w srebrne ramki zdjęć Eloise i Johna, nie było za to ani jednej fotografii Gabrielli. Harrisonów nie interesowało dokumentowanie dzieciństwa córki. Gabriella uśmiechnęła się szeroko na widok wchodzącej do holu ślicznej blondynki. Marianne Marks nosiła białą szyfonową suknię, która wraz z właścicielką zdawała się frunąć. Należała do grona najściślejszych przyjaciół rodziców, jej mąż zaś był współpracownikiem Johna. Na szyi młodej kobiety skrzyła się diamentowa kolia. Kiedy Marianne Marks z niezrównaną gracją ujmowała kieliszek szampana, uniosła nagle głowę, jakby powodowana jakimś tajemniczym impulsem, i dostrzegając Gabriellę znieruchomiała na moment.

Gabriella ujrzała twarz rozmytą w blasku świec, a poza tym — jak się zdawało — otoczoną czymś na kształt aureoli. Dopiero po chwili pojęła, że źródłem owej aureoli jest maleńka tiara na głowie

kobiety, która przywodziła małej na myśl królową z bajki.

— Gabriello, co tam robisz? — zapytała ciepło Mariannę, machając dłonią do przycupniętej u szczytu schodów dziewczynki w różowej flanelowej koszulce nocnej.

— Psst... — szepnęła Gabriella i z niepokojem marszcząc czoło przytknęła palec do warg. Byłaby w poważnych tarapatach, gdyby matka zorientowała się, że tu siedzi.

— Och... — Mariannę Marks była pewna, o co chodzi Gabrielli. Cichutko wbiegła na górę w swych atlasowych pantofelkach na wysokim obcasie, objęła ją i wyszeptała jej do ucha: — Co tu robisz? Liczysz przybywających gości?

— Wygląda pani ślicznie! — odparła Gabriella z zachwytem, kiwając główką. Mariannę miała w sobie to wszystko, czego nie miała jej matka. Była piękna i dobra, miała — tak samo jak Gabriella — wielkie niebieskie oczy i uśmiech, który zdawał się rozświetlać otoczenie. Sprawiała na dziewczynce wrażenie istoty zgoła niezemskiej i Gabriella zastanawiała się często, dlaczego nie było jej dane mieć za matkę takiej osoby jak Mariannę. Mariannę, rówieśnica Eloise, była zawsze smutna, kiedy mówiła, że nie ma dzieci. Może w boskich planach istniał jakiś błąd, może Gabriella była pisana takiej kobiecie jak Mariannę i tylko przez pomyłkę pojawiła się w życiu Harrisonów... dlatego że jest taka niegrzeczna i powinna zostać ukarana. Trudno było wyobrazić sobie, że Mariannę wymierza komukolwiek karę. Była zawsze dobra i czuła, a teraz, kiedy obejmowała i całowała Gabriellę, sprawiała również wrażenie szczęśliwej. I pachniała tak cudownie. Gabriella nie znosiła zapachu perfum swojej matki.

— Czy nie mogłabyś chociaż na chwilę zejść na dół? — zapytała Mariannę.

W Gabrielli było coś takiego, co sprawiała zawsze, że Mariannę pragnęła kochać i chronić dziewczynkę — coś poruszającego i bezgranicznie kruchego. Doświadczała tego uczucia i w tej chwili, kiedy mocno ścisnęła w dłoni małą chłodną rączkę, trzymając jej palce z siłą, która zdawała się wyrażać błaganie.

— Nie... nie... nie mogę zejść na dół... Mamusia by się rozzłościła... powinnam teraz leżeć w łóżku

— odparła szeptem. Znała karę, jaka czekała ją za popełnione wykroczenie, a przecież nie potrafiła oprzeć się pokusie obserwowania przybywających gości. No i spotkała ją taka nagroda! Mariannę wyglądała jak bajkowa matka chrzestna z „Kopciuszka”, a Robert Marks, cierpliwie czekający na żonę u podnóża schodów, był bardzo przystojny. — Czy to prawdziwa korona?

— To się nazywa tiara — odparła z cichym chichotem Mariannę. — Głupio, prawda? Należała do mojej babci.

— Czy ona była królową? — zapytała Gabriella z powagą, patrząc na Mariannę swoimi wielkimi mądrymi oczyma w sposób, który niepojęcie poruszał najgłębsze struny duszy.

— Nie, po prostu śmieszna starszą panią z Bostonu, która jednak raz miała okazję spotkać królową Anglii. Wtedy właśnie nałożyła tę tiarę. A ja uznałam, że fajnie by było nałożyć ją dzisiejszego wieczoru — odparła, a potem wypięła tiarę ze swych starannie ufryzowanych jasnych włosów i umieściła ją na głowce Gabrielli. — Teraz wyglądasz jak mała księżniczka.

— Naprawdę? — zapytała stropiona Gabriella. — Jakim cudem ktoś tak niegrzeczny jak ja może przypominać księżniczkę?

— Chodź... sama się przekonasz — odparła Mariannę i podprowadziła Gabriellę do wielkiego antycznego lustra zdobiącego korytarz na piętrze.

Dziewczynka zobaczyła swoje odbicie i lśniąca na jej głowce brylantową koronę, podtrzymywaną dłonią przez śliczną jasnowłosą kobietę.

— Och... jest piękna... tak samo jak pani — wyszeptała. To była jedna z najbardziej czarodziejskich chwil w jej życiu. Niezapomnianych. Dlaczego, jakim cudem ta pani jest dla niej tak dobra?

Dlaczego tak bardzo różni się od jej rodzonej matki? Była to tajemnica opierająca się wszelkim próbom wyjaśnienia i Gabriella rozumiała tylko tyle, że swoimi uczynkami w ciągu sześciu lat życia niczym nie zasłużyła sobie na taką mamę.

— Jesteś wyjątkowym dzieckiem — powiedziała cicho Mariannę, delikatnie przekładając tiarę na swoją głowę.

— A twoi rodzice to prawdziwi szczęściarze.

Gdyby wiedziała, jaka jestem niedobra, nigdy nie powiedziałaby czegoś takiego, pomyślała

Gabriella. Wystarczyłoby kilka słów zamienionych z mamą, aby wszystko stało się jasne.

— Chyba muszę wracać na dół — powiedziała Mariannę.

— Biedny Robert wciąż na mnie czeka.

Gabriella kiwnęła ze zrozumieniem, wciąż przytłoczona wydarzeniami ostatnich chwil — pocałunkiem, tiarą, delikatnym dotknięciem, ciepłymi słowami. Miała to wszystko zapamiętać na całe życie. Mariannę obdarzyła ją podarunkiem, którego wartości nawet się nie domyślała.

— Szkoda, że z panią nie mieszkam — wyrzuciła z siebie, kiedy trzymając się za ręce podchodziły do podestu schodów.

Mariannę uznała tę deklarację za dziwną i nie potrafiła domyślić się jej powodów.

— Ja też tego żałuję — odparła, puszczając niechętnie dłoń dziewczynki. Dostrzegła w oczach Gabrielli smutek, który sprawił jej niemal fizyczny ból. — Ale tatuś i mamusia byliby zrozpaczeni, gdyby nie mieli cię przy sobie.

— Nie, wcale by nie byli — odparła wyraźnie Gabriella. Mariannę znieruchomiła, przeciągle patrząc na dziewczynkę. Czyżby Gabriella wdała się dzisiaj w jakiś konflikt z rodzicami? Czyżby została przez nich skarcona? W swej naiwności Mariannę doszła do wniosku, że karcenie tak cudownego dziecka po prostu nie wchodzi w grę.

— Pójdę teraz i pomacham do ciebie z dołu. Czy chcesz, żebym później odwiedziła cię w pokoju?

— zapytała Mariannę, usiłując obietnicą uspokoić sumienie, że zostawia tę dziewczynkę patrzącą na nią wielkimi oczyma o błagalnym wyrazie.

Gabriella jednak stanowczo pokręciła głową.

— Nie może pani przyjść do mnie na górę — oświadczyła z powagą. Zapłaciłaby straszną cenę, gdyby o czymś takim dowiedziała się matka. Eloise nie lubiła, kiedy jej znajomi rozmawiali z Gabriellą; byłaby wściekła, dowiedziawszy się, że któryś z nich poszedł do pokoju córki.

Zarzuciłaby Gabrielli dokuczanie gościom i wpadła w nieopanowany szał. — Nie pozwolą pani.

— Może jednak uda mi się jakoś wymknąć — obiecała Mariannę, zaczynając schodzić w dół. Jej suknia znów rozpoczęła swój powietrzny balet. W połowie schodów młoda kobieta zatrzymała się i obejrzała na dziewczynkę. — Wróć, Gabriello... masz moje słowo.

A potem, z jakimś dziwnym i bolesnym skurczem serca, zbiegła na dół do czekającego męża. Pił drugi kieliszek szampana i gawędził z niezwykle przystojnym polskim hrabią, który popatrzył na Mariannę z łakomym błyskiem w oku, a następnie ucałował jej dłoń.

Gabriella miała wrażenie, że obserwuje coś na kształt tańca, kiedy tak rozmawiali, śmiali się i przesuwali niespiesznie w stronę innych gości. Miała ochotę zbiec na dół, przytulić się do Mariannę, znaleźć w niej bezpieczeństwo i obronę. Czując na sobie spojrzenie dziecka, Mariannę po raz ostatni zerknęła w górę, pomachała, a potem znikła, idąc pod rękę z mężem i kwitując perlistym śmiechem jakiś dowcip hrabiego.

Gabriella zacisnęła powieki i na krótką chwilę przywarła czołem do balustrady — przypominając sobie i marząc. Wciąż widziała tiarę na swojej głowie, pamiętała wyraz oczu młodej kobiety i rozkoszny zapach jej perfum.

Minęła godzina, zanim zjawili się ostatni goście. Żaden z nich nie dostrzegł przycupniętej na górze Gabrielli. Roześmiani i rozgadani, zostawiali okrycia, brali kieliszki szampana i dołączali do przybyłych wcześniej. W przyjęciu uczestniczyło około stu osób i Gabriella miała pewność, że matka nie będzie miała czasu wejść na górę, aby sprawdzić, co robi jej córka. Przyjmie po prostu, że zgodnie z poleceniem leży już w łóżku. Że nie jest znowu niegrzeczna i zamiast siedzieć cichutko w swoim pokoju, podpatruje gości.

„Połóż się do łóżka i ani mru-mru” — brzmiały ostatnie słowa matki. Ale pokusa popatrzenia na przyjęcie była zbyt wielka. Poza tym Gabriella miała ogromną ochotę zejść na dół, bo po prostu umierała z głodu. Wiedziała, że w kuchni jest mnóstwo jedzenia, ciast, ciasteczek, czekoladek i herbatników. Widziała po południu, jak przyrządzano ogromną szynkę, rostbef i indyka. Jak zwykle był również kawior. Spróbowała go raz, ale nie polubiła — miał obrzydliwy rybny smak. Zresztą matka nie życzyła sobie, by jadła kawior. Nie pozwalała jej próbować żadnych dań przygotowywanych na przyjęcia. Ale miała ogromną ochotę na ciasteczko: były dziś ekierki, ciastka z truskawkami i bezy, największy przysmak Gabrielli. Tylko że w gorączyce przygotowań

nikt nie pomyślał, żeby zaproponować jej coś do jedzenia, ona zaś wiedziała aż za dobrze, że prosząc matkę popełniłaby wielki błąd. Eloise spędziła w swojej garderobie kilka godzin: wzięła długą kąpiel, ufryzowała włosy, starannie się umalowała. Nie miała czasu myśleć o córce. I tym lepiej, uznała Gabriella. Przed przyjęciami matka była na ogół bardziej podenerwowana niż zwykle. Muzyka rozbrzmiewała teraz donośniej, tańczono w głębi wielkiego salonu, jadalnia zaś, biblioteka i bawialnia były pełne rozgadanych i roześmianych ludzi. Gabriella długo wpatrywała się w tłum, mając nadzieję wypatrzeć Mariannę, jej usiłowania były jednak daremne — młoda kobieta nie pojawiła się w polu widzenia ani raz. Gabriella zresztą dobrze wiedziała, że nie ma prawa liczyć na jej powrót. Mariannę zapewne zdążyła o niej zapomnieć.

I wtedy, szukając czegoś lub kogoś, przez hol przemknęła Eloise; instynktownie wyczuła obecność córki, podniosła wzrok, przeniknęła nim blask kandelabru i wypatrzyła u szczytu schodów drobną skuloną postać w różowej koszulce nocnej.

Gabriella wstrzymała oddech, odruchowo szarpnęła się do tyłu, potknęła o pierwszy stopień i ciężko upadła na chudą pupkę. Wyraz twarzy matki powiedział jej natychmiast, na co się zanoszi. Bez słowa Eloise wbiegła po schodach jak lekkostopy herold szatana. Nosiła obcisłą suknię z czarnego atłasu, która podkreślała szczupłość sylwetki i lśniła tak samo, jak ujęte w kok czarne włosy; z klejnotów miała brylantowe duże kolczyki i takież naszyjnik misternej roboty. O ile jednak strój i biżuteria Mariannę zdawały się spowijać właścicielkę w miękką świetlistą aureolę, o tyle kreacja Eloise sprawiała, iż matka Gabrielli przywodziła na myśl piękną, lecz niebezpieczną czarownicę.

— Co tu robisz? — syknęła Eloise jadowicie. — Kazałam ci siedzieć w pokoju!

— Przepraszam, ja tylko... — Nie istniało żadne wytłumaczenie dla zbrodni, którą popełniła.

Szczęśliwie matka nie wie, że w dodatku zwabiła na górę Mariannę Marks i przymierzała jej tiarę.

— Tylko nie kłam, Gabriello! — warknęła Eloise, ściskając ramię córki tak mocno, że krew natychmiast przestała w nim krążyć i pojawiło się mrowienie. — Ani słowa!

Pociągnęła Gabriellę korytarzem, nie widziana przez ludzi, którzy na dole korzystali z dobrodziejstw jej gościnności.

Bez wątpienia zamilkliby zszokowani, gdyby tylko mogli być świadkami zajścia.

— Bądź cicho, szczeniaku, bo wyrwę ci rękę — syczała Eloise, a Gabriella nie miała wątpliwości, iż jest to groźba rzucona najzupełniej serio. W ciągu siedmiu lat życia zdążyła się przekonać, iż matka spełnia swe obietnice — jeśli mówiła, że zada taką czy inną torturę, rzecz była gwarantowana. W tej kwestii na Eloise można było liczyć.

Na poły niesiona, na poły ciągnięta korytarzem, Gabriella drobila stopami, żeby nie irytować matki jeszcze bardziej. Kiedy dotarły do otwartych drzwi pokoju dziecinnego, Eloise cisnęła córkę w mrok. Gabriella upadła na podłogę, skręcając nogę w kostce, ale nie wydała z siebie nawet jęknięcia.

— Siedz tu kamieniem! Rozumiesz? Nawet nie próbuj przestąpić progę, czy to jasne? Jeśli nie usłuchasz mnie tym razem, Gabriello, srogo tego pożałujesz, masz moje słowo. Któż chciałby cię oglądać... któż by się przejmował bachorem siedzącym u szczytu schodów niczym jakaś żałosna sierota? Jesteś tylko dzieckiem i masz siedzieć w swoim pokoju, rozumiesz?

Leżąc w ciemności, Gabriella popłakiwała cicho, ale była zbyt mądra i dumna, żeby poskarżyć się przed matką na dojmujący ból w ramieniu i nodze.

— Odpowiadaj!

Głos Eloise przecinał mrok jak piła spalinowa i Gabriella pojęła, że jeśli będzie milczeć nadal, matka podejdzie do niej i wygzekwuje odpowiedź w bardziej brutalny sposób.

— Przepraszam, mamusiu! — wyszeptała.

— Przystań skamleć! — rzuciła Eloise i zatrzasnęła drzwi. Kiedy szła korytarzem, miała wciąż zmarszczone czoło, gdy jednak znalazła się na schodach, na jej twarzy zagościł beztroski błogi uśmiech. Na dole trójka gości nakładała okrycia; Eloise pożegnała wszystkich ciepłymi pocałunkami, a następnie wbiegła do salonu, żeby jeszcze trochę pogawędzić i potańczyć. Mogłoby się zdawać, że to, co zrobiła Gabrielli, nie miało miejsca, że Gabriella w ogóle nie istnieje. Dla Eloise rzeczywiście Gabriella nie istniała. Wychodząc, Mariannę Marks poprosiła Eloise, by

ucałowała w jej imieniu Gabriellę.

— Obiecałam, że jeszcze do niej wpadnę — oświadczyła — ale teraz małeńka już chyba śpi.

— No, mam nadzieję! — odparła surowo Eloise, a potem, tonem matki zainteresowanej wprawdzie, lecz nie zbulwersowanej, zapytała mimochodem: — Widziałas ją dzisiejszego wieczoru?

— Jasne — odparła naiwnie młoda kobieta, zapominając o tym, co mówiła jej Gabriella o zakazie widywania się z gośćmi. Zresztą trudno było potraktować taki zakaz serio, a poza tym któż mógłby się złościć na dziecko równie cudowne i anielskie jak Gabriella? — Jest po prostu zachwycająca. Siedziała na podeście schodów w tej swojej ślicznej różowej koszulce, gdyśmy do was przyszli. Wbiegłam na górę, żeby dać jej buziaka, i pogawędziłyśmy kilka chwil.

— Wybacz — powiedziała z lekką irytacją Eloise. — Nie powinna była tego robić.

— Wina leży po mojej stronie. Najzwyczajniej nie mogłam się oprzeć spojrzeń tych wielkich oczu. Zaciekała ją moja tiara.

— Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś Gabrielli jej dotknąć.

Jakaś nutka w głosie Eloise sprawiła, że Mariannę pominęła te słowa milczeniem, później jednak nawiązała do nich w rozmowie z mężem.

— Czy nie sądzisz, że jest zbyt surowa wobec tej małej, Bob? Można było odnieść wrażenie, iż Gabriella ukradnie tiarę, jeśli tylko dotknie jej łapkę.

— Być może Eloise hołduje staromodnym zasadom wychowywania dzieci — odparł Robert Marks.

— Może sądzi, iż Gabriella cię zirytowała.

— Jakże mogłaby mnie zirytować? Jest najcudowniejszą istotką, jaką spotkałam w życiu... tak poważną, tak śliczną. Ma najsmutniejsze oczy... — urwała i dopiero po dłuższej chwili skończyła myśl: — Szkoda, że nie mamy takiej córki jak ona.

— Wiem, wiem — powiedział, klepiąc dłoń żony i odwracając głowę. Wiedział, jak bolesna jest dla Mariannę świadomość, że po dziewięciu latach małżeństwa wciąż są bezdzietni. Oboje musieli się teraz z tym godzić.

— Johnowi również nie jest z nią lekko — napomknęła Mariannę po kilku minutach rozmyślań o dzieciach, których nie mieli, i ślicznej dziewczynce, z którą rozmawiała tego wieczoru.

— Z kim? — zapytał John. Miał za sobą ciężki dzień i zdążył już skierować myśli na następny, bodaj jeszcze trudniejszy.

— Z Eloise — ściągnęła go na ziemię Mariannę. — John zatańczył z tą młodą Angielką, która już kilka razy pojawiła się z księciem Orłowskim i Eloise miała taki wyraz twarzy, jakby chciała go zabić.

Robert Marks uśmiechnął się wyrozumiale.

— Ty zapewne nie miałabyś żadnych zastrzeżeń, gdybym zaprosił tę dziewczynę do tańca? — zapytał, porozumiewawczo unosząc brew. — Była praktycznie naga.

Istotnie, nosiła cielistą atlasową suknię tak obcisłą, że męska wyobraźnia nie musiała się zbytnio wysilać. Panowie pożerali ją wzrokiem i John Harrison nie stanowił pod tym względem wyjątku. Bo niby dlaczego miał stanowić?

— Chyba rozumiem Eloise — stwierdziła Mariannę, a potem spojrzała na męża swymi wielkimi błękitnymi oczyma. — Myślisz, że jest ładna? — zapytała tonem niewiniątka.

Parsknął śmiechem.

— Nie weźmiesz mnie na takie numery, panno Mariannę! Jest okropną wiedźmą i z tą swoją figurą powinna nałożyć raczej worek pokutny. Bóg raczy wiedzieć, co Orłowskiemu strzeliło do łba, że prowadzi się z taką szpetotą.

Skwitowali śmiechem sposób, w jaki Bob wywikłał się z kłopotliwego pytania. Dziewczyna była uderzająco piękna i miała wielką klasę. Ale Robert Marks poza żoną nie widział świata: było mu obojętne, że nie mogli mieć dzieci, a kochanka księcia Orłowskiego znałyła dlań tyle co nic. W tej chwili marzył tylko o tym, żeby znaleźli się już w swojej sypialni.

Tego samego nie dałoby się jednak powiedzieć o Johnie Harrisonie, prowadzącego z żoną podobną, choć znacznie ostrzejszą rozmowę.

— Na rany boskie, dlaczego po prostu nie ściągnąłeś z niej sukienki? — zapytała Eloise zgryźliwie. John wielokrotnie

tańczył z młodą Angielką w cielistej kreacji, a erotyczna natura owych tańców nie została przegapiona ani przez Eloise, ani przez księcia Orłowskiego.

— Jezu, Eloise, po prostu byłem wobec niej uprzejmy. Wypiła trochę za dużo i nie wiedziała, co robi.

— Bez wątpienia było ci to na rękę — odparła zimno Eloise. — Przypuszczam, że tylko przez przypadek praktycznie ją całowałeś, kiedy zsunęło się jej ramiączko i wszyscy mogliśmy podziwiać biust tej ślicznotki.

Pałac papierosa, krążyła po pokoju. Tak samo jak mąż, sporo wypila tego wieczoru.

— Nie całowałem jej i dobrze o tym wiesz. Po prostu tańczyliśmy.

— Dobierałeś się do niej na środku parkietu. Poniżyłeś mnie na oczach wszystkich znajomych.

— Może gdybyś raczyła sypiać ze mną nieco częściej, nie musiałbym „dobierać się” — jak to zechciałaś określić — do zupełnie nieznanym dziewczyny.

Gabriella nie słyszała ich podniesionych głosów. Zasnęła kamiennym snem około drugiej, kiedy wychodzili ostatni goście; w tej chwili była trzecia.

John i Eloise kłócili się już przeszło godzinę.

— Jesteś obleśny — stwierdziła Eloise, podchodząc do męża na najmniejszą bezpieczną odległość. Była wściekła, równie wściekła jak John. Prawda wyglądała tak, że chętnie odebrałyby dziewczynę Władimirowi Orłowskiemu, co zresztą jeszcze teraz mógł zrobić. Jego wierność wobec Eloise i miłość rozwiały się jak dym wiele lat temu. Była okrutna jako matka, oziębła jako żona — nie czuł zatem, że jest jej cokolwiek winien.

— Jesteś skurwysynem, a ona dziwką! — wrzasnęła Eloise, pragnąc za wszelką cenę zranić i poniżyć męża. Daremnie; już dawno przestały interesować go jej opinie i słowa. Nienawidził Eloise jak zarazy, a ona dobrze o tym wiedziała.

— A ty parszywą suką, Eloise. To w tej chwili tajemnica poliszynela. Żaden godny tego miana facet w naszym mieście nie chciałby nawet na ciebie splunąć.

Nie odpowiedziała tym razem, lecz zamachnęła się i spoliczkowała Johna z całą mocą, jaką zdołała z siebie wykrzesać. Boleśniej potrafiłaby zapewne uderzyć tylko córkę.

— Nie trać energii. Nie jestem Gabriellą — odparł i wściekle odepchnął od siebie Eloise, która upadła na podłogę, przewracając przy okazji krzesło. Wciąż jeszcze dźwigała się na nogi, gdy wymaszerował z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Nie obejrzał się za siebie, nie przejął swoim uczynkiem i przez jeden szalony moment żywił wręcz nadzieję, iż zrobił Eloise prawdziwą krzywdę. Zasługiwała na to — za cały ból, jaki zadała jemu i małej. Jeszcze nie wiedział, dokąd pójdzie tej nocy, mało go to zresztą obchodziło. Znał adres młodej Angielki, która jednak w tej chwili na pewno spała z Orłowskim, ale przecież nie brakowało innych kobiet: zawodowych prostytutek ceniących w nim stałego klienta, mężatek chętnie poświęcających mu wolne popołudnia, a wreszcie samotnych dziewczyn hołubiących nadzieję, że pewnego dnia porzuci dla nich Eloise i skłonnych wybaczyć mu wypity przed spotkaniem alkohol. Tak, było wiele kobiet gotowych iść z nim do łóżka i John korzystał z każdej możliwej okazji. Jakże można było nie zdradzić Eloise, jeśli sprzyjała temu sytuacja? To był nieomal obowiązek.

Eloise w jednym pantofelku przykuszykała do okna i patrzyła, jak John zbiega po schodach, a następnie wsiada do zatrzymanej taksówki. Na jej twarzy nie było żalu ani ubolewania, tylko bezgraniczna ślepa wściekłość. Wściekłość, która musiała znaleźć jakieś ujście.

Istniała tylko jedna możliwość.

Eloise zdjęła drugą szpilkę, cisnęła ją w kąt pokoju i bezgłośnie przeszła do holu. Kiedy zbliżała się korytarzem do znajomych drzwi, jej twarz wyrażała wszystko, co czuła w tej chwili wobec męża. Musiała zranić Johna, zranić najboleśniej, jak można.

Chciała wiedzieć, co robi, włączyła więc światło, a potem zerwała kołdrę z łóżka. Nie zwiódł jej fakt, iż wydawało się puste. Bachor na pewno ukrył się w pościeli, szchwany, wredny i równie odrażający jak jego ojciec. Istotnie... maleńka

różowa sylwetka leżała zwinięta w kłębek i tuliła do siebie tę kretyńską lalkę, którą dostała od jego matki.

Eloise wściekle wyszarpnęła laleczkę z ramion córki i morderczym uderzeniem o ścianę rozbiła

plastikową główkę. Gabriella rozbudziła się w okamgnieniu.

— Nie, mamusi, nie! Tylko nie Meredith! Nie, mamusi... proszę...

Łkała bezsilnie widząc, jak matka metodycznie niszczy ukochaną zabawkę. Potem gniew Eloise zwrócił się przeciwko córce i na Gabriellę zaczęły spadać uderzenia.

— To tylko gówniana lalka... a ty jesteś paskudnym bachorem... zwabiłaś Mariannę dziś wieczorem, prawda? I co jej powiedziałaś... wypląkiwałaś się w jej ramionach? Powiedziałaś jej o tym? Powiedziałaś, że jesteś parszywą kurewką... małą suczką... i że nienawidzimy cię z tatą za wszystkie problemy, jakie nam stwarzasz? Powiedziałaś jej, że musimy cię karać, bo jesteś tak cholernie niegrzeczna... powiedziałaś? Gadaj! Powiedziałaś?

Ale Gabriella nie była już w stanie udzielić odpowiedzi, bo jej płacz zamienił się w jęk wobec lawiny ciosów, jaką obdarzyła ją matka. Biła najpierw szczątkami lalki, potem pięściami — w pierś, zebra, biodra. Waliła wściekle, policzkowała, garściami wrywała włosy... biła bez chwili na zaczerpnięcie oddechu, z niewiarygodną, niepohamowaną brutalnością. Przeciwko Gabrielli obróciła się cała nienawiść, jaką Eloise odczuwała wobec męża i angielskiej dziewczyny, chęć odkucia się za poniżenie, jakiego padła ofiarą. W przerażonej duszyczce Gabrielli kołatała się myśl, że przecież niczym sobie na to wszystko nie zasłużyła, ale chyba musi być niedobra, skoro matka darzy ją aż tak wielką nienawiścią.

Była prawie nieprzytomna, kiedy matka wreszcie wyszła z pokoju. Każdy oddech sprawiał taki ból, jakby wbijano w jej ciało nóż: był to skutek złamania dwóch żeber, o czym zresztą ani Gabriella, ani Eloise nie wiedziały. Nie mogła oddychać, nie była w stanie się ruszyć, a poza tym rozpaczliwie chciała siusiu, wiedząc zarazem, że matka naprawdę ją zabije, jeśli zmoczy pościel, i tak wilgotną od krwi. Szczątki lalki zniknęły — Eloise zabrała je z pokoju i cisnęła do pojemnika na śmieci, wyczerpana, lecz w pewnej mierze uspokojona. Wściekłość na Johna zaczynała słabnąć. Nakarmiła tkwiącego w swej duszy potwora, który pożarł Gabriellę, zgryzł ją i wypluł nie strawione resztki. Włosy dziewczynki były sklezione krwią, sińce — gorsze niż wszystkie dotychczasowe. I po raz pierwszy Eloise połamała córce kości. Gabriella nie wątpiła, że nie ostatni. Leżała w łóżku, nie płacząc nawet, bo płacz sprawiał jej zbyt wielki ból; zamiast tego zziębnięta do szpiku kości, drżała na całym ciele jak liść osiki. Miała spuchnięte wargi i obrzmiałą głowę, najgorszy jednak był ten przeszywający od środka ból, który pojawiał się, ilekroć usiłowała zaczerpnąć powietrza. Pomyślała, że może umrzeć tej nocy... miała nadzieję, że umrze. Nie chciała już żyć. Zabito jej lalczkę. Wiedziała, że pewnego dnia i ją spotka taki los z rąk matki. To tylko kwestia czasu. Eloise, zbyt strudzona, żeby się rozebrać, spała w swej atlasowej sukni. Gabriella, czekając na przybycie anioła śmierci — we własnej krwi. Usiłowała przypomnieć sobie Mariannę, spędzone z nią cudowne chwile, ale po prostu nie mogła. Doznawała zbyt wielkich cierpień, zbyt mocno nienawidziła swoją matkę. Nienawiść przytłoczyła wszystkie inne uczucia. Niemal czyniła znośnym straszliwy ból.

John natomiast spał w ramionach zaprzyjaźnionej włoskiej prostytutki z Lower East Side. Ani Eloise, ani Gabriella nie miały pojęcia, gdzie się podziewa, i dla jednej zresztą, i dla drugiej nie miało to znaczenia. Eloise żywiła nadzieję, że diabli go wzięli; Gabriella pojmowała, że gdziekolwiek jest — nie potrafi jej pomóc. Została na świecie zupełnie sama, bez obrońców, przyjaciół, nawet bez swojej lalki. Nie ma już nic.

W końcu, zbyt obolała, żeby się ruszyć, zrobiła siusiu do łóżka, mając całkowitą pewność, że nazajutrz matka ją za to zabije. Ta myśl nie wydawała się przerażająca, wręcz przeciwnie — była przyjemna i kusząca. Gabriella zadawała sobie pytanie, jaka będzie ta śmierć — jeszcze bardziej bolesna niż wszystkie jej poprzednie doświadczenia, a może całkiem pozbawiona cierpień... I tak, wyczekując z nadzieją chwili, która zakończy jej krótkie życie, osunęła się w atramentowe ciemności.

ROZDZIAŁ 3

Nazajutrz po przyjęciu, około ósmej rano, drzwi kamieniczki przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy zamknęły się cicho, a John Harrison bezszelestnie wszedł po schodach. Przystanął na chwilę przed drzwiami Gabrielli, sądząc, że córka już zapewne nie śpi, kiedy jednak zajrzał do pokoju,

spozrzegł, iż z zamkniętymi oczyma leży nieruchomo na pościeli, co było dość niezwykle i co uznał za dobry znak. Nie ukrywała się dzisiaj, najprawdopodobniej zatem uniknęła wczoraj prześladowań matki. Zapewne po jego wyjściu Eloise była zbyt zmęczona i podpita, aby tracić czas na Gabriellę. Przynajmniej raz dziecko nie zebrało cięgów za winy ojca.

Tak przynajmniej myślał, kiedy szedł korytarzem w stronę sypialni.

Eloise, w sukni i brylantowej kolii, ale bez kolczyków, które poniewierały się w stłamszonej pościeli, spała tak mocno, że nawet nie drgnęła, gdy wślizgnął się do łóżka. Znał żonę dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, iż po przebudzeniu raczej nie skomentuje jego wczorajszej pospiesznej rejterady. Rzadko to czyniła. Będzie więc oziębła, nieprzystępna przez dzień czy dwa, ani słowem jednak nie odwoła się do zakończonej już kłótni. Swą złość będzie manifestować wrogim milczeniem.

Zgodnie z przewidywaniami Johna obudziła się około dziesiątej, przeciągnęła leniwie i obdarzyła go spojrzeniem, które w najmniejszym stopniu nie wyrażało zaskoczenia.

Znała adresy, pod które mógł się udać minionej nocy, nie miała jednak zamiaru ustalać, który wybrał. Bez słowa wstała

z łóżka, położyła biżuterię na toalecie i powoli poszła do łazienki. Pamiętała wszystko, co wydarzyło się ubiegłego wieczoru, zwłaszcza po wyjściu Johna, skoro jednak były to rzeczy najzupełniej normalne, doszła do wniosku, że nie warto strzepić sobie na nie języka.

Po kąpieli zeszła na dół, aby przygotować śniadanie. Gospościa do późnej nocy pomagała wczoraj ludziom z firmy dostawczej i dziś, w niedzielę, wzięła sobie wolne. Była spokojną dyskretną kobietą, pracowała u Harrisonów od wielu lat, nie lubiła Eloise, choć była wobec niej uprzejma. Eloise zaś darzyła ją sympatią, ponieważ nie usiłowała wtrącać się w nie swoje sprawy. Innymi słowy: nie aprobując tego wszystkiego, co Eloise wyprawia z Gabriellą, powściągliwie milczała.

Eloise zaparzyła kawę i usiadła przy stole z niedzielnym wydaniem gazety. Czytała i popijała aromatyczny napój z francuskiej porcelanowej filiżanki, kiedy John zszedł na dół i zapytał o córkę. — Gdzie Gabriella? Ciągle śpi?

— Zasiedziała się wczoraj — odparła Eloise lodowatym tonem, nie podnosząc wzroku znad gazety.

— Sądzisz, że powinienem ją obudzić?

Eloise wzruszyła ramionami. John nalał sobie kawy, wziął — ignorowaną zwykle przez żonę — część „Timesa” poświęconą finansom i studiował ją pracowicie przez pół godziny. Dopiero wtedy poruszył ponownie kwestię nieobecności córki.

— Myślisz, że jest chora? — zapytał.

Powinien z góry znać odpowiedź, zdawać sobie sprawę, co spotyka Gabriellę po każdej jego kłótni z Eloise. Wolał jednak o tym nie myśleć.

Dochodziła jedenasta, kiedy postanowił w końcu pójść na górę.

Gabriella ścieliła łóżko, poruszając się z nienaturalną sztywnością kogoś, kogo dręczy ogromny wszechobejmujący ból. Udał, że tego nie dostrzega.

— Dobrze się czujesz, kotku? — zapytał. Skinęła głową, ale jej opuchnięte oczy zdawały się pękać od nie wylanych łez. Wciąż rozmyślała o Meredith i czuła się tak,

jakby tej nocy ktoś umarł. Bo rzeczywiście umarł — nie tylko laleczka, lecz również ona sama. Ta najokropniejsza, jak dotąd, wymierzona przez matkę kara rozwiała resztki nadziei Gabrielli, że zdoła w tym domu ocalić życie. Teraz nie było już na co liczyć: matka zabije ją wcześniej czy później, to tylko kwestia czasu. Nie miała żadnych złudzeń i marzeń — tylko straszny ból w żebrach i wspomnienie lalki, z niszczycielską pasją rozbijanej o ścianę. Zapewne, myślała Gabriella, i z nią samą matka miałaby ochotę postąpić w taki sposób, ale na razie nie ma odwagi.

— Pomóc ci w ścieleniu? — zapytał John, ale Gabriella przecząco pokręciła głową. Gdyby przyjęła ofertę pomocy i dowiedziała się o tym matka, padłoby oskarżenie, że próbuje wzbudzić litość ojca, manipuluje nim i usiłuje obrócić przeciwko żonie. — Nie chcesz zejść na śniadanie?

Nie chciała; nie chciała widzieć matki, nie odczuwała już

— i może nigdy nie miała odczuwać — głodu. Każdy ruch powodował tak przeszywający spazm bólu, jakby wbijano jej w bok, a potem skręcano długi nóż. Gabriella nie umiała sobie wyobrazić, że schodzi na dół i siada obok matki. A co dopiero mówić o jedzeniu.

— Dziękuję, tatusiu, nie jestem głodna.

Jej wielkie oczy były smutniejsze niż zwykle i John tłumaczył to zmęczeniem córki. Udawał, że nie dostrzega niezgrabności jej ruchów, kosmyka włosów zlepionych krwią, wciąż napuchniętej wargi. Oszukiwał sam siebie — jak zawsze.

— Chodź, usmażę ci naleśniki — zaproponował. Można było odnieść wrażenie, że chce wynagrodzić jakoś cierpienia Gabrielli, że — wbrew stwarzanym przez siebie pozorom — wie, co ją spotkało. Ale nie chciał wiedzieć, bo gdyby na taką wiedzę sobie pozwolił, ogarnęłoby go zbyt wielkie poczucie winy.

Dopiero teraz zauważył, że Gabriella na sukienkę nałożyła sweter, co zwykle stanowiło nieomylny znak, iż ma mocno posiniaczone ramiona. Mimo swoich siedmiu zaledwie lat życia Gabriella wiedziała, że nie należy irytować rodziców, w szczególności matki, widocznymi oznakami jej „niegrzeczności”. Nikt nigdy nie pytał, dlaczego w ciepłe dni, czasem nawet na plaży, nosi sweter, bluzkę z długimi rękawami czy wręcz szal. Przez całą trójkę rzecz była na mocy milczącego porozumienia uważana za coś naturalnego.

John Harrison rozejrzał się po pokoju, a nie widząc nigdzie nieodłącznej towarzyszki Gabrielli, zapytał:

— Gdzie Meredith?

Gabriella opuściła wzrok i wciąż mając w uszach trzask rozbijanej o ścianę główki — była pewna, że nigdy go nie zapomni i nigdy nie wybaczy — odparła cichutko:

— Odeszła.

— Co to znaczy? — spytał, lecz natychmiast ugryzł się w język, postanawiając nie drążyć sprawy.

— Chodź na dół i coś zjedz, kotku. Do mszy mamy jeszcze godzinę, dość czasu na śniadanie.

A potem pospiesznie zszedł na dół, doznając ulgi, że nie ma już przed sobą przepelnionych bezbrzeżnym cierpieniem i smutkiem oczu córki. Był pewien, że coś się stało pod jego nieobecność, ale nie chciał znać żadnych szczegółów. Ten dzień był taki sam jak każdy inny. John Harrison widział tylko wtedy, kiedy nie miał innego wyjścia, ale i wówczas pozostawał jedynie beczynnym gapiem.

Gabriella powoli, krok po kroku, zeszła na dół, kurczowo trzymając się balustrady i ciężko łapiąc powietrze. Czuła się tak, jakby połamano jej nie dwa, lecz wszystkie żebra; gdy wreszcie dotarła do jadalni i cichutko usiadła przy stole, z bólu zrobiło jej się niedobrze. Zdążyła tego ranka przesłać łóżko, a starą pościel — której fragmenty starannie wyszorowała — włożyć do kosza na brudy.

Miała rozpaczliwą nadzieję, że matka nie dowie się o jej wczorajszym „przypadku”.

— Spóźniłaś się — powiedziała Eloise, nie podnosząc wzroku znad gazety.

— Przepraszam, mamusiu — wyszeptowała Gabriella. Każde słowo przyprawiało ją o nieznośny ból, wiedziała jednak, co nastąpi, jeśli będzie ociążać się z odpowiedzią.

— Jeśli jesteś głodna, nalej sobie mleka i zrób grzanekę. Gabriella nie chciała wstawać, bo wiązałoby się to ze zbyt wielkim cierpieniem; na szczęście, nie odzywając się ani słowem, wyręczył ją ojciec. Eloise podniosła głowę, kiedy to spostrzegła.

— Dlaczego bez przerwy ją rozpieszczasz? — zapytała z irytacją, która nie miała nic wspólnego ze śniadaniem Gabrielli.

— Jest niedziela — odparł ni w pięć, ni w dziewięć.

— Nalać ci jeszcze kawy?

— Nie, dziękuję — mruknęła. — Za minutkę muszę się ubierać do kościoła. — Gniewnie popatrzyła na Gabriellę.

— Ty też.

Dziewczynce na myśl o męce przebierania chciało się płakać.

— Nałóż tę różową sukienkę i jakiś pasujący do niej sweterek — ciągnęła Eloise. — Aż do wyjścia siedź w pokoju i nie usmol się od stóp do głów, jak to masz we zwyczaju.

Gabriella w milczeniu skinęła głową i chwilę później, nic nie jedząc, wstała od stołu. Wiedziała, że dziś przygotowania zajmą jej więcej czasu niż zwykle. Ojciec patrzył na nią bez słowa.

Powoli, z trudem, weszła po schodach, dotarła do pokoju i wyjęła z szafy sukienkę. To było najłatwiejsze; gorzej poszło z przebieraniem, które zajęło jej niemal całą godzinę. Krzywiła twarz z

bólu, płakała nieustannie — zwłaszcza przy wkładaniu sweterka, będącym największym koszmarem tego straszego poranka. Zdażyła jednak na czas, a kiedy ubrana dokładnie wedle wskazówek matki — różową sukienkę i sweter uzupełniały skórzane pantofelki i krótkie białe skarpetki — schodziła na dół, znów wyglądała jak aniołek.

— Boże, czym ty się czesałaś! — wykrzyknęła na jej widok matka. — Nożem i widelcem?

Gabriella nie była w stanie trzymać rąk w górze dostatecznie długo, by się uczesać, i żywiła naiwną nadzieję, iż matka nie dostrzeże, że jest rozczochrana.

— Zapomniałam — wyznała szeptem, a Eloise nie mogła jej zarzucić, że kłamie.

— Wracaj na górę, uczesz się i zawiąż tę różową kokardę

— poleciła matka.

Oczy Gabrielli wypełniły się łzami, ale i tym razem w sukurs pospieszył jej ojciec. Wyjął z kieszeni grzebyk, raz i drugi przeczesał włosy córki, tak że loki koloru blond przybrały znośny wygląd. John Harrison udał, że nie widzi zaschniętej na włosach krwi.

— Nie potrzebuje kokardy — powiedział do żony, wynagrodzony pełnym wdzięczności spojrzeniem Gabrielli.

Rodzice Gabrielli prezentowali się tego dnia niezwykle szykownie: John, w ciemnym garniturze, białej koszuli i niebiesko-czerwonym krawacie, był przystojniejszy niż zwykle, Eloise zaś — która nosiła szary kostium z futerkowym obszyciem kołnierza, elegancki kapelusik z woalką, nieskazitelnie białe skórkowe rękawiczki, czarne zamszowe szpilki i również czarną torebkę z krokodylej skóry — wyglądała po prostu jak modelka.

Gdyby nie ta złość w twarzy, pomyślała Gabriella.

Ale tym razem Eloise uznała, że nie ma sensu kłócić się z Johnem o jakąś kokardę. Gra nie była warta świeczki.

Niewiele brakowało, aby spóźnili się na mszę, dojechali jednak taksówką w ostatniej chwili i zajęli miejsca w ławce. Gabriella, którą rodzice usadowili pomiędzy sobą, wiedziała, co to oznacza.

Ilekcio drgnęła, choćby o milimetr przesunęła się w którąkolwiek stronę, matka bolesnym uszczypnięciem w nogę lub ramię przywoływała ją do porządku.

Tym jednak razem nie miała wielu okazji do wymierzania kar, Gabriella bowiem nie była w stanie się poruszać i tylko odrętwiała z bólu ciężko łapała powietrze. Kiedy więc Eloise otwierała oczy — a przez większą część mszy, jak człowiek pograżony w głębokiej modlitwie, miała je zamknięte — widziała zupełnie nieruchomą sylwetkę córki.

Po nabożeństwie Harrisonowie wyszli przed kościół i dłuższy czas krążyli w ludzkiej gęstwinie, witając się ze znajomymi albo wdając się z nimi w pogawędkę. Kilka osób skomplementowało urodę Gabrielli, ale matka konsekwentnie ignorowała te pochwały. Co gorsza jednak, podczas każdego spotkania — obojętne: powitania czy prezentacji — dziewczynka musiała uścisnąć czyjąś dłoń i wdzięcznie dygnąć, a biorąc pod uwagę jej dzisiejszy stan, nie było to proste ani przyjemne.

Znając

wszakże swoje powinności i kary za ich zaniedbanie, Gabriella pracowicie dygała i podawała rączkę.

— Cóż za idealne dziecko! — stwierdził ktoś z uznaniem. John pokiwał głową, Eloise zaś udała, że nie słyszy. Doskonałość była tym, czego oczekiwała od córki i co Gabriella za wszelką cenę, a tej niedzieli była to cena wyjątkowo wysoka, usiłowała osiągnąć.

Minęło pewnie parę godzin, zanim sprzed kościoła przenieśli się na lunch do „Plaža”, gdzie przy wtórze muzyki kelnerzy roznosili na srebrnych tacach smakowite kanapki. John zamówił dla Gabrielli czekoladę na gorąco i oczy dziewczynki nieomal wyszły z orbit, kiedy okazało się, że zaserwowano dla niej całą miseczkę zachwycającej bitej śmietany.

Eloise jednak zdażyła wyciągnąć rękę i odstawić smakołyk na przeciwległy koniec stolika.

— Nie będziesz tego jeść, Gabriello. To niezdrowe. Nie znam niczego bardziej odpychającego niż opasłe dzieci — oświadczyła.

A przecież dla wszystkich było najzupełniej oczywiste, że otyłość w żadnym razie nie jest tym, co mogłoby Gabrielli grozić. Wyglądała raczej jak owe głodujące dzieci z Węgier, o których słyszała

tak wiele, kiedy nie dojadła do końca swojej kolacji. Nie oponowała jednak, wiedząc, iż z całą pewnością nie zasłużyła na przysmak, skoro wczoraj wieczorem tak bardzo zdenerwowała matkę. Nie rozumiała wprawdzie natury swoich wykroczeń, ale pojmowała, iż musiały być, sądząc po wymierzonej za nie karze, straszne.

W „Plaża” przesiadli do późnego popołudnia, gwarząc ze znajomymi i przyglądając się nieznajomym. W zwykłych okolicznościach byłyby to dla Gabrielli przyjemnie spędzone godziny, dziś jednak była zbyt cierpiąca, aby się nimi delectować. Z ulgą zatem przyjęła hasło powrotu do domu. Ojciec wyszedł na zewnątrz, żeby złapać taksówkę, Gabriella zaś wolniutko sunęła przez foyer w ślad za matką, która budząc powszechne zainteresowanie kroczyła z dumnie podniesioną głową. Dziewczynka daremnie zadawała sobie pytanie, dlaczego ktoś tak piękny nie może jednocześnie być dobry. Była

to jedna z owych niezgłębionych tajemnic życia. Pogrążona w rozmyśleniach, potknęła się w pewnej chwili i lekko, leciutko, nastąpiła na pantofelek matki. Eloise stanęła jak wryta, patrząc na córkę z wściekłością i wzdrganiem.

— Wyczyść! — warknęła półgłosem, pokazując swój bucik gestem władczym i złowróbnym.

— Przepraszam, mamusiu — wyjąkała Gabriella, której oczy przypominały dwa bezdenne jeziora ubolewania i smutku.

— Zrób coś! — rozległo się następne warknięcie.

Gabriella nie miała jednak niczego, czym mogłaby wyczyścić pantofelek: ani chusteczki do nosa, ani nawet kawałka serwetki. Przez chwilę ważyła myśl, czy by nie zrobić tego ręką sukienki lub rękawem sweterka... ale to wprawdoby matkę w jeszcze większą złość. Zaczęła więc pracowicie trzeć swoimi kruchymi paluszkami, osiągając po pewnym czasie efekt, który wydawał się zadowalający.

Eloise była jednak innego zdania, wobec czego Gabriella jeszcze raz przyklękła na chodniku przed hotelem i wzięła się do pracy.

— Niech mi się to więcej nie powtórzy! — mruknęła wreszcie Eloise. — Rozumiesz?

Gabriella w milczeniu zanosila dziękczynne modły, że zdołała jakoś usunąć plamkę. Gdyby tego nie dokonała, czekałoby ją następne bicie. Zresztą, kto wie, może jeszcze czeka.

Nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca.

Kiedy wracali taksówką do domu, Gabriella była ledwie żywa, blada jak śmierć i krzyżując ręce na piersiach, starała się ukryć przed matką, że dygoczą jak gałązki osiki. Z jakiegoś powodu jednak Eloise dopisywał dobry humor; wprawdzie na córkę wciąż spoglądała ze złością, ale była zaskakująco miła wobec męża. Nie zamierzała, rzecz jasna, przeproszać Johna, to on bowiem był, w jej przekonaniu, winny wczorajszej awantury. Jak zawsze.

Natychmiast po powrocie odesłała Gabriellę do jej pokoju, jako że nie znosiła, kiedy wstrętny bachor pałęta się po domu. Powinien siedzieć u siebie i nie prowokować kłopotów.

Tym razem Gabriella nie marzyła o niczym innym: nie potrafiłaby nic z siebie wykrzesać, nawet gdyby tego od niej zażądano. Ale kiedy tak siedziała na krześle, wróciły myśli o Meredith, za którą tęskniła bezgranicznie. O Meredith, jej jedynej przyjaciółce, powiernicy, duchowej siostrze. Straciła ją i teraz nie ma nikogo.

Wtedy za drzwiami swego pokoju usłyszała śmiech i stwierdziła ze zdumieniem, że śmieją się jej rodzice. Eloise — która w ogóle śmiała się rzadko — wręcz po dziewczęcemu. Potem głosy odpłynęły i rozległo się ciężkie trzaśnięcie drzwi. Gabriella nie miała pojęcia, co się dzieje. Czyżby znów wszczęli kłótnię? Ale nic na to nie wskazywało — ich chichot był beztroski i szczęśliwy.

Długo czekała, aż wyjdą, przecież zbliżał się czas kolacji.

Kiedy wreszcie nadszedł wieczór, a rodzice wciąż się nie pokazywali, Gabriella pojęła, że nic nie może zrobić. Zwłaszcza zapukać do drzwi albo zapytać przez nie, dlaczego nie dają jej kolacji.

Dlaczego zostawili ją samą sobie.

Nie pokazali się w ogóle tego dnia. Osiągnęli widać chwilowe zawieszenie broni i cieszyli się jego dobrodziejstwami w spokojnym zaciszu sypialni. Eloise — co zdarzało się nieczęsto — wybaczyła mężowi jego wyczyn z poprzedniej nocy, John ze swojej strony dał się uwieść wdziękom Eloise, zmanifestowanym tego dnia w „Plaża” i zapomniał w kamień, jak bardzo brzydzi się tą kobietą.

Tak czy inaczej, oboje byli wobec siebie nastawieni nad wyraz pozytywnie. Wobec siebie, lecz nie wobec córki. John uznał, że należy delektować się krótkimi chwilami spokoju, Eloise — że szkoda każdej chwili w łóżku, aby dawać kolację Gabrielli.

Gabriella mogła zejść na dół; wiedziała, że w kuchni jest sporo pozostałości z przyjęcia. Ale wiedziała również, co ją spotka, jeśli odważy się je tknąć. Najlepiej było czekać u siebie. Przecież wreszcie będą musieli skończyć tę rozmowę za zamkniętymi drzwiami. Patrzyła więc, jak wskazówki budzika mijają szóstą, siódmą, ósmą, a wreszcie dziewiątą; kiedy oznajmiły dziesiątą, pojęła, że o niej zapomniano, poszła więc spać, wdzięczna losowi za to, że dzień nie zakończył się czymś strasznym. To zresztą wciąż było możliwe — jeśli ojciec rozżłości matkę albo, sprowokowany przez nią, gwałtownie wyjdzie z domu.

Wszystko było możliwe, a cenę za słabości bądź występki rodziców zawsze płaciła Gabriella.

Tym jednak razem nic się nie stało. Ojciec nigdzie nie poszedł, para kochanków pozostała w swoim pokoju i Gabriella, z pustym żołądkiem, zapadła wreszcie w sen.

ROZDZIAŁ 4

W wieku dziewięciu lat Gabriella zaczęła szukać ucieczki w świecie, który choć na krótko dawał schronienie przed okrucieństwem i obojętnością rodziców: pisywała wiersze, opowiadania, listy do wyimaginowanych przyjaciół. Pisywała o szczęśliwych ludziach żyjących w beztrudnej krainie, gdzie przydarzają się cudowne rzeczy. Ani razu nie wspomniała o matce i okrucieństwach, których ta dopuszcza się wobec niej pod wpływem chwilowych nastrojów. Pisanie stało się ratunkiem, sposobem na przetrwanie, drzwiami pozwalającymi umknąć z klatki złotej na pozór, lecz w istocie żelaznej i ciasnej. Gabriella wiedziała już, że ani porządny adres, ani dobre pochodzenie rodziców, ani wreszcie wysokie dochody ojca nie gwarantują jej bezpieczeństwa przed okropną rzeczywistością, jaka innym ludziom mogła się jawić tylko w koszmarnych snach. Elegancja matki, jej kreacje i klejnoty były jedynie fałszywą otoczką skrywającą przerażającą treść. Nie znaczyły nic. Hierarchię ważności spraw Gabriella pojęła wcześniej i lepiej niż ktokolwiek inny; najistotniejsza była dla niej miłość — o miłości marzyła, myślała i pisała. O miłości, która w życiu nie była jej dana.

Znajomi ciągle komentowali jej urodę, nienaganne zachowanie, powściągliwość. Mówili o jej pięknych włosach i ogromnych oczach. Nauczyciele nie mogli się jej nachwalić, chociaż ubolewali, że tak rzadko zgłasza się do odpowiedzi z własnej inicjatywy. Niemniej pod względem wyników w nauce biła na głowę większość innych dzieci w swoim wieku.

Czytała bez przerwy, bo książki — tak samo jak pisanie — przenosiły ją w świat odległy o wiele lat świetlnych od rzeczywistego. Matka nie potrzebowała wiele czasu, by stwierdzić, co córce sprawia przyjemność i w jaki sposób można jej zadać cierpienie, zabierała więc Gabrielli książki, zeszyty i ołówki. W takich wypadkach Gabriella pograżała się we własnych myślach. Była wówczas bezpieczna przed rodzicami, którzy jednak nie mieli o tym pojęcia. Gabriella zaczynała pojmować instynktownie, że ocaleje.

Eloise często zlecała jej prace w kuchni — mycie, szorowanie, polerowanie sreber — argumentując, iż córka jest rozpuszczona jak dziadowski bicz i że musi dowieść jakoś swej użyteczności w domu. Oprócz tego Gabriella prała swoje rzeczy, zmieniała pościel, sprzątała pokój i ubierała się bez niczyjej pomocy. W przeciwieństwie do większości rówieśników, których zasypywano zabawkami i którym pozwalano bawić się bez ograniczeń na dworze albo we własnych pokojach, nie miała praktycznie wolnej chwili. Toczyła nieustanną walkę o byt, a reguły tej walki, w miarę jak rosła, zmieniały się czasem z dnia na dzień. Sztuka polegała na tym, żeby bezbłędnie rozszyfrowywać groźby matki, prawidłowo odgadywać nastroje i pod żadnym pozorem nie irytować jej.

Eloise wciąż biła ją nader często, choć liczba bezkarnych godzin zwiększała się wraz z liczbą lekcji. Z drugiej jednak strony występki, które zarzucała jej teraz matka, były znacznie cięższego kalibru; zapomniała o odrobieniu pracy domowej, gubiła sztuki odzieży, podczas mycia tłukła talerze. Nie usiłowała się już tłumaczyć i zaciskając zęby, pokornie przyjmowała karę. Z ukrywania sińców przed nauczycielami i kolegami uczyniła sztukę; zresztą była odludkiem, pozaszkolna bowiem

znajomość z innymi dziećmi praktycznie nie wchodziła w grę. Jeden bachor roznoszący dom na strzepy był, w opinii Eloise, wystarczającym dopustem Bożym. Drugi lub trzeci byłby nie do zniesienia.

Tylko dwukrotnie podczas trzech lat nauki nauczyciele zauważyli, że z Gabriella coś nie jest w porządku. Po raz pierwszy na przerwie, gdy podczas zabawy ze skakanką trzepoczący fartuszek odsłonił fatalnie posiniaczone uda.

Gabriella oświadczyła, że spadła z roweru, a następnie, z należytą wdzięcznością, wysłuchała słów współczucia. Drugi wypadek miał miejsce na początku roku szkolnego; Gabriella przysła wtedy na uroczystość z pokancerowanymi ramionami i wykręconą dłonią, chociaż jej twarz — jak zwykle — była nietknięta. Patrząc niewinnie swymi wielkimi oczyma dziewczynka wyjaśniła, że podczas weekendu niefortunnie spadła z konia. Została aż do pełnego wyzdrowienia zwolniona z obowiązku odrabiania lekcji, niemniej jednak pracowicie je odrabiała, w przeciwnym bowiem razie musiałaby tłumaczyć się przed matką, dlatego po powrocie do domu siedzi beczynnienie.

Ojciec jak zawsze trwał na uboczu, a zresztą ostatnio spędzał w domu coraz mniej czasu. Sporo podróżował w interesach, ale też — jak wyczuwała Gabriella — jego stosunki z matką pogorszyły się. Przez sześć minionych miesięcy rodzice mieli osobne sypialnie, a podczas bytności ojca matka była bardziej poirytowana niż zwykle.

Eloise często teraz wychodziła wieczorami do miasta — stroiła się, zamykała Gabriellę i znikła. Gabriella nie miała pewności, czy ojciec o tym wie, bo kiedy przyjeżdżał, matka siedziała w domu. Ale atmosfera pomiędzy nimi była fatalna. Eloise czyniła na temat męża wiele niegrzecznych uwag i nie wahała się znieważać go w obecności córki. Jej uwagi na ogół dotyczyły innych kobiet, które nazywała dziwkami albo kurewkami; bez przerwy mówiła też o „szlajaniu” — Gabriella wielokrotnie słyszała to określenie, ale nie bardzo je rozumiała, zapytać zaś, co znaczy, oczywiście nie miała odwagi. Ojciec w milczeniu przyjmował gadaninę żony, lecz w ostatnim czasie wiele pił, pijany zaś — wybiegał z domu. Wtedy rzecz jasna Eloise obracała swój gniew przeciwko córce. Gabriella wciąż sypiała zwinięta w kłębek w nogach łóżka, wynikało to jednak raczej z przyzwyczajenia, niżli nadziei, że skutecznie zdoła skryć się przed matką. Eloise zawsze wiedziała, gdzie ją znaleźć. Gabriella nie marnowała czasu na zabawę w chowanego i świadoma, że jedyna jej misja polega na tym, żeby przetrwać — z pokorą i odwagą przyjmowała swój los. Nieustannie przekonywana przez matkę wiedziała również, iż to ona właśnie spowodowała rozłam pomiędzy rodzicami. Akceptowała to, nie mając innego wyjścia.

Pod koniec tego roku ojciec praktycznie nie mieszkał w domu: pojawiał się z rzadka, a ilekroć to czynił, Eloise wpadała w niepohamowaną wściekłość. Za każdym razem — jeśli to możliwe — większą. Poza tym anonimowa dotąd „kurewka” albo „ta dziwka, z którą się szlajasz” zyskała wreszcie imię, które brzmiało Barbara. Gabriella nie miała pojęcia, o kogo chodzi, bowiem w gronie znajomych jej rodziców nie było żadnej Barbary.

Ignorując Eloise, John przestał się nawet odzywać do Gabrielli; był pijany podczas każdej bytności w domu i nie ukrywał tego przed córką.

Cały pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Eloise przesiedziała w pokoju, John zaś, który zniknął już wczoraj, pojawił się dopiero pod wieczór. Nie mieli tego roku choinki, lampek czy ozdób, nie było żadnych prezentów, a kolację świąteczną zastąpiła Gabrielli kanapka z szynką. Dziewczynka zastanawiała się, czy nie przygotować również czegoś dla matki, wołała jednak nie zwracać na siebie uwagi pukaniem do drzwi.

Kiedy ojciec wrócił wieczorem, awantura nie ograniczyła się do sypialni matki. Rodzice biegali za sobą po całym domu, krzyczeli, rzucali w siebie, czym popadło i przewracali sprzęty. John wrzeszczał, że dłużej nie zdoła tego znieść, Eloise — że zabije ich oboje. Spoliczkowała męża, a on, po raz pierwszy w życiu, oddał uderzenie. Gabriella wiedziała już, że obojętne jakim wynikiem zakończy się kłótnia, to ona zapłaci za nią najwyższą cenę. Po raz pierwszy od bardzo dawna zapragnęła znaleźć kryjówkę, w której byłaby bezpieczna, albo mieć kogoś, kogo mogłaby poprosić o obronę. Nie mając, jak zawsze w swym niepewnym życiu, ani jednego, ani drugiego, mogła tylko czekać.

W końcu ojciec wyszedł z domu, a Eloise natychmiast odszukała Gabriellę i zgodnie z przewidywaniami spadła na nią jak wielki, czarny, rozwścieczony ptak. Miała rozwiane włosy i silne, niestrudzone pięści. Biła gdzie popadło

— w ucho, głowę, korpus... Chwyliła świecznik i wymierzyła nim bolesny cios w nogę córki. Po szoku i bólu pierwszych uderzeń, reszta rozmyła się we mgle. Nigdy dotąd Eloise nie była tak rozwścieczona, a Gabriella wyczuła bez trudu, że każdy nieopatrny gest z jej strony, każde słowo może kosztować ją życie.

Nie próbowała zatem nawet osłaniać się przed ciosami, a kiedy burza wreszcie ucichła i matka wyszła z pokoju, zostawiając Gabrielę leżącą na podłodze, dziewczynka nie była w stanie wczłogać się do łóżka. Leżała, dryfując pomiędzy przytomnością i mrokiem, zdumiona, że tym razem nic ją nie boli, że nic nie czuje. Chwilami widziała wokół siebie coś na kształt świetlistej aureoli, w pewnym momencie usłyszała głosy, choć nie zdołała zrozumieć, co do niej mówią.

Dopiero rano usłyszała siebie, że ktoś naprawdę do niej mówi, ktoś znajomy... ale nie potrafiła rozpoznać w nim ojca. Nie widziała, jak stanął zaszokowany, jak w jego oczach pojawiły się łzy.

Gabriella leżała w kałuży krwi, miała polepione nią włosy, szkliste niewidzące oczy, okropną ranę w nodze. Ojciec bał się wezwać karetkę, zawinął więc Gabriellę w koc, zniósł ją na dół i przed domem złapał taksówkę.

Po przybyciu do szpitala nie był nawet pewien, czy córka oddycha; położył ją na pustej leżance, przez łzy poprosił o pomoc i wyjaśnił, że Gabriella spadła ze schodów. Nikt nie zakwestionował jego wersji. W otoczeniu pielęgniarek, z maską tlenową na buzi, Gabriella zniknęła w korytarzu, odprowadzana pełnym niedowierzania spojrzeniem ojca.

Siedział oszołomiony wiele godzin i dopiero o czwartej po południu uzyskał zapewnienie, że Gabriella wyżyje. Miała wstrząśnienie mózgu, trzy złamane żebra, pęknięty bębenek i poważny uraz nogi. Pocerowana, oklejona plastrami i zabandażowana, powinna spędzić w szpitalu kilka dni. Zapytano go, ile czasu upłynęło od upadku Gabrielli do chwili, gdy została znaleziona — odparł, że chyba kilka godzin, choć uczciwie przyznał, iż nie ma pojęcia, kiedy nastąpił „upadek”. Przemilczał jednak, że nie było go wtedy w domu.

— Wyliże się — zapewnił go młody lekarz, a pielęgniarki przyrzekły dobrze opiekować się jego córką.

Kiedy zajrzał do izolatki, Gabriella spała, wyszedł więc ze szpitala i wciąż odrętwiały pojechał taksówką do domu. Nie miał pojęcia, co zrobić, jak powstrzymać Eloise, jak zakończyć ten koszmar. Przychodziło mu tylko do głowy, że musi uciec. Jak najszybciej. Przynajmniej Gabriella była teraz w dobrych rękach. Prawdziwy cud, że zdołała ująć z życiem.

Wracał sparaliżowany strachem, ale stwierdził z przemożnym uczuciem ulgi, że Eloise nie ma w domu. Było mu najzupełniej obojętne, gdzie się podziała. Poszedł do biblioteki, nalał sobie solidnego drinka i zaczął rozmyślać, co powie żonie, kiedy ją wreszcie zobaczy. Bo cóż mógł powiedzieć? Nie zasługiwała nawet na miano człowieka, była bydłem, stworzeniem z innego świata, który unicestwiał wszystko na swojej drodze. Pragnął tylko znaleźć się jak najdalej od niej. Zastanawiał się, jakim cudem mógł żywić złudzenia, iż będzie dlań dobrą żoną i dobrą matką jego dzieci. Wolałby ten wieczór spędzić z Barbarą, ale wiedział, że ten jeden raz, może wreszcie ostatni, musi poczekać na Eloise i stawić jej czoło. Musi.

Kiedy wróciła po północy, ubrana w granatową wieczorową suknię, pomyślał, że wygląda jak zła królowa. Królowa Ciemności. Ona zaś omiotła wzgardliwym spojrzeniem rozciągniętą na sofie sylwetkę męża.

— Jakże uroczo, że zechciałaś wpaść, John — oświadczyła lodowato. — Znakomicie wyglądasz. Czym zasłużyłam sobie na ten zaszczyt? Czyżby Barbara wyjechała albo obsługuje dzisiaj jakiegoś innego klienta?

Kiedy machając obszytą koralikami torebką wkroczyła do biblioteki, tylko z najwyższym trudem opanował pokusę, by chlusnąć jej w twarz zawartością swojej szklaneczki albo spoliczkować, rozumiał jednak, że tej nieludzkiej istoty nie zdoła zranić w żaden sposób. Była całkowicie poza jego zasięgiem.

— Czy wiesz, gdzie w tej chwili jest nasza córka, Eloise? — zapytał. Język nieco mu się plątał, ale wreszcie — po wielu, zbyt wielu latach — wiedział dokładnie, co chce powiedzieć. Dlaczego musiało to trwać tak długo? Bez wątpienia odwagi

dodała mu Barbara, a widok Gabrielli jeszcze zwiększył jego determinację.

— Jestem pewna, że mi to powiesz, John. Schowałeś ją gdzieś, a może oddałeś do sierocińca? — zapytała z rozbawieniem.

— Byłabyś zadowolona z takiego rozwiązania, prawda? To znaczy, gdybym oddał ją do sierocińca. Dlaczego właściwie nie wpadliśmy na ten pomysł, kiedy tylko przyszła na świat? Mogliśmy również podrzucić ją przed kościołem. Idealne wyjście z twojego, ale przede wszystkim z jej punktu widzenia.

Łykał łyzy, kiedy to mówił, mając wciąż przed oczyma obraz skatowanej córki. Wiedział, że tego widoku nie zapomni nigdy.

— Daruj sobie te sentymentalne banialuki, John. Czy Gabriella jest w mieszkaniu Barbary? Zamierzasz ją uprowadzić? Bo jeśli tak, to sam rozumiesz, że będę musiała powiadomić policję. Odłożyła torebkę na stolik i z wdziękiem usiadła naprzeciwko męża. Wciąż była piękną kobietą, choć zepsuta do szpiku kości. Nie miała duszy, była bezlitosnym kawałkiem lodu. Obecna partnerka Johna nie dorównywała jej urodą, nie mogła się szczycić takimi parantelami, jak Eloise, lecz miała serce i była zdolna do miłości. Ze względu na Gabriellę John zwlekał przez rok z decyzją o ostatecznym porzuceniu żony, teraz jednak — świadom, iż nie zdoła powstrzymać tego potwora i nie potrafi pomóc córce — mógł tylko ratować własną skórę.

— Gabriella leży w szpitalu — oznajmił złowróźnie. — Była prawie nieprzytomna, kiedy znalazłem ją dzisiejszego ranka.

Dygotał z wściekłości i obawiał się, że zabije Eloise. Nie zasługiwała na nic innego. A jednocześnie jakąś częścią swej duszy wciąż odczuwał przed nią lęk.

— Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat wpadłeś do domu, nieprawdaż? Jakąż wdzięczność jest ci winna Gabriella — odparła Elise zimno.

— Mogła skonać, gdybym się nie zjawił. Ma wstrząs mózgu... połamane żebra... pęknięty bębenek. Sądząc z wyrazu twarzy, Eloise w najmniejszym stopniu nie poruszyły te rewelacje. Z jej punktu widzenia były najzupełniej nieistotne, a zatem nie budziły żadnego poczucia winy.

— Spodziewasz się, że wybuchnę płaczem? Dostała to, na co zasłużyła — oświadczyła Eloise, z olimpijskim spokojem zapalając papierosa.

— Jesteś szalona — wyszeptał ochryple i nerwowo przeczesał palcami włosy. Było gorzej, niż się spodziewał. Okrucieństwo i niesamowite opanowanie Eloise czyniło z niej niebezpiecznego przeciwnika. Pod względem siły charakteru nie mógł się z nią równać.

— Nie jestem szalona, John, ale ty wyglądasz jak szaleniec. Zerknij do lustra, masz twarz wariata

— powiedziała, patrząc nań roześmianymi oczyma. Zbierało mu się na płacz.

— Omal jej nie zabiłaś!

— Ale nie zabiłam, prawda? Choć może powinnam. Zawdzięczamy jej większość naszych problemów. Nie złościłabym się na nią, gdybym tak bardzo cię nie kochała. Wszystko ułożyłoby się dobrze, gdyby nie stanęła pomiędzy nami i gdybyś tak strasznie jej nie rozpuścił.

Było oczywiste, że wierzy we własne słowa, że w jakiejś części swojej chorej duszy całą winę zrzuciła na córkę i rozgrzeszyła się za bezmiar okrucieństw, jakich dopuściła się wobec Gabrielli.

John pojął, iż nie zdoła jej przekonać, że jest chora.

— Ona nie ma nic wspólnego z tym, co między nami zaszło, Eloise. Jesteś potworem, jesteś chorobliwie zazdrosna i nienawidzisz tego dziecka. Wiń mnie, na rany boskie, ale przestań winić ją. Jeśli musisz, skieruj swoją nienawiść przeciwko mnie — nienawiść za to, że cię zawiodłem, że byłem niewierny, że jestem zbyt słaby, aby dać ci wszystko, czego pragniesz... ale błagam... błagam... — zająknął się, a z jego oczu pociekły łzy — ...nie wiń Gabrielli.

— Czyż nie widzisz, co jej zawdzięczamy? Zrobiła ci wodę z mózgu. Kochałeś mnie, zanim przyszła na świat. Kochaliśmy się oboje. A teraz? Tylko popatrz... — Jej oczy również się zaszklily. Po raz pierwszy od wielu lat. — To za jej sprawą.

— To za twoją sprawą — odparł oskarżycielskim tonem, nieporuszony łzami Eloise. — Przestałem

cię kochać już dawno temu, kiedy zobaczyłem, jak bardzo nienawidzisz Gabrielli, jak okrutnie ją traktujesz... i dobry Boże, pewnego dnia ona też znenawidzi nas za to wszystko, czegośmy dopuścili się wobec niej.

— Zasłużyła na każdą karę, jaką jej wymierzyłam — stwierdziła Eloise, wracając do swojej obsesji, którą uważała za głęboką mądrość. — Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Przez nią straciłam wszystko: małżeństwo, naszą miłość...

— Nienawidziłaś ją od chwili, kiedy przyszła na świat. Dlaczego?

— Bo już wtedy wiedziałam, na co się zanosi.

— Musisz z tym skończyć, Eloise, zanim ją zabijesz — powiedział błagalnie. — Musisz przestać, bo resztę życia spędzisz w więzieniu.

— Nie jest tego warta — odparła stanowczo Eloise. Niejednokrotnie zastanawiała się nad podobną możliwością i zawsze, mając na względzie wyłącznie własne dobro, starała się zachować umiar. Ale minionej nocy omal nie przekroczyła granicy.

John, który widział opłakany stan córki, zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż jego żona. Na szczęście w szpitalu nawet nie zasugerowano, że mógł dopuścić się pobicia. Rzecz zresztą niewyobrażalna, biorąc pod uwagę jego dobre maniery, nazwisko i adres w doskonałej dzielnicy.

— Nie zabiję Gabrielli, John — zapewniła Eloise, choć w ustach tej bezdusznej kobiety była to pusta obietnica. — Nie muszę. Zna moje oczekiwania wobec siebie. Wie, co jest dobre, a co złe.

— Ale ty nie wiesz i na tym polega zasadniczy problem.

— Jestem zmęczona — stwierdziła, podnosząc się z krzesła — a poza tym zaczynasz mnie nudzić. Idziesz spać czy wracasz do tej swojej kurewki? I właściwie kiedy zamierzasz z nią skończyć?

Nigdy, przyrzekł sobie solennie. Nawet za tysiąc lat. Pozostanie z Eloise przestało wchodzić w grę. Ale chwilowo musiał być w domu, żeby zapewnić bezpieczeństwo Gabrielli, kiedy wróci ze szpitala. Nie mógł poświęcić jej całego życia, mógł jednak zdobyć się na taki drobny gest. Był to winien córce.

— Za chwilę pójdę na górę — powiedział, nalewając sobie ostatniego drinka. Dziękował Bogu, że mają osobne sypialnie. Lękałby się spać u boku żony, obawiając się, iż zabije go podczas snu.

Wiedział, jak niebezpieczna jest Eloise, przestrzegał nawet przed nią Barbarę. Barbara odpowiadała naiwnie, że się nie boi, ale przecież nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić, jaki potwór drzemie w duszy Eloise Harrison. Nikt nie potrafiłby sobie tego wyobrazić.

Z wyjątkiem Gabrielli i Johna. Oni wiedzieli aż za dobrze.

— Oczywiście śpisz dzisiaj u siebie — powiedziała Eloise, wychodząc z biblioteki.

Patrzył, jak rąbek granatowej sukni wieczorowej niknie za drzwiami i znowu rozmyślał o Gabrielli. Nie miał sił, aby wykrztusić jeszcze choćby jedno słowo.

Gabriella obudziła się, nie mając pojęcia, że jest w szpitalu. Wszystko wokół niej było tak białe, czyste i surowe. Po suficie przepływały cienie, w kącie pokoju jarzyła się niewielka lampka. Spod wykrochmalonego czepka z uśmiechem patrzyła na Gabriellę młoda pielęgniarka. Miała dobre oczy.

— Czy jestem w niebie? — zapytała cicho dziewczynka, myśląc z ogromnym poczuciem ulgi, że naprawdę umarła.

— Nie, Gabriello, w szpitalu Św. Mateusza. Wszystko już dobrze. Twój tata przed chwilą pojechał do domu, ale obiecał, że jutro cię odwiedzi.

Chciała zapytać, czy matka złości się za to, że tu trafiła; chciała zapytać, czy kiedykolwiek będzie musiała wrócić do domu. Bo przecież nawet po wyzdrowieniu mogłaby tu zostać. W głowie kłębiły się jej tysiące pytań, ale nie miała odwagi ich zadać, a zresztą najmniejszy ruch ust sprawiał jej nieznośny ból.

— Próbuj leżeć nieruchomo — powiedziała młoda pielęgniarka, widząc skurcz na twarzy Gabrielli. Dziewczynka musiała ogromnie cierpieć z powodu wstrząśnienia mózgu, a z jej ucha wciąż sączyła się krew. — Twój tata powiada, że

spadłaś ze schodów. Masz ogromne szczęście, że cię znalazł. Zajmiemy się tobą najlepiej, jak można.

Mimo bólu Gabriella z wdzięcznością skinęła głową.

Kiedy spała, popłakując przez sen, rozpoczęła dyżur nowa zmiana pielęgniarek. Starsza wiekiem siostra upewniła się, że organizm Gabrielli funkcjonuje prawidłowo, zmieniła opatrunek na zranionej nodze, a potem przez długą chwilę wpatrywała się w buzię dziewczynki. Dręczyły ją pytania, których nie ośmieliłaby się zadać. Widziała podobne urazy na ciałach dzieci, były to jednak dzieci pochodzące z ubogich rodzin. Wracaly do domu tylko po to, by któregoś dnia pojawić się w szpitalu ponownie. Z tym będzie zapewne tak samo. A może nie, jeśli rodzice solidnie się wystraszyli. Trudno powiedzieć.

Gabriella spała do rana; potem praktycznie przespała dwie najbliższe doby. Ojciec, który odwiedził ją dwukrotnie, tłumaczył personelowi, że matka dziewczynki nie mogła przyjść, ponieważ jest chora. Wyrażano mu współczucie i gratulowano córki, która była niezwykle grzeczna, miła i doskonale wychowana. Nie sprawiała żadnych problemów, o nic nie prosiła, dziękowała za każdy, najdrobniejszy nawet wyraz troski. Z reguły leżała w milczeniu, patrząc tylko na świat swoimi wielkimi oczyma, ale na widok ojca zawsze się uśmiechała.

Przyjechał po nią w Nowy Rok, przywożąc ze sobą ubranie. Opuściła szpital w granatowym paltku, szarej wełnianej sukience, białych podkolanówkach i czerwonych trzewikach; ojciec zapomniał o czapce i rękawiczkach. Była blada i wydawała się strasznie mała. Ciepło podziękowała wszystkim za opiekę, a stojąc już w windzie uśmiechnęła się na pożegnanie i pomachała dłonią. Minionego wieczoru powiedziała wręcz, iż wolałaby nie wracać do domu.

— Pierwszy raz słyszę coś takiego — stwierdziła w odpowiedzi jedna z pielęgniarek, spiesząc do dwójki innych małych pacjentów, jednego poparzonego i drugiego dręczonego astmatycznym kaszlem. Ale Gabriella była ulubienicą pediatrii i wszystkie siostry żałowały, że muszą się z nią rozstać. Sama Gabriella jednak ubolewała znacznie mocniej. Opuszczała bezpieczną przystań, aby wrócić do piekła.

Matka czekała na nią, posępna i oskarżycielska.

— No i cóż, wymusiłaś dostatecznie dobrą opiekę, symulując przed lekarzami i pielęgniarkami? — zapytała, kiedy John poszedł do pokoju Gabrielli, żeby pościelić jej łóżko.

— Przepraszam, mamusiu.

— Jasne, że przepraszasz. Wstrętny płaczący bachor. Odwróciła się na pięcie i zniknęła. Tego wieczoru Gabriella jadła kolację w towarzystwie obojga rodziców, a posiłek — rzecz nietrudna do przewidzenia

— upłynął niemal w całkowitym milczeniu i ciężkiej atmosferze. Ojciec, pogrążony we własnych myślach, zdążył przedtem sporo wypić. Gabriella zaś przypadkiem wylała wodę na stół.

— Twoje maniery przy stole nie poprawiły się w ciągu ubiegłego tygodnia nic a nic — zauważyła zgryźliwie Eloise.

— Karmiono cię tam łyżką czy jak?

Gabriella opuściła wzrok i doszła do wniosku, że lepiej nie odpowiadać. Milczała zresztą przez całą kolację. Kiedy tylko przełknęła ostatni kęs deseru, matka poleciła jej iść do pokoju. Gabriella czuła, iż awantura pomiędzy rodzicami wybuchnie lada chwila, wyszła zatem z ulgą.

Natychmiast położyła się do łóżka, długo nasłuchiwała w ciemnościach podniesionych głosów i nie była zdziwiona, kiedy później dobiegł ją dźwięk zbliżających się kroków. Pewna, że to nadchodzi matka, przygotowała się w duchu na nieuchronne. Tym jednak razem kołdrę ściągnięto z niej powoli. Mimo to stężała i mocno zacisnęła powieki, czekając na pierwszy cios. Długo nie padał. Ktoś na pewno nad Gabriellą stał, ale nie czuła znajomego zapachu perfum, panowała cisza, nic się nie działo. Wreszcie otworzyła oczy, nie mogąc dłużej znieść niepewności.

— Cześć... Spałaś już? — powiedział szeptem ojciec i Gabriella poczuła w jego oddechu odór whisky. — Wpadłem, żeby ci powiedzieć... żeby sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

Zbita z tropu, skinęła głową. Nigdy nie pytał jej o to.

— Gdzie mamusia?

— Śpi.

Przejęta bezbrzeżnym poczuciem ulgi, przeciągle wypuściła powietrze z płuc.

— Po prostu chciałem się z tobą zobaczyć — podjął ojciec. Ostrożnie przysiadł na krawędzi łóżka.

— Przepraszam... w związku ze szpitalem... I w ogóle. Pielęgniarki mówiły, że byłaś bardzo

dzielna.

A przecież sam wiedział najlepiej, jak jest dzielna — znacznie dzielniejsza niż on.

— Były miłe — odparła szeptem. W przenikającym przez okno świetle księżyca widziała twarz ojca dość wyraźnie.

— Jak się czujesz?

— Dobrze... ucho wprawdzie jeszcze mnie boli, ale dobrze...

Od dwóch dni głowa już jej nie dokuczała, plastry na żebrach zaś miała nosić jeszcze przez dwa tygodnie.

— Uważaj na siebie, Gabriello... Bądź zawsze odważna. Pamiętaj, że jesteś silna.

Zastanawiała się, dlaczego o tym wspomniał, co usiłował jej powiedzieć. Dlaczego uważał, że jest silna? Była o sobie innego zdania, sądziła raczej, że jest po prostu niegrzeczna.

On zaś pragnął jej powiedzieć, iż ją kocha, ale nie znajdował słów. A zresztą gdyby naprawdę kochał, nigdy by nie dopuścił, żeby matka skatowała ją tak potwornie. Stał długą chwilę, spoglądając na córkę, potem otulił ją kołdrą i wyszedł bez słowa.

Jeszcze na ułamek sekundy przystanął w progu, spojrzął za siebie, a wreszcie najciszej, jak mógł, zamknął drzwi. Nie chcąc obudzić Eloise stąpił tak cicho, że Gabriella nie była w stanie usłyszeć odgłosu jego oddalających się kroków. Po jakimś czasie, głęboko zagrzebana w pościeli, zapadła w sen.

— Wstawaj, do jasnej cholery! — rozbudził ją nazajutrz wściekły wrzask. Wciąż półprzytomna, zerwała się z łóżka, a gwałtowny ruch sprawił, że natychmiast wrócił ból głowy, ucha, żeber. — Wiedziałaś, kurewko, prawda? Powiedział ci o wszystkim? Powiedział?

Niepomna na stan córki, potrząsała nią za ramiona.

— O czym wiedziałam, mamusiu? Nic nie wiem.

Wyszła z wprawy przez ostatni tydzień i wbrew sobie wybuchła płaczem. Pojmowała, że stało się coś strasznego, ale nie miała pojęcia co. Po raz pierwszy za pamięci Gabrielli Eloise wyglądała na rozgorączkowaną i niechlujną.

— Ależ wiesz, wiesz... Powiedział ci o tym w szpitalu? Tam ci powiedział?

Potrząsała córkę tak mocno, że słowa przychodziły Gabrielli z najwyższym trudem.

— Nic... nic mi nie powiedział... A co się stało z tatusiem?

Poczuła lęk, że spotkało go coś złego, może jakiś wypadek. Zanim zdążyła ponowić pytanie, matka wypluła jej odpowiedź prosto w twarz.

— Odszedł i dobrze o tym wiesz. Z twojej winy... sprawiałaś tak wiele kłopotów, że postanowił nas opuścić. Sądziłaś, że cię kocha? Otóż nie. Porzucił cię, tak samo jak mnie. Ma nas dość... mała dzidro... I to przez ciebie. Przez ciebie! Odszedł, bo jednakowo nienawidzi nas obie! — wrzasnęła, akcentując swoje słowa silnym policzkiem. — Odszedł z twojej winy... i nie ma już nikogo, kto stanąłby w twojej obronie.

Gabriella powoli zaczynała rozumieć. Ojciec je opuścił. To dlatego wczoraj wieczorem przyszedł do jej pokoju... chciał zobaczyć ją po raz ostatni... chciał się z nią pożegnać... a teraz go nie ma... zostało tylko to. Nie kończące się uderzenia, bicie stanowiące treść jej doczesnych dni. Wczoraj powiedział, żeby była dzielna; stwierdził, że jest silna.

Gabrielli zostały tylko te słowa, kiedy czuła na ciele coraz mocniejsze ciosy matki. Za wszelką cenę usiłowała nie płakać, ale zabrakło jej sił. W jej życiu pozostał tylko ten koszmar...

Matka powiedziała, że ojciec jej nienawidzi, co przecież nie mogło być prawdą. Nie mogło?

Przecież nigdy nie stawał w jej obronie, nigdy jej nie pomagał, nie usiłował ocalić. A teraz w dodatku odszedł, obojętne, z jakich powodów.

Gabriella czuła, że do gardła podchodzi jej bezbrzeżny strach.

ROZDZIAŁ 5

Reszta tego roku, w którym Gabriella kończyła dziesięć lat, przypominała kalejdoskop różnych odcieni szarości i czerni, wzorów niestałych wprawdzie, zmiennych, ale zawsze groźnych bądź przerażających.

Ojciec dziewczynki zniknął, jakby zamienił się w obłoczek pary: nie dzwonił, nie pisał, nie składał

wizyt, nie usiłował wytłumaczyć, co się właściwie stało, z jakich powodów postąpił tak a nie inaczej.

Kiedy przyszło pierwsze pismo od jego adwokata, matka wpadła w szaloną wściekłość i, co było do przewidzenia, okropnie skatowała Gabriellę. Powstrzymało ją dopiero wyczerpanie, ale i w następnych dniach nie okazywała córce litości. Winiła ją za wszystko, powtarzała w nieskończoność, że John nienawidzi ich obu z jednakową mocą, że Gabriella nie jest już ojcu potrzebna, ponieważ zamierza poślubić matkę dwóch dziewczynek, które ją doskonale zastąpią. — W niczym nie przypominają ciebie — syczała jadowicie przy każdej okazji. — Są piękne, grzeczne i dobrze wychowane, mają to wszystko, czego tobie brakuje. I twój ojciec je kocha. Pewnego razu zaś, kiedy Gabriella podjęła niemądrą próbę obrony uczuć, które wprawdzie przypisywała ojcu, lecz których w obliczu jego ucieczki nie była już całkiem pewna, Eloise chwyciła szczotkę do kąpieli oraz szare mydło i zaczęła brutalnie szorować usta dziewczynki. Kiedy struzki piany ściekły do gardła, Gabriella zwymiotowała, choć i bez tego gorzki smak rozpacz i osamotnienia przyprawiał ją o mdłości. Powtarzała sobie, że ojciec ją kocha... pragnęła w to uwierzyć. W końcu jednak jej myślami i uczuciami zawładnął kompletny chaos.

Większość czasu spędzała w samotności, czytając albo pisząc opowiadania. Pisywała również listy do ojca, ale porwane na strzępy, lądowały zawsze w koszu na śmieci, ponieważ nie знаła adresu, pod jaki mogłaby je wysłać. Pytanie Eloise nie wchodziło oczywiście w grę. Raz pod nieobecność matki próbowała go znaleźć, lecz poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Zadzwoiła do banku, w którym pracował, i usłyszała, że złożył dymisję i przeprowadził się do Bostonu. Z punktu widzenia Gabrielli, Boston mógł leżeć w odległej galaktyce. Gdy nie odezwał się w dniu jej dziesiątych urodzin, pojęła, że nie ma już ojca.

Czasem, gdy przypominała sobie tę noc, kiedy w jej sypialni rozmawiali ze sobą szeptem przy blasku księżyca, czuła podchodzące do gardła fale paniki. Było tak wiele rzeczy, o których pragnęła mu powiedzieć... może gdyby to uczyniła... gdyby powiedziała, jak bardzo go kocha, nie opuściłyby jej dla dwóch tamtych dziewczynek, o których mówiła matka... dziewczynek lepszych i grzeczniejszych niż ona, dziewczynek zasługujących na miłość. Gdyby bardziej się starała... uzyskiwała w szkole, co zresztą było trudne do pomyślenia, jeszcze lepsze stopnie... gdyby nie trafiała czasem do szpitala... nie budziła w matce tak wielkiej złości na nich oboje... może by nie uciekł.

A może po prostu opowieść o jego odejściu jest jednym wielkim kłamstwem i ojciec umarł? Może miał wypadek, o którym Gabriella nic nie wie? Zaczynała się dusić, kiedy nawiedzały ją takie myśli... Co będzie, jeśli już nigdy go nie zobaczy? Co będzie, jeśli zapomni, jak wygląda?

Czasem przez długie chwile wpatrywała się w jego zdjęcia: te stojące na pianinie i te zawieszony w bibliotece. Eloise raz ją na tym przyłapała, wyszarpnęła więc fotografie ze srebrnych ramek i porwała na tysiące kawałków. Znalazła nawet i zniszczyła wakacyjne zdjęcie Gabrielli i ojca sprzed pięciu lat, stojące w pokoju córki.

— Zapomnij o nim — rozkazała, patrząc z rozbawieniem na dziewczynkę, w której oczach wzbierały łzy. — Myśląc o nim, tylko tracisz czas. Teraz już nie przyjdzie ci z pomocą.

W tej chwili bardziej niż uderzenia matki, bolała Gabriellę świadomość, że już nigdy nie zobaczy ojca, który poza tym — jeśli wierzyć słowom Eloise — wcale jej nie kochał. Zrazu w to wątpiła, później — kiedy wciąż milczał — uznała za prawdę. Choć przecież mógł się odezwać, wystarczyło tylko czekać.

Rok później święta Bożego Narodzenia spędziła w domu samotnie; cały pierwszy dzień świąt matka przebywała u przyjaciół, wieczorem zaś spotkała się z pewnym mężczyzną z Kalifornii. Wysoki, ciemnowłosy i przystojny, wcale nie przypominał Johna. Zabierając Eloise na kolację, raz czy dwa zagadnął do Gabrielli, rychło jednak został przekonany, że nie powinien tego robić. Dziewczynka, wyjaśniała Eloise, jest trudna i to do tego stopnia, że lepiej nie mówić o szczegółach. Z łatwością zrozumiał zatem, iż jeśli chce zdobyć przychylność matki, nie powinien się starać o przyjaźń córki. Należało ją wręcz omijać szerokim łukiem.

Przez dom przewijała się cała parada mężczyzn zabierających Eloise na kolację, ale ten z Kalifornii był najczęstszym gościem. Nazywał się Frank — Franklin Waterford — i wiedziała o nim tylko

tyle, że pochodzi z San Francisco, lecz tę zimę z niepojętych powodów spędza w Nowym Jorku. Często rozprawiał o Kalifornii, upewniając Eloise, że będzie zachwycona, kiedy wreszcie przyjedzie. Po jakimś czasie matka zaczęła napomykać o sześciotygodniowym wypadzie do Reno, chociaż Gabriella nie miała pojęcia, gdzie leży to miasto i dlaczego matka chce do niego jechać. Cała jej wiedza brała się ze strzępków podsłuchanych rozmów, które Eloise i Frank prowadzili wychodząc z domu albo siedząc przy drinku w bibliotece. Gabriellę dręczyła niepewność, co będzie z jej szkołą, kiedy pojedzie z matką do Reno, ale oczywiście nie ośmielała się pytać. Prowadziła więc swe normalne życie, pozbawiona jakichkolwiek nowin i wyjaśnień. Każdego dnia po powrocie ze szkoły przeglądała korespondencję, licząc na list od ojca, nie znalazła go jednak ani razu. Kiedyś matka przyłapała ją na tej czynności i, rzecz jasna, stało się nieuchronne.

Ostatnimi czasy karana była rzadziej i z mniejszą energią, Eloise bowiem, zajęta własnym życiem, straciła nieco entuzjazmu do „wychowywania” Gabrielli. Na ogół ograniczała się do powtarzania córce, że jest beznadziejna. Ojciec zorientował się co do tego najszybciej, nieprawdaż? Więc i ona nie ma zamiaru marnować życia na daremne próby wyprowadzania Gabrielli na ludzi. Szkoda na to czasu i fatygi.

Pozostawiana sama sobie, dziewczynka żyła zatem, jak umiała, a nawet, jeśli znalazła w lodówce coś do jedzenia — co nie zdarzało się zbyt często — sama przyrządzała posiłki.

Ich gospoia, Jeannie, zawsze kończyła służbę punktualnie o piątej po południu, ilekroć zaś dochodziła do wniosku, że może to uczynić bezkarnie, zostawiała na kuchence jakiś rondel dla Gabrielli, pojmując jednak, że jeżeli będzie ją „rozpieszczać”, „robić ceregiele” albo obdarzać zbyt wielkim zainteresowaniem, mała zapłaci za to wysoką cenę. Udawała zatem obojętność i usiłowała nie myśleć, jaki los spotyka dziewczynkę wieczorami, kiedy Eloise może zupełnie bezkarnie brać ją w karby. Jeannie czuła się bezradna, skoro rodzony ojciec dziecka podążył własnymi szlakami, pozostawiając córkę na łasce i niełasce takiej diablidy wcielonej jak Eloise. W końcu to Eloise jest matką Gabrielli. Cóż ona, Jeannie, może w tej sprawie zrobić? Najwyżej zostawić dla małej garnczek zupy albo przyłożyć zimny kompres na jeden z tych sińców, których Gabriella — wedle własnych słów — dorobiła się na boisku szkolnym. Chociaż, jak wynikało z doświadczeń gospoii, tak rozległe i w takich miejscach odniesione kontuzje zdarzały się podczas przerw niezmiernie rzadko. Pewnego razu zaś dostrzegła na plecach Gabrielli odcisk dłoni — równie czerwony i wyrazisty jak świeżo wypalone piętno.

Czasami miała nadzieję, że mała ucieknie z domu, że będzie bezpieczniejsza jako ulicznica niżli podopieczna własnej matki. Tu, w kamieniczce przy Sześćdziesiątej Dziewiątej, mogła liczyć tylko na suchą odzież, dach nad głową i od czasu do czasu kęs strawy. Na nic więcej. Jeannie pojmowała jednak, że jeśli tylko Gabriella zbiegnie, zostanie na powrót sprowadzona przez policję, której nic a nic nie interesują stosunki matki z córką, bez względu na to, jak są przerażające.

Sama Gabriella wiedziała o tym od dawna. Była świadoma, że nie może liczyć na pomoc w świecie dorosłych, którzy nigdy się nie wtrącali, nigdy nie spieszyli na białych koniach w sukurs. Udawali ślepych, zamykali oczy albo odwracali się plecami. Tak właśnie postępował jej ojciec.

Jednakże w miarę jak zima ustępowała miejsca wiosnie, ataki furii Eloise coraz częściej przemieniały się w chłodną obojętność — pod warunkiem wszelako że Gabriella była niema i niewidoczna. Ale nie miała prawa być głucha: dziewczynka ostatnimi czasy zebrała cięgi za to, iż „udaje”, że nie słyszy, co mówi do niej matka. Tymczasem istotnie Gabriella słyszała teraz znacznie gorzej niż kiedyś — pod pewnymi kątami albo wówczas, gdy w pomieszczeniu panował zgiełk. Nie uskarżała się na to w szkole, nie była za tę ułomność karcona; jedyną osobą, która zwróciła na nią uwagę, była jej matka.

— Nie usiłuj mnie ignorować, Gabriello! — wrzeszczała wściekle, spadając na córkę jak złakniona krwi strzyga.

Nie czyniła jednak tego podczas wizyt Franka, coraz częstszych ostatnio i dłuższych, tylko wówczas, gdy były same w domu albo Frank nie zjawiał się o umówionej porze. Za to zresztą Eloise nieodmiennie winiła Gabriellę.

— Nienawidzi cię, mały obrzydliwcu! To z twojego powodu nie przyszedł dziś wieczorem! Gabriella nawet w najskrytszych myślach nie kwestionowała słów matki i zastanawiała się tylko, co by się stało, gdyby pewnego dnia całkowicie zniknął. Wspominał czasem o powrocie do San Francisco, a Gabriella czuła, w jakie zdenerwowanie wprawia to Eloise. Zdenerwowanie niosące dla dziewczynki straszne zagrożenie.

W marcu często ze sobą rozmawiali za zamkniętymi drzwiami biblioteki albo też na wiele godzin niknęli w sypialni. Siedzieli zupełnie cicho i Gabriella nie miała pojęcia, co robią. Frank zawsze uśmiechał się na widok Gabrielli, ale teraz nigdy nic do niej nie mówił; rozumiał zapewne, że to zabronione. We własnym domu traktowano ją jak trędowatą.

W kwietniu, zgodnie z zapowiedziami, Frank wyjechał do San Francisco, jednak ku zaskoczeniu Gabrielli Eloise wcale nie była tym zbulwersowana, wręcz przeciwnie — sprawiała wrażenie osoby radośnie zaaferowanej. Prawie nie odzywała się do Gabrielli — co było błogosławieństwem — nieustannie spotykała się ze znajomymi i załatwiała mnóstwo spraw. Często rozmawiała przez telefon i zawsze na widok Gabrielli ściszała głos, jakby treść swoich rozmów pragnęła utrzymać w tajemnicy.

Trzy tygodnie po wyjeździe Franka przy pomocy Jeannie zaczęła wynosić z piwnicy walizki i pakować do nich, jak się zdawało, cały swój dobytek. Gabriella zastanawiała się, kiedy i jej matka każe się spakować, polecenie takie wszakże usłyszała dopiero po dobrych kilku dniach.

— Dokąd jedziemy? — zapytała wtedy ostrożnie, zdając sobie sprawę, czym ryzykuje. Lecz przecież musiała wiedzieć choćby po to, żeby zabrać odpowiednie ubranka. Nie chciała rozzłościć matki niewłaściwym wyborem.

— Jadę do Reno — odparła krótko Eloise, co w najmniejszym stopniu nie rozjaśniło wątpliwości Gabrielli, która następnym pytań — gdzie to właściwie jest i jak długo tam pozostaną — nie ośmieliła się już zadać. Z nadzieją zatem, że jej wybór rzeczy okaże się trafny, poszła na górę i zaczęła się pakować, zastanawiając się przy tym, czy po przyjeździe do tajemniczego Reno zastaną tam Franka. Znała tego mężczyznę zbyt słabo, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy go lubi. Wiedziała tylko, że jest wysoki, przystojny i bardzo uprzejmy wobec matki, z którą nigdy, w przeciwieństwie do ojca, się nie kłóci. Zadawała sobie również pytanie, czy go zawiedzie, tak jak zawodziła wszystkich innych. Był to lęk, z którym musiała żyć na co dzień. Przekonała się już, że ktoś, kogo bardzo kocha, pewnego dnia zaczyna jej nienawidzić, a potem porzuca. Któż postąpiłby inaczej, skoro tak właśnie skończyła się sprawa z ojcem? Być może jednak Frank jest inny, kto wie? Aby zatem rozwiać swoje obawy w tej kwestii, napisała o Franku kilka opowiadań; matka oczywiście je znalazła i podarła na strzępy, wykrzykując, że Gabriella jest małą rozpustnicą i sama leci na Franka. Za historyjkę,

w której Frank został przedstawiony jako ksiądz z bajki, dotkliwie córkę zbiła.

Pewnego pogodnego sobotniego ranka, dwa tygodnie po Wielkanocy, Eloise podniosła wzrok nad śniadania i niemal przerażając Gabriellę uśmiechnęła się do niej po raz pierwszy w życiu. W oczach miała błysk, który ostrzegł dziewczynkę, że jeśli nie zachowa ostrożności — będą kłopoty. Ale Eloise oznajmiła tylko:

— Jutro jadę do Reno. — Sprawiała przy tym wrażenie uszczęśliwionej. — Jesteś spakowana, Gabriello?

Gabriella przytaknęła w milczeniu. Po śniadaniu obie poszły na górę, Eloise sprawdziła bagaż córki i z aprobatą pokiwała głową. Gabriellę ogarnęło przemożne poczucie ulgi, że pakując się nie popełniła jakichś niewybaczalnych błędów. Eloise omiotła spojrzeniem pokój, jakby chciała sprawdzić, czy dziewczynka czegoś nie zapomniała, ale po tej inspekcji sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej. Czegóż zresztą Gabriella mogłaby zapomnieć? W jej pokoju było tylko łóżko, krzesło, komoda, białe zasłony w oknach i linoleum na podłodze, które co wtorek szorowała Jeannie. Żadnych obrazków, żadnych ozdób. Jedyne zdjęcie ojca, jakie miała, Eloise wyrzuciła do śmieci niedługo po zniknięciu Johna.

— Nie będziesz potrzebowała żadnych wyjściowych ciuszków, Gabriello — powiedziała tylko Eloise — możesz więc wyjąć z walizki tę różową sukienkę.

Gabriella spiesznie spełniła polecenie.

— Ale mam nadzieję, że nie zapomniałaś o swoich szkolnych mundurkach — dodała Eloise.

Gabriella była kompletnie zbита z pantafelów. Wzięła wprawdzie swoje szkolne ubrania, ale tylko dlatego że były ciepłe i wygodne, a nie miała pewności, jak długo pozostaną w Reno.

Matka popatrzyła na nią z tak dobrze Gabrielli znanym wyrazem zgryźliwej ironii.

— Twój ojciec żeni się w czerwcu — oświadczyła. — Jestem pewna, że ucieszy cię ta wiadomość. W duszy Gabrielli poczucie ulgi walczyło z przygniatającym rozczarowaniem, iż ojciec już nie wróci. Podejrzewała

wprawdzie, że tak będzie, ale teraz uzyskała całkowitą pewność. Jak dobrze jednak, że nie zginął w jakimś strasznym wypadku, który wyjaśniałby jego uporczywe milczenie. Napisała o tym opowiadanie — tak sugestywne, że sprawiało wrażenie najzupełniej prawdziwego.

— A zatem możesz sobie wybić z głowy, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczysz — zapewniła Eloise po raz tysięczny od chwili odejścia Johna. — Nie obchodzi go żadna z nas. Nigdyśmy go nie obchodziły. Nie kochał ani ciebie, ani mnie. Chcę, żebyś zapamiętała to sobie raz na zawsze, Gabriello. Nigdy cię nie kochał. — Z iskierką gniewu zapalającą się w oczach spojrzała na córkę, oczekując odpowiedzi. Ale Gabriella stała w milczeniu. — Wiesz o tym, prawda?

Gabriella skinęła głową. Pragnęła wprawdzie powiedzieć, że nie wierzy matce, zdawała sobie jednak sprawę, że mogłoby to kosztować ją życie. Była w tej chwili zbyt mądra, aby bronić ojca za taką cenę. Może zresztą, choć to mało prawdopodobne, naprawdę nigdy ich nie kochał. Może ona, Gabriella, była zbyt niegrzeczna... zbyt kłopotliwa. Nie... pamiętała przecież wyraz jego oczu, kiedy tamtego wieczoru przyszedł do jej sypialni. Kochał ją, obojętne, co mówi matka.

Wieczorem Eloise wyszła ze znajomymi, a Gabriella zrobiła sobie w kuchni kanapkę. Długo siedziała w absolutnej ciszy, rozmyślając o tajemniczej podróży, jaką nazajutrz przedsięwzięją. Nie miała pojęcia, z jakich powodów jadą do Reno i co je tam czeka... to pokaże czas. Czowała niepokój przed tym wyjazdem, opuszczała przecież dom, w którym mieszkała z ojcem. Widziała oczyma duszy, jak przechodzi z pokoju do pokoju, powoli idzie po schodach, czuła zapach jego płynu po goleniu. Ale na pewno nie zabawią długo i może cała wyprawa okaże się ciekawą przygodą. Może w Reno będzie Frank i tym razem zechce z nią rozmawiać. Może będzie dla niej miły, a nawet — jeśli nie rozżołości go najdrobniejszym aktem nieposłuszeństwa — polubi. Wchodząc na górę, obiecywała sobie, że postara się o to ze wszystkich sił.

Spała już, kiedy matka wróciła do domu. Eloise, uśmiechnięta do własnych myśli, przeszła długim korytarzem, zniknęła w swej sypialni, rozebrała się. Jutro miało się dla niej zacząć nowe życie. Będzie wreszcie mogła zatrzaskać drzwi za wszystkimi dotychczasowymi rozczarowaniami. Jej pociąg odjeżdżał nazajutrz wieczorem; nie mogła się doczekać.

Aby nie zirytować matki, Gabriella wstała bardzo wcześnie i pobiegła do kuchni, kiedy więc o dziewiątej Eloise zeszła na dół, kawa — o właściwej mocy i temperaturze — już na nią czekała. Eloise nie odezwała się ani słowem, co z punktu widzenia Gabrielli stanowiło dobry znak: matka nie jest przynajmniej zła. Na razie. Ale to mogło się zmienić lada chwila, spaść nagle jak letnia burza.

Eloise odezwała się dopiero po pół godziny, pytając Gabriellę, czy jest gotowa. Oczywiście była. Przed zejściem na dół zamknęła walizkę, nałożyła szarą spódniczkę, biały sweterek, także podkolanówki i nienagannie wypucowane czarne buciki; na oparciu krzesła w sypialni wisiał starannie udrapowany granatowy blezer, na siedzeniu zaś leżał również granatowy berecik i białe rękawiczki. Ze swoimi wielkimi błękitnymi oczyma i upiętymi w kucyk puszystymi włosami blond Gabriella sprawiała wrażenie zjawiska zdolnego rozpuścić jak wosk każde ludzkie serce. Z wyjątkiem serca własnej matki. W wieku dziesięciu lat wciąż była dzieckiem nie zeszpeconym jeszcze dysproporcjami dorastania, ale nie ulegało wątpliwości, że kiedyś przeistoczy się w prawdziwą piękność. To również nie zjednywało jej sympatii Eloise.

Po śniadaniu Gabriella pobiegła na górę, żeby nałożyć resztę odzieży i wziąć walizkę, kiedy zaś wróciła na dół, stwierdziła z zaskoczeniem, że Eloise czeka na nią przy drzwiach bez żadnych bagaży. Zawróciła na pięcie, aby je przynieść.

— Co ty wyprawiasz? — zapytała matka z rozdrażnieniem. Miała na głowie tyle spraw, że szkoda jej było każdej zmarnowanej chwili.

— Biegnę po twoje walizki — odparła z powagą Gabriella, oglądając się przez ramię.

— Sama je później zniosę. A teraz się pospiesz.

Bezgranicznie stropiona Gabriella zauważyła dopiero teraz, że matka nie sprawia wrażenia przygotowanej do podróży. Nosiła swój zwykły domowy strój — szarą spódnicę i stary szary sweter — a nawet, co zdarzało się jej niezmiernie rzadko, nie nałożyła kapelusza. Bez słowa jednak chwyciła swoją walizkę i popędzana przez matkę wyszła z domu; kiedy zerknęła za siebie na miejsce, w którym zaznała tyle bólu, poczuła ukłucie niepojętego strachu. Działo się coś złego... choć nie ma powodów, by tak sądzić... nagle jednak zapragnęła wbiec na powrót do środka i, czego nie robiła od dwóch lat, ukryć się gdzieś, na przykład w stojącej w holu wielkiej szafie. Życie nauczyło ją wprawdzie, że kiedy się chowała, była bita jeszcze mocniej niż zwykle, mimo to wszystko wydało się jej lepsze aniżeli ślepe podążanie za matką ku nieznanemu losowi, losowi straszniejszemu, być może, niż wszystkie udręki, które zdążyła poznać.

— Nie ociągaj się, Gabriello, nie mamy do dyspozycji całego dnia — burknęła ze zmarszczonym czołem matka. Przecięła na swych wysokich obcasach chodnik i zatrzymała taksówkę. Gabriella wiedziała już z całkowitą pewnością, że nie pojedzie tam, gdzie wybiera się Eloise. Dokąd jednak matka zamierzała ją odwieźć — z walizką, w niedzielne przedpołudnie? Wciąż nie miała pojęcia. Eloise podała taksówkarzowi nie znany Gabrielli adres przy Wschodniej Czterdziestej. Niepewność sprawiła, że dziewczynce waliło serce, a przerażenie ścisnęło za gardło, lecz nie zadawała żadnych pytań, świadoma, że później zapłaciłaby za nie wysoką cenę. Eloise zresztą nie zdradzała chęci do rozmowy i pogrążona we własnych myślach wyglądała obojętnie przez szybę auta; raz czy dwa razy zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się pod nosem, zadowolona widocznie, że planowo realizuje swój napięty program.

Gdy taksówka dojeżdżała do wielkiego szarego budynku przy Czterdziestej Ósmej, Gabriella miała mdłości i rozdygotane dłonie. Może tym razem dopuściła się jakiejś prawdziwej zbrodni i matka zabiera ją na policję albo w podobne miejsce, gdzie ktoś obcy wymierzy jej zasłużoną karę? Wszystko było możliwe w życiu tak przepelnionym okropieństwami jak życie Gabrielli. Nie było bezpiecznych dni czy sytuacji.

Eloise zapłaciła za przejazd i Gabriella z irytującą powolnością, borykając się z walizką, zaczęła gramolić się z taksówki.

Imponujący i, w oczach Gabrielli, niezmiernie surowy gmach nie dostarczył dziewczynce żadnych przesłanek pozwalających ustalić, co kryje w środku i po co tu przybyły. Czekają przed drzwiami nieskończenie długo; Gabriella szukała przez chwilę spojrzeniem wzroku matki, a potem opuściła głowę, aby Eloise nie mogła dostrzec łez w jej oczach. Kolana dygotały jej ze strachu jak liście osiki. Wreszcie drzwi zaczęły się pomalutku uchylać i ze szczeliny wyjrzała drobna, krucha twarz.

— Tak?

Stojąc za plecami matki, Gabriella nie była nawet w stanie stwierdzić, czy za drzwiami kryje się kobieta, czy też mężczyzna.

— Nazywam się Eloise Harrison i jestem umówiona — oświadczyła zirytowana ceregielami matka Gabrielli. — Poza tym bardzo się spieszę.

Drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem, a stojąca za nimi osoba prawdopodobnie podążyła w głąb budynku, aby nadać sprawie dalszy bieg.

— Mamusiu... — wyszeptwała drżącym głosem Gabriella. Odezwała się, bo paraliżujący strach przemógł w niej lęk przed karą. — Mamusiu...

— Bądźże cicho! — warknęła Eloise. — To nie czas, a już z pewnością nie miejsce na błazenady. Tu nie będą się cackać z wysokokami, które ja tak długo musiałam znosić.

A zatem to prawda: została przywieziona na policję, do więzienia... albo do jakiegoś innego miejsca, gdzie zostanie przykładownie ukarana za dziesięcioletnie występne życie, które je kosztowało utratę ojca i męża. Teraz za wszystko zapłaci. Do oczu Gabrielli znów napłynęły łzy. Czowała się jak człowiek czekający na wyrok śmierci, a zarazem nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Eloise zrezygnowała z wyjazdu do Reno. A może ten gmach nazywa się Reno? I jaki los ją w nim czeka? Kiedy czuła, że przerażenie nie może opanować ją już z większą siłą, ciężkie drzwi uchyliły się z wolna, odsłaniając czarne przepastne wnętrza. Owa jaskinia ziała za plecami maleńkiej

przygarbionej staruszki w czarnym habicie, która Gabrielli przywiodła na myśl czarownicę. Na ramionach

nosiła szal i wspierała się na lasce. Gestem zaprosiła Eloise i Gabriellę do środka, a z ust dziewczynki wyrwało się mimowolne łkanie, gdy szarpnięta przez matkę za rękę znalazła się w półmroku i usłyszała głuchy stuk zamykających się drzwi. W budynku panowała zupełna cisza, zakłócana tylko płaczem Gabrielli.

— Matka Gregoria za chwilę was przyjmie — powiedziała staruszka do Eloise, która wściekle popatrzyła na córkę i jeszcze raz szarpnęła ją za ramię.

— Natychmiast przestań! — warknęła, potrząsając córką dla dodania wagi swoim słowom. Obawiała się jednak posunąć dalej. — Nie zamierzam wysłuchiwać twojego skowytu. Możesz sobie płakać do woli, kiedy się rozstaniemy... a nie wątpię, że to zrobisz... ale teraz oszczędź mi z łaski swojej tych wygłupów. Nie jestem twoim ojcem i nie zamierzam ich znosić. Siostry zapewne też nie. Czy wiesz, co zakonnice robią z niegrzecznymi dziećmi?

Gabriella uniosła przerażony wzrok, zobaczyła nad sobą ogromny krucyfiks i na widok zakrwawionej sylwetki umierającego Chrystusa rozpląkała się jeszcze głośniej. To był naprawdę najgorszy dzień w jej życiu; chciała umrzeć jak najszybciej, zanim zostanie ukarana za niezliczone grzechy, jakich zdążyła się dopuścić. Nie miała pojęcia, po co i na jak długo przywiozła ją tu matka, walizka jednak nie była dobrym znakiem.

Jej urywane dotąd łkanie przemieniło się w rozpaczliwy niepohamowany płacz, wobec którego nawet powtarzające się ostrzeżenia matki były zupełnie bezsilne. Gabriella szlochała jeszcze wtedy, kiedy po swym powrocie stara zakonnica oznajmiła, że przeorysza jest gotowa je przyjąć.

W ślad za przewodniczką podążyły długim mrocznym korytarzem, rozświetlonym tylko wątlm blaskiem małych lampek i świec. Przypominał loch, a przygnębiającego wrażenia dopełniał płynący gdzieś z oddali chóralny śpiew, któremu towarzyszyła posępna, majestatyczna muzyka.

Staruszka przystanęła przed niewielkimi drzwiami, gestem zaprosiła Eloise i Gabriellę do środka, a następnie pokuśtykała gdzieś w dal. Mimo wieku i stanu zdrowia stąpała po kamiennych płytach zupełnie bezszelestnie, a Gabrielli wydało się, że drży jak człowiek przemarznięty.

Eloise szarpnięciem pociągnęła córkę do środka, Gabriella zaś rozpląkała się jeszcze głośniej, gdy zobaczyła, że na ich powitanie wstaje zza podniszczonego biurka zakonnica o kamiennych rysach i lodowatych oczach.

Cała w czerni, bardzo wysoka, nosiła na głowie biały wykrochmalony kornet. I co najbardziej przerażające, wydawało się, że nie ma dłoni. Dopiero po chwili Gabriella zorientowała się, że tkwią w rękawach okrywających skrzyżowane na piersiach ramiona. Z jej paska zwieszał się różaniec o wielkich drewnianych paciorkach. Nie miała żadnych insygniów świadczących o pełnionej funkcji, o tym jednak że jest przeoryszą, Eloise wiedziała z dwóch wcześniejszych spotkań, kiedy omawiały jej plany dotyczące Gabrielli.

Matkę przełożoną zaskoczyło przerażenie dziecka; była pewna, iż Eloise uprzedzi Gabriellę o swoich zamiarach, tymczasem zaś nic na to nie wskazywało.

— Witaj, Gabriello — powiedziała z powagą. — Jestem matka Gregoria, a ty spędzisz wśród nas nieco czasu. Nie wątpię, iż wiesz o tym od mamy.

Nie uśmiechała się, a zapłakana Gabriella nie mogła widzieć, że ma dobre oczy. Gorączkowo kręciła głową, chcąc równocześnie odpowiedzieć, że nie wie i że wcale nie chce tu zostać.

— Zamieszkas tu na czas mojego pobytu w Reno — oświadczyła obojętnym tonem Eloise, utwierdzając przeoryszę w przekonaniu, że nie uprzedziła córki o swych planach. Takie metody wychowawcze były w najwyższym stopniu godne dezaprobaty.

Gabriella popatrzyła na matkę z widocznym przerażeniem.

— Jak długo cię nie będzie? — zapytała.

Nienawidziła jej całe życie, ale przecież nie miała teraz na świecie nikogo innego. A może, pomyślała, to właśnie jest kara za tę nienawiść? Może matka wiedziała o niej od samego początku i teraz, cudzymi rękoma, odpłaci Gabrielli za występne myśli?

— Sześć tygodni — wyjaśniła oschle Eloise, odsuwając się od córki.

— Czy będę chodziła do szkoły? — zapytała Gabriella przez łzy. Miała czkawkę i kłopoty z oddychaniem.

— Będiesz uczyć się u nas — wyjaśniła matka Gregoria, a wyjaśnienie to wcale nie uspokoiło Gabrielli, która zdała sobie nagle sprawę, że znalazła się w obcym, nieznanym i przerażającym świecie i że nawet kary wymierzane w domu przez matkę są czymś nieskończenie lepszym. Mając możliwość wyboru, bez wahania wróciłaby z Eloise do domu i znajomych udręk. Ale taki wybór nie był jej dany. Matka jechała do jakiegoś Reno. — Mamy tu dwie inne dziewczynki — ciągnęła przeorysza. — Siostry. Starsze od ciebie. Jedna liczy czternaście, druga zaś siedemnaście lat. Jestem pewna, że je polubisz. Czują się u nas doskonale.

Nie dodała jednak, że mieszkają w klasztorze, ponieważ są sierotami: ich rodzice rok temu zginęli w katastrofie samolotowej, a babka, która się nimi po tym zaopiekowała, zmarła nagle w Boże Narodzenie. Trafiły pod opiekę siostr, ponieważ w klasztorze miały krewną. Nie było dla nich innego rozwiązania.

Dla Gabrielli zaś miało to być rozwiązanie chwilowe. Dwa miesiące, oświadczyła Eloise przeoryszy, w ostateczności trzy. Ale Gabrielli nawet o tym nie wspomniała. Obserwując teraz z niekłamanym zainteresowaniem matkę i córkę, mądra stara zakonnica wyczuwała w ich wzajemnym stosunku coś sztywnego i nienaturalnego. W istocie byłaby nawet skłonna zaryzykować twierdzenie, że dziewczynka boi się matki. Wiedziała, że zostały porzucone przez ojca, który zamierza ożenić się ponownie; o swoich motywach i zamierzeniach Eloise powiedziała tylko tyle, że jedzie do Reno po rozwód i pragnie zostawić dziecko pod dobrą opieką. Plany te nie spotkały się rzecz jasna z aprobatą przeoryszy. Matkę Gregorię wszakże mniej obchodziła moralność Eloise, aniżeli konieczność udzielenia gościny jej córce.

Stały wszystkie trzy w kłopotliwym milczeniu, przerywanym tylko pochlipywaniem Gabrielli, kiedy Eloise zerknęła na zegarek i z udanym zaskoczeniem podniosła głowę. — Naprawdę muszę już iść — powiedziała, a wtedy mała rączka kurczowo uchwyciła jej spódnicę.

— Proszę, nie idź, mamusiu... proszę... będę grzeczna... Przysięgam... proszę, pozwól mi iść ze sobą — błagalnie wyjąkała Gabriella.

— Nie bądź śmieszna! — syknęła Eloise, z odrazą odsuwając się od córki. Niespodziewana bliskość Gabrielli sprawiła, że zapragnęła wybiec z wrzaskiem.

— Reno nie jest najlepszym miejscem dla dzieci — wtrąciła stanowczym tonem matka Gregoria. — Dla dorosłych zresztą też — dodała po chwili z wyraźnym niesmakiem.

Przeorysza nie mogła wiedzieć, iż Frank zarezerwował apartament na jednym z rekreacyjnych rancz, zamierzał przez cały czas być z Eloise i nauczyć ją konnej jazdy w stylu teksańskim.

— Twoja matka niebawem wróci — kontynuowała zakonnica. — Sama się przekonasz, jak szybko minie ten czas.

Nieznacznym ruchem głowy dała Eloise znak, że może odejść i już po kilku sekundach Eloise ujęła torebkę, ucisnęła dłoń przeoryszy i popatrzyła z góry na córkę. Nie potrafiła przy tym powstrzymać triumfalnego uśmiešku; rozpacz i panika Gabrielli były jej najzupełniej obojętne.

— Zachowuj się dobrze — powiedziała tylko. — Nie stwarzaj żadnych problemów, bo się o nich dowiem.

Obie wiedziały, co to znaczy, ale Gabrielli było to w tej chwili obojętne. Objęła ramionami kibić Eloise i wybuchła płaczem. Nie tyle zresztą opłakiwała matkę, której nigdy nie miała, ile ojca, którego kochała i straciła. Jej ból, najzupełniej obojętny dla Eloise, do głębi poruszył matkę Gregorię, która daremnie oczekiwała, aż Eloise pocieszy lub pocałuje swoje dziecko. Eloise wszelako tylko oderwała od siebie ramiona córki, odepchnęła ją zdecydowanie i powiedziała oziębło: — Żegnaj, Gabriello.

Gabriella popatrzyła na nią mądrymi oczyma, które rozumiały znacznie więcej, niż powinny. Na przykład, co czuje człowiek porzucony i samotny... Łykając łzy i nie mówiąc nic więcej, odprowadziła wzrokiem matkę, która spieszenie wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Przez jedno mgnienie, najmniejszą drobinę życia, Gabriella dokładnie ogarniała myślą bezmiar swej samotności — i wtedy poczuła na twarzy wzrok starej zakonnicy, która powoli ruszyła w jej stronę, objęła i mocno przytuliła do siebie.

Pragnęła obronić dziewczynkę przed światem, który, być może, poczynił w jej duszy nieodwracalne spustoszenia. Wszystkim, w co wierzyła i w czym pokładała nadzieję matka Gregoria, była siła jej uścisku. Wszystko, czego dla Gabrielli pragnęła, zawierało się w sposobie, jakim ją tuliła. Gabriella podniosła głowę, a potem zamknęła oczy, pojmując nagle, co zaszło pomiędzy nimi dwoma, co w tym miejscu niespodziewanie znalazła. I kiedy tak wtulona w silne dobre ramiona opłakiwała wszystkie swoje straty i troski, cały ból i przerażenie — jedyne dary, jakie otrzymała dotąd od życia — zrozumiała mądrością swoich dziesięciu lat, że wreszcie jest bezpieczna.

ROZDZIAŁ 6

Pierwszy posiłek w klasztorze Św. Mateusza wydał się Gabrielli doświadczeniem dziwnym zrazu, a potem zaskakująco przyjemnym. Gdy godzinę wcześniej wszystkie siostry, z matką Gregorią na czele, zebrały się w kaplicy na modlitwę, Gabriella była przytłoczona ich liczebnością i powagą. Teraz, w refektarzu, ogromne anonimowe stado czarnych ptaków zamieniło się w zgiełkliwą, rozgadaną i roześmianą grupę szczęśliwych kobiet.

Gabriellę zdumiał młody wiek wielu sióstr: z dwustu przebywających w klasztorze zakonnice pięćdziesiąt, na ogół postulantek i nowicjuszek, liczyło niewiele ponad dwadzieścia lat. Była też spora grupa rówieśniczek jej matki, sporo równolatek przeorowskiej, a wreszcie garstka sióstr bardzo sędziwych. Większość zakonnice uczyła w pobliskiej szkole Św. Stefana bądź pracowała w Szpitalu Miłosierdzia, a ich rozmowy podczas obiadu obejmowały i politykę, i medycynę, i sprawy szkolne, i wreszcie zabawne błahostki związane z klasztornym życiem. Siostry opowiadały dowcipy, przrzucwały się kpinkami, zwracały do siebie zdrobniale lub używając przezwisk. Zanim posiłek dobiegł końca, każda — mogłoby się zdawać — podeszła do Gabrielli, znajdując dla niej dobre słowo, nawet staruszka furtianka, która tego ranka tak bardzo ją wystraszyła. Była to siostra Mary Margaret, ulubienica, jak się okazało, wszystkich zakonnice; u Św. Mateusza mieszkała już przeszło czterdzieści lat, w młodości zaś pracowała w Afryce jako misjonarka. Miała szeroki bezzębny uśmiech i została — ponoć jak zwykle — dobrotliwie skarcona przez matkę Gregorię za to, że znowu nie włożyła sztucznej szczęki.

— Nienawidzi jej nosić — z dziewczęcym chichotem wyjaśniła Gabrielli jedna z młodszych sióstr. Gabriella była nieco przytłoczona tym, że znalazła się znienacka w centrum rodziny złożonej z dwustu dobrych, kochających kobiet. Szczęśliwych kobiet, bo jak się zdawało, nie było pośród nich ani jednej zgorzkniałej. Po dziesięciu latach wędrówki przez pole minowe humorów i gniewów Eloise, Gabriella czuła się tak, jakby wylądowała miękko na wielkiej puchowej pierzynie. Witana i pozdrawiana, dzielnie usiłowała zapamiętać imiona podchodzących do niej sióstr, ale zadanie wydawało się beznadziejne... Siostra Timothy... Siostra Elizabeth od Niepokalanego Poczęcia... Siostra Ave Regina... Siostra Andrew lub „Andy”, jak się do niej zwracano... Siostra Joseph... Siostra John... i wreszcie ta, której imię natychmiast zapadło Gabrielli w pamięć: siostra Elizabeth albo Lizzie, piękna młoda kobieta o różanej cerze i roześmianych bez przerwy wielkich zielonych oczach.

— Trochę jesteś za młoda, żeby zostać zakonnice, Gabbie, nie sądzisz? — powiedziała. — Ale Bóg nie gardzi żadną pomocą.

Nikt dotąd nie nazywał Gabrielli „Gabbie”, a zielone duże oczy były najcieplejszymi i najszcześniejszymi, jakie widziała w życiu. Miały ochotę w nieskończoność gawędzić z 'Lizzie, która była jeszcze postulantką, ale niedługo miała zostać nowicjuską. Oznajmiła, że została powołana w wieku lat czternastu, gdy objawiła się jej Najświętsza Maria Panna. Lizzie przechodziła wtedy odrę.

— Pewnie uważasz, że to trochę zwariowane, ale takie rzeczy czasem się zdarzają — dodała. Liczyła teraz dwadzieścia jeden lat, pracowała jako pielęgniarka na pediatrii w Szpitalu Miłosierdzia, a dziewczynka o przepełnionych smutkiem wielkich niebieskich oczach pociągła ją od pierwszej chwili. Nietrudno było zgadnąć, że te oczy mogłyby opowiedzieć długą historię i chociaż zapewne

zawsze będą milczeć, nie ulegało wątpliwości, iż byłaby to historia tragiczna.

Jednakże spotkanie, które znaczyło dla Gabrielli najwięcej, miało miejsce przed południem, kiedy

Eloise zostawiła ją w gabinecie przeoryszy. Dziewczynce brakło słów, aby wyjaśnić to, co się stało, ale wiedziała, że oto wreszcie znalazła matkę, której nigdy nie miała. Zaczynała rozumieć, dlaczego tak wiele kobiet pragnie żyć w tym miejscu.

Teraz matka Gregoria obserwowała uważnie, jak poczyta sobie w tłumie zakonnicy. Była nieśmiałym dzieckiem, pod pewnymi względami niezmiernie kruchym, z drugiej jednak strony emanowała z niej jakaś spokojna siła i mądrość nad wiek. Do ludzi odnosiła się powściągliwie i ostrożnie. Już na pierwszy rzut oka było widać, że nosi w duszy głębokie rany, a pamiętając sposób, w jaki traktowała ją Eloise Harrison, matka Gregoria łatwo odgadywała źródło cierpienia na kształt zasłony oddzielających Gabriellę od innych. To dziecko doświadczyło mąk isticie piekielnych, ale z powodów znanych tylko Bogu nie pozwoliło im pochłonąć się bez reszty. Ciekawe, zastanawiała się matka Gregoria, czy przeznaczeniem Gabrielli jest życie dla bliźnich. Nie brakło przecież w społeczności zakonnej sióstr, które wstępowały do klasztoru okaleczone niemal równie mocno jak Gabriella. Tak czy inaczej mimo swych wciąż nie zagojonych ran, Gabriella miała siłę wewnętrzną, która musiała imponować.

Przedstawiono jej dwie pozostałe „pensjonariuszki”, owe osieroczone dziewczęta, przebywające u sióstr od świąt Bożego Narodzenia. Młodsza z nich, ładniutka czternastolatka, rwała się w świat i burzyła przeciwko restrykcjom klasztornej życia. Miała na imię Natalie, śniła o chłopcach i ciuchach, a wreszcie miała kręćka na punkcie młodego piosenkarza o imieniu Elvis. Jej starsza siostra, siedemnastoletnia Julie, odcięcie od świata przyjmowała z ulgą, a bezpieczeństwo, jakie zapewniał klasztor, ceniła sobie nad życie. Chorobliwie nieśmiała, wciąż jeszcze chyba nie otrząsnęła się z szoku po śmierci rodziców. Pragnęła pewnego dnia wstąpić do zakonu i od miesięcy błagała matkę Gregorię, by nie próbowała znaleźć dla nich innego miejsca. Podczas pierwszego spotkania

nie miała Gabrielli wiele do powiedzenia, jej siostra natomiast zasypywała nową koleżankę lawiną szeptów, chichotów i sekretów. Gabriella jednak była zbyt młoda, aby móc docenić bezmiar oferowanej sobie przyjaźni, po kilku chwilach zatem Natalie szepnęła siostrze Lizzie: — To jeszcze dzieciak.

Niemniej siostry przyrzekły solennie być dla Gabrielli miłe. Nikt nie wątpił, że podczas swojego krótkiego pobytu w klasztorze będzie okropnie tęsknić za rodzicami i domem.

Wieczorem Gabriella znów rozmyślała o matce przełożonej, która przytuliła ją dziś rano i pocieszyła. Pamiętała silne ramiona, które sprawiły, że poczuła się bezpieczna od udreń ścigających ją przez całe dotychczasowe życie. Nie znała nikogo takiego jak matka Gregoria i za przykładem Julie zaczynała się już zastanawiać, jak by to było, gdyby pozostała w klasztorze na zawsze.

Dzieliła pokój z obiema dziewczynkami. Był mały, spartańsko umeblowany i miał wychodzące na przyklasztorny ogród niewielkie okno. Kiedy cichutko leżała w łóżku, widziała obramowany nim księżyc. Gdzie jest w tej chwili matka?

— zadawała sobie pytanie — W domu czy już w pociągu? I kiedy wróci z owego tajemniczego miejsca o nazwie Reno? Nieistotne jednak, kiedy postanowi wrócić, skoro Gabriella czuła z absolutną pewnością, że po raz pierwszy w życiu jest całkowicie bezpieczna. Nie wiedziała jeszcze, co ją tu spotka, ale wiedziała, co nie spotka na pewno: bicie, kary, oskarżenia, nienawiść. Rano, stojąc przed drzwiami klasztoru, żywiła przekonanie, iż czeka ją najgorsze. Teraz była równie pewna, że nie mogło spotkać ją nic lepszego.

Zasypiała tej nocy — jak zwykle zwinięta w nogach łóżka

— myśląc o wszystkich siostrach, które w refektarzu krążyły wokół niej niczym czułe ptaki... siostrze Lizzie... siostrze Timothy... siostrze Mary Margaret... siostrze John... a przede wszystkim tej wysokiej kobiecie o dobrym spojrzeniu, która jej, pisklęciu wyrzuconemu z gniazda, dała bezpieczne miejsce w swoich ramionach i swoim sercu. Gabriella poczuła, że jej okaleczona dusza zaczyna się goić.

Trzy dziewczynki zostały zbudzone o czwartej rano

— zwykłej klasztornej godzinie pobudki — i dwie pierwsze godziny dnia spędziły z siostrami w kościele na bezgłośnych modłach. Potem, tuż przed wschodem

słońca, zakonnice zaczęły śpiewać. Gabriella nie słyszała w życiu nic równie pięknego jak ich złączone w chór głosy, chwalcące Boga, którego błagała o zmiłowanie od lat i który, miała powody sądzić, nigdy jej nie słuchał. Ale tu wiarę i miłość odwzajemniał miłością i opieką. Kiedy tego ranka Gabriella przechodziła z siostrami do refektarza na posiłek, czuła się wśród nich spokojna i bezpieczna.

Śniadanie spożywano w milczeniu; był to dla sióstr czas kontemplacji i przygotowań do tego wszystkiego, co poniosą światu otwierającemu się za murami klasztoru, do pracy w szkole i szpitalu, do przynoszenia bliźnim, pośród których się znajdują, nauki, ulgi i Bożego błogosławieństwa. Żegnały się, pochylając głowy i uśmiechając, a potem rozchodziły do swoich dormitoriów lub cel, starsze siostry bowiem miały własne celki, postulantki natomiast i nowicjuszki mieszkały w niewielkich dormitoriach.

Gabriellę i jej współpensjonariuszki czekała nauka pod nadzorem dwóch sędziwych sióstr, emerytowanych nauczycielek; w specjalnie dla nich przygotowanej klasie o siódmej trzydziści wzięły się do ciężkiej indywidualnej pracy, która trwała nieprzerwanie do południa, kiedy to w refektarzu zjadły lunch z garstką sióstr pozostających w klasztorze.

Gabriella nie widziała matki Gregorii przez cały dzień i ujrzała ją dopiero wieczorem, podczas kolacji. Podeszła do niej nieśmiało, ale z rozjaśnionym wzrokiem.

— Jak było w szkole? Pracowałaś uczciwie? — zapytała przeorysza.

Gabriella uśmiechnęła się powściągliwie i skinęła głową. Pracowała znacznie ciężiej niż w swojej dawnej szkole, bez przerw i zabaw, a jednak stwierdziła z zaskoczeniem, że jest z tego zadowolona. Z pobytu w klasztorze, uczestniczenia w zakonnym życiu rodził się głęboki spokój. Każdy miał tu swe obowiązki, miejsce, cel. To, że świat doczesny pozostawał za murami, nie miało znaczenia, tu w murach bowiem człowiek mógł osiągnąć coś, o co gdzie indziej było bardzo trudno: sztukę dawania zamiast brania, bycia dla innych zamiast dla siebie.

Żadna z sióstr nie trafiła do klasztoru bez istotnego powodu, od każdej oczekiwano tego samego — że dadzą z siebie wszystko dla dobra bliźnich. A przecież nie stawały się przez to uboższe, wręcz przeciwnie. Nawet dzieci — Julie, Natalie czy Gabbie, jak nazywała już Gabriellę połowa klasztoru — zdawały sobie z tego sprawę.

Wszystko tu było odmienne do dawnego życia, a kobiety stanowiły doskonałe przeciwieństwo matki Gabrielli. Nie istniała próżność, egocentryzm, gniew czy wściekłość — tylko miłość, harmonia i służba bliźnim. Siostry czuły się w klasztorze szczęśliwe i bezpieczne. Gabriella, po raz pierwszy w życiu, też.

Tego wieczoru przyszło dwóch spowiedników — bywali w klasztorze cztery razy tygodniowo — i po kolacji zakonnice, milcząc, ustawiły się w kolejkach do konfesjonałów; siostra Lizzie zapytała Gabriellę, czy też chce się wyświadczyć. Pierwsza komunія święta Gabrielli miała miejsce cztery lata temu, dziewczynka mogła więc, a z punktu widzenia sióstr również powinna, przyjmować sakramenty, choć niekoniecznie tak często jak one. Zakonnice przystępowały do komunii codziennie. Przeważnie spowiedzi były krótkie i tylko nieliczne wyróżniały się długością; potem siostry pogrążały się w bezgłośnej modlitwie, rozmyślając o swoich wadach i grzechach, a także odprawiając pokutę.

Spowiedź Gabrielli również była krótka, choć dla kapłana, który jej słuchał, nader interesująca. Gabriella, wyliczywszy uprzednio, ile czasu minęło od ostatniej spowiedzi, wyznała grzech nienawiści do własnej matki.

— Czemu jej nienawidzisz, dziecko? — zapytał dobrotliwie ksiądz. Był starszym z dwóch spowiedników, kapłanem od czterdziestu lat, a poza tym poczciwym człowiekiem, który darzył dzieci głęboką miłością. Słyszając przez kratkę konfesjonału młodziutki głos, pojął, iż do spowiedzi przyszła ta nowa dziewczynka, o której wspomniała mu matka Gregoria. — Dlaczego usłuchałaś diabelskiego podszeptu, by znenawidzić rodzoną matkę?

Zapadła nieskończenie długa chwila ciszy.

— Bo ona nienawidzi mnie — padła wreszcie odpowiedź udzielona ledwie słyszalnym, lecz zupełnie pewnym głosem.

— Matka nigdy nie darzy nienawiścią własnego dziecka. Nigdy. Bóg do tego nie dopuszcza.

A przecież Bóg dopuścił, by spotkało ją wiele rzeczy, jakie na pewno nigdy nie były udziałem innych. Może dlatego, że była tak niedobra? Może i On jej nienawidzi... Chociaż tu, u Świętego Mateusza, nie sposób w to uwierzyć.

— Wiem, że matka mnie nienawidzi.

Znów zaoponował, a potem wyznaczył jej pokutę w postaci dziesięciu zdrowasiek. Odmawiając każdą z nich miała myśleć o matce z miłością i pamiętać, że matka też ją kocha. Gabriella nie podjęła dyskusji, uświadamiając sobie tylko, iż nienawiść do matki czyni z niej większą grzesznicę, niż dotąd sądziła. Ale nic nie mogła na to poradzić.

W milczeniu odprawiła pokutę, a potem poszła do swojego pokoju; Natalie czytała zdobyty gdzieś magazyn, w całości poświęcony Elvisowi, Julie zaś odgrażała się, że doniesie o tym siostrze Timmie. Puszczając mimo uszu ich swary, Gabriella wróciła pamięcią do rozmowy z kapłanem. Czyżby za swą nienawiść do matki miała na wieczność trafić do piekła? Nie zdawała sobie sprawy, że była w nim niemal od chwili narodzin. Nikt o tym nie wiedział. Zasługiwała za przeżyte katusze na miejsce w niebie.

Znów spała w nogach łóżka, niezłośliwie wykpiona za to nazajutrz przez koleżanki, które powiedziały, że w żaden sposób nie mogły jej znaleźć. O to oczywiście chodziło, choć zawsze dotąd wybieg okazywał się zawodny. Uciekała się do niego z nawyku.

Stopniowo przyzwyczajała się do klasztornej życia, nauki i modlitwy, koleżanek i zakonnic. Znała już hymny, obyczaje, pacierze odmawiane rankiem, w południe i wieczorem, na dźwięk dzwonu odruchowo, jak wszystkie siostry, przykłękała na kamiennych płytach sal i korytarzy. W połowie maja znała już po imieniu wszystkie zakonnice, wiedziała, czym się zajmują i co lubią, a podczas kolacji beztrudno z nimi gwarzyła. Kiedy to tylko było możliwe, trzymała się w pobliżu matki Gregorii, choć niewiele z nią rozmawiała.

Wystarczyło poczucie bezpieczeństwa płynące z obecności przeoryszy.

Pod koniec maja matka Gregoria wezwała ją do swojego gabinetu i w Gabrielli natychmiast obudziły się wspomnienia owego tak z pozoru odległego dnia, kiedy została przez Eloise przyprawiona do klasztoru. Minęło od tamtej chwili sześć tygodni i chociaż matka nie wysłała nawet pocztówki, Gabriella wiedziała, iż niebawem wróci do domu.

Kiedy przestępowała próg gabinetu, zadawała sobie pytanie, czy ma zostać skarcona za jakieś wykroczenie. Gdy siostra Mary Margaret wywoływała ją z klasy, jej głos brzmiał niepokojąco oficjalnie.

— Czy jesteś tu szczęśliwa, moje dziecko? — zapytała z życzliwym uśmiechem matka Gregoria. W niebieskich oczach dziewczynki odnajdowała coś nieodparcie pociągającego — były mądre i doświadczone nad wiek. Gabriella śmiała się ostatnio częściej i chętniej, ale nietrudno było dostrzec, iż wciąż skrywa się za niewidocznymi szańcami przed tym wszystkim, co w jej mniemaniu może sprawić ból. Spowiadała się bardzo często i matka Gregoria żywiła obawę, iż wciąż prześladowają ją demony i że nie zrzuciła jeszcze z barków części swojego brzemienia. — Dobrze się u nas czujesz?

— Tak, matko — odparła po prostu Gabriella, ale jej oczy wyrażały obawę. — Czy coś się stało? Czy zrobiłam coś niewłaściwego?

Wolałaby wiedzieć od razu, jaka kara i za jaki występek zostanie jej wymierzona. Najgorsze było zawsze oczekiwanie.

— Nie bój się, Gabbie. Nie zrobiłaś nic złego. Czemu się niepokoisz?

Było tak wiele pytań, które pragnęłaby zadać dziewczynce, ale pojmowała, że nawet teraz, po sześciu tygodniach, jest na to za wcześnie. Może zresztą odpowiedni moment nie nadejdzie nigdy.

Gabriella, rzecz zdumiewająca w jej wieku, miała swój prywatny świat rozpacz, lęków i tajemnic.

— Bałam się, że jesteś na mnie zła, matko. Kiedy siostra Mary Margaret przyszła po mnie do klasy, pomyślałam...

— Chcę tylko pomówić z tobą o twojej matce — wyjaśniła przeorysza, a ciałem Gabrielli wstrząsnął dreszcz strachu.

Nawet wzmianka o Eloise przejmowała ją przerażeniem, a przecież zdawała sobie sprawę, że matka wnet powróci i jakąś częścią duszy tęskniła do jej powrotu. Modliła się nieustannie, aby zabić w

sobie nienawiść, odmówiła dziesiątki „Zdrowaś Mario”. Nagle przyszło jej do głowy, że może któryś ze spowiedników napomknął matce Gregorii coś na jej temat. Widząc cienie przepływające przez twarz dziewczynki, mądra stara zakonnica mogła tylko odgadywać, jakich lęków stanowią wyraz. — Rozmawiałam z nią wczoraj. Zadzwoiła z Kalifornii.

— Czy tam właśnie leży Reno?

— Nie. — Matka Gregoria uśmiechnęła się wyrozumiale. — Musimy przyłożyć się do geografii. Reno leży w Newadzie, a Kalifornia to zupełnie inny stan.

Gabriella wyglądała na stropioną.

— Czy nie miała jechać do Reno?

— Była w Reno. Teraz jest już rozwiedziona i pojechała do San Francisco w Kalifornii.

— Tam mieszka Frank — stwierdziła Gabriella tonem wyjaśnienia.

Ale przeorysza już o tym wiedziała. Odbyła z Eloise nader długą rozmowę, lecz nie zdołała przekonać matki Gabbie, iż sama powinna pomówić z córką. Eloise zrzuciła ten obowiązek na jej barki.

— Otóż... — głęboko zaczerpnęła powietrza, szukając słów, które nie zszokowałyby Gabrielli — ...otóż twoja matka i ów Frank, którego najwyraźniej znasz... — ciepło uśmiechnęła się do Gabrielli, w której oczach nie dostrzegała jeszcze podejrzliwości bądź zakłopotania — ...jutro biorą ślub.

— Och — powiedziała tylko Gabriella. Sens słów przeoryszy dotarł do niej dopiero po chwili. Prawie nie rozmawiała z Frankiem, on zaś praktycznie ją ignorował. A teraz matka zamierza poślubić tego zupełnie obcego mężczyznę. Bóg raczy wiedzieć, gdzie podział się ojciec. Wciąż miała nadzieję, że go jeszcze zobaczy, ale upłynęło już tyle czasu... Znów ze skurczem w sercu uświadomiła sobie, jak jest samotna.

Teraz przeoryszę czekało najtrudniejsze zadanie.

— Zamieszkają w San Francisco—powiedziała, Gabriella zaś wzdrygnęła się lekko. Oznaczało to, że będzie musiała się przenieść do całkiem nieznanego miasta. Że znów, godzina po godzinie, minuta po minucie, będzie musiała walczyć o życie. Oznaczało nową szkołę, nowych przyjaciół albo ich brak. Oznaczało mieszkanie pod jednym dachem z obcym mężczyzną, a także z matką, której się bała i której nienawidziła. Oznaczało wreszcie rozstanie z wszystkimi siostrami, które zdążyła pokochać.

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której matka przełożona, starannie ważąc słowa, wpatrywała się w oczy Gabrielli.

— Twoja matka uważa, że będziesz szczęśliwsza, pozostając u nas, Gabbie — powiedziała wreszcie i była to najdelikatniejsza z możliwych wersja tego, co przez telefon oświadczyła Eloise Harrison: że nie jest w stanie wytrzymać z tym dzieciakiem ani chwili dłużej, że nie zamierza narażać na szwank swojego szczęścia osobistego, że nie chce nowemu mężowi zwałać na kark córki, której sama nigdy nie pragnęła. Była brutalnie szczerą. Zdeklarowała chęć opłacania pobytu Gabrielli w klasztorze tak długo, jak długo siostry zechcą ją trzymać. Czyli zawsze, domyśliła się prawidłowo matka Gregoria. Eloise nie zdradziła się z zamiarem zapraszania córki do San Francisco, zapytana zaś przez matkę Gregorię o możliwość umieszczenia dziewczynki pod opieką ojca, odparła z przekonaniem, że jej były mąż również Gabrielli nie chce. Przeorysza zrozumiała wtedy jedną z przyczyn bezgranicznego smutku wyzierającego z oczu Gabrielli. Sama też była kiedyś nie chcianym i nie kochanym dzieckiem.

— Matka mnie nie chce? — zapytała bez ogródek Gabriella, a w jej spojrzeniu ból mieszał się z zastanawiającym dla zakonnicy poczuciem ulgi.

— Nie możesz na to patrzeć w taki sposób, Gabriello. Twoja matka jest zagubiona. Wciąż jeszcze nie otrząsnęła się z szoku po odejściu ojca, a teraz zyskała szansę na nowe życie. Nie wątpię, że chce się przekonać, czy będzie udane, zanim postanowi sprowadzić cię do siebie. To rozsądna choć bolesna dla ciebie decyzja. O miłości twojej matki świadczy chociażby to, że pozostawia cię pod opieką osób, które kochają cię i pragną twojego szczęścia. Brzmiało to nader przekonująco, Gabriella wszelako pojmowała, iż sprawa nie przedstawia się tak prosto.

— Rodzice nienawidzili się, a matka mówiła, że nigdy mnie nie kochała.

— Nie wierzę w to. A ty wierzysz? — zapytała miękko matka Gregoria, mając nadzieję, że usłyszy przeczącą odpowiedź. Obawiała się jednak, iż rodzice Gabrielli byli wobec niej nadmiernie szczerzy w kwestii wyrażania swych uczuć bądź ich braku. Tak szczerzy jak Eloise podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej, kiedy oświadczyła dobitnie: „Nie chcę Gabrielli w swoim życiu”. Matka Gregoria wolałaby odgryźć sobie język, niż powtórzyć to dziewczynce.

— Chyba ojciec kiedyś mnie kochał... na swój sposób... ale nigdy... nigdy nie zrobił nic, żeby... — Ze łzami w oczach przypomniała sobie, jak ojciec stoi w drzwiach i bezradnie przypatruje się wyczynom Eloise, słucha jęku córki. Jakże więc mógłby ją kochać? A poza tym odszedł, nie oglądając się za siebie, bez słowa. Nie dzwonił i nie pisał. Trudno więc było uwierzyć, że jeśli nawet kochał ją kiedyś, kocha jeszcze teraz. I oto matka szła za jego przykładem, z czego Gabriella w pewnym sensie była zadowolona. Nie będzie już bicia, ukrywania się, próśb i błagań, skatowana nie trafi do szpitala... Skończy się wyczekiwanie na chwilę, gdy matka ją zabije. Z tym wszystkim koniec. Ale koniec również z nadzieją że kiedykolwiek zdoła wywalczyć dla siebie miłość matki.

— Ona już nie wróci, prawda? — zapytała Gabriella, patrząc przeoryszy prosto w oczy.

Jej spojrzenie było tak czyste, a słowa tak mocne, że matka Gregoria pojęła, iż nie może skłamać.

— Nie wiem, Gabriello, i chyba nie wie tego ona sama. Może wróci pewnego dnia, ale do tej chwili upłynie wiele czasu — powiedziała wreszcie najszczerzej, jak mogła, nie mówiąc zarazem całej prawdy.

— Sądzę, że już nie wróci... tak samo jak ojciec. Matka mówiła, że ożenił się z inną kobietą i ma nowe dzieci.

— Nie kocha cię przez to mniej — zaproponowała przeorysza. Trudno jednak było zaprzeczyć, że ani razu nie zainteresował się losem córki. Z Eloise będzie zapewne tak samo. Rodzice Gabrielli byli naprawdę odrażającymi ludźmi. Jakże mogli porzucić tak cudowne dziecko? Ale matka Gregoria знаła podobne historie. W przeszłości wiele razy wyłakiwała oczy nad dziećmi, które spotkał los Gabrielli, dziękując tylko Bogu, że trafiły pod jej skrzydła. Może zresztą w taki właśnie sposób Pan dawał wyraz swej woli? Może miejsce Gabrielli było właśnie tu i pewnego dnia dziewczynka usłyszy Jego głos? Teraz ostrożnie wyraziła tę myśl: — Może pewnego dnia postanowisz z nami pozostać, Gabriello, Kiedy dorośniesz. Może Bóg wybrał taką a nie inną drogę, aby cię tu przyprowadzić.

— Jak Julie? — zapytała stropiona Gabriella. Nawet nie próbowała myśleć o przywdzianiu habitu. Zakonnice przecież były tak dobre, a ona tak zła. Tylko jeszcze o tym nie wiedziały. Poza tym wciąż nie zdołała uporać się z szokiem wywołanym decyzjami matki. Ciekawe, czy Eloise podjęła je już wtedy, gdy przywiozła Gabriellę do klasztoru. Pewnie tak, bo nie było w niej ani czułości, ani smutku, ani żalu — ojciec przed rozstaniem okazał to wszystko — tylko złość, groźby i chęć jak najszybszego wyrwania się na wolność.

— Pewnego dnia, Gabbie, pojmiesz, czy masz powołanie, czy nie. Musisz tylko słuchać bardzo, bardzo uważnie. Kiedy Bóg chce, byśmy go usłyszały, przemawia dostatecznie głośno.

— Czasem źle słyszę — zaproponowała Gabriella nieśmiało, a matka przełożona wybuchła śmiechem.

— Na pewno usłyszysz wszystko, co powinnaś usłyszeć — powiedziała. Potem popatrzyła na Gabriellę i posmutniała. Dziewczynka przyjęła nowiny dobrze, co jednak nie ułatwi jej życia ze świadomością, że jest nie chciana przez rodziców. Jak mogli tak postąpić? Cóż, nie są pierwszymi ani ostatnimi. Może zresztą, nawet o tym nie wiedząc, wybrali najwłaściwsze rozwiązanie. Gabriella też tak sądziła. Podczas rozmowy z matką Gregoria nie rozplakała się ani razu i tylko poczuła mdłości,

gdy zrozumiała, że być może już nigdy ich nie zobaczy. Nie potrafiła ogarnąć tego rozumem.

— Jesteś silną dziewczynką — oświadczyła matka Gregoria, Gabriella zaś gorączkowo pokręciła głową.

Nie, na pewno nie była. Dlaczego wszyscy jej to bez przerwy powtarzają? Ojciec przed swym odejściem, teraz matka Gregoria. Nie czuła się silna. Czuła się samotna i przerażona. Nawet w tej

chwili. Co się stanie, jeśli nie będzie mogła zostać w klasztorze? Dokąd pójdzie? Kto się nią zaopiekuje? Pragnęła zdobyć wreszcie pewność, że już na zawsze ma swoje miejsce, miejsce, w którym nie będzie musiała się ukrywać, gdzie nikt jej nie skrzywdzi, nie porzuci.

Matka Gregoria rozumiała to doskonale. Wyszła zza biurka i w milczeniu otoczyła ramionami to dziecko tak dzielne, silne, tak pełne godności. Gabriella drżała wprawdzie w objęciach przeorowsy, ale nie płakała i nie uskarżała się na los, tylko tuliła się coraz mocniej do jedynej osoby, która obdarzyła ją miłością i poczuciem bezpieczeństwa. Po jej policzku spłynęła jedna łza, a potem dziewczynka podniosła głowę i popatrzyła w oczy matki Gregorii z mocą, która starej zakonnicy wydała się zatrważająca.

— Nie opuszczaj mnie, matko... — wyszeptła Gabriella ledwie słyszalnie. — Nie odpychaj mnie...

Do pierwszej łzy dołączyła druga, po chwili trzecia, Gabriella wciąż jednak trzymała się dzielnie.

— Nie opuszczę cię, Gabbie — odparła miękko matka Gregoria. — I zawsze będziesz mogła tu zostać. To teraz twój dom.

Gabriella wtuliła twarz w czarny habit.

— Kocham cię, matko — wyszeptła, a matka Gregoria poczuła, że i jej do oczu podchodzą łzy.

— Ja również cię kocham, Gabbie... Wszystkie cię kochamy.

Jeszcze jakiś czas przesiedziały w gabinecie przeorowsy i, trzymając się za ręce, usiłowały dociec, co powodowało Eloise, kiedy postanowiła zostawić córkę w klasztorze, odpowiedzi jednak nie znalazły w żadnych, najbardziej nawet sensownych

teoriach. Ale to nie miało już znaczenia. Eloise postąpiła tak, jak zdecydowała, a Gabriella znalazła wreszcie dom.

Było już zbyt późno, żeby wracać na lekcję, matka Gregoria odprowadziła więc dziewczynkę do jej pokoju i zostawiła samą — ze wspomnieniami matki... miejsc, w których się przed nią chowała...

chwil, kiedy nie miała już sił, by się ukrywać... brutalności... bólu... sińców. Pamiętała to wszystko. I miała nadzieję, że się nie powtórzy. Gdybyż tylko mogła dostać jeszcze jedną szansę — byłaby lepsza, zdobyłaby miłość matki. Tymczasem tylko złościła ją swym nieposłuszeństwem, zmusiła do odejścia. Tak samo jak ojca. Gabriella nie mogła się przyznać przed matką Gregorią, jak bardzo jest niegrzeczna, jak okropna, w jakim stopniu zasłużyła sobie na wszystko, co ją spotkało. Któż by chciał przygarnąć kogoś takiego? Siostry jednak chciały. I może jeszcze Bóg. Ale On wie, jak jest niedobra, występna, jak bardzo nienawidziła czasem rodziców... i wie również, jak strasznie za nimi tęskni. Już nigdy ich nie zobaczy... to pewne. Odeszli od niej, bo była zła. Nie sposób uciec przed prawdą. I świadomością, że nigdy jej nie kochali. Bo nie mogli pokochać... bo nikt jej nie może pokochać. To jej los, przeznaczenie, nieodwracalny wyrok... kara za wszystkie występki... przekleństwo. Nic tego nie zmieni — zaczynała pojmować — ani spowiedź, ani pacierze, ani odmawianie różańca.

Pogrążona w myślach, przez resztę dnia odruchowo robiła to wszystko, co należało akurat robić: w milczeniu zjadła kolację, poszła do spowiedzi, potem w towarzystwie Natalie i Julie wróciła do pokoju. Następnie, znacznie wcześniej niż koleżanki, poszła do łóżka i zwinięta w kłębek wróciła do rozmyślań.

Rodzice mieli nowych partnerów, ojciec — nowe dzieci, które ją zastąpią... matka dotąd nie chciała dzieci, ale może zechce je mieć teraz... dobre dzieci tym razem, nie tak nieudane jak Gabriella...

Nowa żona, nowy mąż, nowe rodziny... a cóż pozostaje Gabrielli? Tylko myśl, że gdyby była lepsza, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej. Ale ma całe życie, aby poświęcając się Bogu i bliźnim odkupić swoje grzechy, odpokutować za wszystko, co zrobiła. I wybaczyć wszystko, co wyrządzono jej. Tak właśnie tego wieczoru powiedział spowiednik: musi, to jej największa odpowiedzialność na resztę życia, znaleźć w sobie moc wybaczenia. Zasypiając, w nieskończoność powtarzała to słowo... wybaczenie... wybaczenie... musi im wybaczyć... wybaczyć...

Około północy po korytarzach poniósł się przeraźliwy krzyk Gabrielli, odbił echem od ścian, utonął w najgłębszych zakamarkach klasztoru. Trzeba było połączonych sił kilku sióstr, aby rozbudzić Gabriellę, a potem jeszcze matki Gregorii, aby ją uspokoić.

Wspomnienia razów były tak wyraźne i realistyczne, że dziewczynka znów poczuła krew na

rozciętej głowie, okropny ból w uchu, znowu słyszała, jak pod kolejnymi kopniakami pękają żebra... i pojęła, że nie zdoła wybaczyć.

Kiedy tej nocy leżała w ramionach matki Gregorii, potrafiła tylko, jak zakłęcie, wypowiadać trzy słowa: — Muszę im wybaczyć... Muszę im wybaczyć.

Na koniec usnęła. Patrząc na uspokojoną wreszcie twarzyczkę, matka Gregoria zrozumiała dopiero teraz, jak wiele musi wybaczyć Gabriella. I pojęła, że będzie potrzebować na to całego życia.

ROZDZIAŁ 7

Cztery następne lata spędzone przez Gabriellę w klasztorze Św. Mateusza upłynęły spokojnie i bezpiecznie na pracy i nauce pod nadzorem ciągle tych samych starych zakonnicek. Julie była już nowicjuską, jej siostra, Natalie, otrzymała stypendium i studiowała w koledżu. Oprócz Elvise kochała teraz na zabój wszystkich czterech Beatlesów. Pisywała entuzjastyczne listy, chodziła z chłopakami i w ogóle robiła wszystkie te rzeczy — a przynajmniej większość — o których marzyła podczas pobytu w klasztorze.

Pojawiły się również dwie nowe pensjonariuszki — małe dziewczynki z Laosu, podesłane przez jedną z sióstr misjonarek. Były znacznie młodsze od Gabrielli, niemniej jednak zamieszkały w jej pokoju.

Przez cztery lata Gabriella nie miała żadnych wieści od matki, ale myślała o niej od czasu do czasu. O ojcu zresztą również. Wiedziała tylko, że kilka lat temu przeprowadził się do Bostonu i zamierzał poślubić kobietę z dwojgiem dzieci. Jego dalsze losy pozostawały tajemnicą, której w żaden sposób nie potrafiłaby rozwikłać. Matka ciągle mieszkała w San Francisco i punktualnie raz w miesiącu wysyłała czeki opłacając pobyt Gabrielli w klasztorze, nigdy jednak nie towarzyszyły im listy, kartki czy nawet zdawkowe zapytania o samopoczucie córki. Nie było również żadnych życzeń ani prezentów z okazji gwiazdki czy urodzin. Całe życie Gabrielli koncentrowało się teraz tu, wśród kochanych i kochających sióstr. Dziewczyna pracowała ciężiej niż ogół zakonnicek, szorując stoły, podłogi i łazienki; ochoczo podejmowała się nawet zadań, których wykonywanie u kogoś innego budziłoby opory. W szkole znakomicie dawała sobie radę, nadal pisywała wiersze i opowiadania budząc zachwyt nauczycielek, które powtarzały, że ma prawdziwy talent.

Wciąż sypiała zwinęta w nogach łóżka, wciąż — aż nazbyt często — miewała koszmary, których nigdy nie wyjaśniała. Matka Gregoria przez cały czas obserwowała ją z uwagą i troską. Ból nie rysował się już w oczach dziewczyny tak wyraziście i Gabriella niezwykle wypiękniała, choć nie interesowała się własną urodą i nie zdawała sobie z niej sprawy, w klasztorze bowiem nie było luster. Wolna od wszelkiej próżności, nosiła nieefektywne ubrania dziewcząt, które zostały postulantkami, i nie przejmowała się swoją powierzchownością. Konsekwentnie realizowała cel, jaki wyznaczyła sobie, mając dziesięć lat: wieść życie pełne poświęceń i jak najwięcej dawać z siebie innym. Nie zgadzała się jednak, iż ma powołanie, ilekroć rozmowy schodziły na ten temat. Porównując się z dziewczynami pokroju Julie, widziała olbrzymią różnicę. Były tak nieugięte w swym postanowieniu, tak pewne, że Bóg istotnie powołał je do służby. W sobie Gabriella dostrzegała tylko słabostki, wady i potknięcia; upierała się czasem, że nieświadomie sprawiła innym ból. W istocie pod względem pokory biła na głowę wiele sióstr, które obnosiły się ze swym powołaniem jak z trofeum. Matka Gregoria od lat próbowała to jej uzmysłowić, Gabriella wszakże z uporem godnym lepszej sprawy negowała własne zalety i wyliczała urojone wady. Nie potrafiła wyobrazić sobie, że zostaje zakonnicą; z drugiej strony nie umiała sobie wyobrazić, że opuszcza klasztor. Wiodła uporządkowane życie pod pełną miłości opieką sióstr i miała zupełną pewność, że umarłaby, pozbawiona tej opieki.

— Chyba do końca swoich dni będę szorować tu podłogi

— powiedziała żartobliwie do siostry Lizzie w dzień swych piętnastych urodzin. — Nikt nie chce tego robić, a ja lubię. Mam wtedy czas, żeby układać w głowie opowiadania.

— Jako siostra zakonna nadal mogłabyś pisać, Gabbie

— odparła siostra Lizzie, powtarzając opinię głoszoną przez

wszystkich. Nikt w klasztorze nie wątpił w siłę powołania Gabrielli i tylko ona sama stanowiła pod

tym względem wyjątek. Z reguły kwitowano jej gorliwe zaprzeczenia pobłażliwymi uśmiechami. Koniec końców sama dojrzy oczywiste, musi tylko trochę wydorosnąć.

W wieku szesnastu lat opanowała cały program gimnazjum i siostry nauczycielki musiały przyznać — z niechęcią, bo wołałyby zatrzymać ją dla siebie — że jest gotowa do studiów w koledżu.

Oświadczyła, że nie ma na to ochoty, bo jest szczęśliwa tylko tu, wykonując bezinteresownie większe i niniejsze prace, służąc siostram na wszelkie sposoby. Matka Gregoria uznała jednak, że zaniechanie dalszej edukacji byłoby zbrodnią. Opowiadania Gabrielli dowodziły prawdziwego talentu, przenikliwości i wrażliwości, były wzniosłe, wzruszające, a zarazem mocne. Sądząc po dojrzałym stylu, jakim zostały napisane, nawet wnikliwy krytyk nie domyśliłby się, iż ich autorką jest młodziutka dziewczyna, która dojrzewa w klasztornych murach.

— No i co postanawiamy w sprawie nauki? — zapytała matka Gregoria szesnastoletnią Gabriellę. Zasięgnęła uprzednio opinii nauczycielek, a te oświadczyły jednogłośnie, że jedynym rozwiązaniem dla dziewczyny są studia w koledżu.

— Zignorować ją — odparła stanowczo Gabriella, przerażona perspektywą powrotu do świata, który skrzywdził ją tak okrutnie. Ani na chwilę nie chciała opuszczać bezpiecznej przystani klasztoru, narażając się zresztą na kpinki, że przypomina pod tym względem niektóre ze starszych wiekiem sióstr uskarżających się gorzko, ilekroć muszą pójść do lekarza lub dentysty. Młodsze wciąż lubiły od czasu do czasu wyskoczyć na miasto — odwiedzić rodzinę, zajrzeć do biblioteki, pójść do kina. Gabbie nie. Wołała siedzieć w swoim pokoju i pisać opowiadania.

— Człowiek nie idzie do klasztoru po to, aby uciec przed światem — powiedziała twardo matka Gregoria. — Nie po to, aby pozbawić ludzi naszych talentów, lecz by oddając je Bogu, zaprząć w służbę potrzebującym. Pomyśl o siostrach, które codziennie pracują w szpitalu. Co by się stało, gdyby z lęku przed pacjentami płci męskiej wołały przesiadywać w swoich celach i śnić o niebieskich migdałach? Służymy, Gabriello, ale nie jesteśmy tchórzliwe.

Lęk w oczach Gabrielli wskazywał jednak, że dziewczynka nadal zamierza trwać w biernym oporze. Listy Natalie zniechęcały ją raczej do studiów zamiast zachęcać.

— Nie — odparła, po raz pierwszy w życiu sprzeciwiając się matce Gregorii.

Przeorysza ściągnęła wargi.

— Nie będziesz miała żadnego wyboru — powiedziała. Wołałaby przeprowadzić rzecz po dobroci, ale gdyby miało się to okazać konieczne, zamierzała bez wahania wykorzystać swą władzę. — Należysz do naszej społeczności i musisz mnie słuchać. Jesteś jeszcze za młoda, aby podejmować samodzielnie takie decyzje, a poza tym bardzo głupiutka — ucięła wreszcie poirytowana.

Gabriella, tak samo jak przeorysza, nie zamierzała ustąpić ani na cal. Tu była bezpieczna; tam czekał świat, który skrzywdził ją tak boleśnie. Odcięła się od niego zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Miała nieugięte postanowienie dożyć swych dni w ciszy klasztoru. Matka Gregoria poleciła nauczycielkom skierować Gabriellę na uniwersytet Columbia, one zaś — po długim nieustępliwym boju — sprawiły wreszcie, iż Gabriella, skarżąc się na los i przysięgając, że nigdzie się nie ruszy, napisała podanie.

Została przyjęta i otrzymała najwyższe stypendium, co oczywiście wprawiło w ekstazę wszystkich prócz samej zainteresowanej. O wyborze Columbii zadecydował nie tylko prestiż uczelni, ale i jej bliskość: Gabriella mogła uczestniczyć w zajęciach, a jednocześnie mieszkać w klasztorze.

— I co teraz? — zapytała płacząco, kiedy matka Gregoria poinformowała ją o stypendium. Był czerwiec, miała niemal siedemnaście lat i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zachowywała się jak rozpuszczony bachor.

— We wrześniu bierzesz się do roboty, moje dziecko. Podczas studiów możesz nadal mieszkać w klasztorze, ale musisz pilnie uczestniczyć w wykładach i ćwiczeniach.

— A jeśli nie zechcę? — zapytała zaczepnie Gabriella, wprawiając matkę przełożoną w najprawdziwszą rozpacz.

— Wtedy pierwszego września wszystkie staniemy w długim szeregu i sprawimy ci zasłużoną chłostę. Jesteś bardzo, ale to bardzo niewdzięczna. Otrzymałaś wspaniałe stypendium i masz szansę wznieść swój pisarski kunszt na prawdziwe wyżyny.

— Przecież mogę pisać i tutaj — odparła grobowym głosem Gabriella.

— Chcesz mi powiedzieć, że jesteś tak mądra, błyskotliwa i utalentowana, że uprawianie literatury nie ma przed tobą żadnych tajemnic? Ho, ho, twoja pokora zdaje się zostawiać wiele do życzenia. Nie sądzisz, że należy ci zaordynować kilka chwil cichej medytacji?

Gabriella znalazła w sobie jeszcze dość siły, by wybuchnąć śmiechem. Podczas trzech następnych miesięcy temat studiów często stawał na porządku dziennym, nieodmiennie kończąc się sporem. W końcu, zachęcana przez dwieście sióstr, Gabriella postanowiła rozpocząć studia. Po tygodniu przyznała niechętnie, że sprawiają jej przyjemność. Po trzech miesiącach była nimi zachwycona. Przez cztery lata nie opuściła ani jednych zajęć, uczestniczyła we wszystkich seminariach pisarskich, jakie zdołała ze sobą pogodzić, chłonęła historię literatury i spijała każde słowo z ust ulubionych wykładowców. Rzadko jednak odzywała się nie pytana i z uporem unikała kolegów, w jednakowym stopniu chłopców i dziewcząt; po zajęciach bez chwili zwłoki spieszyła do klasztoru. Pod względem towarzyskim jej uniwersytecka edukacja zakończyła się wielkim fiaskiem. Bez końca pisała rozprawki, realizowała nadprogramowe przedsięwzięcia badawcze, a na trzecim roku przystąpiła do pracy nad nowelą. Ukończyła studia magna cum laude.

Siostry ciągnęły losy, aby ustalić, które z nich wezmą udział w uroczystości rozdania dyplomów. Szczęście dopisało dwudziestu; pod wodzą przeoryszy stały się na uczelni jak gromada przepelnionych dumą matek, a potem, jadąc dwoma wynajętymi mikrobusami, wróciły triumfalnie do klasztoru z bohaterką dnia. Były wniebowzięte z powodu deszczu nagród i wyróżnień, jaki spadł na Gabriellę, uznawały jej studia na Columbii za ogromny sukces i nie wątpiły ani przez moment, że pewnego dnia, z prawdziwymi książkami w swoim dorobku, zostanie wybitną pisarką. Dziewczyna nie podzielała tej pewności.

Nic zresztą dziwnego: wykładowcy powtarzali jej wielokrotnie, iż powinna mieć większe zaufanie do swojego naprawdę niezwykłego talentu.

Tego ciepłego czerwcowego wieczoru, spacerując w towarzystwie matki Gregorii po przyklasztornym ogrodzie, z wahaniem poruszyła temat swych pisarskich perspektyw.

— Wciąż nie wierzę, że potrafię to robić — wyznała starym zwyczajem. Poniżenia i poczucie winy dziecka zmieniły się w dotkliwy brak pewności siebie u człowieka dorosłego. Matka Gregoria doskonale zdawała sobie z tego sprawę i przy każdej okazji usiłowała ją w Gabrielli obudzić.

— Ależ oczywiście, że potrafisz. Popatrz tylko na nowelę, którą napisałaś jako swoją pracę dyplomową. Jak sądzisz, dlaczego ukończyłaś studia z wyróżnieniem?

— Dzięki wam wszystkim, matko. Dziekan jest katolikiem i nie chciał wam sprawić przykrości — odparła Gabriella z chichotem.

— Bzdura. Jest Żydem. I doskonale wiesz, za co zebrałaś te wszystkie nagrody. Nie były datkami na dobroczynność. Zasłużyłaś na nie. Problem polega na tym, co zrobisz ze sobą teraz. Spróbujesz zabrać się za powieść? Popracujesz jako wolny strzelec albo redaktorka w gazecie czy magazynie? Otwiera się przed tobą bezmiar możliwości. Możesz nawet uczyć u Świętego Stefana, a w wolnym czasie pracować nad książką.

Matka Gregoria zdawała sobie sprawę, że aby rozpocząć nowe życie, Gabriella potrzebuje silnego impulsu.

— Czy robiąc którąś z tych rzeczy... albo wszystkie naraz... mogłabym nadal mieszkać w klasztorze? — zapytała z niepokojem Gabriella.

Matka przełożona zmarszczyła czoło, zatroskana determinacją dziewczyny, aby trwać z dala od świeckiego świata. Nie pozwoliła sobie na najmniejszy nawet kęs wolności, nie zawarła przyjaźni, nie poznała mężczyzn. Choć z drugiej strony, gdyby to uczyniła, zapewne zostałyby całkowitą pustelnicą.

Perspektywa opuszczenia klasztornych murów wydawała się Gabrielli zabójcza.

— Mogłabym opłacać pokój i wyżywienie z zarobionych pieniędzy — zadeklarowała z determinacją. — Jeśli wreszcie jakieś zarobię, co może potrwać dość długo.

Miała jeszcze w zanadrzu jeden pomysł i tylko czekała na odpowiedni moment, aby poddać go matce Gregorii pod rozwagę. Teraz ta chwila bez wątpienia nadeszła.

— Oczywiście, Gabriello — odparła przełożona — możesz nadal tu mieszkać i wspomagać finansowo zakon, kiedy będzie cię na to stać. Ale pamiętaj, że odkąd tu przyszedłeś, wniosłaś we

wspólną pracę większy wysiłek, niż miałyśmy prawo wymagać. Byłaś zawsze kimś w rodzaju jednej z sióstr.

Czeki od Eloise przestały napływać w miesiącu, kiedy Gabriella ukończyła osiemnaście lat. Bez jednej notatki, listu, telefonicznego wyjaśnienia. Po prostu przestały napływać. We własnym mniemaniu Eloise Harrison Waterford wywiązała się z powinności i nie miała zamiaru dłużej zawracać sobie głowy córką. Tak samo jak ojciec. Żadne z rodziców nie znajdowało dla Gabrielli miejsca w swym życiu. Podczas studiów — pytana częściej przez wykładowców niżli kolegów — Gabriella mówiła zawsze, że jest sierotą i mieszka w klasztorze Św. Mateusza. Nie nawiązała zresztą żadnych kontaktów, które zmuszałyby ją do obszerniejszych wyjaśnień. Dziewczyny z grupy uznały ją za chorobliwie zamkniętą w sobie i nieśmiałą, chłopcy — wyrażający zgodną opinię, że jest wyjątkowo piękna — byli bezpardonowo sprowadzani na ziemię przy pierwszych oznakach zainteresowania ze swojej strony. Z wyboru skazała się na samotność, matka Gregoria zaś widząc, co się święci, nie próbowała perswadować jej, że to niewłaściwe lub niezdrowe w jej wieku. Nie była zatem zaskoczona następnymi słowami Gabrielli, która nieśmiało wyszeptwała po długiej chwili milczenia: — Wiele ostatnio rozmyślałam...

Nigdy dotąd nie czuła się tak skrępowana wobec kobiety, która zastąpiła jej matkę... która stała się jej pierwszą prawdziwą kochaną matką po koszmarach dzieciństwa. Rzadko ją teraz wspominała, mówiąc tylko, że miała „niedobrych”

rodziców i że nie była z nimi szczęśliwa; o biciu i okropieństwach, przez które przeszła, nie wspominała nawet słowem. Matka Gregoria niejedno wszakże zdołała wywnioskować ze strasznych snów i blizn dziewczynki. Zdjęcia rentgenowskie, które zrobiono, kiedy Gabriella miała zapalenie płuc, pokazywały liczne zrosty na żebrach; maleńka szrama nad uchem, też zapewne zdobyta w dramatycznych okolicznościach, tłumaczyła wadę słuchu. Tak, przełożona wiedziała sporo o przeszłości swej podopiecznej.

Gabriella głęboko zaczerpnęła powietrza.

— Słyszałam rozmaite głosy, matko... i miałam sny

— podjęła. — Zrazu uznałam je za urojenie, ale stawały się coraz mocniejsze i wyraźniejsze.

— Jakie sny? — zapytała z zainteresowaniem matka Gregoria.

— Trudno powiedzieć. Czułam się tak, jakby popychano mnie do zrobienia czegoś, co dotąd uważałam za niemożliwe... uczynku, którego nie jestem godna... Nie sądzę... nie jestem pewna... — Zażawionymi oczyma popatrzyła bezradnie na kobietę, która w jednakowym stopniu była jej matką i mentorką. — Po prostu nie wiem. Bo co właściwie miałabym usłyszeć?

Matka Gregoria doskonale rozumiała sens tego pytania. Niektóre wszystko od początku widziały wyraźnie; inne

— i powołanie tych właśnie było z reguły prawdziwe — zaczynały mieć wątpliwości, czy są dostatecznie dobre, aby godnie unieść brzemię. Gabriella należała do tych drugich.

— Głos swojego serca, moje dziecko. Ale musisz wierzyć w siebie dostatecznie mocno, aby go usłyszeć. Nie możesz wątpić ani w to, co słyszysz, ani w to, co uważasz za słuszne. Wiesz o tym już od dawna.

— Chyba tak — odparła Gabriella z westchnieniem ulgi. Tak bardzo pragnęła podjąć właściwą decyzję i tak często czuła, że jest zbyt mało warta, aby ofiarować się Bogu i bliźnim. — Byłam prawie pewna zeszłego lata i niewiele brakowało, abym powiedziała ci o tym już wtedy, matko. A później podczas świąt Bożego Narodzenia... Ale uznałam to za ułudę, igraszkę wyobraźni.

— A teraz? — zapytała matka Gregoria powoli, z dłońmi skrytymi w rękawach habitu, sunąc po ogrodzie. Zapadł już zmrok. — Co mi powiesz teraz, Gabbie?

Chciała, by dziewczyna ujęła to w słowa sama. Nie można było odbierać Gabrielli tej chwili tak w jej życiu ważnej.

— Chcę wstąpić do zakonu — wyrzuciła z siebie Gabriella, patrząc z lękiem na matkę przełożoną szeroko otwartymi niebieskimi oczyma. — Czy mnie przyjmiesz, matko?

Bezgraniczna pokora... wyrzeczenie... poświęcenie — ta chwila zawarła wszystko. Gabriella chciała zaofiarować się Bogu i ludziom, którzy obdarowali ją tak szczerze: bezpieczeństwem, wolnością, miłością, spokojem. Była ich dłużniczką.

— To nie zależy ode mnie — odparła miękko matka Gregoria. — Tylko od ciebie i od Boga. Ja jestem tu jedynie po to, aby ci pomóc. Ale od dwóch lat, obserwując, jak się borykasz ze sobą, miałam nadzieję, że podejmiesz taką właśnie decyzję.

— Wiedziałaś o wszystkim, matko? — zapytała z zaskoczeniem Gabriella, a potem, uśmiechnięta, ujęła przełożoną pod ramię.

— Być może jeszcze przed tobą.

— I co sądzisz, matko?

To pytanie nie było skierowane do mentorki i opiekunki, lecz przełożonej zakonu.

— Od sierpnia naukę rozpoczyna nowa grupa postulantek. Sądzę, że wybrałaś najodpowiedniejszy moment.

— Dziękuję ci... za wszystko... za życie... nawet nie wiesz, matko, przed czym mnie ocaliłaś, kiedy tu przyszedłam.

— Podejrzywałam to od samego początku — stwierdziła matka Gregoria i wreszcie, powodowana zwykłą ludzką troską, zadała pytanie, które dręczyło ją od dawna: — Czy wciąż za nimi tęsknisz?

— Czasem. Jednak nie za takimi, jakimi byli naprawdę, lecz jakich pragnęłam i jakimi nigdy się nie stali. Niekiedy zadaję sobie pytania, gdzie teraz są... jakie prowadzą życie... czy mają dzieci. Ale to nieistotne. — Kłamała; obie zdawały

sobie z tego sprawę. — Coraz mniej istotne. Mam teraz rodzinę... albo będę ją miała w sierpniu.

— Miałaś rodzinę od pierwszego dnia spędzonego w klasztorze, Gabbie.

— Wiem o tym. — Znów ujęła matkę Gregorię pod ramię i ruszyły powoli w stronę budynku, który był i miał już na zawsze pozostać domem Gabrielli. Podjęła ważną decyzję. Nie opuści i nie utraci siostr. Sama nie zostanie opuszczona. Pragnęła tylko tego, aby zawsze być jedną z nich.

— Będiesz wspaniałą zakonnicą — stwierdziła z uśmiechem matka Gregoria.

— Mam nadzieję — odparła rozanielona Gabriella. — Nie pragnę niczego więcej.

Kiedy nazajutrz podczas kolacji matka Gregoria powiadomiła siostry o decyzji Gabrielli, rozległy się radosne okrzyki. Zakonnice gratulowały dziewczynie, wyrażały radość, zapewniały bez końca, że zawsze wiedziały o jej powołaniu; refektarz zaczął przypominać ulicę w Rio podczas karnawału. Wróciwszy wieczorem do swego znajomego pokoju, Gabriella wiedziała z niewzruszoną pewnością, że z tym miejscem i tymi kobietami może rozłączyć ją tylko śmierć.

Spała spokojnie przez kilka godzin, ale koszmary wróciły, przerażające i wyraziste jak zawsze... wykrzywiona nienawiścią twarz matki... ciosy... zapach szpitala... sylwetka ojca, bezradnie

przypatrującego się od drzwi. Wróciły i jak zawsze Gabriella zwinęła się w kłębek w nogach łóżka, usiłując przed nimi umknąć. Ale nawet gdyby miały prześladować ją po wieczne czasy, przebudzi się wreszcie, usiłując odzyskać oddech rozejrzy się po pokoju, który stał się jej domem, i pojmie, że jest bezpieczna.

Jedna z siostr wsunęła głowę przez drzwi i popatrzyła na Gabriellę, która siedząc na łóżku, usiłowała wrócić do rzeczywistości.

— Dobrze się czujesz? — zapytała szeptem.

— Przepraszam, że was pobudziłam — odpowiedziała Gabriella. Ale zdążyły już przywyknąć, że dziewczyna co noc budzi się z krzykiem. Nie komentowała tego, nic nie usiłowała wyjaśniać i mogły tylko zgadywać, jakie okropności przeżyła. spędzić przyszłe dni, demony już jej nie dopadną. Znów położyła się do łóżka, a wtedy przypomniała sobie pytanie matki Gregorii, czy wciąż tęskni za rodzicami. Nie tęskniła już, pamiętała jednak i w nocie takie jak ta, zastanawiała się, dlaczego nigdy jej nie kochali. Czy była naprawdę tak niedobra, jak powtarzali jej w nieskończoność? Czy to oni byli winni, czy ona? Czy to oni zniszczyli jej życie, czy ona im? Ciągle nie знаła odpowiedzi na te pytania.

ROZDZIAŁ 8

W sierpniu Gabriella dołączyła do grupy postulantek i postąpiła tak samo, jak wszystkie: oddała swoje świeckie ubranie, ścięła włosy, a wreszcie przywdziała krótki prosty habit, który miała nosić przez rok, do chwili gdy zdobędzie status nowicjuszki. Potem czekały ją dwa lata nowicjatu, ale dopiero po upływie następnych dwóch będzie mogła przyjąć śluby zakonne. Była to długa droga,

ale o ileż bardziej pociągająca niż studia w koledżu. Wszystkie marzyły, by na nią wstąpić. Wyznaczono jej niezliczone obowiązki, Gabriella jednak tak nawykła w klasztorze do prac fizycznych, że żadna nie wydawała się jej wstrętą albo nieznaną. Nawet najbardziej poniżające wykonywała z wyrozumiałością i humorem. Przełożona postulantek, przełożona nowicjuszek i matka Gregoria często poszeptywały między sobą, iż Gabriella nie pomyliła się co do swego powołania. Wybrała sobie imię Bernadette, koleżanki zaś zwracały się do niej „siostró Bernie”. W grupie było osiem postulantek: z sześcioma Gabriella dogadywała się doskonale, a zresztą siostra Bernie szalenie im imponowała, ósma — dziewczyna rodem z Yermontu — natychmiast zaczęła stwarzać problemy. Dyskutowała z każdą opinią Gabrielli, obmawiała ją przed koleżankami, donosiła przełożonej postulantek, że w jej opinii Gabriella jest arogancka i nie okazuje właściwego szacunku starszym siostronom. Przełożona postulantek wyjaśniła wtedy, iż Gabriella mieszka w klasztorze od tak wielu lat, że czuje się tu jak w domu.

Dziewczyna z Yermontu oznajmiła na to, że Gabriella jest próżna; gotowa była przysiąc, że widziała, jak przegląda się w szybie, nie mając do dyspozycji lustra.

— Może po prostu o czymś rozmyślała.

— O swoim wyglądzie — mruknęła młoda kandydatka.

Była brzydką dziewczyną, która postanowiła wstąpić do klasztoru pół roku po zerwaniu zaręczyn; przełożona postulantek żywiła niejaki wątpliwości, czy istotnie została powołana.

Nikt jednak w klasztorze nie wątpił w prawdziwość powołania Gabrielli, która nigdy nie sprawiała wrażenia szczęśliwszej. Starsze siostry po prostu promieniały na jej widok.

Tego roku napisała dla wszystkich opowieść wigilijną, siedząc po nocach w gabinecie matki Gregorii sporządziła dwieście małych książeczek i w Boże Narodzenie rozłożyła je w refektarzu przy każdym nakryciu. Pracowała nad tym opowiadaniem przez kilka miesięcy i udało się tak dobrze, iż przełożona nowicjuszek oświadczyła, że bezwzględnie należy je opublikować.

— Znów się popisuje — mruknęła siostra Anna, postulanka z Yermontu. Pospiesznie wstała od stołu, pobiegła do pokoju i cisnęła książeczkę Gabrielli do kosza na śmieci.

Gabriella odwiedziła ją po południu, usiłując wyjaśnić, że trudno by jej było nie radować się, skoro została siostrą w klasztorze, który tak długo był jej domem.

— Pewnie myślisz, że wszyscy kochają cię nad życie, bo tkwisz tu od tylu lat — wyrzuciła z siebie siostra Anna. — Otóż nie jesteś wcale lepsza od reszty z nas i może gdyby popisywanie się nie zajmowało ci tak wiele czasu, lepiej służyłabyś Bogu. Przyszło ci to kiedykolwiek do głowy?

Nagle Gabriella przypomniała sobie matkę, a serce niczym nóż przeszył ból, że oto znów ktoś wytyka jej wady — prawdziwe lub urojone. Wieczorem poruszyła tę sprawę w rozmowie z matką Gregorią.

— Może ma słuszność — powiedziała. — Może jestem arogancka... i popisuję się, sama o tym nie wiedząc.

Matka Gregoria jednak usiłowała wytłumaczyć jej oczywisty fakt, że siostrą Anną powoduje po prostu zazdrość.

Przez trzy następne miesiące trwała najprawdziwsza święta wojna. Siostra Anna nieustannie donosiła na Gabriellę i przy każdej okazji wytykała jej ułomności charakteru, aż w końcu Gabriella zaczęła się bać, że dziewczyna z Yermontu widzi w niej wady, których ona nie jest świadoma, wady, które nie pozwolą jej służyć Chrystusowi z prawdziwą pokorą i oddaniem; co gorsza — zaczynała wątpić w swe powołanie. Wiosną była już niemal pewna, że popełniła błąd i że jeśli nie wyzbędzie się owych nie dostrzeganych w sobie słabości, powinna raz jeszcze przemyśleć decyzję o wstąpieniu do zakonu. Pewnego wieczoru podzieliła się swymi wątpliwościami ze spowiednikiem.

— Skąd takie myśli? — zapytał ze zdziwieniem męski głos, Gabriella zaś wzdrygnęła się, nie należał bowiem do żadnego z księży, których znała od dzieciństwa.

— Siostra Anna oskarża mnie bez przerwy o próżność, dumę, arogancję, pychę, manię wielkości... i może nie bez podstaw. Jakże mogę dobrze służyć Bogu, skoro nie stać mnie na prostotę i pokorę?

Co więcej... — zarumieniała się w ciemnościach — chyba zaczynam jej nienawidzić.

Nastąpiła chwila ciszy, a później padło ciche pytanie zadane głosem tak ciepłym, że Gabriella

zapraęnęła nagle zobaczyć, jak wygląda nieznajomy kapłan.

— Czy przedtem nienawidziłaś już kogoś?

— Moich rodziców — odparła bez wahania.

— Czy wyznałaś ten grzech na spowiedzi? Kiedy odparła, że wielokrotnie, podczas wszystkich lat spędzonych w klasztorze, spytał o powody tej nienawiści.

— Nienawidziłam ich, bo mnie bili — powiedziała po prostu, zaskakując go swą pokorą i otwartością. U Św. Mateusza spowiadał dopiero drugi raz, wiedział więc tylko, że jest postulantką, ale nie mógł znać Gabrielli równie dobrze jak inni księża. — Właściwie biła mnie matka — podjęła tonem wyjaśnienia — a ojciec na to pozwalał. Znienawidziłam go dopiero później, kiedy pojęłam, że jego wina wcale nie była mniejsza.

Nigdy podczas spowiedzi nie powiedziała tak wiele. Zastanawiając się nad powodami takiego stanu rzeczy, dochodziła do wniosku, iż musi zrzucić z ramion brzemię przeszłości, aby móc wyzbyć się z serca wrogości wobec siostry Anny.

— Czy kiedykolwiek mówiłaś rodzicom o swych uczuciach? — zapytał. Był pewnie jednym z owych nowoczesnych księży, dla których akt spowiedzi nie jest rytuałem, lecz również sposobem leczenia ludzkich ran.

— Zanim do tego dojrzałam, zdążyli zniknąć z mojego życia. Ojciec opuścił nas, kiedy miałam dziewięć lat. Przeprowadził się do Bostonu i nie widziałam go więcej. Kilka miesięcy później matka przywiozła mnie do klasztoru i nie pokazała się już nigdy. Mówiła, że jedzie do Reno tylko na sześć tygodni, ale później ponownie wyszła za mąż i doszła do wniosku, że w jej nowej rodzinie nie ma dla mnie miejsca. Pewnie by mnie zabiła, gdybym usiłowała z nią pozostać.

W konfesjonale znów na długą chwilę zapadła cisza.

— Rozumiem.

Postanowiła powiedzieć całą resztę, wyspowiadać się ze wszystkiego.

— Siostra Anna zaczyna przypominać mi matkę i to zapewne dlatego nienawidzę jej tak bardzo.

Wciąż na mnie wrzeszczy... wytyka mi wady... jak matka... a ja zaczynam jej wierzyć.

— Naprawdę wierzysz siostrze Annie?

Gabriellę bolały już kolana, w konfesjonale było gorąco, a panujące tu ciemności zdawały się podnosić temperaturę jeszcze bardziej. Gabriella miała wrażenie, że klęczy na podłodze przegrzanej budki telefonicznej.

— Naprawdę wierzysz w to, co o tobie mówi, siostrze? O twoich słabościach?

— Czasem. Zawsze wierzyłam matce. Jeszcze teraz chwilami wierzę. Czyż porzuciliby mnie oboje, gdybym była dobra? Muszę mieć w sobie coś strasznego.

— Albo oni mają — stwierdził spowiednik głębokim basem. — To oni, nie ty, popełnili grzech.

Może taki sam problem mamy z siostrą Anną, której oczywiście jeszcze nie znam. Może odczuwa zazdrość, że jesteś tak pewna siebie i czujesz się w klasztorze tak dobrze. Co zresztą zrozumiałe, skoro spędziłaś tu pół życia.

— Co powinnam zrobić? — zapytała z rozpaczą Gabriella, spowiednik zaś cichutko zachichotał.

— Powiedz jej, żeby się odczepiła, albo nakładaj rękawice bokserskie. Kiedyś, w seminarium, stoczyłem walkę z pewnym klerykiem, z którym jakoś nie mogliśmy się dogadać. Uznaliśmy to za jedyne rozwiązanie.

— I co dalej? — zapytała rozbawiona niecodzienną spowiedzią, która przypominała raczej seans u psychoterapeuty. Obdarzyła nieznajomego kapłana sympatią i sądziła, że jej pomógł. Miał w sobie wiele współczucia, mądrości i humoru. — Co dobrego wynikło z tej walki?

— W rzeczy samej wynikło. Zafundował mi imponującą śliwę pod okiem i omal nie znokautował, ale od tej chwili zostaliśmy wielkimi przyjaciółmi. Wciąż dostaję od niego świąteczne kartki. Jest misjonarzem w Kenii, pracuje z trędowatymi.

— Może dałoby się skrócić nowicjat siostry Anny i wysłać ją przyjacielowi księdza do towarzystwa? — wyszeptwała z zadumą Gabriella.

— Koniecznie podsuń jej ten pomysł, siostrze, a tymczasem zmów trzy zdrowaśki i „Ojcze nasz” na dodatek. Tylko uczciwie — powiedział, poważniejąc.

— Pozwalasz mi wykręcić się tanim kosztem, ojcze.

— Rozczarowana? — zapytał, znów rozbawiony.

— Nie, zaskoczona. Odkąd tu jestem, nigdy nie wyznaczono mi tak lekkiej pokuty.

— Najwyraźniej więc należy ci się chwila oddechu, siostrze. Przestań się zadreć, na jakiś czas zapomnij o problemach, dobrze? Bo to chyba w większym stopniu jej problemy, nie twoje. I nie utożsamiaj jej z matką, bo nią nie jest. Ty też stałaś się innym człowiekiem. Nikt cię nie będzie drećzyć, jeśli nie będziesz zadrećzać się sama. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego, siostrze. Popracuj nad tym zagadnieniem przed następną spowiedzią.

— Bóg zapłać, ojczu.

'— Odejdź w pokoju, siostrze — powiedział szeptem.

Kiedy wślizgnęła się do ławy, aby odprawić pokutę, dostrzegła, iż do konfesjonału zbliża się siostra Anna. Spowiadała się długo, a kiedy wstawała — miała zaczerwienioną twarz i chyba zapłakane oczy. W dobroci swojego serca miała nadzieję, że spowiednik nie okazał się dla niej zbyt surowy, oraz wyrzuty sumienia, że powiedziała tak wiele. Niemniej jednak od dawna nie czuła się równie dobrze.

Wychodząc z kaplicy, przystanęła na chwilę obok przełożonej postulantek, ale tak bardzo rozgadały się na temat szwankującego zdrowia jednej ze starszych sióstr, że Gabriella zobaczyła wreszcie, jak na konfesjonale zapala się światło i wychodzi ksiądz. Była zaskoczona jego wyglądem: wysoki, silnie zbudowany, miał jasne włosy, niemal tego samego koloru co jej własne. Podniósł głowę, uśmiechnął się i podszedł do rozmawiających zakonnice.

— Dobry wieczór, siostry — powiedział rozglądając się dokoła. — Macie naprawdę piękną kaplicę. Przełożona postulantek uśmiechnęła się do niego, Gabriella zaś wychodziła ze skóry, by nie wytrzeszczać oczu. Było w nim coś emanującego siłą i pociągającego. Potężniej zbudowany, a nawet przystojniejszy, przywiódł jednak Gabrielli na pamięć ojca w owym dniu, kiedy John Harrison wrócił z Korei.

— Jesteś u nas po raz pierwszy, ojczu? — zapytała przełożona postulantek.

— Po raz drugi. Przejmuję obowiązki od księdza O'Briana. Wyjechał na półroczny urlop naukowy do Rzymu, robi jakieś opracowanie dla arcybiskupa. Jestem ksiądz Con-nors, Joe Connors — odparł z uśmiechem.

Przełożona postulantek wyraziła zachwyt z powodu wyprawy ojca O'Briana, Gabriella zaś milczała. Potem na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Jest siostra postulantką? — zapytał wreszcie Gabriellę ksiądz Connors, a ona tylko kiwnęła głową, obawiając się, że po długiej spowiedzi bez trudu rozpozna jej głos. Próbowała sobie wyobrazić, jak z podbitym okiem toczy walkę bokerską ze zniechęconym klerykiem.

— To siostra Bernadette — wyjaśniła z dumą przełożona. Uwielbiała Gabriellę od dawna i decyzję o wstąpieniu dziewczyny do zakonu traktowała jako swój osobisty sukces.

— Mieszka tu od dzieciństwa, a niedawno postanowiła zostać jedną z nas. Wszystkie jesteśmy z niej bardzo dumne.

Miał w oczach pytanie, kiedy uśmiechając się ciepło podawał Gabrielli dłoń.

— Miło mi siostrę poznać.

Gabriella rozluźniła się trochę i odwzajemniła uśmiech.

— Mnie też, ojczu. Obawiam się, że strasznie długo księdza zatrzymywałyśmy. — Zorientowała się, iż natychmiast rozpoznał jej głos, ale nie skomentował tego ani słowem... Stwierdzenie zresztą: „Ach, to siostrzyczka jest tą osobą, która tak bardzo nienawidzi siostry Anny” byłoby nie na miejscu. Gabriellę rozbawiła ta myśl.

— Mam niejaką skłonność do maratońskich spowiedzi

— wyznał z szerokim uśmiechem, który — w nieco innych okolicznościach — byłby w stanie stopić serca tysięcy kobiet. Gabriella odgadywała, że ma około trzydziestki, chociaż spędzając całą młodość za murami klasztoru, była zwykle kiepskim sędzią w takich sprawach. — Jak również krótkodystansowych pokut.

Mówiąc to, puścił oko, a Gabriella zarumieniła się i parsknęła śmiechem.

— Kamień spadł mi z serca — odparła. — To żenujące, kiedy człowiek musi klęczeć przez godzinę i bić się w piersi. Wszyscy wtedy widzą na pierwszy rzut oka, jak strasznym jest grzesznikiem.

Zdecydowanie wolę krótkie pokuty.

— Będę to mieć na uwadze. Przyjadę pod koniec tygodnia, a tymczasem zastąpi mnie ksiądz George. Arcybiskup wysłał mnie na dzień do Bostonu.

— Przyjemnej podróży, ojcze — powiedziała z przyjaznym uśmiechem przełożona postulantek, a kiedy pożegnał się i odszedł, rzuciła lekko do Gabrielli: — Cóż za sympatyczny młody człowiek.

— Skierowały się ku wyjściu z kaplicy. — Nie miałam pojęcia, że ojciec O'Brian wyjechał do Rzymu. Zadajecie mi, dziewczęta, tyle pytań, że o niczym się już nie dowiaduję.

Życzyły sobie dobrej nocy, a następnie Gabriella ruszyła powoli do swojego dormitorium, mając nadzieję, że w korytarzu nie czyha na nią siostra Anna, gotowa obruszyć lawinę narzekań i zarzutów. Na szczęście nigdzie jej nie było. Gabriella szła na górę i rozmyślała o młodym księdzu, który dziś wysłuchał jej spowiedzi. Był bez wątpienia inteligentnym i przystojnym młodym człowiekiem... no i sprawił, że wrogość siostry Anny przestała być tak ważna. Po raz pierwszy od wielu tygodni Gabrielli dopisywał dobry humor, kiedy szła do łóżka w pokoju, który dzieliła z dwiema innymi postulantkami. Na szczęście nie przypadło jej w udziale mieszkać z siostrą Anną. I nie miała tej nocy koszmarów, jeszcze straszniejszych ostatnimi czasy — odkąd zauważyła, jak bardzo siostra Anna przypomina jej matkę.

— Dobranoc, siostrze Bernie — rozległ się z ciemności głos jednej z współmieszkanek.

— Dobranoc, siostrze Tommy... dobranoc, siostrze Agatho.

Uwielbiała być jedną z nich, nosić habit. Nagle pojęła, jak wiele dla niej znaczy, że należy do ich grona, robi to co one, ma taką samą hierarchię wartości. Tego, sama o tym nie wiedząc, pragnęła całe życie; temu, tym razem świadomie, chciała poświęcić resztę swoich dni. Zасыpiając, pojęła coś jeszcze: jak bardzo swoją jowialną wyrozumiałością pomógł jej podczas spowiedzi ojciec Connors. Wspaniale, że wróci pod koniec tygodnia... znów się u niego wypowiada. Okazał się znacznie rozsądniejszy i bardziej pomocny niż ojciec O'Brian.

Wreszcie wszystko zaczynało układać się lepiej. Uśmiechnięta, zapadła w głęboki spokojny sen, z którego przebudziła się dopiero nazajutrz rano.

ROZDZIAŁ 9

Reszta tygodnia upłynęła szybko. Postulantki miały wiele podstawowych obowiązków, mimo to Gabriella ochotniczo zgłosiła się do pracy w ogrodzie, wysiłek fizyczny bowiem zawsze ją relaksował, a ponadto sadząc i pielęgnując rośliny miała czas na modlitwę i rozmyślenia.

Wieczorami usiłowała trochę pisać, choć ostatnio brakowało jej na to czasu. Być może powstrzymywały ją w pewnym stopniu deklaracje siostry Anny, że duma z dokonań pisarskich świadczy o próżności. W istocie jednak wcale nie odczuwała dumy — po prostu uwielbiała pisać. Nie miała pewności, czy stworzyła coś, co mogłoby kogoś naprawdę zainteresować, ale pisanie było oknem dla jej duszy, drogą, którą pokonywała łatwo i właściwie bez namysłu. To siostry zachwycaly się jej utworami, nie zaś ona sama. Postulantka z Yermontu była najzwyczajniej zazdrosna.

Przez ten tydzień Gabriella usiłowała trzymać się od niej na dystans i pamiętać o sugestiach księdza Connorsa, który — zgodnie z zapowiedzią — wrócił pod koniec tygodnia, odprawił nabożeństwo i zaczął spowiadać. Kiedy rozpoznał w ciemnościach głos Gabrielli, zapytał we właściwy sobie przyjacielski i ciepły sposób, jak jej idzie.

Odparła, że sprawy z siostrą Anną układają się znacznie lepiej i że często się za nią modli. Jako pokutę za garść powszednich grzeszków, które mu wyznała, zadał jej odmówienie pięciu zdrowasiek.

Ponownie zobaczyli się podczas śniadania, które spożywał w towarzystwie przełożonej. Wesół pomachał do Gabrielli. Dziewczynę znów uderzyło jego podobieństwo do ojca. Był potężniejszy, miał cieplejszy uśmiech... ale coś ich ze sobą łączyło.

Po południu, podczas pracy w ogrodzie, oniemiała niemal, słysząc, co nieprzyjemnego ma jej tym razem do powiedzenia siostra Anna.

— Czy rozmawiałaś już z siostrą Emanuel o księdzu Connorsie? — Siostra Emanuel była przełożoną postulantek.

— O księdzu Connorsie? — zapytała zdezorientowana.

— A co mu się stało?

— Widziałam, jak rozmawialiście kilka dni temu, a dziś rano flirtowałeś z nim w refektarzu. Początkowo Gabriella uznała to za żart, parsknęła więc śmiechem i wróciła do sadzenia bazylii, kiedy jednak chwilę później uniosła głowę, zbił ją z tropu wyraz twarzy siostry Anny, która oświadczyła:

— Mówię poważnie. Powinnaś wyznać wszystko siostrze Emanuel.

— Nie bądźże śmieszna, siostrze Anno — powiedziała z lekką irytacją Gabriella. — Rozmawiałam z nim tylko w konfesjonale.

— Kłamiesz i dobrze o tym wiesz — stwierdziła grubiańsko postulanka z Yermontu. Życie nie ułożyło się jej szczęśliwie, a w mury klasztoru przywiodło ją wielkie rozczarowanie. Chłopak, z którym chodziła od czasów gimnazjum, zerwał zaręczyny zaledwie tydzień przed ślubem. Gabriella dostrzegając bez trudu, jak bardzo zakompleksiona jest ta dziewczyna o grubych prostych rysach. — Zauważyłam, jak ci się przygląda i powiem o wszystkim siostrze Emanuel, jeśli ty tego nie zrobisz. Gabriella wyprostowała się zupełnie i gniewnie popatrzyła z góry na siostrę Annę.

— Mówisz w tej chwili o kapłanie, o człowieku, który oddał się w służbę Bogu, który odprawia dla nas msze i wysłuchuje naszych spowiedzi — powiedziała z mocą.

— Popełniasz grzech, jeśli choćby myślisz o nim w taki sposób. Znieważasz mnie, a zarazem kwestionujesz jego powołanie.

— Jest tylko mężczyzną takim samym jak inni. A oni zawsze myślą o jednym. Znam te rzeczy znacznie lepiej niż ty

— odparowała. Wiedziała, iż Gabriella od dziesięciu lat wiodła w klasztorze pustelniczy żywot, miała się zatem za osobę nieporównanie lepiej obytą w sprawach świata doczesnego. Była zaręczona, o krok od ślubu, zapewne jej losy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby narzeczony nie porzucił jej dla innej dziewczyny, zresztą najlepszej przyjaciółki ze szkoły średniej. W porównaniu z niezwykle niewinnością Gabrielli była wręcz cyniczna.

— Uważam że to, co mówisz i myślisz, jest po prostu niesmaczne i zapewne siostra Emanuel powie ci dokładnie to samo. Nie wiem, do czego zmierzasz i co ci chodzi po głowie, sądzę jednak, iż właśnie o tym powinna dowiedzieć się siostra Emanuel. Coś nie jest w porządku z twoją wiarą i chrześcijańskim duchem.

Gabriella wróciła do pracy i przez resztę popołudnia dwie postulanki nie zamieniły ze sobą ani słowa, później zresztą

— kiedy Gabriella wciąż zajmowała się swoimi sadzonkami

— siostra Anna poszła do refektarza, aby nakrywać długie stoły do kolacji. Pod wieczór Gabriella odzyskała równowagę, choć czuła przyływ gniewu, ilekroć przypomniawszy sobie oskarżenia siostry Anny. Ksiądz Connors był przecież uosobieniem chrześcijańskiej pokory, była zeń godna naśladowania dobroć i życzliwość. Nie „flirtowała” z nim, lecz szczerze podziwiała, a sugestie siostry Anny były po prostu plugawe. Księżka Connors zobaczyła ponownie w Niedzielę Palmową, kiedy odprawiał mszę. Podeszedł do niej w ogrodzie, przed wspólnym lunchem na świeżym powietrzu, kiedy wychodziła z kościoła, niosąc naręczę palm.

— Dzień dobry, siostrze Bernadette — powiedział. — Słyszałem, że przez cały tydzień sadiłaś rozmaite roślinki. Masz ponoć dobrą rękę do ziół i gigantycznych pomidorów. Nie zapomnij podesłać nam kilku na plebanię.

Spojrzała w jego roześmiane oczy barwy kwietniowego nieba.

— Kto o tym ojcu powiedział?

— Siostra Emanuel. Podobno nikt w całym klasztorze nie potrafi wyhodować takich wspaniałych warzyw.

— Pewnie dlatego siostry trzymają mnie tu od tylu lat. Zawsze wiedziałam, że muszą mieć po temu jakiś konkretny powód.

— Mogą być również inne — odparł, kiedy wolno, bez celu, ruszyli przed siebie. Wystarczyło kilka wizyt w klasztorze, aby zauważyć, jak bardzo przepadają za Gabriellą wszystkie starsze siostry, a zwłaszcza matka Gregoria. Teraz łatwo pojął, dlaczego tak się dzieje. Miała w sobie nie tylko

godność, wdzięk i elegancję, lecz również jakieś dyskretne ciepło i niemal wyczuwalną fizycznie dobroć. W ciągu dziesięcioletniego pobytu w klasztorze wyrosła na piękną kobietę, lecz absolutnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Był księdzem, mimo to zachwycił się nią, gdyż przywodziła mu na myśl bezcenny obraz, cudowny posąg bądź inne dzieło sztuki, przyciągające niczym magnes ludzkie spojrzenia. Naprawdę jednak rzucał się w oczy blask bijący z duszy Gabrielli i otaczający całą jej sylwetkę świetlistym nimbem. Ksiądz Connors pomyślał, że jego źródłem może być tylko siła wiary i powołania młodej siostry.

Pokazała mu, co zdołała posadzić w ciągu tego tygodnia, wyjaśniając jednocześnie, jakie zioła czy warzywa wyrosną z małych sadzonek.

— Można by tego posadzić więcej, ale i tak latem będziemy miały dość wszystkiego, aby podesłać to i owo do Św. Stefana. Jeśli oczywiście zdołam upilnować, aby siostry za wcześnie nie weszły w szkodę. A tu — wyciągnęła ramię — mamy truskawki. W zeszłym roku były wyśmienite.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

— Jako dzieciak uwielbiałem jeżyny. Wracalem do Św. Marka umorusany i podrapany od stóp do głów. Kiedyś tak się nimi naopychałem, że przez tydzień bolał mnie brzuch, a bracia zakonni uznali, że Bóg ukarał mnie w ten sposób za grzech łakomstwa. To mnie jednak nie powstrzymało.

— Uczył się ksiądz w szkole z internatem? — zapytała Gabriella z naturalną ciekawością kogoś, kto niezmiernie

rzadko ma do czynienia z nowymi ludźmi. Poza tym w towarzystwie księdza Connorsa czuła się tak swobodnie, że łatwo przezwyciężyła wrodzoną nieśmiałość.

— Chyba można to nazwać szkołą z internatem — odparł z uśmiechem. — Zostałem osierocony w wieku czternastu lat, a skoro nie miałem żadnej bliskiej rodziny, trafiłem do sierocińca. Prowadzili go franciszkanie. Byli dla mnie fantastyczni.

— Ja miałam dziesięć lat, kiedy matka zostawiła mnie pod opieką siostr — powiedziała cicho Gabriella, rozglądając się po ogrodzie.

— Niezwykła historia — stwierdził, wiedząc zresztą ze spowiedzi Gabrielli, iż jej matka postępowała okropnie. — Czy uczyniła to z powodów finansowych?

— Nie — odparła Gabriella. — Wychodziła ponownie za mąż, a ja nie pasowałam do jej wizji przyszłego życia. Ojciec odszedł z inną kobietą rok wcześniej. Z jakiegoś powodu winą za wszystkie swoje problemy matka obarczała mnie i zdołała sprawić, że jej wierzyłam.

— Naprawdę? Wierzyłaś, że jesteś winowajczynią?

— Tak, chyba tak. Doszłam do wniosku, że gdyby było inaczej, ojciec stawałby w mojej obronie. Nie stawał, brałam więc winę na siebie, ilekroć mnie oskarżano.

— Bolesna historia — powiedział ze współczuciem.

— Zgoda, ale sieroctwo w czternastym roku życia to też straszna tragedia. Czy rodzice księdza zginęli w wypadku?

— Nie — odrzekł. — Ojciec zmarł nagle na atak serca, kiedy miał zaledwie czterdzieści dwa lata, a matka popełniła samobójstwo trzy lata później. Byłem za młody, żeby to wszystko ogarnąć, ale pamiętam, iż pogrążyłem się w beznadziejnej rozpacz. Kilka rozmów z psychologiem mogłoby pewnie zdziałać cuda... To dlatego te rzeczy są dla mnie teraz tak ważne.

Gabriella skinęła głową, zastanawiając się, jaki psycholog zdołałby pomóc jej matce.

— Potrzebowałam lat, aby wybaczyć jej to, co zrobiła. Teraz często rozmawiam z ludźmi w takiej samej sytuacji, zaszczutymi, przerażonymi lub samotnymi... ludźmi, którzy nie widzą dla siebie żadnego wyjścia. Zdumiewające, jak wiele osób nie ma do kogo się zwrócić w nagłej potrzebie i po prostu popada w panikę wobec zdarzeń, których inni nie uznaliby może za aż tak fatalne lub ważne.

— Weźmy na przykład siostrę Annę — podsunęła Gabriella i tym razem obydwójce wybuchli śmiechem. Zwierzali się sobie z rzeczy ważnych i wiele ich łączyło. Na zawsze stracili rodziny i poszukali schronienia w świecie, gdzie nie było problemów, które omal nie unicestwiły ich w dzieciństwie.

— Kiedy postanowił ksiądz zostać kapłanem? — zapytała Gabriella, kierując się z powrotem ku głównej części ogrodu.

— Wstąpiłem do seminarium zaraz po gimnazjum. Podjąłem decyzję, gdy miałem jakieś piętnaście lat. Czułem, że to właściwy wybór. Teraz widzę, iż nie mogłem dokonać lepszego.

Pomyślała naiwnie, że jest tak przystojny, iż dziwnie wygląda w koloratce.

— Pójdę o zakład, że rozczarował ksiądz wiele znajomych dziewcząt.

— Gdzież tam. Nigdy żadnej nie znałem. U Świętego Marka przebywali tylko chłopcy. A wcześniej miałem za mało lat i byłem zbyt nieśmiały. Dokonałem więc wyboru i ani przez moment nie zważyłem w jego słusność.

— Ani ja — wyznała z powagą. — Odkąd zyskałam pewność. Rozmyślałam o tym przez wiele lat, siostry powtarzały, że mam „powołanie”, a przecież długo nie wierzyłam, że jestem dość dobra. Czekałam na jakieś głosy, objawienia, aż w końcu pojęłam, iż chcę na zawsze pozostać w klasztorze, bo tu jest moje miejsce.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Wciąż masz czas, aby uzyskać jeszcze większą pewność — powiedział tonem duszpasterza tym razem, nie zaś przyjaciela.

— Nie jest mi potrzebny. Podczas studiów zrozumiałam ostatecznie, że nie chcę tam wracać. Ten świat jest dla mnie za trudny, nie potrafiłabym dać sobie na nim rady. Nie poznawałam żadnych mężczyzn, nie umawiałam się z nimi. I nigdy, nigdy nie chciałam mieć dzieci.

Te ostatnie słowa wypowiedziała z taką żarliwością i przekonaniem, że zaciekały go jej motywy.

— Dlaczego? — spytał.

— Postanowiłam to sobie już w dzieciństwie. Zawsze czułam lęk, że stanę się kimś takim jak moja matka, że mam coś we krwi i kiedyś zacznę postępować jak ona.

— To niemądre, siostrze Bernadette. Nie muszą nawiedzać cię demony, które prześladowały twoją matkę. Wiele osób, które miały przerażające dzieciństwo, zostaje cudownymi rodzicami.

— Ale nie wszyscy! I co wtedy? Miałabym podrzucić dzieci do najbliższego klasztoru i zupełnie o nich zapomnieć? Nie chciałam podejmować gry, w której stawką byłoby cudze życie. Sama przez to przeszłam.

— Musiałaś czuć się okropnie, kiedy cię porzuciła — stwierdził. Sam aż nazbyt wyraziście pamiętał dzień, gdy znalazł swoją matkę. Nie zdołał go zapomnieć, chociaż poświęcił życie modlitwie i służbie Bogu. Matka leżała naga w wannie... brzytwą ojca przecięła sobie nadgarstki aż do kości.

— Czułam się strasznie — odparła Gabriella — a zarazem, kiedy tylko uświadomiłam sobie, że jestem wreszcie bezpieczna, doznałam ogromnej ulgi. Matka Gregoria ocaliła mi życie, stała się moją prawdziwą matką.

— Słyszałem, że jest bardzo szczęśliwa i dumna z twojej decyzji wstąpienia do zakonu. Jesteś dobrym człowiekiem, siostrze Bernadette, i będziesz wspaniałą zakonnicą — powiedział z przekonaniem.

— Dziękuję, ojczu. Ksiądz też jest dobrym człowiekiem i cudownie się z księdzem rozmawia — odparła z lekkim rumieńcem na twarzy.

— Proszę na siebie uważać, siostrze — powiedział i ruszył do klasztoru po swoje rzeczy. Lubił pracę z siostrami, stanowiła teraz ważną część jego duszpasterskiego życia; podziwiał ich ducha, poświęcenie okazywane w szpitalach, szkołach i często niebezpiecznych placówkach misyjnych. Zastanawiał się, jaką drogę wybierze siostra Bernadette — zapewne drogę niesienia pociechy bliźnim, przypuszczalnie dzieciom.

Kiedy wracał na plebanie, ciągle rozmyślając o swojej rozmówczyni, Gabriella wraz z dwiema innymi postulankami szorowała podłogę w kuchni. Zajęta pracą, nie zauważyła nienawistnego spojrzenia, jakie rzuciła jej przechodząca obok siostra Anna.

Godzinę wcześniej zaś nie spostrzegła, iż jej przechadzkę z księdzem Connorem po ogrodzie z okna swego gabinetu uważnie obserwuje matka Gregoria. Byli oboje tak młodzi, niewinni i piękni, a poza tym w jakiś niepojęty sposób do siebie podobni.

Kiedy się rozstali, przełożona usiadła przy biurku i pograżyła się w myślach, wieczorem jednak nie Gabrielli nie powiedziała: dziewczyna jak zawsze tryskała życzliwością i radością życia, a chociaż matka Gregoria uловиła w niej jakąś ledwie dostrzegalną dyskretną zmianę, w mówiła sobie, że nie

ma najmniejszego powodu do obaw.

Ksiądz Connors znów wyjechał na tydzień i pojawił się u sióstr dopiero w Wielką Sobotę, by przesiedzieć w konfesjonale niemal całe popołudnie. Zakonnice uwielbiały jego poczucie humoru i przeprowadzane w lekkiej tonacji, a jednak nie mniej przez to poważne, spowiedzi. Kiedy wychodził z kościoła, przystanął na pogawędkę z siostrą Emanuel i siostrą Immaculata, przełożoną nowicjuszek, które zresztą akurat wymieniały uwagi na jego temat.

— Czy jutro zje ksiądz z nami śniadanie świąteczne, ojcze Connors? — zapytała z nieśmiałym uśmiechem siostra Immaculata, która w chwili swego wstąpienia do zakonu czterdzieści lat temu była prawdziwą pięknoscią.

— Jak najchętniej — odparł. Lubił te stare zakonnice, ich jasne oczy, wstydlive uśmiechy, giętkość umysłu wreszcie, która często go zaskakiwała. Miały twarze wolne od strapien świata i na ogół, wyzbyte trosk doczesnych, nie wyglądały na swój wiek.

— Posiłek przygotowują w tym roku postulanki i nowicjuszki — wyjaśniła siostra Emanuel. — Krzątają się w kuchni już od wczoraj.

Była dumna ze swych podopiecznych, które wzięły na siebie obowiązek upieczenia indyków i zrobienia szynek, jak

również przyrządzenia kukurydzy z własnego ogrodu, ziemniaków i młodego groszku. Wypiekami zajęło się kilka starszych sióstr.

— Już nie mogę się doczekać — stwierdził ksiądz Connors, który na śniadanie — tradycyjnie miały wziąć w nim udział również rodziny zakonnice — zamierzał przyjść w towarzystwie trzech innych zaproszonych duchownych. Panująca tego roku piękna pogoda sprawiła, że matka Gregoria postanowiła urządzić uroczystość w ogrodzie. — Czy mam coś przynieść? Jeden z parafian obdarował nas kilkoma skrzynkami doskonałego wina.

— Cudowna propozycja — rozpromieniła się siostra Immaculata. Matka przełożona nie zezwalała wprawdzie siostronom na picie alkoholu, ale rezerwowała ten przywilej dla zaproszonych gości, w tym również księży. — Jesteśmy ogromnie wdzięczne.

Nazajutrz, kiedy przyjechał, aby odprawić mszę, miał w bagażniku obiecane dobre kalifornijskie wino. Bez wysiłku dźwignął skrzynki, zaniósł do kuchni i powierzył sprawującej tam nadzór starszej siostrze. Nowicjuszki kręciły się jak frygi, zapachy zaś były tak ponętne, że ślinka sama napływała do ust. Piknik zapowiadał się obiecująco.

Mszę w wypełnionej po brzegi kaplicy — w nabożeństwie uczestniczyły przecież nie tylko zakonnice, lecz również i rodziny z mnóstwem dzieci — koncelebrowali wszyscy czterej księża. Po długim okresie Wielkiego Postu odsłonięto krucyfiks za ołtarzem. Gdy msza dobiegła końca, wszyscy jej uczestnicy w podniosłym, lecz radosnym nastroju wyszli do ogrodu, gdzie zaczęli tworzyć przyjacielskie grupki.

Matka Gregoria była w stu miejscach na raz, witając starych i nowych znajomych, młode siostrzyczki zaś roznosiły już tace z jedzeniem. Gabriella wespół z siostrą Agathą wносиła z kuchni szynkę na olbrzymim półmisku, gdy podszedł do nich ksiądz Connors i zaoferował pomoc. Lekko dźwignął półmisek, ustawił go na stole obok innych talerzy z szynkami, indykami, warzywami, pieczywem, ziemniakami, sałatkami, owocami, ciastkami i lodami domowego wyrobu, a następnie gwizdnął z podziwu, oszołomiony mnogością i obfitością dań.

— Trzeba przyznać, że wiecie, dziewczęta, jak sprawić, żeby wielkanocne śniadanie zapadło człowiekowi w pamięć.

Piknik przeciągnął się niemal do zachodu słońca. Gabriella jadła porcję szarlotki, kiedy w końcu ponownie odnalazł ją ksiądz Connors. Przegadał całe popołudnie ze starszymi siostrami, ich krewnymi, a przede wszystkim matką Gregorią, którą bardzo cenił jako rozmówczynię, była bowiem wykształcona, inteligentna i mądra. Ona również była rada, mogąc poznać bliżej nowego duszpasterza klasztoru, który dopiero niedawno pojawił się w parafii Świętego Stefana, przedtem zaś przebywał w Niemczech i przez sześć tygodni w Watykanie. Doskonale orientował się w skomplikowanych mechanizmach rządzących Stolicą Apostolską.

— Radzę spróbować szarlotki z kulką lodów — oświadczył, mając pełne usta tak właśnie umajonego specjału. — Mmm... rewelacyjne śniadanko. Powinnyście otworzyć restaurację. Byłyby

z tego dla kościoła ogromne pieniądze.

Gabriellę w równym stopniu rozśmieszyły jego słowa, jak i malujący się na twarzy wyraz ekstazy.

— Moglibyśmy ją nazwać na przykład „U Matki Gregorii” — zasugerowała.

— Albo jakoś bardziej chwytnie, na przykład „Pod Siostrzyczkami”. Otwarto niedawno klub nocny w starym kościele. Ołtarz służy za bar.

Chociaż nawet poruszanie takiej sprawy w rozmowie wydawało się obojgu bluźniercze, zgodnie wybuchnęły śmiechem.

— Jako młokos uwielbiałem tańczyć — wyznał ksiądz Connors, nakładając na talerz drugą porcję ciasta. To było z borówkami i natychmiast przywiodło Gabrielli na pamięć historyjkę księdza o jeżynowym obżarstwie. — A ty lubisz tańczyć, siostrzo Bernadette? — zapytał takim tonem, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Nigdy nie próbowałam. Jestem tu od dziesiątego roku życia. Uwielbiałam podglądać gości tańczących na przyjęciach

u moich rodziców, ale nigdy nie schodziłam na dół. Siedziałam u szczytu schodów i patrzyłam, jak tańczą. Byli tacy piękni... przypominali mi książąt i królowe z bajek. Zawsze wierzyłam, że kiedy dorosnę, stanę się taka jak oni.

— Gdzie mieszkałaś w dzieciństwie? — zapytał z zainteresowaniem, nakładając małą kuleczkę lodów waniliowych na ostatni kęs jej szarlotki.

— Dziękuję... — Zamknęła oczy i skosztowała. — Mniam, mniam... naprawdę doskonale...

Mieszkałiśmy w Nowym Jorku, mniej więcej dwadzieścia przecznic stąd. Nie mam pojęcia, co stało się z domem.

— Nigdy tam nie wróciłaś? — zapytał zdziwiony. On sam by wrócił, chociaż ze zwykłej ludzkiej ciekawości. Zastanawiały go motywy braku zainteresowania Gabrielli.

— Myślałam o tym podczas studiów na Columbi, ale...

— wzruszyła ramionami, wbijając weń swe ogromne oczy, równie błękitne jak jego —

...wywołałoby to zbyt wiele wspomnień. Nie jestem pewna, czy chcę go zobaczyć. Upłynęło tak wiele czasu.

— Jeśli chcesz, podaj mi adres, a ja przy okazji obejrzę twój dawny dom.

— To miłe z księdza strony. — Jak dobrze, pomyślała, że ktoś chce zamiast niej stawić czoło demonom przeszłości.

— Czy bywa ksiądz jeszcze u Św. Marka?

— Od czasu do czasu — odparł. — W miejscu domu moich rodziców jest teraz parking. Nie mam żadnych bliskich krewnych. Sierociniec to jedyny trwały element mojego dzieciństwa.

Jakże wiele ich łączyło — powikłane losy, bolesne wspomnienia, fiasko dziecięcych marzeń... Ale również to, że przetrwali, że poszukali schronienia w Kościele i byli szczęśliwi z dokonanego wyboru. Równie szczęśliwi jak z tego, że siedzą obok siebie w przyklasztornym ogrodzie, a nad ich głowami świeci słońce. Gabriella spoglądała na księdza i zastanawiała się, dlaczego mężczyzna tak przystojny wolał półmrok świątyni niż blask świata; patrząc na młodą postulantkę, ksiądz Connors zadawał sobie dokładnie takie samo pytanie. A kiedy rozejrzeli się wokół i zobaczyli siostry pogrążone w ożywionych rozmowach z gośćmi, oboje uderzyła taka sama myśl.

— To dziwne, prawda? — powiedział cicho ksiądz Connors. — Mam na myśli sytuację, kiedy człowiek nie ma rodziny. Przez pierwsze lata strasznie mi jej brakowało, zwłaszcza w niedziele i święta, później jednak jakoś się przyzwyczaiłem. Zakonnicy od Św. Marka byli dla mnie cudowni, a dyrektor sierocińca, brat Joseph, traktował mnie jak syna, wszyscy pozostali zaś — jak bohatera. Szczególnie kiedy rozpocząłem naukę w seminarium.

— Gdy zamieszkałam w klasztorze, doznałam ogromnej ulgi, że nie jestem już bita — wyszeptała Gabriella.

Potrafił zrozumieć, o czym mówi. W początkach swojej kariery duszpasterskiej pracował jako kapelan w szpitalu i płakał nieraz, widząc jak strasznie ludzie potrafią skatować swoje dzieci.

— Czy matka mocno cię biła? — zapytał łagodnie.

— Czasem — odparła ledwie słyszalnym szeptem. — Raz trafiłam do szpitala. Było tam cudownie,

otaczali mnie mili ludzie. Wolałabym nie wracać do domu, ale nikomu o tym nie powiedziałam. Zawsze milczałam albo kłamałam, uważając, że muszę osłaniać rodziców, bo jeśli tego nie uczynię, matka mnie zabije. I pewnie by zabiła, gdybym pozostała z nią jeszcze kilka lat. Ona mnie nienawidziła.

— Była prawdopodobnie o ciebie zazdrosna — stwierdził ksiądz Connors, który nieco wcześniej poprosił Gabriellę, by zwracała się do niego „księżę Joe”. Ona zaś podała mu swe prawdziwe imię, chociaż dla wszystkich postulantek, a nawet kilku starszych zakonnic, była już „siostrą Bernadette”.

— Dlaczego miałyby być zazdrosna o dziecko? — zdziwiła się Gabriella, której wytłumaczenie księdza nie przekonało.

— Takie rzeczy czasem się zdarzają. Zapewne nie wszystko było z nią w porządku.—Któż lepiej niż Gabriella wiedział, że to zbyt łagodne określenie? — Jaki był twój ojciec?

— Nie jestem pewna. Czasem myślę, że wcale go nie znałam. Fizycznie przypominał mi ksiądz... tak mi się przynajmniej zdaje, bo pamięć jest zawodna. Bał się matki, pozwalał jej na wszystko. Nigdy nie stanął w mojej obronie.

— Musi go dręczyć okropne poczucie winy. Może dlatego od niej odszedł. Ludzie postępują czasem dziwnie, kiedy czują się bezradni. Może pewnego dnia powinnaś go odszukać i porozmawiać z nim na ten temat.

Fantazjowała czasem, że robi to, co sugerował ksiądz Joe, nie miała jednak pojęcia, w jakim punkcie należałoby podjąć poszukiwania. Wiedziała tylko, że dwanaście lat temu ojciec przeprowadził się do Bostonu.

— Nie sądzę, aby w ogóle wiedział, że trafiłam do klasztoru. Matka zapewne nie zadała sobie trudu, by mu to zakomunikować. W swoim czasie chciałam porozmawiać o tym z matką Gregorią, ona jednak utrzymuje, że powinnam zerwać więzy z przeszłością i zostawić ją daleko za sobą. Ma słuszość. Ojciec po swym odejściu nigdy nie pisał i nie dzwonił.

— Może zabroniła mu tego twoja matka — wysunął przypuszczenie ksiądz Joe, choć niewielka z tego wynikałaby pociecha. — Co się z nią stało?

— Mieszkała w San Francisco, przynajmniej do momentu, gdy przestała płacić za moje utrzymanie — odparła Gabriella.

To, że rodzice mogą całkowicie zapomnieć o istnieniu dziecka, nie mieściło mu się w głowie.

— Cóż, siostro Bernie, za to teraz wiedziesz wspaniałe życie i klasztor ma z ciebie pociechę, a zakonnice za tobą przepadają. Przypuszczam nawet, iż matka Gregoria zakłada po cichu, że pewnego dnia zastąpisz ją u sterów, a byłby to niemały zaszczyt. W końcu oboje znaleźliśmy swoje miejsce na ziemi, prawda?

Patrząc sobie w oczy, pamiętali dobrze, ile kosztowało ich to trudu, jak wielką odległość musieli pokonać, jak znaczną część siebie utracić po drodze. Gestem pociechy ksiądz Joe poklepał dłoń Gabrielli, ona zaś wzdygnęła się w pierwszej chwili. Jego dłoń, tak twarda i mocna, przypomniawszy jej rękę ojca... Ksiądz Connors pewnie to wyczuł, bo powoli podniósł się z miejsca.

— Muszę sprawdzić, w jakim stanie są moi kumple i zaholować ich na plebanię — powiedział, a Gabriella

parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie pijanych księży, którzy w przyklasztornym ogrodzie osuwają się na ziemię pośród tłumu zakonnic.

— Nie wyglądają najgorzej — stwierdziła Gabriella, kiedy spostrzegła, że dwaj kapłani gawędzą w najlepsze z matką przełożoną, trzeci zaś z grupką znajomych. Siostra Emanuel czyniła daremne na razie wysiłki, by zapędzić postulantki do sprzątania kuchni, goście sprawiali wrażenie strudzonych, lecz szczęśliwych. Ta Wielkanoc udała się wspaniale, zwłaszcza Gabrielli. Przede wszystkim dzięki rozmowie z księdzem Connorem.

— Nigdy z nikim nie poruszam tych spraw — wyznała na pożegnanie — bo wciąż napawają mnie strachem.

— Niech więc przestaną — odparł. — Ci, którzy cię krzywdzili, Gabbie, już odeszli. Byłaś i jesteś bezpieczna. Oni nie wrócą po ciebie, a ty nie wrócisz do nich. Do zobaczenia w konfesjonale — dodał, uśmiechając się półgębkiem. — I unikaj kłopotów z siostrą Anną.

Kiedy rozmawiał z dziesięć lat od siebie młodszą Gabriellą, czuł się bardzo staro. Wobec jej

niedoświadczonej młodości był — przynajmniej we własnych oczach — niezwykle obyty i mądry. — Nie wątpię, że będzie miała wiele do powiedzenia o naszej dzisiejszej pogawędce — stwierdziła Gabriella ze znużeniem w głosie. Miała już po uszy bezpodstawnych oskarżeń koleżanki.

— Naprawdę? — zapytał ze zdziwieniem. — Dlaczego?

— Bo tylko patrzy, jak by mnie uządlić. W zeszłym tygodniu miała mi za złe moje pisanie. Stwierdziła, że skrobiąc w zeszytach, trwonię czas przeznaczony na modlitwy. Niewiele robię rzeczy, które nie wywołałyby jej sprzeciwu.

— Módl się za nią — powiedział po prostu. — Wreszcie da sobie spokój.

Gabriella kiwnęła głową, zostawiła księdza Joego z siostrą Emanuel i pobiegła do kuchni, gdzie piętrzyły się czekające na zmycie talerze, garnki, rynki i patelnie. Podłoga przypominała pobożowisko. Tym razem siostra Anna była tak zaganiana, że nie dostrzegła wchodzącej Gabrielli, która niezwłocznie podwinęła rękawy i ze zmywakiem w ręku zaatakowała nieprzyjacielskie szafki.

Kiedy wiele godzin później kończyły pracę, starsze siostry komentowały w refektarzu kulinarne sukcesy postulantek i nowicjuszek, ostatni goście dawno rozeszli się do domów, ojciec Joe zaś siedział w swym pokoju na plebanii i z dziwną powagą na twarzy wyglądał przez okno.

ROZDZIAŁ 10

Przez dwa następne miesiące Gabriella zajmowała się tym co zwykle: pilnie wykonywała wszystkie swoje obowiązki, uczestniczyła w mszach świętych, z radosnym entuzjazmem uprawiała ogródek. Od pewnego już czasu pracowała nad nowym opowiadaniem, które było tak długie, iż po przeczytaniu jego części matka Gregoria uznała, że gwałtownie przekształca się w powieść. Siostra Anna chwilowo siedziała spokojnie.

W pierwszej połowie czerwca na Nowy Jork spadł upał, a wtedy starsze zakonnice wyjechały do siostrzanego klasztoru w górach Catskills. Młodsze kontynuowały pracę w Szpitalu Miłosierdzia i szkółce letniej, postulantki zaś i nowicjuszki jak zawsze pozostawały w klasztornych murach; lato nie stanowiło pod tym względem wyjątku. Pozostała również matka Gregoria, aby mieć wszystko na oku. Nie wyjeżdżała na wakacje od niepamiętnych czasów, urlopy zresztą uważała za przywilej należący się tylko osobom bardzo sędziwym.

Na czas pobytu w mieście w klasztorze zamieszkała grupa sióstr misjonek przybyłych z Afryki i Ameryki Południowej; opowiadały tak fascynujące historie, że Gabriella zaczęła się zastanawiać, czyby pewnego dnia nie podążyć ich śladem. Nie chcąc jednak denerwować matki Gregorii, nie wspomniała ani słowem o swoich pomysłach, jak gąbka chłonęła natomiast egzotyczne opowieści, po wyjeździe sióstr misjonek zaś stworzyła na ich kanwie kilka opowiadań. Siostra Emanuel znów zaczęła powtarzać, że są warte publikacji, Gabriella jednak pisała dla samej przyjemności. Twórczość zdawała się w niej coś wyzwać; nigdy nie miała wrażenia, że pisze sama, lecz że jej ręką czyni to jakiś zamieszkały w jej ciele duch. Pisząc — przestawała istnieć, stawała się szybą, przez którą patrzyły czyjeś oczy. Trudno jej było to uczucie nazwać po imieniu i jedyną osobą, z którą o tym mówiła, był ojciec Joe.

Zastał ją pewnego razu w ogrodzie, gdzie gryząc jabłko, gryzmoła z zapamiętaniem. Poprosił, by pozwoliła mu zerknąć na to, co pisze, a kiedy uległa prośbie — był wyraźnie poruszony. Pracowała nad opowiadaniem o dziecku, które po śmierci wróciło na ziemię, aby zwalczać niesprawiedliwość i przynosić ludziom pokój.

— Naprawdę powinnaś to opublikować — uznał, oddając Gabrielli zapisane karteluski. Był mocno opalony, ponieważ, jak wyjaśnił, grywał ostatnio z przyjaciółmi w tenisa na Long Island. Gabrielli natychmiast przypomnieli się rodzice: od dzieciństwa nikt w jej obecności nie mówił o tenisie. Zapewne uprawiali ten sport jej koledzy z uczelni, ale przecież unikała ich towarzystwa i rozmów, myśląc tylko o tym, by po zakończeniu zajęć jak najszybciej wrócić do klasztoru. — Mówię poważnie — dodał, wracając do kwestii pisarstwa Gabrielli. — Masz prawdziwy talent. — Wcale nie mam. Sprawia mi to po prostu przyjemność, ojcze.

To wtedy właśnie powiedziała mu o duchu, który kieruje jej ręką.

— Nic nie potrafię napisać świadomie, wystarczy jednak, że przestanę myśleć i zapomnę o

wszystkim, a tekst pozornie rodzi się sam z siebie.

— Brzmi to trochę niesamowicie — stwierdził z szerokim uśmiechem, dobrze jednak rozumując, o czym mówi Gabriella. — Kto pisze, ten pisze... powinnaś się trzymać tej roboty. A co poza tym? — spytał z zainteresowaniem, jako że był ostatnio na tygodniowym urlopie i odnosił wrażenie, że nie widział Gabrielli od stu lat.

— Wszystko dobrze. Jesteśmy zajęte przygotowaniem pikniku z okazji Czwartego Lipca. Przyjdiesz, ojcze?

Urządzały taki piknik corocznie, matka Gregoria bowiem sprzyjała świątecznym imprezom na dużą skalę. To były zawsze dobre okazje, aby się rozluźnić, spotkać z rodzinami, przyjaciółmi i wszystkimi osobami ważnymi z punktu widzenia społeczności zakonnej. Patrząc na księdza Joego Gabriella odnosiła wrażenie, że ma przed sobą brata albo też kogoś, z kim mimochodem, bez wysiłku, zawiera prawdziwą przyjaźń.

— Czy to oficjalne zaproszenie? — zapytał, czując niemal dokładnie to samo co Gabriella.

— Nie jest ojcze potrzebne — odparła. — Od Świętego Stefana przychodzą wszyscy: księża, sekretarze, ministranci. Będzie również sporo osób ze szpitala i szkoły, paru krewnych i znajomych. Nie wszyscy, rzecz jasna, bo są wakacje.

— Ja przyjdę na pewno. W tym miesiącu mam harować sześć dni w tygodniu. Ocalanie grzeszników to ciężka robota.

— Wspaniale. — Podała mu na dłoni gałązkę mięty i kilka truskawek. — Spróbuj, ojcze. Są niemyte, ale doskonałe.

Zjadł jeden owoc i jak człowiek ogarnięty ekstazą, przewrócił oczyma.

— Fantazja! — stwierdził, a po wyrazie jego twarzy trudno było ocenić, czy ma na myśli truskawkę, czy też Gabriellę. Sprawiał wrażenie autentycznie uradowanego ze spotkania. Potem odprowadził Gabriellę do budynku, oznajmił, że jutro będzie celebrować mszę i że z największą przyjemnością weźmie udział w pikniku.

Nazajutrz spotkali się w konfesjonale, pogawędzili chwilę, Gabriella wyznała swoje nieliczne grzechy i łatwo uzyskała rozgrzeszenie. Kiedy odprawiła pokutę i szykowała się do wyjścia z kaplicy, podszedł do niej ksiądz Joe, który zakończył już spowiadanie.

— Co byś powiedziała, gdybym razem z innymi księżmi zajął się grillem? — zapytał.

Była wniebowzięta, nie znosiła bowiem tej roboty. Dym wciskał się do oczu, habity utrudniały podtrzymywanie żaru. Księżom — którzy zawsze przychodzili na pikniki w dżinsach albo sportowych spodniach — byłoby znacznie łatwiej.

— Spytałem siostrę Emanuel, ale myślę, że przyjmie tę propozycję entuzjastycznie — odparła Gabriella. — Grillowanie naprawdę nie jest naszą specjalnością.

— A co sądzisz o baseballu?

— Słucham? — Nie wiedziała: żartuje czy mówi poważnie? A może po prostu podtrzymywał rozmowę?

— Co sądzisz o rozegraniu małego meczu? Święty Mateusz kontra Święty Stefan. Moglibyśmy również stworzyć drużyny mieszane, jeśli uważasz, że układ sił jest niesprawiedliwy. Ten pomysł przyszedł mi do głowy dziś rano.

— Jest wspaniałe. Urządziłyśmy coś takiego dwa lata temu, ale wtedy grały ze sobą dwie drużyny złożone wyłącznie z sióstr. Było zabawnie.

Popatrzył na nią z udanym oburzeniem.

— To wcale nie jest zabawne, siostrze Bernie. To śmiertelnie poważna sprawa. Święty Stefan ma najbardziej przebojowy zespół w całej archidiecezji. No i co sądzisz?

— Spytałem matkę Gregorię, ojcze. Nie mogę odpowiadać w jej imieniu, ale sądzę, że podpisze się oburącz. Na jakiej ksiądz gra pozycji?

— A jak sobie wyobrażasz? Miotacza, rzecz jasna. To ramię zwerbowało kiedyś do jednej z najlepszych drużyn małej ligi w Ohio.

Nie był to wielki powód do chwały, dowodził jednak, że ksiądz Connors naprawdę lubi baseball, ale traktuje grę z dystansem i poczuciem humoru.

— No i co się stało? Dlaczego nie grasz teraz w pierwszym składzie Jankesów, ojczu?

— Bo Bóg złożył mi lepszą propozycję — odparł, patrząc z uśmiechem na swoją młodą przyjaciółkę, z którą łączyło go tak wiele: żarty, ale również poważne rozmowy o życiu, przeszłości, powołaniu, pisarstwie. Nigdy nie brakło im tematów do rozmowy. — A ty? Gdzie grasz, siostrzyczko?

— Chyba jestem urodzonym pałkarzem — odparła skromnie. — Ale nie miałam okazji tego sprawdzić.

Z oczywistych powodów w dzieciństwie nie uprawiała żadnych sportów, a ostatnimi czasy jedyną formą treningu była praca i przechadzki po ogrodzie.

— Ustawimy cię w głębi pola — oświadczył z przekonaniem i obiecał, że przed wyjściem z klasztoru porozmawia z matką Gregorią.

Uzyskał zgodę i po kilku dniach cały klasztor aż huczał od rozmów o Wielkim Meczu, jak zaczęto nazywać pomysł ojca Connorsa. Zakonnice poszeptywały, chichotały i śmiały się na całe gardło; jedne chwaliły się dawniejszymi umiejętnościami, drugie przyznawały do ich braku, inne wreszcie wyklócały po przyjacielsku o pozycje, na jakich chciałyby zagrać. Humor dopisywał wszystkim. Kiedy nadszedł wielki dzień, przygotowania były dopięte na ostatni guzik, jedzenie — odpowiednie na taką okazję — przyrządzono w oszałamiającej obfitości. Księża od Św. Stefana zgodnie z obietnicą zajęli się grillem, z którego szerokim strumieniem spływały hot dogi, hamburgery, kurczaki, żeberka, frytki i pierwsze tego lata kaczany kukurydzy. Były lody domowego wyrobu i całe góry szarlotki. Jak ujął to jeden z księży: siostry dały się unieść szaleństwu kucharzenia. Wszyscy byli zachwyceni, Czwarty Lipca zresztą był ulubionym, obok Bożego Narodzenia, świętem klasztoru.

Kiedy zapasy żywności zniknęły chociaż częściowo, a ostatni lód na patyku został rozsmarowany na dziecięcej buzi, w centrum uwagi stanął baseball.

Ksiądz Joe, który, co zrozumiałe, został kapitanem zespołu Św. Stefana, zorganizował wszystko profesjonalnie i uczciwie. Poddawszy rzecz pod głosowanie gremium złożonego zarówno z księży, jak i zakonnic, zdecydowano się sformować drużyny mieszane, co gwarantowało bardziej wyrównaną grę. Zgodnie z obietnicą ojciec Joe wziął Gabriellę do drużyny Św. Stefana i ustawił w głębi pola. Nawet siostra Anna wydawała się rozluźniona tego dnia; obstawiała pierwszą bazę w zespole Św. Mateusza. Księża w swych dzinsach i trykotowych koszulkach mieli oczywiście przewagę, ku ogólnemu jednak zaskoczeniu zakonnic, które zsunęły kornety z czół i umocowały je jak się dało, biegały w swych długich habitach niemal równie szybko. Niektóre zdołały nawet wytrzasnąć skądś tenisówki. Ogólny aplauz zyskała sobie siostra Timmie, kiedy weszła ślizgiem na trzecią bazę, nie obnażając nawet nóg, gdy zaś siostra Immaculata zdobyła punkt dla Św. Mateusza, rozległy się wiwaty tak donośne, że wystraszyły młodsze dzieci.

Święty Stefan wygrał jednym punktem, pokonując Świętego Mateusza siedem do sześciu, a mecz celebrowano lemoniadą, piwem i przepyszными cytrynowymi ciasteczkami upieczonymi przez nowicjuszkę. Gabriella w życiu nie bawiła się tak doskonale. Kiedy stojąc na uboczu, popijała lemoniadę i raczyła się ciasteczkiem, ksiądz Joe wyraził uznanie dla jej doskonałej gry.

— Przestań żartować, ojczu — odparła, dogryzając ciasteczko. — Po prostu sterczałam jak kolek, zanosząc modły, żeby piłka nie nadleciała w moją stronę, albo dziękując Bogu, że nie nadlatuje. Bo nie wiem, co bym w takim przypadku zrobiła.

— Zapewne unik — stwierdził kpiarsko. Też bawił się doskonale i ubolewał, że impreza dobiegła końca. Rodziny rozeszły się do domów już wcześniej, księża zaś i zakonnice dojadali w przyklasztornym ogrodzie resztki dań z grilla, których wciąż było sporo.

— Co robiłaś w dzieciństwie podczas świąt Czwartego Lipca? — zapytał swym tak dobrze teraz Gabrielli znanym basem.

W tej chwili mogła skwitować to pytanie jedynie śmiechem.

— Na ogół ukrywałam się w szafie, żywiąc nadzieję, że matka nie znajdzie mnie i nie zabije.

— Szczególny sposób spędzania świąt — uznał z większą niż dotąd powagą w głosie. Ten temat był i już na zawsze miał pozostać bolesny dla Gabrielli.

— Nie miałam wtedy czasu na nic prócz kombinowania, jak się utrzymać przy życiu. Czym są prawdziwe święta, poznałam dopiero tu.

— Ja też — powiedział patrząc na Gabriellę z czułością, która wydała się jej zaskakująca. — W dzieciństwie zawsze jeździłem z kolegami na biwak. Próbowaliśmy z bratem kupować fajerwerki, ale nikt nie chciał ich nam sprzedać.

Popatrzyła na niego stropiona.

— Nigdy mi nie mówiłeś, że masz brata, ojciec. — Istotnie, nie wspomniał o tym ani razu podczas ich czteromiesięcznej znajomości.

Milczał dłuższą chwilę, a potem spojrzał jej w oczy.

— Utonął, kiedy miałem siedem lat. Był dwa lata starszy ode mnie... Wbrew zakazom poszliśmy się kąpać nad rzekę... wpadł w wir. — Miał łzy w oczach, Gabriella więc wyciągnęła rękę, a kiedy dotknęła jego dłoni czubkami palców, odniosła wrażenie, że przepływa przez nie prąd elektryczny.

— Patrzyłem, jak niknie pod wodą po raz pierwszy i nie wiedziałem, co robić... próbowałem znaleźć gałąź, ale było lato, zieleń i nie zdołałem ułamać żadnej, która byłaby odpowiedniej długości. Stałem więc, patrząc, jak niknie drugi, potem trzeci i czwarty raz... potem co sił w nogach pobiegłem po pomoc... ale kiedy wróciłem... — Nie był w stanie kontynuować, Gabriella zaś wiedziała, że nie może przytulić go i uspokoić. — Utonął, kiedyśmy wrócili... Byłem bezradny... nic nie mogłem zrobić, ale czułem, że rodzice winią mnie za jego śmierć. Nigdy nie powiedzieli tego wprost, ale wiedziałem swoje... Miał na imię Jimmy.

— Dlaczego cię winili? To przecież nie była twoja wina, Joe. — Po raz pierwszy, nieświadomie, zwróciła się do niego po imieniu, ale on też tego nie zauważył.

Wahał się długo przed udzieleniem odpowiedzi, a potem wysunął dłoń z ręki Gabrielli, żeby zetrzeć z policzków łzy.

— Błagałem, żeby zabrał mnie nad rzekę, chociaż nie powinienem. Wina leżała po mojej stronie.

— Miałeś siedem lat. Mógł się nie zgodzić.

— Jimmy nigdy mi niczego nie odmówił. Miał kręcka na moim punkcie... a ja na jego. Kiedy umarł, nic nie było już takie jak dawniej. Mama straciła chęć do życia...

Gabriella zastanawiała się, czy to właśnie tłumaczy jej późniejsze samobójstwo tuż po nagłym zgonie męża. Może w jej życiu przepeliła się miarka nieszczęść. Ale skazywanie Joego na los sieroty było okrutne i egoistyczne. Oczywiście nie podzieliła się swymi myślami z Joem.

— Trudno zrozumieć, dlaczego zdarzają się takie rzeczy. Powinniśmy o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

— Nieustannie o nich słyszę — przyznał — chociaż brzemień tragedii nie jest przez to lżejsze ani dla moich wiernych, ani dla mnie. Wciąż za nim tęsknię, Gabbie. I czuję się winny. Ten wypadek położył się cieniem na całym moim dzieciństwie.

Które śmierć rodziców skryła w całkowitym mroku — dopowiedziała w myślach Gabriella. Ale aż za dobrze rozumiała to, co mówi o poczuciu winy.

— Ja też zawsze uważałam się za winną wszystkich niepowodzeń w naszej rodzinie — powiedziała. — Rodzice mnie o tym przekonali. Dlaczego dzieci tak ochoczo przyjmują na swoje barki to straszliwe brzemień? Ty nic nie zrobiłeś, Joe. To nie była twoja wina. Przecież mogłeś utonąć ty, nie on. Niezbadane są wyroki Boskie.

— Kiedyś żałowałem, że nie utonąłem zamiast niego — powiedział cicho i smutno. — Wszyscy za nim przepadałiśmy. Był gwiazdą rodziny, był pierworodny, najlepszy, we wszystkim... Cóż, zobaczymy się pewnego dnia. Często o nim myślę, zwłaszcza w czasie wakacji. Grywaliśmy razem w baseball. Był fantastyczny.

Gabriella pojęła, że ten dziewięcioletni chłopczyk zmarły przed dwudziestu czterema laty był — i wciąż jest — największym bohaterem w oczach swojego brata.

— Współczuję, Joe — wyszeptała, a jej słowa płynęły z największej głębi serca.

— Już dobrze, Gabbie.

W tym momencie podszedł do nich jeden z księży od Świętego Stefana, żeby pogadać o meczu i pogratulować Joemu zwycięstwa.

— Ależ masz rzut, synu — stwierdził z uznaniem, zresztą zgodnie z prawdą, bo ksiądz Connors był

rzeczywiście doskonałym miotaczem.

Po jakimś czasie wszyscy duchowni zaczęli zbierać się do odejścia.

Ksiądz Joe poszedł pożegnać się z Gabriellą, która właśnie stała w rozchichotanym towarzystwie siostr Timmie i Agathy. Wszystkim wciąż dopisywało doskonale samopoczucie.

— Dzięki za rewelacyjną grę, siostrzyczki — powiedział ksiądz Joe jowialnie, a potem, zerkając na Gabriellę, dodał: — I w ogóle za wszystko.

Doskonale rozumiała, co ma na myśli.

— Niech Bóg ma księdza w opiece — odparła cicho.

Oboje potrzebowali w życiu Bożej opieki, ale również daru wybaczenia i tej szczęśliwej chwili, kiedy zagoją się bolesne dotąd rany. Tego właśnie życzyła Joemu najbardziej. Zasługiwał na to, może w większym stopniu niż ona.

— Dziękuję, sestro. Spotkamy się w konfesjonale. Dobrej nocy, siostry. — Pomachał im ręką na pożegnanie i dołączył do pozostałych księży, którzy zaczęli zbierać swój sprzęt.

To był wspaniały dzień, wspaniałe święto, ale wracając w towarzystwie innych postulantek do klasztoru, Gabriella uświadomiła sobie z oszołomieniem, że z wszystkich wrażeń owego dnia najsilniej zapadnie jej w pamięć jedno: chwila, gdy wyciągnęła dłoń i dotknęła palców Joego.

— Mam rację, sestro Bernadette? — wyrwał ją nagle z zadumy głos którejś z siostr. Pograżona w rozmyślaniach, nie usłyszała pytania.

— Przepraszam, sestro... o czym mówiłaś?

Dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że ma kłopoty ze słuchem, zwłaszcza ostatnio, kiedy jej głowę i uszy okrywał kornet, któż zatem mógłby podejrzewać, że po prostu rozmyśla o młodym księdzu i jego dawno zmarłym bracie?

— Powiedziałam, że ciasteczka siostry Marthy były fantastyczne. Muszę wziąć od niej przepis.

— Wyborne — zgodziła się Gabriella, wchodząc po schodach. Jej myśli wciąż krążyły daleko... wokół dwóch chłopców. Tego, który tonął i tego, który bezradnie stał na brzegu rzeki. Pragnęła tylko, by móc cofnąć się w czasie, objąć tego chłopca i ukoić. Wciąż widziała przed sobą przepełnione bezgraniczną rozpaczą oczy ojca Joego — i jednocześnie czuła, jak do jej własnych podchodzą łzy.

Tej nocy mogła się tylko modlić, aby zdołał wreszcie sam sobie udzielić rozgrzeszenia.

Modliła się więc: za mężczyznę, który stał się jej przyjacielem, i za spokój duszy jego brata Jimmy'ego.

ROZDZIAŁ 11

Po pikniku, który stanowił nieustanny temat rozmów i wszedł do historii klasztoru, Gabriella nie widziała księdza Joego przez kilka dni. Kiedy się wreszcie spotkali, był, rzecz zdumiewająca wobec podniecenia i entuzjazmu wszystkich siostr, zgaszony i niezbyt przyjazny. Ba, sprawiał wrażenie oziębłego i — Gabriella długo szukała słowa, które określiłoby jego nastrój podczas krótkiej rozmowy — zrzędliwego. Nie miała pojęcia, czy zirytowała go w jakiś sposób, czy też miał po prostu zły dzień albo jakieś problemy na głowie. Może, pomyślała, żałuje, iż opowiedział jej o Jimmym.

Mimo doznawanej pokusy lękała się spytać go o powody złego samopoczucia. Był kapłanem i człowiekiem dziesięć lat od niej starszym, a chociaż nigdy nie dawał po sobie poznać, że ma to jakiegokolwiek znaczenie, wprawiał Gabriellę w onieśmienie. Nie potrafiła zatem pojąć, dlaczego jego nastrój uległ od świątecznego pikniku tak radykalnej zmianie.

Wysłuchał jej spowiedzi z takim roztargnieniem, że miała wątpliwości, czy usłyszał choć jedno słowo. Jako pokutę zadał dwie „Zdrowaś Mario”, tuzin — co także było niezwykle

— „Ojczy nasz”, dodając do tego w ostatniej chwili pięć aktów skruchy. W końcu Gabriella nie mogła dłużej wytrzymać i tuż przed odejściem od konfesjonału wyszeptła w mrok:

— Dobrze się czujesz?

— Doskonale — odparł tak szorstko, że straciła ochotę do dalszej rozmowy. Najwyraźniej stało się coś niedobrego

— może pokłócił się z innym księdzem albo został skarcony

przez przełożonego. Po wielu latach spędzonych w klasztorze wiedziała dobrze, iż życie kleru nie jest wolne od uwikłań politycznych.

Po zakończeniu spowiedzi i odprawieniu pokuty Gabriella niezwłocznie zajęła się zadaniem zleconym jej przez matkę Emanuel: miała odnaleźć zestaw ksiąg rejestrowych, które zniknęły jak złoty sen. Ostatnio widziano je w nie wykorzystywanym teraz pomieszczeniu biurowym przy końcu korytarza. Gabriella pochylała się właśnie nad jednym z wielu zalegających pokój pudeł, kiedy usłyszała za drzwiami kroki; oddaliły się, ucichły nagle, a potem znowu zaczęły przybliżać. Nawet nie podniosła głowy, zajęta poszukiwaniami — w końcu wykonywała tylko polecenie przełożonej. To nie mogła być zakonnica, siostry bowiem stąpały bezszelestnie; tylko mężczyzna mógł kroczyć tak donośnie po kamiennych płytach. W pewnej chwili Gabriella poczuła na sobie czyjś wzrok, wyprostowała się więc, odwróciła i stwierdziła z zaskoczeniem, że w drzwiach stoi ksiądz Joe. Obserwował ją z wyrazem udręki na twarzy.

— Cześć — powiedziała cicho. Jego obecność w tej części klasztoru nie była czymś niezwykłym, wychodząc bowiem z kościoła, miał do wyboru dwie drogi: tę albo drugą, nieco krótszą, przez centralny dziedziniec. Na ogół, rzecz jasna, korzystał z drugiej. — Czy coś się stało?

Pokręcił głową, ale temu gestowi przeczył wyraz jego niebieskich oczu.

— Wyglądasz na zmartwionego.

Nie odpowiedział od razu. Nie spuszczał oczu z Gabrielli, wszedł do środka. Gabrielli przebiegła przez głowę myśl, że w pobliżu nie ma żywej duszy, bo ta część budynku nie była praktycznie wykorzystywana.

— Mam problemy — rzekł w końcu. Nie wiedział, od czego zacząć, jak ująć w słowa to, co myślał i czuł.

— Czy spotkały cię jakieś nieprzyjemności? — zapytała w taki sposób, jakby zwracała się do dziecka. Bo miał teraz w sobie coś z dziecka, coś chłopięcego czy młodzieńczego. No i sprawiał wrażenie bardzo, ale to bardzo zaniepokojonego. Chciała spytać, czy może w szkole spotkały go jakieś przykrości, ale nie wyglądał w tej chwili — po raz pierwszy, odkąd się poznali — na skłonnego do żartów.

Podniósł jedną z poniewierających się na podłodze ksiąg.

— Co tu robisz, Gabbie? — zapytał. Zwrócił się do niej „Gabbie” nie zaś „Gabriello” czy „siostrze Bernie”, a zatem ich stosunki nie uległy zmianie. Wyczytała to również w jego spojrzeniu: był ciągle jej przyjacielem czy też, jak lubiła go postrzegać, kimś w rodzaju brata.

— Siostra Emanuel kazała mi poszukać zagubionych rejestrów. Pomyślałam, że tu mogę je znaleźć. Grzebanie w starych pudłach było brudną robotą, habit Gabrielli był więc w tej chwili trochę zmięty i przykurzony. Ale wyglądała w nim śliczniej niż zwykle. Ksiądz Joe wyjął książki z rąk Gabrielli i odłożył je na biurko.

— Myślałem o tobie — powiedział ze smutkiem. Nie wiedziała, do czego zmierza, jednak ani w jego zachowaniu, ani w tonacji głosu nie było nic złowróbnego. — Aż za dużo...

— Żałujesz, że powiedziałeś mi o Jimmym? — zapytała. Jej cichy głos był jak pieszczota. Zamknął oczy, pokręcił głową i bez słowa ujął jej dłoń.

Odezwał się i otworzył oczy dopiero po długiej chwili.

— Oczywiście, że nie żałuję, Gabbie. Jesteś moją przyjaciółką. Wiele myślałem o... o rozmaitych sprawach... o tobie... o sobie... o losach, które przywiodły nas w to samo miejsce, o ludziach, którzy nas skrzywdzili... o tych, którychśmy kochali i stracili. — Przyszło jej do głowy, że rachunek miłości i strat Joego jest większy. Ona nie miała nawet pewności, czy przed przyjściem do klasztoru w ogóle wiedziała, co to miłość. — Życie, jakie prowadzimy, jest ogromnie ważne dla nas obojga, prawda? — Zapytał, jakby rozpaczliwie poszukiwał odpowiedzi na pytanie, którego sam nie miał odwagi zadać.

— Oczywiście, że tak. Sam o tym wiesz.

— Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby mu zagrozić... co by je zniszczyło... zepsuło... W żadnym razie tego nie chcę.

Wciąż nie miała pojęcia, co mu leży na sercu. Nigdy dotąd nie była sama z mężczyzną.

— Ależ nie zrobiłeś nic takiego, Joe. Żadne z nas nie zrobiło nic złego.

To wypowiedziane z niewzruszoną prostotą zapewnienie odczuł jak nóż wbity w serce. I wtedy wyspowiadał się przed nią tak, jak wielokrotnie przedtem ona spowiadała się przed nim.

— Ja zrobiłem.

— Skądże, Joe. — Przynajmniej ona nie wiedziała o żadnym jego występku.

— Miałem niebezpieczne myśli. — odparł. W tej chwili nie mógł zbliżyć się bardziej do prawdy o swoich uczuciach.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała, otwierając szeroko oczy i duszę. Nieświadomie przysunęła się do niego bliżej, bo magnetyzm, który już od pewnego czasu przyciągał ich do siebie, zaczynał w tym momencie nabierać nieodpartej mocy.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć... jak określić... — Miał łzy w oczach, delikatnie więc musnęła dłonią jego twarz. — Kocham cię, Gabbie— wyrzucił wreszcie, nie mogąc dłużej tłumić tego w sobie.— Nie wiem, co ci powiedzieć ani co z tym zrobić... Nie chcę cię skrzywdzić, zniszczyć twego życia... Powiedz tylko, że też tego nie chcesz, to zniknę stąd... z parafii Św. Stefana... już na zawsze. Zamierzam poprosić księdza arcybiskupa o przeniesienie.

— Nie możesz tego zrobić — wyszeptwała ze zgrozą. Taka możliwość przerażała ją jeszcze bardziej niż to, co powiedział. Był jej przyjacielem. — Nie możesz odejść.

— Muszę. Nie mogę pozostawać tu, w pobliżu ciebie. To doprowadza mnie do szaleństwa... Och, Gabbie... — Urwał i przyciągnął ją do siebie, a ona pogrążyła twarz w tkaninie okrywającej jego potężną pierś. Nigdy nie czuła się bardziej bezpieczna. — Tak cię kocham... Chcę z tobą być w każdej sekundzie... rozmawiać z tobą... tulić... opiekować się tobą... Pragnę z tobą pozostać na zawsze... ale jak to zrobić? Wariowałem przez cztery minione dni. Tak strasznie cię kocham. Kiedy podniosła wzrok na jego udreconą twarz, miała w oczach łzy — łzy żalu, bólu i pragnienia. — Ja też cię kocham, Joe... Nie byłam dotąd pewna, co czuję... Chyba wiedziałam, że to występne... myślałam, że

moglibyśmy pozostać przyjaciółmi — odparła Gabriella, szczęśliwa i porażona zarazem.

— Może kiedyś zostaniemy przyjaciółmi, ale nie teraz... jeszcze nie... Nasze miejsce jest tu i nie mogę cię prosić o opuszczenie klasztoru. Sam zresztą nie wiem, co zrobić.

Jego udreka, wyrzuty sumienia, niepewność sprawiły nagle, że Gabriella wszystko ujrzała wyraźniej. Objęła go więc, przytuliła i wyszeptwała czule:

— Nie mów nic więcej... psst... musimy się pomodlić... już dobrze, Joe... kocham cię.

To ona była silniejsza z nich dwojga, to on rozpaczliwie jej potrzebował, kiedy więc poczuł, jak spływa nań cała moc Gabrielli, całe ciepło jej miłości, przyciągnął ją do siebie bez słowa i zaczął okrywać pocałunkami. Tej chwili, kiedy zderzyły się ze sobą dwa światy, a jeden krótki moment odmienił na zawsze dwa ludzkie żywoty, żadne z nich miało nie zapomnieć.

— Mój Boże... Gabbie... jakże cię kocham — szeptał, rad z uczynionego wyznania. Po udrejkach minionego tygodnia niczego nie żałował.

— Ja też cię kocham — odparła z pewnością, odwagą i dojrzałością, jakiej nie miała w sobie jeszcze kilka chwil temu. To, co robili, było ryzykowne; gra, jaką muszą podjąć, będzie śmiertelnie niebezpieczna. — Ale co teraz?

Usiedli obok siebie na skraju starego biurka.

— Nie wiem — odrzekł szczerze. — Oboje potrzebujemy czasu, żeby się z tym wszystkim uporać. Ale już w tej chwili każde z nich rozumiało dobrze, iż jeśli posuną się za daleko, nie będą mieli odwrotu. W tej chwili nie było jeszcze za późno. Przypominali Adama i Ewę, którzy spoglądają niepewnie na trzymane w dłoniach wciąż nie tknięte jabłko. Pokusa jednak będzie narastać; jeśli postąpią nierozważnie nawzajem zniszczą sobie życie. Byłaby to straszna odpowiedzialność dla obojga.

Joe przyciągnął Gabriellę do siebie i pocałował jeszcze raz.

— Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać? — zapytał. — Wypilibyśmy kawę albo poszli na spacer. Na prawdziwym świecie, pośród prawdziwych ludzi. Musimy pobyć ze sobą sam na sam, choćby po to, żeby porozmawiać.

— No, nie wiem — odparła z zadumą. — Będzie trudno. Postulantki zwykle nie wychodzą z klasztoru.

— Zgoda, ale twoja sytuacja jest inna. Siostry traktują cię jak córkę, przecież spędziłaś w klasztorze prawie całe życie. Zaproponuj, że załatwisz na mieście jakąś sprawę. Spotkamy się, gdzie tylko zechcesz.

— Zastanowię się nad tym dziś wieczorem.

Drżała w jego ramionach. Nagle, w przeciagu zaledwie pół godziny, jej świat wywrócił się do góry nogami. Ale nie walczyła z tym. Wiedziała, że jeszcze może się cofnąć, a jednak nie cofnęłaby się za żadną cenę. Pragnęła być z Joem, pragnęła tego silniej niż czegokolwiek w życiu. I w pewnej chwili spłynęło na nią olśnienie, że siostra Anna miała słusność. Powiedziała o tym Joemu.

— Może więc jest bardziej przenikliwa niż którekolwiek z nas — odrzekł. — Daję słowo, że to spadło na mnie jak grom z jasnego nieba.

Nigdy dotąd nie był związany z kobietą, Gabriella zaś właściwie nie знаła żadnych mężczyzn. Nie umawiała się z nimi, nie flirtowała i nawet podczas studiów omijała szerokim łukiem. Sercem, stylem życia i zachowaniem już od dzieciństwa była zakonnicą. I oto nagle, w okamgnieniu, wszystko uległo zmianie. Stała się kobietą, i to kobietą głęboko zakochaną.

— Poproszono mnie, abym odprawiał u was msze codziennie — podjął. Istotnie, ksiądz Peter, który dotąd był drugim duszpasterzem klasztoru, nie czuł się ostatnio dobrze, a ponadto miał nazbyt wiele obowiązków w parafii, stwierdziwszy zatem, że ksiądz Joe dobrze dogaduje się z siostrami, złożył na jego barki cały ciężar posług kapłańskich w zakonie. — Tak więc jutro rano będziesz mogła powiedzieć, co wymyśliłaś.

— To może potrwać nawet parę dni — odparła z figlarnym uśmiechem i była w tym momencie tak pociągająca, że zapragnął zdjąć jej kornet, wtulić twarz w wycierające spod niego złociste włosy, całować tak długo, aż obojgu zabraknie powietrza. Świadom, że lada chwila będą musieli się rozstać, pragnął zarazem zatrzymać ją na zawsze, choćby w tym zakurzonej pokoju.

— Chyba zacznę spowiadać tu dwa razy dziennie — stwierdził. A potem, powodowani tą samą magnetyczną siłą, pocałowali się jeszcze raz, z większą niż przedtem namiętnością.

— Kocham cię — wyszeptala, pragnąc go mocniej, niż ośmielała się przed sobą przyznać.

— Ja też cię kocham. Ale powinnaś już iść — odparł.

— Zobaczmy się jutro. Ciężko mi się z tobą rozstawać...

— Mam nadzieję. Będziemy mogli spotkać się w tym miejscu. Nikt tu nie przychodzi, a wiem, gdzie siostra Emanuel trzyma klucze.

— Bądź ostrożna — ostrzegł. — Nie popełniaj żadnych szaleństw.

W jego głosie brzmiała taka powaga, że Gabriella wybuchła śmiechem.

— I kto to mówi! Czy potrafisz wyobrazić sobie jeszcze większe szaleństwo?

Mógł; jeśli spotkaliby się poza murami klasztoru...

— Czy jesteś zła, że ci powiedziałem, Gabbie? — zapytał z nagłym niepokojem, wstając z biurka. Decydując się wyznać Gabrielli miłość, podjął ogromne ryzyko, a teraz narażał na niebezpieczeństwo ich oboje.

— Jakże mogłabym się na ciebie złościć, Joe? Kocham cię

— odparła. Uśmiechnęła się wstydliwie. — Cieszę się, że mi powiedziałeś.

Z wielu względów jednak jej sytuacja była łatwiejsza: jako postulanka — a więc jeszcze nie nowicjuszka — Gabriella nie złożyła ślubów zakonnych i miała otwartą drogę odwrotu. Joe był księdzem od sześciu lat, rzucał więc na szalę całe swoje życie.

— Nie mam pojęcia, jak powinniśmy postąpić, Gabbie

— powiedział z troską — i nie wiem nawet, czy zdołam zapewnić ci byt.

— Pożyjemy, zobaczymy. Jest za wcześnie, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz pamiętaj tylko, że cię kocham.

— Niczego innego nie pragnąłem usłyszeć. Tak się bałem, że mnie odepchniesz... — pocałował palce, którymi musnęła jego wargi — ...I nie zapomnij, jak bardzo cię kocham.

Oderwał się od niej najwyższym wysiłkiem woli, jeszcze na chwilę przystanął w drzwiach, a potem zniknął.

Długo słyszała słabnące echo jego kroków. Wciąż nie ogarniała umysłem tego, co się stało, nie była pewna, czy wkroczyli na drogę wiodącą ku szczęściu, czy też' wprost w paszczę smoka.

Zastanawiała się, jak długo zdołają zachować w tajemnicy swój związek... bo powinni, przynajmniej do chwili gdy podejmą decyzję dotyczącą przyszłości. Jej sytuacja była wysoce dwuznaczna, ale to Joe podejmował najwyższe ryzyko.

Przekopała się przez resztę zakurzonych kartonów i wreszcie znalazła jeden rejestr: dość żeby usatysfakcjonować siostrę Emanuel na dziś i mieć wystarczający pretekst do powrotu. Bo to zapomniane pomieszczenie było, przynajmniej chwilowo, dobrym miejscem schadzek. Gabriella starannie zamknęła drzwi, a kiedy ruszyła na poszukiwanie siostry Emanuel, miała wrażenie, że porusza się w narkotycznym oszołomieniu. Kochał ją... całował... pragnął z nią być. Jeszcze nie wchłonęła tego w siebie, jeszcze nie rozumiała.

Ale uśmiechała się na wspomnienie jego słów, kiedy dołączała do innych siostr, jej uśmiechu zaś — tak innego od zwykłych uśmiechów — nie dostrzegł i nie zrozumiał nikt prócz siostry Anny.

ROZDZIAŁ 12

Nazajutrz rano Gabriella ustawiła się w kolejce do spowiedzi. W przeciwieństwie do wciąż zaspanych sióstr była zupełnie rozbudzona, tego dnia bowiem wstała już o trzeciej. Od tej chwili nieustannie zadawała sobie pytanie, czy wszystko, co zdarzyło się wczoraj, nie jest tylko tworem jej wyobraźni, czy Joe nie żałuje momentu słabości, czy wreszcie nie oświadczy, że odzyskał rozsądek i nie chce już jej widzieć. Kiedy wreszcie podchodziła do konfesjonału po zakończeniu spowiedzi przez jedną z najstarszych zakonnice w klasztorze, miała na twarzy wyraz przerażenia.

Natychmiast rozpoznał jej głos i otworzył kratkę, a ona dostrzegła w mroku kontur jego głowy.

— Kocham cię, Gabbie — wyszeptał tak cicho, że ledwie zdołała ułoić jego słowa.

Wydała z siebie westchnienie ulgi.

— Bałam się, że zmienisz zdanie — odparła.

— A ja obawiałem się, że ty je zmienisz.

Pocałował ją przez maleńkie okienko, a potem, po chwili milczenia, zapytał, czy spotka się z nim poza murami klasztoru.

— Być może. Jutro odwozimy pocztę... Zwykle zajmuje się tym inna siostra, ale kilkakrotnie ją wyręczałam. Mogę zgłosić się i tym razem. Ale nic nie będę wiedzieć do ostatniej chwili.

— Łap mnie telefonicznie w kościele. Powiedz, że jesteś sekretarką mojego dentysty i dzwonicz w sprawie przełożenia

wizyty. Podaj tylko czas i miejsce. Na którą pocztę zwykle jeździcie?

Odpowiedziała mu, a on odparł, że będzie czekał na telefon.

— A jeśli akurat gdzieś wyjedziesz? — zapytała z niepokojem.

— Nigdzie nie wyjadę. Mam ostatnio masę papierkowej roboty i na plebanii załatwiam sprawy parafian. Na pewno mnie zastaniesz i będę mógł wyskoczyć w każdej chwili. Tylko się postaraj.

— Kocham cię — wyszeptała.

— Ja też cię kocham.

Byli współnikami i pragnęli jedynie ze sobą być, choćby przez krótki moment — bez względu na cenę, jaką przyjdzie im zapłacić. Oboje spędzili bezsenną noc, rozmyślając o spotkaniu w pustym pokoju biurowym i oboje doszli do wniosku, że postępują właściwie. Nie mieli żadnych wątpliwości.

— Zmów tyle zdrowasiek, ile zechcesz. I módl się za mnie, Gabbie, naprawdę. Modlitwa jest nam obojgu bardzo potrzebna. Ja będę modlić się za ciebie. I zadzwoń, kiedy tylko będziesz mogła.

— Jeśli nie, zobaczymy się tu jutro rano.

Odeszła od konfesjonału z nabożnie opuszczoną głową, mając nadzieję, że nikt nie zobaczy podniecenia w jej oczach. Dziękowała Bogu, że matka Gregoria była wczoraj zaganiana i nie miała czasu, by zamienić z nią kilka słów. Przełożona знаła ją tak dobrze, że mogłaby się czegoś domyślić.

Patrzyła nań innymi oczyma, kiedy tego ranka odprawiał mszę; nie był już daleki i tajemniczy, stał się nagle po prostu mężczyzną. To napawało ją lekkim strachem, który narastał gwałtownie, ilekroć rozmyślała zbyt intensywnie. Ale teraz nie mogła się cofnąć, a zresztą wcale nie miała na to ochoty.

Pragnęła jego pocałunku i uścisku mocnych ramion.

Wyszła z kościoła wraz ze wszystkimi zakonnicami, rada, że praca w ogrodzie wypełni jej czas i pozwoli pozostać z dala od wścibskich oczu. Przy śniadaniu napomknęła siostrze Emanuel, że w razie potrzeby mogłaby pomóc przy odwożeniu korespondencji, bo nie jest dziś zbyt zajęta.

— Bóg zapłać za dobre chęci, siostrzo Bernadette, ale listów nie jest zbyt wiele. Może innym razem. Koniec końców ten tydzień okazał się dla obojga bardzo stresujący, bo Gabrielli nie przytrafiła się żadna okazja, aby choć na krótko opuścić mury klasztoru. Niemniej świadomi ponoszonego ryzyka, dwukrotnie spotkali się w pustym pokoju. Gabriella odnalazła resztę rejestrów, ale schowała je ponownie, aby mieć pretekst do kontynuowania poszukiwań.

Zamykali drzwi, obejmowali się, całowali albo siedząc na podłodze rozmawiali szeptem o swoim życiu. Żadne z nich nie miało jeszcze jasności, jak postąpi. Joe pragnął na razie tylko kilku chwil, kiedy będą mogli zachowywać się jak zwyczajni ludzie — porozmawiać bez obaw albo trzymając się za ręce pospacerować ulicą lub po parku. Nawet wtedy jednak musieliby zachowywać ostrożność. Coś, co dla „zwyczajnych ludzi” stanowi najnaturalniejszą rzecz pod słońcem, oni musieli postrzegać jako wyjątkowy dar losu.

Okazja przytrafiła się dokładnie tydzień po pierwszym wyznaniu Joego.

Najzupełniej niespodziewanie siostra Immaculata wręczyła Gabrielli kluczyki od samochodu dostawczego i oznajmiła, że trzeba odebrać z miasta materiał na habity, który przysłano do magazynu przy Delancey Street. Gabriella знаła to miejsce, bo kilkakrotnie w nim była. A przy okazji, dodała siostra Immaculata, będzie do załatwienia parę innych spraw. Program był napięty, Gabriella wszakże doszła do wniosku, że jeśli się pośpieszy, zdoła wygospodarować kilka chwil dla Joego.

Kiedy odbierała kluczyki, listę spraw do załatwienia i pieniądze w kopercie, miała nadzieję, że nikt się nie zorientuje, jak bardzo drżą jej dłonie. Dla zachowania pozorów odczekała jeszcze kilka chwil, a wreszcie ruszyła ku wejściu, machając na pożegnanie matce Gregorii, która — jak zawsze — odpowiedziała jej uśmiechem. Przełożona była rada z doskonałego samopoczucia podopiecznej: Gabriella świetnie wywiązywała się ze swoich obowiązków ogrodniczki, decyzja o wstąpieniu do zakonu była najwyraźniej słuszną, no i — jak sądziła matka Gregoria — dziewczyna wciąż ma czas, aby zajmować się pisaniem.

Samochód stał przy samym wejściu; Gabriella włączyła się do ruchu, ostro dodała gazu, skręciła za róg i po przejechaniu dwóch zaledwie przecznic zatrzymała się obok budki telefonicznej. Znow drżały jej ręce, kiedy wykręcała podany przez Joego numer. Gdy po trzecim sygnale odebrał młody wikariusz, oświadczyła — zgodnie z instrukcjami Joego — że jest sekretarką dentysty księdza Connorsa i zapytała, czy jest możliwe, aby ksiądz wpadł do gabinetu dziś przed południem, ponieważ jeden z pacjentów odwołał wizytę.

— Przykro mi — odparł uprzejmie wikariusz, przygotowując Gabriellę o palpitację serca — ale ksiądz chyba już nie ma. Kilka minut temu widziałem, że szykował się do wyjścia. Sprawdzę jednak, jeśli zechce pani poczekać.

Długo czekała ze słuchawką przyciśniętą do ucha, ubolewając w duchu, że nie wyjechała z klasztoru pół godziny wcześniej. Przez krótki moment zastanawiała się nawet, czy nie powinna zacząć odczuwać wyrzutów sumienia, czy oto Bóg nie daje jej znać, że postępuje źle. Wiele rozmawiała z Joem o konsekwencjach ich ewentualnego odejścia z Kościoła i zdawała sobie sprawę, że byłby to uczynek naganny, wciąż jednak nie doznawała najmniejszego poczucia winy. To wszystko było jeszcze zbyt nowe, zbyt podniecające... jeszcze tak naprawdę nie spędzili ze sobą ani chwili. Może wszystko zakończy się fiaskiem, może oprzytomnieją, zanim będzie za późno... ale wtedy zostaną im wspomnienia owych wykradzonych życiu sekund czy dni miłości, jaka ich połączyła. Za nic nie zrezygnowałyby teraz z takiego skarbu. Na pokutę, na odpłacenie Bogu wszelkich swoich win miała nieskończenie wiele czasu.

Gabriella omal nie wykrzyknęła z radości, kiedy zdyszany wikariusz oświadczył, że zdołał złapać księdza Joego, który za kilka chwil podejdzie do telefonu.

Kiedy zaraz potem Joe podniósł słuchawkę, odniosła wrażenie, iż on również przebiegł przed

chwilą spory dystans. Co zresztą było prawdą.

— Gdzie jesteś? — zapytał, uśmiechając się szeroko do aparatu. Tracił już nadzieję, że kiedykolwiek nadejdzie ten wytęskniony moment.

— Przecznicę od klasztoru. Mam załatwić kilka różnych spraw i przypuszczalnie trochę to potrwa. Nikt dokładnie nie wie, jak długo — odparła.

— Mógłbym ci towarzyszyć? A może to nazbyt ryzykowne? Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy spotkali się później? Gdzie musisz pojechać?

— Najpierw na Delancey Street, a później do kilku sklepów, które dają nam rabat.

— No więc może Washington Square Park? Tam na pewno nikt nas nie pozna. Albo Bryant Park za biblioteką?

Zawsze lubił to miejsce mimo dwóch jego plag: pijaczków i gołębi.

Zdecydowali się spotkać za godzinę w Washington Square Park; w ten sposób Gabriella mogła spokojnie odebrać materiał, a przy odrobinie pośpiechu załatwić również inne zlecenia.

— A więc do zobaczenia o dziesiątej — powiedział Joe. — I... Gabbie... dziękuję, że to robisz, najdroższa. Kocham cię.

Nikt dotąd nie zwrócił się do niej w taki sposób i takim tonem.

— Ja też cię kocham, Joe — odparła szeptem, jakby obawiając się, że ktoś może ich podsłuchać; dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jest w budce sama.

— Załatw sprawy i zobaczymy się za godzinę.

W magazynie szybko uporano się z załadunkiem wielkich bel materiału — na jeden habit wychodziło pięć jardów tkaniny, w klasztorze było dwieście sióstr, choć więc w samochodzie nie zostało praktycznie ani trochę wolnego miejsca, dzisiejszy transport załatwiał tylko część potrzeb zakonu. Z resztą zleceń Gabriella uporowała się w rekordowym czasie i już pięć po dziesiątej wjechała w Szóstą Aleję i skręciła w stronę parku, który przywiódł jej na pamięć oglądane kiedyś na pocztówkach widoki Paryża. Joe już czekał. Znalazła miejsce parkingowe, zamknęła samochód, a potem, tknięta nagłą myślą, otworzyła raz jeszcze, zdjęła kornet i położyła go na przednim siedzeniu. Nie patrząc nawet w lusterko, przeczesła palcami włosy, ponownie zamknęła wóz i pobięła na

spotkanie Joego. Dziękowała Bogu, że wciąż ma na sobie krótki prosty habit postulanki i miała nadzieję, że wygląda w nim po prostu jak zwykła dziewczyna w czarnej sukience; w długim habicie nowicjuszeki nie miałyby na to żadnej szansy. Kiedy roześmiana podbiegła do Joego, bez słowa przytulił ją do siebie i pocałował. Zdjął koloratkę i marynarkę, w czarnych spodniach więc i takież koszuli z krótkim rękawem wcale nie wyglądał na duchownego.

— Jakże się cieszę, żeśmy się spotkali — wyrzucił z siebie, kiedy powoli ruszyli ramię przy ramieniu. Otaczał ich świat pełen kolorów i życia: dzieci biegały z balonikami, zakochani siedzieli na ławkach, trzymając się za ręce, starsi panowie grali w szachy, a baldachim gałęzi łagodził ostry blask letniego słońca. Joe kupił Gabrielli lody, a potem — uśmiechnięci, trzymając się za ręce — usiedli na ławce. Ta chwila była dla obojga jak sen, a chociaż wiedzieli, iż ów sen może łatwo przerodzić się w koszmar, nie chcieli o tym myśleć.

— Dziękuję, że przyszedłeś — powiedział z wdzięcznością, doskonale zdając sobie sprawę, ile wysiłku musiało kosztować Gabriellę wyrwanie się z klasztoru. Ten moment, wyczekiwany od tak dawna i tak ulotny, był przez to w dwójnasób cenny, nie tracąc więc ani sekundy, zaczęli rozmawiać ze sobą o wszystkim, co przychodziło im do głowy, dzielić się tyłoma myślami, ile mogli ubrać w słowa. Joe oczywiście pragnął się dowiedzieć, kiedy będą mogli spotkać się ponownie, Gabriella zaś nie miała o tym pojęcia, skoro fakt, iż siedzą ze sobą w parku, wolni, wśród zwykłych ludzi, zakrawał w jej oczach na cud. Cud, wobec którego ich ukradkowe spotkania w klasztorze były jak okruchy rzucane żebrakom.

— Zobaczą, co da się zrobić. Zapewne matka Emanuel zleci mi znowu załatwianie jakichś spraw. Dopóki będę załatwiać je dobrze i wracać o rozsądnej godzinie, nikt nie powinien mieć zastrzeżeń. Siostry zawsze były wobec Gabrielli niezwykle tolerancyjne, za co zresztą odpłacała z nawiązką, zawsze gotowa robić to, co jej zleca, a nawet więcej niż od niej wymagano. Nie istniały powody, by taki stan rzeczy miał teraz ulec zmianie; Gabriella dzieliła z innymi postulankami wszystkie

powinności i chociaż przez cały miniony tydzień nie napisała ani słowa, przepracowała w ogrodzie wiele długich godzin.

— Chętnie poszedłbym z tobą do Central Parku albo pospacerował nad rzeką — powiedział tęsknie Joe, wymieniając zaledwie dwie z nieskończonej listy rzeczy, na jakie miałby ochotę.

O wpół do dwunastej odprowadził ją do samochodu: spędzone wspólnie krótkie chwile były tak wypełnione treścią, iż oboje odnosili wrażenie, że przegadali ze sobą wiele godzin. To spotkanie spełniło wszelkie ich oczekiwania i nadzieje, już w tej chwili więc nie mogli doczekać się następnego. Świadomi ryzyka, jakie będzie ze sobą niosło, byli chętni ryzyko takie ponieść. Nie mieli już odwrotu. Pocałował ją po raz ostatni, a potem przytulił z taką mocą, że, spłoszona zrazu, poczuła, iż topnieje w jego ramionach.

— Uważaj na siebie, Gabbie. Bądź ostrożna. Nic nikomu nie mów — ostrzegął całkiem niepotrzebnie.

— Nawet siostrze Annie? — zapytała żartobliwie, wywołując uśmiech na jego twarzy.

Jakże pragnęłyby zatrzymać ją przy sobie albo chociaż zadzwonić do niej jeszcze dziś wieczorem. Jakże pragnął robić to wszystko, co robią zakochani mężczyźni! Mając trzydzieści jeden lat, nigdy nie kochał żadnej kobiety, nie pozwalał sobie nawet myśleć o miłości, całą siłą woli odpychał od siebie fantazje, które w tej chwili prześladowały go nieustannie. Raz obruszonej lawiny uczuć nie umiał i nie chciał powstrzymać.

Kiedy stojąc przy samochodzie patrzył, jak nakłada kornet, wydała mu się z tymi swoimi wielkimi niebieskimi oczyma tak piękna i dziewczęca, że zapragnął uciec z nią już teraz, bez chwili namysłu. Ale powiedział tylko powściągliwie:

— Spotkamy się jutro w konfesjonale. — A potem, z nadzieją w głosie, zapytał: — Masz jeszcze klucze do tego pustego pokoju?

— Wiem, gdzie je znaleźć.

Spotkania w opuszczonym biurze były niebezpieczne, ale lepsze niż ukradkowe szepty podczas spowiedzi.

Pocałowali się jeszcze raz, Gabriella pomachała Joemu ręką na pożegnanie i ruszyła przez miasto z największą dozwoloną prędkością; bez przeszkód dotarła do klasztoru, gdzie z pomocą innej postulantki rozładowała samochód. Bele tkaniny były ciężkie, ale po chwilach spędzonych z Joem Gabriella czuła się znacznie silniejsza niż zwykle.

Zjadła lunch z pozostałymi siostrami, kilka godzin przepracowała w ogrodzie, a po kolacji i wieczornej modlitwie wzięła się za pisanie. Wtedy odwiedziła ją matka Gregoria. Przełożona, która od dość dawna nie rozmawiała z podopieczną, stwierdziła z zadowoleniem, że Gabriella wygląda i czuje się doskonale, co potwierdzało wyrażaną przez siostry opinię, iż decyzja młodej kobiety o wstąpieniu do zakonu wydaje się jak najbardziej słuszną. Gabriella natomiast po raz pierwszy poczuła wyrzuty sumienia, uświadamiając sobie, jakie straszne rozczarowanie sprawi matce Gregorii, jak okrutny cios jej zada. A przecież wiedziała, iż nie może się cofnąć, pragnęła bowiem tylko jednego: być z Joem Connorem.

Nazajutrz rozmawiała z nim w konfesjonale, a potem spotkali się w pustym pokoju, który jednak, po zieleni, powietrzu i barwach Washington Square Park, wydawał się ciasny i duszny. Chwilowo nie rysowały się żadne możliwości wyjścia na miasto i dopiero po dwóch tygodniach, które doprowadziły oboje niemal do szaleństwa, Gabriella znalazła okazję, by wymknąć się z klasztoru. Tym razem spotkali się w Central Parku; okrążyli sadzawkę, po której pływały modele zdalnie sterowanych statków, później zaś ruszyli niespiesznie aleją obrzeżoną soczyście zielonymi drzewami. Gdzieś w dali grała orkiestra dęta. Jak zawsze kiedy byli ze sobą, Gabriella odnosiła wrażenie, iż w jednej krótkiej godzinie zawierają się przeżycia wielu miesięcy, choć przeczył temu brutalny fakt, iż pragnąc powiedzieć sobie tak wiele, mieli do dyspozycji zbyt mało czasu.

Kilka dni później znów zdołali się spotkać w Central Parku. Tym razem legli na trawie w cieniu drzew, Joe położył głowę na kolanach Gabrielli, ona zaś gładziła go po włosach, słuchając jego zwierzeń. Kiedy wracali do samochodów, znów kupił jej lody.

Tyle jeszcze spraw mieli do omówienia, tyle musieli podjąć decyzji... żadne nie wiedziało, od jakiego punktu zacząć wspólne myślenie o przyszłości. Pewni swych uczuć, pojmowali dobrze, jak

trudna czeka ich droga. Prawdopodobne historie zdarzały się już wcześniej, nie będą pierwszym księdzem i pierwszą zakonnicą, których połączyła miłość. Jakież jednak wywołają skandal, jaki zawód sprawią ludziom, którzy poczują się zdradzeni. Z ich dwojga bardziej chyba lękał się Joe, nie ukrywał zresztą przed Gabriellą swoich obaw.

— Nie spieszmy się, Joe — odpowiadała rozsądnie. — Takiego kroku nie można zrobić bez namysłu.

Zastanawiał się całe noce, ale nieodmiennie racjonalne spekulacje ustępowały miejsca tęsknocie za Gabriellą, za potajemnymi pocałunkami w konfesjonale. Nigdy nie przypuszczał, że mogłoby owładnąć nim takie szaleństwo.

Gabriella zaś zaczęła pisać dla niego pamiętnik, historię ich miłości i marzeń. Miała nadzieję, że pewnego dnia będzie mogła wręczyć Joemu ten nie kończący się miłosny list adresowany do niego, tę pamiątkę rozmów, jakich oddaleni od siebie nie byli w stanie prowadzić. Trzymała zeszyt pod bielizną, w jedynej szufladzie, którą miała do dyspozycji.

— Jak sądzisz, kiedy znowu będziesz mogła się wymknąć? — zapytał ze smutkiem pewnego popołudnia, odprowadzając Gabriellę do samochodu.

— Przy pierwszej okazji. Może się uda w przyszłym tygodniu — odparła.

Wszystkie starsze siostry wyjeżdżały niebawem do Lake George, aby spędzić lato w domu oddanym do dyspozycji klasztoru przez pewną nabożną starszą panią, matka przełożona zaś miała towarzyszyć im przez kilka pierwszych dni pobytu. Oznaczało to, że Gabriella być może będzie dysponowała znacznie większą swobodą.

Okazało się, że w dniu wyjazdu siostrz miała całkowicie wolne popołudnie. Inne postulantki zbiorowo szły tego dnia do dentysty, a skoro Gabriella zaledwie dwa miesiące temu uzyskała zapewnienie lekarza, iż jej zęby są w najlepszym porządku i przez pół roku nie wymagają nawet kontroli, mogła pozostać w klasztorze i zająć się czymkolwiek, na co miałyby ochotę. Oznajmiła zatem siostrze sprawującej w zastępstwie matki Gregorii pieczę nad zakonną trzódką, że w warzywniku pojawiły się szkodniki i w związku z tym nie byłoby od rzeczy kupić kilka pojemników środków owadobójczych, na co stara zakonnica, dręczona od kilku dni uporczywą migreną, nie wnikając w temat dała Gabrielli klucze do wozu i pieniądze na zakupy. Gabriella zdeklarowała wieloznacznie, że wróci za jakiś czas, wskoczyła do samochodu, odjechała za róg i zadzwoniła do Joego. Zastała go, rzecz jasna, ponieważ ostatnimi czasy siedział kamieniem na plebanii, nasłuchując terkotania telefonu.

— Ile masz czasu? — zadał natychmiast rutynowe pytanie i niemal podskoczył z radości, gdy usłyszał, że kilka godzin. Czekał na taką chwilę od miesiąca, kiedy w najlepszym razie mogli spędzić ze sobą kilka kwadransów. — No to spotkajmy się na wschodnim końcu Pięćdziesiątej Trzeciej—powiedział.

Gabriella zjawiła się w umówionym miejscu pierwsza i jeszcze zanim pojawił się Joe, zdążyła zdjąć i odłożyć kornet.

Joe zaparkował po drugiej stronie ulicy, podszedł do Gabrielli, pocałował ją i przytulił na powitanie. Kiedy niespiesznie ruszyli przed siebie, był dziwnie milczący i zadumany.

— Chcesz iść do parku? — zapytała, lekko zaskoczona jego zachowaniem.

— Chyba jest trochę za gorąco — odparł, a potem znów wziął Gabriellę w ramiona i z wysiłkiem, zacinając się, powiedział jej, że spotkał niedawno swojego kolegę ze szkoły Św. Marka. Ten kolega, który robi dużą karierę w reklamie, przeprowadził się ostatnio do Nowego Jorku. Gdy usłyszał, że Joem miotają rozterki związane z powołaniem i pracą duszpasterską, zaproponował, by Joe kiedy tylko zechce korzystał z jego obszernego mieszkania, aby z dala od plebanii i spraw parafialnych spokojnie zastanowił się nad swoimi dylematami. Teraz w dodatku spędza tygodniowe wakacje na Cape Cod.

— Może pójdziemy tam razem? — zaproponował Joe. — Przez kilka chwil będziemy bezpieczni i sami. Ale decyzja należy do ciebie.

— To cudowny pomysł — odparła cicho.

Mieszkanie, bardzo nowoczesne i kawalerskie, na obojgu wywarło duże wrażenie. Był tam salon ze skórzanym kompletem wypoczynkowym, przestronna kuchnia, niezwykle elegancki bar, od tyłu zaś

dwie sypialnie z widokiem na ogródek, przy czym z jednej najwyraźniej korzystał właściciel, druga natomiast pełniła funkcję pokoju gościnnego.

Joe włączył klimatyzację, gwizdnął z podziwu na widok zestawu hi-fi, po uzgodnieniu repertuaru z Gabriellą włączył magnetofon, wreszcie nalał sobie w barze kieliszek wina.

Siadając obok Joego na sofie, Gabriella czuła się trochę onieśmielona sytuacją, tak dla niej nową i niezwykłą, kiedy jednak wsłuchiwała się w muzykę i upiła łyżeczkę wina, poczuła, że zaczyna ogarniać ją rozluźnienie. Koniec końców miała przy sobie mężczyznę, którego kochała... Po chwili Joe zapytał, czy nie zechciałyby z nim zatańczyć.

Rozbawiła ją ta propozycja, bo nie miała pojęcia, na czym polega taniec... niemniej kiedy tylko wstali z kanapy i wtuleni w siebie zaczęli krążyć po pokoju, bez trudu znaleźli wspólny rytm. Powoli narastało w nich podniecenie, Joe czuł, jak mocno bije serce Gabrielli, całował ją bez opamiętania i nie umiał przestać.

— Wiesz, co chciałbym teraz zrobić? — zapytał wreszcie, ogarnięty bezgranicznym pragnieniem, a zarazem niepewny, czy jest gotowa na tak dramatyczny krok.

Podniosła na niego przepelnione miłością oczy.

— Wiem i też tego chcę — odparła szeptem.

— Nie bój się, Gabbie... Tak bardzo cię kocham... — Uniósł ją w ramionach jak dziecko, wszedł do sypialni i delikatnie położył na łóżku. Musiała mu pomóc, gdy niezgrabnie usiłował uporać się z guzikami, agrafkami i fałdami postulanckiego habitu, w końcu jednak... po raz pierwszy w życiu... ujrzał kremowobiałą skórę, piersi, nogi dłuższe i kształtniejsze niż ośmielał się zgadywać.

Nie czuła lęku, gdy zrzucił ubranie, a potem wślizgiwał się do łóżka. Oboje pokonywali tę drogę po raz pierwszy, oboje zdawali sobie sprawę, że muszą — że chcą — dobrnąć do jej końca. Bo ta droga wiodła ku nowemu życiu.

Całował ją wszędzie, a po chwili również Gabriella zaczęła go poznawać... gdy znalazła to, czego poszukiwała, szeroko otworzyła oczy, zdumiona rozmiarem i posagowym kształtem znaleziska. Instynkt zastąpił doświadczenie i oto nagle pojęła, jak ma się zachować.

Wszedł w nią delikatnie, mimo narastającego pożądania, nad którym panował z coraz większym trudem. Wiedział, że to będzie dla niej bolesne... powstrzymywał się najdłużej, jak mógł, wreszcie jednak puściły wszelkie hamulce i wykrzykując jej imię eksplodował, Gabriella zaś kurczowo wczepiła się weń, wstrząsana spazmem bólu, a zarazem niepojętej rozkoszy.

Gdy chwilę później omiółł ją spojrzeniem, miał łzy w oczach. Nie opłakiwał tego, co zrobili, lecz dawał upust wzruszeniu, że oto rozpoczynają nowe życie, wszystkie dotychczasowe troski pozostawiając daleko za sobą. Ani ona nie mogła go teraz opuścić, ani on jej. Ucałował oczy, usta i włosy Gabrielli, kiedy zaś znalazł w sobie siły, by wyrwać się z jej uścisku, popatrzył na nią z góry, znów oszołomiony pięknem, które dotąd skrywał szpetny habit.

— Jakże jesteś piękna — wyszeptał. Nawet nie śnił, że będzie tak cudownie, znów więc jej zapragnął... a że dzieliła jego pragnienie, złączyli się po raz drugi i przez wiele rozkosznych chwil trwali w upojeniu.

Później poszli do łazienki i wzięli prysznic; brak doświadczenia i wrodzona nieśmiałość nie hamowały ich teraz w najmniejszym stopniu — wiedzieli oboje, jak mają postąpić, co powinni zrobić. Kości zostały rzucone. Przyszłość przestawała ich niepokoić.

Kiedy wspólnie prześcielili łóżko i włożyli do pralki zabrudzoną pościel, usiedli w salonie, aby podjąć ostateczne decyzje.

— Nie możemy tego ciągnąć w nieskończoność — powiedział trzeźwo Joe świadom, iż to popołudnie na zawsze odmieniło ich życie. Gabriella również nie miała pojęcia, co powie — jeśli wreszcie powie — matce Gregorii. W tej chwili potrafiła myśleć tylko o Joem, o tym że należy do niego po kres swoich dni, bez względu na to co przyniesie im życie.

Trudno założyć, by miało się składać ze spacerów po parku, ukradkowych pocałunków w konfesjonale... nie po tym, co ich niedawno połączyło.

— Nie możemy wykluczyć, że jeszcze przez jakiś czas nie będziemy mieli innego wyboru — odparła.

— Potrafisz żyć w skrajnej nędzy? — zapytał z troską, zdając sobie sprawę, że chociaż klasztor nie

obsypywał jej luksusami, to jednak dawał pewność jutra i poczucie bezpieczeństwa. Z nim, przynajmniej chwilowo, mogłaby nie mieć nawet tego.

— Przecież mogę podjąć jakąś pracę — powiedziała.

Ze swoim dyplomem mogłaby uczyć albo zatrudnić się w prasie. Mogłaby również pisać i próbować sprzedawać swoje utwory — przecież matka Gregoria i inne zakonnice zawsze ją namawiały, by to zrobiła.

— Ja też mógłbym dostać jakąś nauczycielską posadę — stwierdził nerwowo.

— Możesz robić wiele różnych rzeczy — zapewniła go Gabriella — jeśli tylko będziesz chciał.

Dobrze pojmowała, iż nie powinna wywierać na niego presji; Joe sam musi podjąć decyzję o porzuceniu kapłaństwa, w przeciwnym bowiem razie znienawidzi ją, kiedy tylko ich wspólna droga stanie się wyboista. A przez jakiś czas na pewno będzie wyboista.

— Wiesz, że niczego tak nie pragnę, jak być z tobą do końca życia — powiedział i znów ją pocałował. Ogarnęła go nagle radość, że w jego życiu nie było dotąd nikogo innego, że zachował dla Gabrielli całego siebie.

— Chyba muszę już wracać — odparła z żalem Gabriella, wciąż jeszcze nie przyjmując do wiadomości, iż naprawdę znajdzie się niebawem w murach klasztoru. Ale Joe musiał mieć czas do namysłu, z tak wieloma przecież rozterkami i decyzjami należało się uporać. Obiecali sobie ten czas, świadomi zarazem, iż nie mogą w nieskończoność kontynuować swej gry, która przynajmniej w części wydawała się Gabrielli czymś fałszywym i złym. Nie chciała okłamywać matki Gregorii dłużej, niż okaże się to absolutnie konieczne.

Gdy przed wyjściem z mieszkania poprawiała na sobie habit, Joe po raz ostatni wziął ją w ramiona.

— Będę za tobą strasznie tęsknić — wyszeptał głosem wciąż ochryłym z namiętności. — Zapamiętam ten dzień na zawsze.

— Ja też — odparła Gabriella, czując, jak miłość do tego mężczyzny walczy w niej o lepsze z poczuciem winy wobec matki Gregorii.

Doszli do samochodu i Gabriella nałożyła kornet; w oczach świata znów była zakonnica, w oczach Joego jednak wciąż pozostawała ową niewypowiedzianą piękną kobietą, z którą tak niedawno połączyła go namiętność.

— Uważaj na siebie — powiedział z czułością. — Zobaczymy się jutro rano.

Ostatnimi czasy odprawiał nabożeństwa i spowiadał w klasztorze codziennie, zawsze więc mogli wykraść dla siebie kilka chwil. Bardzo niewiele, a jednak coś.

— Kocham cię — wyszeptała ze smutkiem, uruchamiając samochód.

W klasztorze ogarnęło ją jeszcze większe przygnębienie — rozpaczliwie tęskniła za Joem, a widok otaczających ją siostr przypominał z nieodpartą mocą, co zrobiła, jak daleko od nich odeszła. Wciąż jednak musiała tu zostać, przynajmniej do momentu, gdy ostatecznie postanowią o swych przyszłych losach; zresztą nawet nie miałyby się gdzie podziać. Pragnęła, by Joe miał zupełną pewność, że jego decyzja o porzuceniu kapłaństwa jest słuszna, wiedząc zarazem bez najmniejszych wątpliwości, że gdyby ją teraz zostawił, zabiłoby ją to.

Tego wieczoru przy kolacji była bardzo małomówna, co zwróciło uwagę innych postulantek, w nocy wiele godzin przeleżała bezsennie, pogrążona w myślach, a nazajutrz była tak zadumana i nieobecna duchem, iż siostra kierująca tymczasowo klasztorom doszła do wniosku, iż jest niezdrowa i zaczęła namawiać ją na wizytę u lekarza. Istotnie, Gabriella sprawiała wrażenie bardzo bladej i zmęczonej, niemniej oświadczyła, że czuje się doskonale i wzięła udział w porannym nabożeństwie.

Po mszy podeszła do konfesjonału; Joe natychmiast uchylił kratkę i pocałowali się.

— Dobrze się czujesz? — zapytał z troską, chociaż nie było to jedyne uczucie, jakie w tej chwili żywił. Miniony dzień obudził w nim nienasycony głód. — Niczego nie żałujesz?

Wstrzymał oddech, oczekując na to, co odpowie.

— Oczywiście, że nie. Żałowałam tylko, że muszę tu wrócić. Czuję się bez ciebie strasznie samotna.

— Ja też.

W południe spotkali się w pustym biurze, ale oboje byli dziwnie podenerwowani. Dotąd

dopisywało im szczęście, nie mogło jednak trwać wiecznie.

Do wieczora Gabriella pracowała w ogrodzie, choć w pewnej chwili, nie mogąc znieść udreki rozstania, wkradła się do gabinetu matki Gregorii i zadzwoniła do Joego. Odbyli króciutką rozmowę, nie wymieniając swoich imion i przemilczając wszystko, co mogłoby zdradzić ich tajemnice. Oboje wiedzieli, że ponoszone przez nich ryzyko nieustannie rośnie. Sytuacja stawała się nieznośna.

Potem raz jeszcze Gabriella zdołała spotkać się z Joem w użyczonym mieszkaniu, miała jednak niewiele czasu, rozstawali się więc wciąż siebie spragnieni.

Po swym powrocie z Lake George matka Gregoria dostrzegła w Gabrielli niepokojące zmiany: dziewczyna była dziwnie milcząca i miała w spojrzeniu coś, co kazało starej zakonnicy podejrzewać, że podopieczną trapi jakaś zgryzota. Zagadnięta o to Gabriella odparła, że czuje się dobrze, prawda jednak wyglądała tak, iż dręczyła ją ogromna tęsknota. Nazajutrz — kiedy dokonała już wpisu w prowadzonym dla Joego dzienniku — nieco się rozpogodziła, ale wciąż nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, przy pierwszej więc nadarzającej się okazji pobiegła na pocztę i telefonicznie umówiła się z Joem w parku. Tym razem wolała nie iść do mieszkania, obawiając się, iż matka Gregoria coś dostrzeże.

— Ona to chyba czuje, Joe — powiedziała z niepokojem, kiedy wspólnie jedli lody, słuchając ulicznej kapeli. — Umie

czytać w duszach ludzi, których nawet nie zna. — Potem podniosła głowę i popatrzyła na Joego zaokrąglonymi oczyma. — Myślisz, że ktoś mógł nas widzieć? — zapytała z nagłym przerażeniem.

— Wątpię — odparł. Nie podzielał obaw Gabrielli, nawykły do swobody, o jakiej zakonnice nawet nie miały pojęcia. Księży nikt nie kontrolował i jeśli wywiązywali się ze swych obowiązków, byli panami własnego czasu. — Po prostu stara się mieć na oku swoją trzódkę.

— Mam nadzieję.

Był sierpień; niebawem siostry nauczycielki miały podjąć pracę w szkole, a starsze zakonnice wrócić z Catskills i Lake George. Klasztor zaczynał już żyć przygotowaniami do pikniku w Święto Pracy, ale Gabriella, pogrążona w nieustannych rozmyślaniach o przyszłości, nie odczuwała dawnego podniecenia.

A kiedy Święto Pracy wreszcie nadeszło, zapadła na gripę, wprawiając w jeszcze większy niż dotąd niepokój matkę Gregorię, która zaczynała być pewna, że chore jest nie tylko ciało Gabrielli, lecz również jej dusza.

Joe przyszedł na piknik, obchodził jednak Gabriellę szerokim łukiem. Poprzedniego dnia omówili to z sobą i doszli do wniosku, że powinni unikać spotkań przy świadkach, łatwo bowiem może się wydać, iż łączy ich nadmierna konfidencja. W połowie dnia zresztą Gabriella poczuła się tak źle, że musiała wrócić do pokoju. Na ten fakt zwróciła uwagę matka Gregoria, jak i siostra Emanuel.

Wieczorem przełożona odwiedziła Gabriellę, zdecydowana odbyć z nią poważną rozmowę.

Gabriella opętańczo pisała w zeszycie.

— Coś nowego? — zapytała lekko matka Gregoria, siadając na jedynym w pokoju krześle. — Masz dla mnie coś do poczytania?

— Jeszcze nie — odparła słabym głosem Gabriella, wsuwając zeszyt pod poduszkę. — Brakowało mi ostatnio czasu na pisanie. Przepraszam, że uciekłam z pikniku.

— Niepokoję się o ciebie — powiedziała bez ogródek matka Gregoria.

— Nic się nie stało — odrzekła Gabriella głosem, w którym brzmiało zdenerwowanie. — To tylko grypa. Wszyscy przez nią przeszli, kiedy cię nie było, matko.

Przełożona dobrze wiedziała, że to nieprawda; ostatnimi czasy jedyną chorą osobą w klasztorze była stara zakonnica cierpiąca na woreczek żółciowy.

— Czy masz wątpliwości, moje dziecko? W takim czy innym momencie zdarzają się nam wszystkim. Dokonujemy trudnego wyboru, nie prowadzimy łatwego życia. To życie może być trudne nawet dla ciebie, choć przecież jesteś z nami, jak mogłoby się zdawać, od zawsze.

Przychodzi jednak chwila, kiedy musimy ostatecznie uporać się z wszelkimi wątpliwościami i podjąć nieodwołalną decyzję. — Mówiąc to, ubolewała, iż Gabriella nie wykorzystwała lepiej lat spędzonych w koledżu. Może żałowała teraz, że rezygnuje ze świata, którego na dobrą sprawę nie

zdołała poznać? — Powiedz mi o tym bez obaw, moje dziecko.

— Nie, matko, wszystko w porządku.

Znienawidziła się za to kłamstwo, pierwsze kłamstwo, jakie powiedziała matce Gregorii. Sytuacja gwałtownie stawała się nieznośna. Nie licząc się ze skutkami, Gabriella wolałaby chyba wyznać, że kocha Joego i musi opuścić klasztor.

— Może, dopóki ci jeszcze wolno, powinnaś trochę popatrzeć na świat, Gabriello. Mogłabyś podjąć jakąś pracę, ale wciąż mieszkać w klasztorze.

Byłaby wtedy zupełnie swobodna, a jednak czuła, że spotykając się z Joem w cudzym mieszkaniu w jeszcze większym stopniu niż dotąd nadużywałyby zaufania sióstr. Jeśli postanowi odejść, uczyni to otwarcie.

— Nie chcę — odparła stanowczo. — Nigdzie nie będzie mi lepiej niż tu, pośród mych sióstr.

Mówiła najzupełniej szczerze, szkopał jednak tkwił w tym, że teraz kochała Joego, który wciąż nie podjął decyzji związanych ze swoim kapłaństwem. Tak samo jak Gabriella twierdził, że wszystko zostało postanowione, ale dotąd nie sformułował czytelnego planu dotyczącego swoich zamierzeń, chociaż ich związek trwał już dwa miesiące.

Następne tygodnie przerodziły się dla Gabrielli w koszmar; przy każdej możliwej okazji wymykała się do miasta, ostatnimi czasy jednak matka Gregoria zezwalała jej na to niechętnie i rzadko. Tylko dwa razy spotkali się z Joem w mieszkaniu — Joe wciąż mógł z niego korzystać, chociaż jego przyjaciel wrócił już z wakacji — na ogół zatem rozmawiali ze sobą albo w konfesjonale, albo w pustym pomieszczeniu biurowym. Stawało się oczywiste, że perspektywa zrzucenia szat kapłańskich budzi w Joem głębokie poczucie winy.

Co gorsza w połowie września Gabriella chronicznie chorowała; kryła się z tym, wszystkie siostry jednak zauważyły jej bladość i brak apetytu. Kiedy zaś straciła w kościele przytomność, wywołała najprawdziwszą panikę. Odprawiający mszę Joe patrzył ze zgrozą na poruszenie w ławce postulantek, a po chwili omal nie odszedł od zmysłów, widząc jak siostry wynoszą ze świątyni bezwładne ciało Gabrielli. Dopiero nazajutrz podczas spowiedzi mógł ją zapytać, co się stało.

— Nie mam pojęcia, w kościele było strasznie gorąco.

Istotnie, fala upałów nie folgowała ani na moment, ale jak słusznie zauważył zatroskany Joe, nie mdlała dotąd żadna z sióstr, nawet tych najsędziwszych.

Mimo braku jakiegokolwiek doświadczenia w tej kwestii, uzyskała zupełną pewność po dwóch tygodniach, pod koniec września. Wszystko wskazywało na to, że jest w ciąży. Zdołała wymknąć się z klasztoru, zadzwoniła do Joego i umówiła się z nim w mieszkaniu. Gdy przekazała mu nowiny, przytulił ją rozpaczliwie i zaczął płakać. Nie tak wyobrażał sobie początek ich związku, a przecież nie mogli dłużej czekać. Z wyliczeń Gabrielli wynikało, iż zaszła w ciążę już za pierwszym razem, jest więc brzemienna od dwóch miesięcy i będzie musiała niebawem opuścić klasztor. Z przyczyn religijnych ani dla niej, ani dla Joego inne rozwiązanie nie wchodziło w grę.

— Już dobrze, Joe — wyszeptala, czując, jak bardzo jest rozdarty wewnętrznie. — Może musiało tak się stać, może tego właśnie potrzebowałam, aby podjąć ostateczną decyzję.

— Och, Gabbie, tak mi przykro... to wyłącznie moja wina... nawet nie pomyślałem... a przecież powinienem.

Niewinni i niedoświadczeni, dali się unieść emocjom i oto skutki tamtych chwil uniesienia nie kazały długo na siebie czekać. Joe musiał wziąć teraz na siebie odpowiedzialność za dwie osoby — żonę i dziecko — a myśl, że nie jest w stanie ich utrzymać, doprowadzała go do szaleństwa.

— Opuścę klasztor za miesiąc — powiedziała Gabriella.

— Powiadomię o tym matkę Gregorię w październiku.

Jeden miesiąc pozostawał zatem Joemu na uładzenie się ze wszystkimi swoimi dylematami; Gabriella, choćby nawet chciała, nie mogła zwlekać dłużej, bo wcześniej czy później jej ciąża przestałaby być tajemnicą i wywołała w klasztorze niebosiężny skandal.

Tego popołudnia tylko tulił ją do siebie, obawiając się zaszkodzić dziecku, a wreszcie, znów zapłakany, zdradził Gabrielli największą ze swych obaw.

— Tak się lękam, że cię zawiodę, Gabbie... — wyszeptał.

— Co będzie, jeśli nie dam sobie rady?

— Dasz sobie radę, Joe, jeśli tylko zechcesz. Oboje damy sobie radę—odparła z przekonaniem, które niestety nie mogło być oparte na czymkolwiek.

— Wiem tylko, jak bardzo cię kocham — powiedział. Pragnął być z Gabriellą i ich dzieckiem, pragnął porzucić kapłaństwo, lecz wciąż nie miał pewności, czy zdoła tego dokonać.—Ale ty jesteś silna, Gabbie i nie rozumiesz, co teraz czuję. Kościół to było całe moje życie.

Jej życiem natomiast był klasztor, a przedtem katusze dzieciństwa. Dlaczego wszyscy jej mówią, że jest silna? Z dreszczem przerażenia przypomniała sobie, że to samo, tuż przed swoim odejściem, powiedział jej ojciec. A jeśli Joe również odejdzie? Jeśli porzuci i ją, i dziecko? Na samą myśl o takiej możliwości ogarniała ją panika, a przecież nie powiedziała nic i tylko mocniej przytuliła Joego.

Wracała pogrążona w zadumie, nie zorientowała się więc, że jest uważnie obserwowana przez matkę Gregorię.

Nie mogła również widzieć, jak siostra Anna podrzuca kopertę pod drzwi gabinetu przełożonej, jak matka Gregoria dzwoni do Św. Stefana i umawia się z księdzem prałatem.

Przełożona wróciła z ciężkim sercem. Nikt nie wiedział niczego na pewno, krążyły jednak plotki, a na plebanii odebrano wiele telefonów od młodej kobiety, która za każdym razem podawała inne nazwisko. Ksiądz Connors ciągle gdzieś wychodził i — co przełożona uzmysłowiła sobie dopiero teraz — przebywał w klasztorze znacznie częściej, niżby wynikało to z jego obowiązków duszpasterskich. Uzgodniła zresztą z prałatem, że na jakiś czas obowiązki te przejmie inny ksiądz. Gabriella oczywiście nie mogła o tym wiedzieć, kiedy więc nazajutrz rano ukłękła przy konfesjonale i wyszeptła bez tchu: „kocham cię”, doznała szoku, słysząc, że odpowiada jej nieznajomy głos. Po długiej chwili milczenia zaczęła się spowiadać jak gdyby nigdy nic, ale gdy szła do ławki, aby odprawić pokutę, serce szaleńczo waliło jej w piersi. Nie miała pojęcia, co stało się z Joem — jest chory, porzucił Kościół, a może... to było najstraszniejsze... ich związek wyszedł na jaw?

Wciąż rozgorączkowana, daremnie zachodziła w głowę, gdy matka Gregoria wezwała ją do siebie. Długo ze smutkiem patrzyła na podopieczną, a wreszcie rzekła:

— Chyba masz mi coś do powiedzenia, nieprawdaż, Gabriello?

— Na jaki temat? — zapytała Gabriella, podnosząc spopieliałą twarz na kobietę, którą przez dwanaście lat nazywała matką i kochała jak matkę.

— Doskonale wiesz, o czym lub raczej o kim mówię. O księdzu Connorsie. Czy do niego dzwoniłaś, Gabriello? Chcę, żebyś była ze mną uczciwa. Jeden z księży od Św. Stefana sądzi, że w sierpniu widział was razem w Central Parku. Nie mogę być pewna, że to byłaś ty, skoro nawet on nie jest pewien, ale chyba podejrzewają to wszyscy na plebanii. Nie jest jeszcze za późno, aby uniknąć skandalu, pod warunkiem że teraz powiesz mi prawdę.

— Ja... — zaczęła Gabriella. Nie chciała więcej kłamać, ale teraz, przed rozmową z Joem, po prostu nie mogła powiedzieć jeszcze prawdy. Nie wiedziała, do czego się przyznał, była jednak niemal pewna, że wzięto go na spytki. — Nie wiem, co ci powiedzieć, matko.

— Prawda będzie najszcześniejszym rozwiązaniem — odpowiedziała pośpiesznie matka Gregoria, patrząc z bólem serca na dziewczynę, którą traktowała jak córkę.

— Ja... tak, zadzwoniłam do niego... i raz spotkaliśmy się w parku — odparła Gabriella, zdecydowana ograniczyć swoje wyznania do tej półprawdy, ponieważ cała prawda była stanowczo zbyt intymna i należała tylko do nich obojga.

— Czy zechciałabyś mi powiedzieć dlaczego, Gabriello? A może to głupie pytanie, skoro odpowiedź jest aż nazbyt oczywista? Ksiądz Connors to przystojny młody człowiek, a ty jesteś piękną młodą kobietą. Jakkolwiek jednak nie złożyłaś jeszcze ślubów, twierdziłaś stanowczo, że jesteś pewna swego powołania, ja zaś dawałam ci wiarę. Teraz zaczynam ją tracić. Ksiądz Connors nie otrzymał święceń wczoraj, żadne z was nie ma prawa zachowywać się w taki sposób i łamać swych zobowiązań.

— Rozumiem to — odparła Gabriella ze łzami w oczach. Nie rozplakała się jednak i nie zaczęła błagać o łaskę.

— Czy to już cała prawda o tej odrażającej historii, Gabriello? Bo jeśli nie, pragnę poznać resztę.

Gabrielli pękało serce, kiedy słyszała, jak określa się jej związek z Joem mianem „odrażającej historii”. Kolejne kłamstwo nie mogło już przejść jej przez usta, kilkakrotnie więc pokiwała głową. — Zapewne nie będziesz zaskoczona — ciągnęła matka Gregoria — iż w parafii Św. Stefana zostanie przeprowadzone dochodzenie, a jeszcze dziś wszystko oprze się o księdza arcybiskupa. My zaś przez pewien czas nie będziemy miały przyjemności oglądać księdza Connorsa. — Urwała na chwilę, szukając w oczach dziewczyny odpowiedzi, którą jednak Gabriella zdołała ukryć bardzo głęboko. — Zamierzam ci zasugerować, abys poświęciła nieco czasu refleksji nad swym sumieniem i powołaniem. Uczynisz to w naszym siostrzanym domu w Oklahomie.

W uszach Gabrielli zabrzmiało to jak wyrok śmierci.

— Oklahoma? — wychrypiała, nie poznając własnego głosu. — Nigdzie się stąd nie ruszę. Dopiero drugi raz od czasu sporu o studia ośmieliła się sprzeciwić matce przełożonej, ta jednak była w tej chwili bardzo stanowcza. Na zewnątrz zachowywała opanowanie, ale wewnątrz wszystko się w niej gotowało. Była wściekła na Gabriellę i tego, pozał się Boże, księdza, który powiódł ją na pokuszenie i omal nie unicestwił. Będzie musiała spędzić na modlitwie wiele godzin, aby wybaczyć obojgu ten straszliwy grzech. Ksiądz Connors nie miał prawa tego robić... obdarzony najwyższym zaufaniem, sprowadził na manowce tę młodą niewinną dziewczynę.

— W tej kwestii nie masz żadnego wyboru, Gabriello. Wyjeżdżasz jutro, a uprzedzam, że do ostatniej chwili będziesz uważnie obserwowana. Jeśli nadal pragniesz pozostać wśród nas — choć ciągle możesz podjąć odmienną decyzję — będziesz musiała poważnie zastanowić się nad swoim postępkami. Dałam ci wszelkie szanse powrotu do świata, ty zaś z nich zrezygnowałaś. Moje propozycje nie dawały ci wszelako swobody romansowania z duchownym na potajemnych schadzkach.

— Przecież tego nie robiłam — wyszeptwała z trudem Gabriella, czując do siebie nienawiść za następne kłamstwo.

— Gdybym mogła ci uwierzyć — westchnęła przełożona wstając, co stanowiło nieomylny znak, że rozmowa dobiegła końca. — Wracaj teraz do swojego pokoju. Aż do chwili wyjazdu nie będziesz odzywać się do nikogo, nawet do siostry, która przyniesie ci posiłek.

Z dnia na dzień została pariaszką. Bez słowa pomaszerowała do siebie, marząc tylko o tym, aby zadzwonić do Joego... ale nie miała takiej możliwości. Wiedziała, że nie pojedzie do żadnej Oklahomy. Nie mogła go opuścić.

Przez cały następny dzień leżała w łóżku, pisała w dzienniku albo jak uwięzione zwierzę chodziła od ściany do ściany, nieustannie rozmyślając o Joem, o tym co z nim robią, co powiedział arcybiskupowi. Od początku oboje zdawali sobie sprawę, że czekają ich trudne chwile: musieli przetrwać jakoś ból i poniżenie, zanim wreszcie będą mogli być razem.

Prawie nie tknęła przyniesionej strawy, pod wieczór zaś poczuła w podbrzuszu dziwny skurcz. Zrazu ból zaparł jej

dech w piersiach, potem na chwilę ustąpił, a wreszcie powrócił z jeszcze większą mocą. Niemal wiła się w konwulsjach, kiedy do pokoju wróciły dwie współmieszkanki, ale nawet słowem nie wspomniała im o swych cierpieniach, spowodowanych — jak sądziła — przerażeniem.

One też milczały uprzedzone, że Gabriella ma poważne problemy ze swoim sumieniem i że należy zostawić ją w spokoju. Niemniej jak najęte plotkowały w każdej chwili, kiedy tylko siostra Emanuel zostawiała je same. Tylko siostra Anna zachowywała zastanawiające milczenie.

Gabriella nie zmrużyła oka przez całą noc, rozmyślając z obawą, co powiedział Joe lub co obwieszczono Joemu. Wyobrażała sobie, że na plebanii szaleje coś w rodzaju hiszpańskiej Inkwizycji... Koło drugiej owładnął ją taki ból, że niewiele brakowało, aby zaczęła wzywać pomocy. Bo cóż mogłaby wtedy powiedzieć? Że obawia się utraty dziecka? A niebezpieczeństwo było realne, o czym przekonała się na własne oczy, kiedy po cichu, czołgając się niemal, dotarła do łazienki. Nie mogła liczyć w tej chwili na nikogo — ani na matkę Gregorię, ani na Joego. Musiała czekać. Była pewna, że rankiem wszystko się wyjaśni, że Joe, powiadomiwszy przełożonych o swej decyzji zrzucenia szat kapłańskich, przyjedzie po nią do klasztoru. A wtedy ona, Gabriella, powie matce Gregorii wszystko... no, prawie wszystko... ponieważ nie chce, aby kłamstwa ciągnęły się za nią jak powiązane puszki za samochodem nowożeńców.

Rankiem nieomal oślepla z bólu; nie wiedziała, kiedy po nią przyjdą, aby wyekspediować ją do klasztoru w Oklahomie, wiedziała jednak, że stawi wówczas stanowczy opór. Przecież nie wywloką jej za mury w koszuli nocnej.

Kiedy usłyszała, że dwie koleżanki wychodzą z pokoju, ciężko podniosła się z łóżka, a wtedy spostrzegła, iż pościel splamiona jest krwią. Nie mając pojęcia, co zrobić, położyła się ponownie. Z kaplicy dobiegały poranne śpiewy, kiedy skrzypnęły drzwi i stanęła w nich siostra Emanuel. Miała na twarzy bezgraniczny smutek i Gabriella doszła do wniosku, że przed chwilą musiała płakać.

— Matka Gregoria chce cię zobaczyć u siebie, Gabriello

— oświadczyła przełożona postulantek.

— Nie jadę do Oklahomy — odparła gardłowo Gabriella, nie wiedząc nawet, czy zdoła wstać z łóżka. Ból nieustannie przybierał na sile.

— Będziesz musiała zejść na dół i omówić tę kwestię z matką przełożoną osobiście — zareplikowała siostra Emanuel.

Gabriella odczekała, aż wyjdzie z pokoju, a wtedy z niewiarygodnym wysiłkiem nałożyła bieliznę i habit. Tym razem

— rzecz z pozoru niewiarygodna — było jeszcze trudniej niż wówczas, gdy ubierała się, pobita przez matkę.

Ledwie zesła na dół i ostatkiem sił przestąpiła próg gabinetu; potem wzdrygnęła się widząc, że matce przełożonej towarzyszy dwóch księży. Od godziny zresztą zastanawiali się we trójkę, co począć z Gabriellą.

— Ksiądz O'Brian i ksiądz Dimeola pragną z tobą pomówić, siostrzo Bernadette — oznajmiła matka Gregoria, używając zakonnego imienia Gabrielli, co w jej przekonaniu czyniło sprawę mniej osobistą. Bo jej dusza i serce wyrywały się, wbrew podszeptom rozsądku, do ukochanego dziecka, które zawsze nazywało się Gabbie.

— Matka Gregoria później postanowi o twojej przyszłości

— zaczął ksiądz O'Brian — a w tej chwili chcielibyśmy pomówić o księdzu Connorsie.

A więc wszystko im powiedział, pomyślała Gabriella, ogarnięta tak wszechobejmującym bólem, że słowa duchownego dobiegały do niej jak przez mgłę.

— Pozostawił dla ciebie list — ciągnął ze smutkiem ksiądz O'Brian — wyjaśniający jego uczucia w sytuacji, w której go postawiłaś.

— Tak to określili? — zapytała z niedowierzaniem Gabriella. Nie mógł napisać nic takiego, najwyraźniej opacznie interpretują jego słowa po to, by całą winę zrzucić na nią.

— Ksiądz Connors nie nazwał rzeczy po imieniu, nie ulega jednak kwestii, że właśnie to miał na myśli.

— Czy mogłabym zobaczyć ten list? — zapytała Gabriella, wyciągając przed siebie drżącą rękę. Miała w tym momencie tyle godności, że musieli poczuć wobec niej podziw.

— Za chwilę — odparł ksiądz O'Brian. — Coś ci pierwaj musimy powiedzieć. Coś, z czym będziesz musiała żyć i z czego już zawsze będziesz musiała zdawać sobie sprawę. Otóż skazałaś człowieka na męki piekielne, siostrzo Bernadette. Wieczne męki. Jego dusza nigdy nie doświadczy zbawienia. Nie może doświadczyć... po tym, co zrobił... po tym, do czego go pchnęłaś.

Wzdragała się na dźwięk tych brutalnych słów, nienawidziła księży za okazywany przez nich brak miłosierdzia. Przecież ani ona, ani Joe nie zasłużyli sobie na tak straszny wyrok, jakkolwiek popełnili winę. Ileż musiał wycierpieć z ich rąk Joe! Jakże pragnęła go w tej chwili pocieszyć wyznaniem miłości i wierności!

— Chcę się z nim zobaczyć — oświadczyła z mocą, która nawet dla niej była zaskakująca.

— Już nigdy go nie zobaczysz — odparł ksiądz O'Brian głosem tak strasznym, że ciałem Gabrielli wstrząsnął dreszcz.

— Nie księdzu o tym decydować — odparła. — Ksiądz Connors ma prawo przemówić we własnym imieniu. Bez zastrzeżeń zastosuję się do postanowienia, jakie podejmie.

— Już nigdy go nie zobaczysz — powtórzył śpiewnie ksiądz O'Brian, a kiedy wciąż stała z wysoko podniesioną głową, zadał okrutny cios, którego w żaden sposób nie mogła się spodziewać, cios, który niemal zniszczył na wieczność całą jej wiarę. — Dziś wczesnym rankiem odebrał sobie życie,

zostawiając ci ten list.

Ksiądz Dimeola machnął kilkoma kartkami papieru, a wokół Gabrielli zawirował świat.

— On... ja... — Popatrzyła na nich błagalnie, mając rozpaczliwą nadzieję, iż przyznają się za chwilę, że ją oszukali. Czekala daremnie.

— Nie mógł żyć ze swoim występkiem... nie mógł odejść z Kościoła... nie mógł wziąć na swoje barki brzemienia, jakie pragnęłaś nań nałożyć. Wolał odebrać sobie życie. Powiesił się w swym pokoju na plebanii i jest to grzech, za który po wieczność będzie się prażyć w ogniach piekielnych. Wolał wybrać śmierć, aniżeli zdradzić Boga, którego kochał mocniej niż ciebie, siostró Bernadette. Ty zaś po kres swoich dni będziesz go mieć na sumieniu.

Wyprostowała się, znajdując w sobie siły, których istnienia nawet nie podejrzewała, popatrzyła na nich z bezgranicznym niedowierzaniem, potem zaś, zanim zdołała powiedzieć choć jedno słowo, utonęła w dobroczynnych ramionach ciemności.

Dopiero kiedy osunęła się na podłogę, dostrzegli, że leży w rozszerzającej się gwałtownie kałuży krwi.

ROZDZIAŁ 13

Gabriella zdawała sobie sprawę, że gdzieś z oddali dobiega piskliwe zawodzenie — przeciągłe, nieustępliwe, bezlitosne. Brzmiało jak skowyt strzyg, a może krzyk jej umierającej duszy.

Usiłowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie; próbowała otworzyć oczy, lecz widziała tylko mglistą szarość ustępującą czasem miejsca nieprzeniknionym ciemnościom. Nie miała pojęcia, gdzie jest, nie mogła zatem wiedzieć, że ów skowyt, który świdrował jej uszy, był syreną wiozącej ją karetki.

Minęło z pozoru wiele lat, zanim usłyszała jakiś ludzki głos, nie zdołała jednak rozszyfrować, co do niej mówi. Ktoś wykrzykiwał jej imię, wyciągał z jakiegoś miejsca, którego wcale nie miała ochoty opuszczać. Pragnęła tylko dryfować, dryfować ku ciemności i ciszy... ale przeszkadzały w tym słyszane od czasu do czasu głosy.

— Gabriello!... Gabriello!... No, już!... Otwórz oczy, Gabriello!

Krzyczeli do niej, szarpali, a ktoś nożem wyrwał jej serce. Dopiero teraz poczuła ból; miała wrażenie, iż uwięziony w jej ciele smok usiłuje wyrwać się na wolność... Nie chciała budzić się, ogarnięta tym bólem, przytłoczona wiedzą o wszystkim, co się stało... chyba czymś strasznym. W końcu otworzyła oczy, ale wszędzie dokoła gorzały oślepiające światła, które tak samo jak ból bezlitośnie przenikały ją na wskroś. Coś z nią robiono, ale nie miała pojęcia co... i nagle, kiedy jej ciało przeniknął ból straszniejszy niż dotąd,

pojęła, dlaczego się tu znalazła. Zabiła ją matka... połamała lalkę... zabiła Meredith i omal nie zabiła jej... a ojciec się temu przyglądał.

— Gabriello! — Tym razem w głosach wołających jej imię ludzi brzmiała złość. Nie widziała ich twarzy, bo mimo wszelkich wysiłków miała przed oczyma tylko oślepiające światło lub mrok.

Znow jak żelazne imadło ścisnął ją spazm bólu, a kiedy daremnie usiłowała się od niego uwolnić, zobaczyła z niezwykłą wyrazistością, że stoi nad nią nie ojciec, lecz uśmiechnięty Joe. Wyciągnął rękę, przyzywał ją, mówił coś, czego nie mogła usłyszeć, bo jego głos tonął w zgielku. Potem roześmiał się na całe gardło.

— Nie słyszę cię, Joe — powtarzała raz za razem, lecz on nagle zaczął się od niej oddalać.

Krzyknęła, żeby zaczekał, chciała za nim pobiec, ale nie potrafiła ruszyć z miejsca ani jednej stopy. Stanął, czekając, aż do niego dołączy, a gdy wciąż trwała nieruchomo, pokręcił głową i zniknął.

Dopiero wtedy zerwała się do biegu, lecz Joe był dla niej zbyt szybki... gwałtownie traciła dystans... a z tyłu dobiegały okrzyki ścigających ją ludzi. Obejrzała się na nich i dopiero teraz zobaczyła, dlaczego nie może dogonić Joego. Przywiązali ją do czegoś, unieruchomili w górze obie nogi, osaczyli jaskrawym światłem.

— Nie... nie... muszę iść — wykrzyknęła wątłym głosem.

— On na mnie czeka... jestem mu potrzebna... — Joe odwrócił się i pomachał ręką; sprawiał wrażenie zatrwającego szczęśliwego. Ale ludzie wokół niej byli rozgniewani i Gabriella wiedziała, że robią jej coś okropnego. Rwali na strzepy całe jej wnętrze, wyszarpywali duszę, nie pozwalali

pobiec za Joem.

— Nie! — krzyczała nieustannie. — Nie! Ale nie chcieli jej słuchać.

— Już dobrze, Gabriello... już dobrze... — powtarzali.

Dostrzegła kobiety i mężczyzn; wszyscy trzymali w dłoniach noże; wszyscy dźgali ją bez chwili przerwy. Ale nie mieli twarzy.

— Ciśnienie krwi znowu spada — rozległ się jakiś głos.

— Rany boskie, nie możesz tego zatrzymać? — zawtórował mu inny.

Też brzmiał gniewnie i Gabriella zrozumiała, że musiała zrobić coś okropnego. Nie miała jeszcze pojęcia co, chociaż właściciele owych głosów zapewne dobrze znali naturę jej występków. Znów zamknęła oczy, bezgłośnie krzycząc z bólu, i już po chwili usłyszała to samo wycie co przedtem... a także przeraźliwy kobiecy wrzask. Otoczyła ją jeszcze większa liczba ludzi, byli wszędzie... ale nie mogła przed nimi uciec, była zbyt ciężka. Wyjątek stanowiło tylko to miejsce, w którym szalały demony bólu. Nie mogła unieść rąk, aby je odegnąć i nie wątpiła ani przez chwilę, że ją zabiją.

— Cholera... — rozległ się w ciemnościach jakiś głos — ...dajcie jeszcze dwie jednostki...

Daremnie wtłaczali w jej żyły litry krwi; rozumieli już, że nie wygrają tej batalii, nie zdołają jej uratować. Ciśnienie krwi spadło niemal do zera... kiedy rozpoczęło się migotanie przedsionków, uznali Gabriellę za straconą.

Głosy umilkły wreszcie i Gabriella przez długi czas leżała w błogim spokoju, bo demony również przestały ją dręczyć. A potem z mroku znowu wyłonił się Joe. Tym razem nie wyglądał na uszczęśliwionego. Miała już wolne ręce, wyciągnęła więc do Joego jedną z nich, ale on zignorował ten gest. Niemniej wyraźnie usłyszała teraz jego słowa.

— Nie chcę, żebyś za mną szła — powiedział bez gniewu czy smutku. Bił z niego bezgraniczny spokój.

— Muszę, Joe. Jesteś mi potrzebny. Podeszła do niego, on jednak trwał nieruchomo, nie zdradzając chęci ruszenia w którąkolwiek stronę.

— Jesteś silna, Gabriello — powiedział.

— Nie jestem — wydusiła z siebie. — Nie potrafię...

Ale Joe tylko potrząsnął głową i zaczął niknąć w oddali, Gabriella zaś poczuła, że miażdży ją jakiś potworny ciężar, a nieznosny ból przykuwa do ziemi, nie pozwalając ruszyć się z miejsca. Wtedy pojęła, że tonie — tak samo jak Jimmy. Wciągana wraz z nim przez wir, usiłowała złapać łyk powietrza i dostrzec chłopca przez huczącą mętną wodę, lecz nie udało się jej ani jedno, ani drugie. Jimmy opuścił

ją, idąc za przykładem Joego... pozostała sama w rwącym nurcie.

Potem nagle jakaś nadnaturalna siła wypchnęła ją na powierzchnię. Krztusząc się, plując wodą, zdołała zaczerpnąć powietrza i wydała z siebie przeraźliwy okrzyk.

— Dobra, mamy ją... — rozległ się jakiś głos i w Gabriellę znowu wczepiły się liczne dłonie. Gdy ją krępowały, czuła każde ze swych złamanych i zrosniętych żeber, a miejsce zamieszkanego przez demony gorzało białym ogniem.

— Nie! Nie! Przestańcie! — usiłowała krzyknąć, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Wiedziała, że coś jej wyrrywają... z tego miejsca, w którym bije serce... próbowali — daremnie na szczęście — odebrać jej Joego. Nigdy dotąd nie zaznała takiego bólu i pojmowała, że jego sprawczynią może być tylko matka.

— Gabriello!... Gabriello!... — Ich głosy były teraz łagodniejsze, a mimo to potrafiła jedynie płakać. Nie było ucieczki przed bólem, który jej zadawali. Wciąż powtarzano jej imię, a ktoś zaczął gładzić ją po głowie. Miał delikatną dłoń, nie zdołała jednak dostrzec twarzy osoby, która ją gładziła. Wciąż oślepiąca nieznosnym blaskiem, Gabriella poczuła wreszcie, że demon opuszcza jej ciało.

— Chryste, mały włos, a byłoby po wszystkim — powiedział cicho męski głos. — Przez chwilę sądziłem, żeśmy ją stracili.

Żyła mimo wszelkich wysiłków, aby odejść. Pozostała z powodu Joego, który nie chciał zabrać jej ze sobą. Opuścił ją i już nie wróci. Jak oni wszyscy.

— Gabriello, jak się czujesz? — Ten głos należał do kobiety, dostrzegła również kobiece oczy nad

białą maską. Ale nie zdołała odpowiedzieć, bo to miejsce, w którym rodzi się krzyk, było puste. — Nie słyszysz — poskarżył się kobiecie głos i Gabriella zadała sobie pytanie, czy znów popełniła jakiś występki, który powinien zostać ukarany. To zresztą nie miało dla niej znaczenia; mogli z nią robić, co zechcą, byle tylko nie dopuścili do powrotu demonów, które swymi ostrymi ogonami przewiercały jej duszę.

Na chwilę dali jej spokój, odpłynęła więc do jakiegoś innego miejsca, a kiedy się obudziła, miała na twarzy okropnie cuchnącą maskę. Potem zaczęli ją gdzieś toczyć — przed oczyma Gabrielli przepływały korytarze, drzwi i ludzie

— a ktoś powiedział, że wiozą ją do jej pokoju. Zastanawiała się, czy jest w więzieniu, gdzie wreszcie zostanie przykładowo ukarana za te wszystkie straszne rzeczy, jakie zrobiła ludziom. Ci tutaj też na pewno wiedzieli, że jest winowajczynią, ale nie powiedzieli nic, kiedy zostawili ją półuśpioną w pokoju.

Po jakimś czasie pojawiły się dwie kobiety w wykrochmalonych czepkach; miały bardzo surowe twarze. Ostrożnie przeniosły Gabriellę na łóżko i poprawiły wklutą w przedramię igłę, przez którą wciąż płynęła krew. Nie powiedziały praktycznie nic i wypełniwszy swoje obowiązki znikły bezgłośnie, pozwalając Gabrielli zapaść w sen.

Dziewczyna wciąż nie miała pojęcia, gdzie jest, ale ciągle świdrował jej uszy ten rozpaczliwy, pełen udręki kobiecego krzyk, który usłyszała w pewnym momencie.

Nieco później, kiedy przyszedł pomówić z nią lekarz, krzyknęła jeszcze raz, bo zrozumiała w końcu, co się stało. Straciła dziecko Joego.

— Jest mi bardzo przykro — powiedział z powagą lekarz. Nie wiedział, że Gabriella jest postulantką; z tego, iż mieszkała w klasztorze, wnioskował raczej, że młodą niezamężną kobietą, którą po zajściu w ciążę rodzice oddali pod opiekę siostr.

— Ale to nie koniec świata, pewnego dnia urodzi pani inne dziecko — dodał pocieszająco.

Jakże się myli, pomyślała Gabriella. Nie chciała mieć żadnych dzieci, bo obawiała się, że drzemie w niej taki sam potwór jak w matce. Nie można ryzykować. Wszystko potoczyłoby się zapewne inaczej, gdyby u boku miała Joego. Tylko z nim otwierała się szansa na inne życie... dzieci zrodzone z miłości. Nie zasłużyła sobie na spełnienie tego marzenia, które mogła hołubić tak krótko i które przemieniło się w koszmar.

— Musi pani bardzo na siebie uważać — przestrzegał lekarz. — Straciła pani wiele krwi, a my... — złowieszczo

zawiesił głos — ...omal nie straciliśmy pani. Gdyby przywieziono panią dwadzieścia minut później, byłoby po wszystkim. Na stole operacyjnym praca serca Gabrielli ustała dwa razy, a podczas całej swojej kariery zawodowej lekarz nie był świadkiem tak dramatycznego poronienia. Nawet znacznie mniej obfity krwotok mógł bez trudu zabić dziewczynę.

— Potrzymamy tu panią przez kilka dni, kontynuując transfuzje, a potem pozwolimy wrócić do domu, pod warunkiem że obieca pani nie forsować się przez dłuższy czas

— podjął. — Żadnych wypraw do miasta, żadnych wizyt, żadnych tańców.

Uśmiechnął się do niej, nie wiedząc, iż ta młoda piękna kobieta nigdy nie zaznała życia, o jakim mówił. Sądził błędnie, że kiedy tylko stanie na nogi, zechce spotkać się z przyjaciółmi i zapewne z mężczyzną, z którym zaszła w ciążę. W końcu zapytał, czy chce, aby zadzwonił do kogoś w jej imieniu.

Gabriella podniosła nań udręczone oczy.

— Mój mąż zmarł wczoraj — wyszeptała ochryple, stawiając Joego w roli, w jakiej tak bardzo pragnęła go widzieć.

— Serdecznie współczuję — powiedział ze smutkiem lekarz, któremu wyznanie Gabrielli wiele wyjaśniło. Podczas całego zabiegu doznawał osobliwego uczucia, że dziewczyna walczy z nim, że nie chce wracać do życia; pragnęła umrzeć i połączyć się z mężczyzną, którego nazywała swoim mężem. Choć wciąż powątpiewał, czy istotnie była mężatką, w takim przypadku przecież nie zostałaby przywieziona z klasztoru.

— Niech pani teraz spróbuje odpocząć.

Przyglądał się Gabrielli jeszcze przez kilka minut, a potem wyszedł z pokoju, usiłując myśleć z

optymizmem o przyszłych losach pięknej dziewczyny. Była młodziutka, miała przed sobą długie życie. Wyszła zwycięsko z tej próby, wyjdzie więc zwycięsko również z innych. Dzisiejszy koszmar stanie się kiedyś mglistym wspomnieniem. Ale teraz wyglądała i chyba czuła się tak, jakby nastąpił dla niej koniec świata.

Miała rację: Gabriella żywiła zupełną pewność, że życie straciło dla niej wszelki sens. Życie bez Joego... Nieustannie rozmyślała o nim, o dzienniku, który dlań prowadziła, o wspólnie spędzonych chwilach, rozmowach, zwierzeniach, cichych żartach, przechadzkach w Central Parku, krótkich godzinach namiętności w użyczonym mieszkaniu. Usiłowała wyłowić z pamięci każde słowo, każdą tonację, każdy moment. I nieodmiennie przed jej oczyma stawała scena, gdy dwaj posepni księża obwieszczają jej w gabinecie matki Gregorii, że Joe odebrał sobie życie, ona zaś po kres swoich dni będzie mieć tę śmierć na sumieniu. Teraz wierzyła już, że istotnie ponosi winę. Pamiętała, jak przyszedł do niej tego ranka, podczas operacji, i żałowała bezgranicznie, że nie podążyła wtedy za nim. Dałaby wszystko, aby mieć Joego przy sobie. Pogrążona w kruchym śnie, daremnie usiłowała go przywołać... nie przychodził, nie przyoblekał przed oczyma jej duszy realnych kształtów. Opuścił ją, jak wszyscy inni.

Zastanawiała się, co czuł w ostatnich chwilach życia, jaki ból, udreka i rozpacz przywiodły go do tej strasznej decyzji. Jego matka podjęła taką decyzję siedemnaście lat wcześniej. Osierociła syna. Joe pozostawił na świecie tylko ją, Gabriellę. Zupełnie samotną. Nie miała nawet ich dziecka. Nie miała nic wyjątkiem cierpienia.

Wieczorem odwiedziła ją matka Gregoria, która po dwóch przeprowadzonych tego popołudnia rozmowach z lekarzem wiedziała, że Gabriella otarła się o śmierć. Policzki dziewczyny były białe jak całun, usta — niebieskawe i niemal przezroczyste, nietrudno więc było uwierzyć, iż to, że ciągle żyje, graniczy z cudem. Kolejna transfuzja w najmniejszym stopniu nie poprawiła jej stanu. Lekarz oznajmił matce Gregorii, że po tak wielkim upływie krwi rekonwalescencja musi potrwać wiele miesięcy, co z punktu widzenia przełożonej stwarzało poważny problem.

W milczeniu usiadła obok Gabbie, która była zbyt osłabiona, aby cokolwiek powiedzieć, a zresztą ilekroć z wielkim wysiłkiem otwierała usta, wybuchała bezgłośnym płaczem.

— Nic nie mów, moje dziecko — szepnęła w końcu matka Gregoria, ujmując dłoń dziewczyny. Ogarnęło ją uczucie ulgi, kiedy po kilku chwilach Gabriella zapadła w sen, a zarazem przeszedł zimny dreszcz, bo we śnie wyglądała jak martwa.

Wieści o śmierci księdza Connorsa rozeszły się po całym klasztorze, dając impuls gorączkowym szeptom po kątach,

podczas kolacji więc przełożona złożyła uroczyste, choć lakoniczne oświadczenie. Młody ksiądz Connors zmarł nagle — powiedziała — ale nie odbędą się żadne uroczystości żałobne, bo decyzją arcybiskupa jego zwłoki zostaną skremowane, popioły zaś przekazane rodzinie w Ohio. Obudziło to podejrzliwość sióstr, które wiedziały, że Kościół rzymskokatolicki zabrania palenia zwłok i na kremację niezbędna jest dyspensacja władz kościelnych.

Matka Gregoria nie wyjaśniła oczywiście motywów decyzji arcybiskupa, któremu chodziło o rozwiązanie zręczne i humanitarne zarazem — przecież ksiądz Connors był samobójcą i tak samo jak jego matka, nie miał prawa do chrześcijańskiego pochówku. Zrozumiałe więc, że prosząc o chwilę cichej modlitwy za duszę księdza Joego, przełożona czuła na sobie pytające spojrzenia wszystkich zakonnic. Kiedy nieco później rozejrzała się po refektarzu, dostrzegła, że siostra Anna płacze.

Kilka godzin później młoda postulanka zapukała do drzwi gabinetu matki Gregorii, która gestem zaprosiła ją do środka i widząc rozpacz na twarzy siostry Anny, zapytała:

— Czy coś się stało?

Zrazu siostra Anna nie powiedziała nic, kiedy jednak usiadła na krześle naprzeciwko przełożonej, wybuchła rozpaczliwym płaczem i wyjąkała przez łzy:

— To wszystko moja wina.

Jak inne siostry, zgadywała, że musiało się stać coś straszego.

— A ja żywię niewzruszoną pewność, że nie masz z tym nic wspólnego — odparła ze spokojem

matka Gregoria. — Śmierć księdza Connorsa zaszokowała nas wszystkie, ale nie miała żadnego związku z twoją osobą, siostrzo Anno. Okoliczności były nader skomplikowane, ksiądz Connors zaś miał problemy zdrowotne, z których nie zdawałyśmy sobie sprawy.

— Ale jeden z ministrantów powiedział właścicielowi sklepu spożywczego, że ksiądz Joe się powiesił — zaoponowała, wciąż łkając, siostra Anna. Znała tę wersję z trzeciej ręki, od listonosza, który przed dostarczeniem korespondencji do klasztoru był w owym sklepie spożywczym.

Jej słowa nie wzbudziły w matce Gregorii zachwytu.

— Zapewniam cię, siostrzo, że to nonsens.

— A gdzie Gabriella? Siostra Eugenia mówiła, że zabrała ją karetka.

— Nic jej nie jest. Miała w nocy atak wyrostka robaczkowego, kiedy więc powiedziała mi o tym rano, wezwałam pogotowie.

Siostra Anna jednak widziała, jak z gabinetu matki Gregorii wychodzą posepólnicy księża od Św. Stefana. Klasztor był małą zamkniętą społecznością, w której mimo nieustannej bliskości Boga plotki szerzyły się bez opamiętania.

— To ja napisałam ten anonimowy list na ich temat — wyznała przez łzy siostra Anna — bo myślałam... że Gabriella flirtuje z księdzem Connorsem... Och, matko... byłam zazdrosna... Nie chciałam, aby Gabriella zdobyła coś, co ja straciłam przed wstąpieniem do zakonu.

— Postąpiłaś źle, moje dziecko — powiedziała spokojnie matka Gregoria, dobrze pamiętając, ilu zgryzot przysporzył jej ten anonim. — Ale list nie miał znaczenia, nie zwróciłam na niego najmniejszej uwagi. Twoje podejrzenia były najzupełniej bezpodstawne. Siostrę Bernadette i księdza Connorsa łączyła tylko przyjaźń i umiłowanie Chrystusa. Tu nie musimy frasować się sprawami świata doczesnego, jesteśmy od nich wolne. Zapomnij więc o wszystkim i wracaj do sióstr.

Po wyjściu siostry Anny przełożona powiadomiła dwanaście najstarszych sióstr, że wieczorem mają się stawić w jej gabinecie. Gdy o dziesiątej wypełniły polecenie, oznajmiła z naciskiem, że muszą dawać stanowczy odpór wszelkim pogłoskom i plotkom. Przeżywają w tej chwili ciężki okres, niemniej jednak powinny traktować jako swój obowiązek ochronę społeczności klasztornej przed wszystkim, co mogłoby okazać się dla niej szkodliwe. Nie ma sensu zbyt głęboko wnikać w szczegóły ani rozniecać płomieni potencjalnego skandalu. Wręcz przeciwnie: należy zrobić wszystko, aby uciszyć diabelskie podszepty. Zapytana o miejsce pobytu Gabrielli, powtórzyła to samo, co wcześniej powiedziała siostrze Annie: siostra Bernadette miała atak wyrostka robaczkowego i powróci do klasztoru, kiedy tylko poczuje się lepiej.

— Czy jednak pogłoski były prawdziwe, matko? — zapytała siostra Mary Margaret. Będąc najstarszą z zakonnicek, nie wahała się przed zadawaniem znacznie od siebie młodszej przełożonej kłopotliwych pytań. — Ponoć ją i księdza Connorsa łączyła miłość.

Matka Gregoria w duszy podziękowała Bogu za jedną z Jego drobnych łask, siostra Mary Margaret nie wspomniała bowiem o ciąży Gabrielli.

— Czy to możliwe? — nie dawała za wygraną sędziwa zakonnica. — Czy popełnił samobójstwo? Nowicjuszek nie mówią o niczym innym.

— Ale my nie będziemy mówić, siostrzo — odparła surowo matka Gregoria. — Śmierci księdza Connorsa towarzyszyły okoliczności, których nie znam i których nie chcę poznać. Jest teraz w rękach Boga, gdzie i my trafimy pewnego dnia. Musimy zanosić modły za jego duszę, nie zaś zastanawiać się, jak tam trafił. Mam zupełną pewność, że pogłoski o jego związku z siostrą Bernadette są całkowicie bezpodstawne. Byli oboje młodzi, inteligentni i niewinni. Jeśli nawet coś ich ku sobie ciągnęło, zapewne nie zdawali sobie z tego sprawy. Czy to jasne, siostry? Dla was wszystkich? Koniec z plotkami. Aby uzyskać pewność, że moja wola zostanie spełniona, wydaję zakaz prowadzenia wszelkich rozmów przez siedem najbliższych dni. Od jutrzejszego poranka nie powinno w tych murach paść ani słowo, kiedy zaś znów będzie nam wolno rozmawiać, niechaj jedynym tematem staną się sprawy Boże.

— Tak, matko — odparły strwożone mocą, z jaką przemówiła przełożona.

Matką Gregorią nie powodowały wszakże wyłącznie motywy wynikające z jej funkcji przełożonej zakonu. Wciąż kochała Gabriellę zbyt mocno, aby bez bólu słuchać, jak jej imię wymieniane jest w

kontekście skandalu zakończonego samobójstwem młodego kapłana. Dziękowała Bogu, że ciąży Gabrielli pozostała tajemnicą, księża bowiem, którzy byli świadkami omdlenia młodej kobiety, podzielali pogląd matki Gregorii, iż należy zrobić wszystko, aby tajemnicą pozostała. Wersja o zapaleniu wyrostka robaczkowego wydawała się chwilowo satysfakcjonująca.

Odprawiwszy wszystkie siostry, matka Gregoria spędziła w gabinecie jeszcze kilka chwil, potem zaś poszła do kaplicy, padła na kolana i błagając Najświętszą Marię Pannę o pomoc, zaniosła się płaczem, który nabrzmiewał w niej od rana. Ostatnie wydarzenia legły na jej barkach nieznośnym ciężarem, nie umiała stawić czoła myśli, że straci Gabriellę, nie potrafiła wyobrazić sobie, jaki los spotka umiłowaną podopieczną na okrutnym świecie, który tak strasznie ją skrzywdził i na który w najmniejszym stopniu nie była przygotowana. Gdybyż znaleźli w swoich duszach i sercach dość rozsądku... gdybyż powstrzymali się, zanim było za późno... Młodzi, niewinni, nie zdawali sobie sprawy, jakie ryzyko podejmują.

Pogrążona w zadumie, myślała o dziecku, którym kiedyś była Gabriella, o udrękach, jakich przed śmiercią doznawał ksiądz Connors... I kiedy tak modliła się za nich oboje, zyskała pewność, że nie muszą się obawiać mąk piekielnych, bo najgorsze mają już za sobą.

ROZDZIAŁ 14

Matka Gregoria nie odwiedziła ponownie Gabrielli, często jednak dzwoniła do szpitala, wpytując o jej stan, aż wreszcie usłyszała pierwsze pocieszające nowiny: zaprzestano transfuzji — bo ich kontynuowanie mogłoby wywołać reakcję przeciwną do zamierzonej — i odtąd organizm chorej miał odbudowywać się o własnych siłach. Ale matka Gregoria wiedziała aż za dobrze, iż rany na duszy goją się znacznie dłużej niż rany na ciele.

Dziękowała Bogu, że karetka zabrała Gabriellę do szpitala miejskiego, nie zaś do Szpitala Miłosierdzia, gdzie plotki i pogłoski rozeszłyby się w sposób niekontrolowany; zeszłego wieczoru nie trzeba było wiele czasu, aby cały klasztor zahuczał od rozmów o „zapaleniu wyrostka robaczkowego”, które uciszył dopiero odgórny zakaz ich kontynuowania. Problem Gabrielli wszakże pozostał.

Matka Gregoria odbyła jeszcze jedną naradę z księżmi od Św. Stefana, a rankiem osobiście odwiedził ją arcybiskup. Podjęli niełatwą decyzję, ale w zaistniałych okolicznościach jedyną możliwą. Powrót Gabrielli do klasztoru byłby jak posianie w świętym ogrodzie chorego ziarna. Tak przynajmniej uważali rozmówcy matki przełożonej.

Początkowo dyskutowała z nimi, błagała o litość dla Gabrielli, zdając sobie równocześnie sprawę, że gdyby nie chodziło o jej ukochaną podopieczną, doszłaby do identycznych wniosków jak oni. Gabriella nie mogła wrócić do zakonu. Może pewnego dnia — mówili — bardzo odległego dnia... w jakimś innym miejscu. Ale na pewno nie teraz. Arcybiskup Flaherty był niewzruszony w swym postanowieniu. Matce Gregorii pozostawał obowiązek przekazania wyroku Gabrielli.

W dniu wypisania wysłała po nią do szpitala jedną z sióstr, przypominając jej uprzednio z całym naciskiem o przysiędze milczenia i zakazie prowadzenia z Gabriellą jakichkolwiek rozmów. Po przybyciu do klasztoru Gabriella miała stawić się niezwłocznie w gabinecie matki przełożonej. Uczyniła to i zaszokowała matkę Gregorię swoim wyglądem: była tak blada i przerażona, że wyglądała jak zjawa. Zajęła z zakłopotaniem miejsce na tym samym twardym krześle, na którym siedziała owego ranka, gdy powiedziano jej, że ksiądz Joe Connors powiesił się w swoim pokoju na plebanii. Owego ranka, gdy omal nie umarła... Jeszcze teraz żałowała, że nie umarła.

W jej zwróconych na matkę przełożoną oczach widniała pustka i rozpacz.

— Jak się czujesz, moje dziecko? — zadała niepotrzebne pytanie matka Gregoria.

Tylko ślepy nie dostrzegłby, jak czuje się Gabriella: była martwa w środku, martwa jak Joe Connors i dziecko.

— Dobrze, matko. Żałuję za wszystkie kłopoty, jakie sprawiłam — odparła słabym głosem. Słowo „kłopoty” było zbyt wątłe, aby opisać dwa utracone życia i jedno zrujnowane.

— Nie wątpię — stwierdziła przełożona z przekonaniem. Gabriella musiała się zadrećcać, a przecież nikt nie mógł jej w tej chwili pomóc. Sama musi odnaleźć spokój wewnętrzny i, kiedyś może, sama sobie wybaczyć. Nie przyjdzie jej to łatwo, jeśli w ogóle kiedykolwiek przyjdzie.

— To ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność za śmierć księdza Connorsa, matko. Dobrze to rozumiesz... — powiedziała Gabriella. Broda i wargi drżały jej tak bardzo, że tylko z wielkim trudem dokończyła zdanie: — ...i będę pokutować za to przez resztę swoich dni.

Coś w wyrazie twarzy matki Gregorii powiedziało Gabrielli, że ma przed sobą nie tylko przełożoną zakonu.

— Musisz pamiętać o jednym, moje dziecko: jego matka, i to w młodym wieku, postąpiła tak samo. To zły uczynek, nie tylko w oczach Boga, lecz również osób, które się opuszcza. Bez względu na rolę, jaką odegrałaś, miał w sobie nie uświadomianą siłę — potężniejszą niż siła jego charakteru — która pchnęła go do tego uczynku.

Na swój sposób zatem udzieliła Gabrielli rozgrzeszenia, skoro głównej przyczyny tragedii dopatrywała się w jakichś fatalnych skłonnościach tkwiących w duszy Joego, a może nawet stanowiących cechę rodzinną. Były — zdaniem matki Gregorii — godne najwyższego potępienia.

— Jesteś bardzo silna — ciągnęła stara zakonnica, z trudem zachowując opanowanie — i sprostasz wszystkiemu, co przyniesie ci życie. Pamiętaj o tym w każdej chwili. Bóg nigdy nie postawi przed tobą niewykonalnych zadań. Powtarzaj sobie, że przetrwasz nawet wtedy, gdy będziesz pewna, iż sytuacja cię przerasta. Musisz o tym pamiętać.

Było to przesłanie płynące z głębi serca, ale Gabriella nie chciała przyjmować go do wiadomości. Kiedy mówiono jej, że jest silna, zamierzano zwykle porzucić ją lub skrzywdzić.

— Nie jestem silna — wyszeptwała z wysiłkiem. — Nie jestem. Dlaczego wszyscy twierdzą, że jestem?... Czyż nikt nie wie, że to nieprawda?

— Sama nie zdajesz sobie sprawy ze swojej siły i odwagi. Ale pewnego dnia uświadomisz to sobie. Słabi są ci, którzy cię krzywdzą. To oni nie mają dość sił, by sprostać rzeczywistości.

Jak Joe, ojciec i matka — pomyślała Gabriella.

— Ale ty możesz — dodała z mocą matka Gregoria.

Gabriella nie chciała tego słuchać; nie chciała słuchać również tego, co w następnej kolejności miała jej do powiedzenia matka Gregoria.

— Obawiam się, że mam dla ciebie niedobre wieści

— zaczęła przełożona, wzdragając się całym swoim jestestwem przed dokonaniem czegoś, co postrzegала jako szybką, bezlitosną i brutalną egzekucję. Ale nie miała wyboru i jeśli nawet kwestionowała w duszy miłosierdzie swych zwierzchników, nie mogła kwestionować ich mądrości. Posłuszeństwo było podstawą jej życia i złamanie ślubów po prostu nie wchodziło w grę. — Ksiądz arcybiskup uznał, że musisz od nas odejść. Cokolwiek zaszło pomiędzy tobą a... księdzem Connorem...

— Matka Gregoria czuła, że słowa więzną jej w krtani, ale mimo zgrozy rysującej się na twarzyczce Gabrielli nie miała już odwrotu. — Cokolwiek się stało... w murach, które wzniosłyśmy wokół ciebie, rozwarła się szczelina. Nie da się jej naprawić, będzie coraz szersza. Może zresztą twój uczynek... twój związek... z księdzem Connorem... jest oznaką, iż mury klasztoru nie są właściwym miejscem dla ciebie. Może twoja decyzja była wynikiem naszej presji, może, moje dziecko, pozostawałaś z nami powodowana strachem...

— Nie, matko! Nie! — pospiesznie przerwała jej Gabriella. — Jest mi tu cudownie, zawsze było. Pragnę pozostać!

Prawie wykrzyczała te słowa, zdając sobie sprawę, że walczy o życie. Ale matka Gregoria wysiłkiem woli zachowała spokój i świadoma, że zbliża się do kresu drogi, podjęła:

— Nie możesz z nami pozostać, dziecko. Drzwi klasztoru są przed tobą zamknięte na zawsze. Ale nie nasze serca i dusze. Będę się za ciebie modlić aż do śmierci. Teraz jednak musisz odejść. Udasz się zaraz do przebieralni i zmienisz odzież. Dostaniesz dwie sukienki i będziesz mogła zachować buty, które w tej chwili nosisz. Ksiądz arcybiskup pozwolił nam dać ci sto dolarów, a ja... — urwała na chwilę, uświadamiając sobie, że Gabriella ma w oczach taki sam wyraz przerażenia, jak w owym dniu, kiedy została przyprawiona do klasztoru

— ...a ja dołożę do tego jeszcze czterysta z własnych pieniędzy. Musisz znaleźć sobie mieszkanie i pracę. Jest wiele zajęć, które będziesz mogła wykonywać. Bóg dał ci inteligencję i dobre serce. Wciąż możesz liczyć na Jego opiekę. Nie zapominaj o swoim ogromnym talencie pisarskim — zrób

z niego dobry użytek, a pewnego dnia przyniesiesz wiele radości innym ludziom. Teraz jednak uważaj na siebie. Podejmuj rozważne decyzje, bądź ostrożna i pamiętaj, że w każdej chwili będą ci towarzyszyć nasze modlitwy. To, co uczyniłaś, było złe, Gabriello, bardzo złe, ale zapłaciłaś już wysoką cenę. Czas, byś wybaczyła sama sobie... — wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni dziewczyny, którą obdarzyła matczyną miłością — ...tak jak i ja ci wybaczam.

Gabriella oparła głowę na biurku i zanosła się płaczem, kurczowo ściskając dłoń starej zakonnicy. Nie mogła uwierzyć, że musi od niej odejść. To był jedyny dom, jaki miała w życiu, jedyne bezpieczne miejsce na świecie, jedyna prawdziwa matka. Ale zdradziła siostry, zawiodła ich zaufanie; musi opuścić rajski ogród, skoro wąż odniósł triumf, a jabłko zostało zjedzone.

— Nie mogę odejść, matko, nie mogę — wyszeptwała przez łzy.

— Musisz. Nie mamy wyboru. Po tym, co zrobiłaś, nie możesz pozostać pośród innych sióstr, bo byłoby to nieuczciwe wobec nich.

— Przysięgam, że nigdy nic im nie powiem.

— Ależ one wiedzą! Wiedzą w sercach, że stało się coś strasznego i w żaden sposób nie zdołamy uchronić ich przed prawdą. Pozostając wśród nich, znieawidziałabyś siebie za zdradę wszystkiego, w co wierzą.

— Już się znieawidziłam — odparła przez zaciśnięte gardło. Zabiła jedynego mężczyznę, jakiego kochała w życiu, straciła jego dziecko. A teraz miała stracić resztę... Ta świadomość przejęła ją tak nieopanowanym strachem, że zapragnęła, aby ów strach ją zabił. Jeśli jednak nie zabije? To najstraszniejsze, co mogłoby się zdarzyć.

— Gabriello... — powiedziała cicho matka Gregoria, wstając zza biurka tak, jak podczas pierwszego spotkania — ...musisz już iść.

Podążyła oniemiałej Gabrielli kopertę z obiecanyimi pieniędzmi — pochodziły z jej niewielkiego prywatnego konta, które zawdzięczała darowiznom od rodzeństwa, i w jednej piątej z kasy klasztornej — oraz cienki dziennik prowadzony przez Gabbie dla Joego. Znalazła go pod poduszką młoda zakonnica, domyślając się zaś, co zawiera, nie próbowała nawet otworzyć. Gabriella rozpoznała zeszyt od pierwszego rzutu oka i wyciągnęła po niego drżącą dłoń.

Długo stały w milczeniu naprzeciwko siebie, aż wreszcie matka Gregoria przytuliła Gabriellę do siebie — tak samo jak w tamtym pamiętnym dniu sprzed lat.

— Zawsze będę cię kochać — wyszeptwała do dziecka, którym kiedyś była Gabriella, i kobiety, którą stanie się wówczas, gdy osiągnie drugą stronę łańcucha górskiego, jaki wypiętrzy przed nią życie. Matka Gregoria nie wątpiła, iż zdoła tego dokonać, choć czeka ją przedtem długa, niebezpieczna i trudna wędrówka.

— Ja też cię kocham, matko... tak strasznie kocham... — wyszeptwała dziecięcym głosem Gabriella, wciskając twarz w szorstką tkaninę habitu. — Nie potrafię od ciebie odejść...

— W każdej chwili będę przy tobie swoją myślą i modlitwą.

A potem, nie mówiąc już nic więcej, podprowadziła Gabriellę do drzwi, otworzyła je i gestem przywołała czekającą za nimi zakonnice, która miała zaprowadzić dziewczynę do przebieralni i dać jej dwie stare sukienki oraz odrapaną walizkę. O resztę niezbędnego dobytku Gabriella miała zatroszczyć się we własnym zakresie.

Na drżących nogach przestąpiła próg, odwróciła głowę, a w końcu unosząc twarz, po której spływały strumienie łez, wyszeptwała prawie bezgłośnie:

— Kocham cię, matko.

— Idź z Bogiem — odparła matka Gregoria, odwróciła się i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Gabriella patrzyła na nie z niedowierzaniem, mając wrażenie, że oto zamknęło się przed nią czyjeś serce. Skąd mogła wiedzieć, że po drugiej stronie drzwi stara zakonnica ukryła twarz w dłoniach i zanosła się bezgłośnie płaczem?

Kiedy w milczeniu nakazanym przez przełożoną dotarły do przebieralni, młoda siostra wskazała Gabrielli dwie znoszone sukienki: o dwa numery za duży kwiecisty szpetny worek ze sztucznej tkaniny i jeszcze brzydszy z błyszczącej czarnej. Miał z przodu plamy, które nie chciały zejść w żadnym praniu, leżał jednak na Gabrielli lepiej i bardziej odpowiadał stanowi jej ducha; była przecież w żałobie po śmierci Joego. Zastąpiła więc jedną czarną szatę drugą, a potem powolutku

zdjęła kornet, przypominając sobie chwile, gdy robiła to samo w parku albo cudzym mieszkaniu. Teraz był ceną, jaką płaciła za swój grzech. Zdejmując go, traciła wszystko, co sobą reprezentowała i wszystkich, których reprezentował.

Odwróciła się do siostry Morgany, która jej asystowała, popatrzyły sobie w oczy, a później, zapłakane, padły sobie w ramiona. Był to dla obu straszny dzień: jedna wynosiła w świat bezmierne brzemie swoich cierpień i samotności, druga musiała po kres życia milczeć w bólu, jaki rysował się na twarzy Gabrielli w momencie rozstania.

Gabriella starannie ułożyła w starej tekturowej walizeczce pieniądze, dziennik i sukienkę w kwiaty, a potem wyszła z pokoju za kobietą, która przez dwanaście lat była jej siostrą, a teraz bezpowrotnie miała utonąć w falach wezbranej rzeki unoszącej ją, Gabriellę, ku nieznannej przyszłości.

Do głównego wejścia dotarły aż nazbyt szybko; sędziwa furtianka otworzyła drzwi, ale jeszcze długą chwilę wszystkie trzy stały w milczeniu. Dopiero znaczący gest starej zakonnicy sprawił, że Gabriella ruszyła z miejsca i niepewnie przestąpiła próg.

Jakże inaczej czuła się wtedy, gdy radośnie podniecona spieszyła na spotkania z Joem! Teraz, choć świat był rozsloneczniony i pogodny, miała wrażenie, że zstępuje do piekieł.

Stara zakonnica raz jeszcze popatrzyła jej w oczy i zamknęła drzwi.

ROZDZIAŁ 15

Gabriella długo, prawie całą wieczność, wpatrywała się w zamknięte drzwi klasztoru, nie mając pojęcia, co robić i dokąd pójść. Potrafiła tylko myśleć o tym wszystkim, co utraciła w ciągu czterech minionych dni: o mężczyźnie, dziecku, życiu. Była to świadomość tak przytłaczająca, że zakreśliło jej się w głowie.

Potem podniosła walizkę... Wiedziała, że musi gdzieś pójść, znaleźć mieszkanie i pracę, ale nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Patrzyła bezradnie na przejeżdżające autobusy i nagle przypomniała sobie o koleżankach z uniwersytetu, które podczas studiów mieszkały w hotelikach albo pensjonatach. Gdzież one mogły się mieścić? Chyba w Upper West Side... Tak niewiele ją to wtedy obchodziło.

Wciąż odrętwiała, nie wiedząc właściwie, dokąd się wybiera, wsiadła do autobusu jadącego z centrum. W pewnym momencie przyszła jej do głowy szaleńcza myśl, żeby odnaleźć ojca; wysiadła na rogu Osiedzia Szóstej i Trzeciej, weszła do budki telefonicznej i zadzwoniła do bostońskiego biura numerów. Na liście abonentów nie było żadnego Johna Harrisona. Gabriella nie wiedziała zresztą, czy ojciec jeszcze żyje, a jeśli tak — czy miałby ochotę się z nią spotkać. Po raz ostatni widziała go trzynaście lat temu. Teraz, będąc dwudziestodwuletnią kobietą, zaczynała życie na nowo, jak niemowlę.

Po wyjściu z budki spostrzegła, że stoi na wprost kafejki; poczuła silne zawroty głowy i uświadomiła sobie, że od rana nic nie miała w ustach. Mimo to nie była głodna.

Mijali ją ludzie, szły matki popychające wózki z dziećmi. Każdy, z wyjątkiem Gabrielli, miał jakiś cel, dokądś zmierzał. Odnosiła wrażenie, że jest nieruchomym omszałym głazem, opływającym przez rwący nurt rzeki.

W końcu weszła do kafejki i zagapiona w filiżankę herbaty zaczęła rozmyślać o pożegnalnych słowach matki Gregorii. Dlaczego — zadawała sobie pytanie — wszyscy powtarzają, że jest silna? Wreszcie zaczynała rozumieć: te słowa były żalobnym dzwonem zwiastującym, że ludzie, których kocha, zamierzają odepchnąć ją albo porzucić. Przygotowywali ją na samotność, wiedząc, że bez nich musi być silna.

Dopiła herbatę i podniosła pozostawioną przez kogoś gazetę; przeglądając dział ogłoszeń natrafiła na rubrykę „Pokoje do wynajęcia”, a w niej znalazła adres pensjonatu położonego chyba zupełnie niedaleko, przy Osiedziu Szóstej, nad East River. Nie miała pojęcia o topografii miasta, byłby to więc dobry początek. Czy jednak będzie ją stać na jakikolwiek pokój, skoro jest bez pracy? Zapłaciła za herbatę i wyszła powoli na rozsloneczniony świat. Przez ostatnie dni z powodu utraty krwi czuła się zziębnięta na kość i gorący napój rozgrzał ją tylko odrobinę. Śmiertelnie blada i obolała wlokła się w stronę East River, rozmyślając, ile może kosztować mieszkanie w pensjonacie;

nie wiedziała również, jak długo zdoła wyżyć za pięćset dolarów. Nigdy sama nie zaspokajała swoich potrzeb, nie miała pojęcia o cenach żywności, posiłków w restauracjach, pokoi hotelowych czy ubrań. Żywiąc wobec matki Gregorii ogromną wdzięczność za podarowane pieniądze, nie wyobrażała sobie nawet, jak należy nimi gospodarzyć. Ale bez nich jej sytuacja byłaby zupełnie beznadziejna.

Za pierwszym razem przegapiła pensjonat i dopiero po chwili poszukiwań odnalazła kamieniczkę o fasadzie wyłożonej spekanymi płytami z piaskowca; jedynym dowodem, że trafiła pod właściwy adres, była umieszczona w zakurzonej oknie tabliczka z napisem: „Pokoje do wynajęcia”. Dom nie prezentował się zachęcająco. W tandetnie urządzonej, lecz czystym holu królowały zapachy płynące z kuchni. Prawdziwa

przepaść dzieliła to miejsce od klasztoru Św. Mateusza z jego surowym nienagannym porządkiem. — Słucham? — Na dźwięk kroków Gabrielli do ciemnej sieni wsunęła głowę starsza niewiasta. — Czym mogę służyć?

— Ja... mhm... Czy są tu pokoje do wynajęcia? Widziałam tabliczkę... i czytałam ogłoszenie w gazecie.

— Możliwe, całkiem możliwe — odparła kobieta z silnym cudzoziemskim akcentem.

Pamiętając jeszcze, w jaki sposób mówili niektórzy goście rodziców, a także koledzy z uczelni, Gabriella rozpoznała, że to akcent słowiański — polski albo czeski.

Gospodyni zmierzyła Gabriellę spojrzeniem od stóp do głów, nie zamierzała bowiem przyjmować pod swój dach ani prostytutek, ani narkomanek, ani wreszcie — dodała w myślach, uznając dziewczynę za znacznie młodszą, niż była w istocie — uciekinierkę z domu. Każda z tych kategorii dziewcząt oznaczała kłopoty z policją. Prowadziła porządną pensjonat i znacznie bardziej wolała starszych czy wręcz starych gości. Regularnie otrzymywali czeki z emeryturą i płacili czynsz, nie hałasowali i nie stwarzali innych problemów, chyba że zachorowali albo umarli. W pensjonacie obowiązywał kategoryczny zakaz gotowania w pokojach, a młodzi ludzie, jak ogólnie wiadomo, uwielbiają łamać zakazy. Pałą, jedzą, piją, gotują, zapraszają przyjaciół o najdziwniejszych porach dnia i nocy, są wiecznie zgiełkliwi. No i rzadko trudnią się uczciwą pracą.

— Czy ma pani stałą pracę? — zapytała z niepokojem właścicielka pensjonatu, wiedząc z doświadczenia, że bezrobotnych z reguły nie stać na czynsz.

— Nie... jeszcze nie — odparła Gabriella przepraszającym tonem. — Ale właśnie szukam.

— Cóż, proszę zatem wrócić, kiedy ją pani znajdzie — oświadczyła gospodyni, dochodząc do słusznego wniosku, że nie ma przed sobą dziewczyny, która korzysta z dobrodziejstw funduszu powierniczego bądź hojności rodziców mieszkających przy Park Avenue. Ale, z drugiej strony, czy taki ktoś szukałby pokoju w jej pensjonacie? — Skąd pani pochodzi?

Gabriella wahała się przez chwilę, zastanawiając się, jak wyjaśnić podejrzliwej gospodyni to, że nie ma pracy ani własnego kąta na świecie. Sama czuła się jak człowiek wypuszczony właśnie z więzienia. Szpetna czarna sukienka z plamami na przedzie też na pewno nie poprawiała jej wizerunku.

— Z Bostonu — odparła, wciąż mając w myślach ojca, którego nie zdołała odnaleźć. — Właśnie przyjechałam do Nowego Jorku.

Gospodyni pokiwała głową, uznając takie wyjaśnienie za prawdopodobne.

— Jakiego zajęcia pani szuka?

— Każdego — odpowiedziała otwarcie Gabriella. — Zacznę rozglądać się od jutra.

— Na Drugiej Alei jest mnóstwo restauracji. Na Osiemdziesiątej Szóstej ulicy też, zwłaszcza niemieckich. Może uda się pani coś znaleźć. — Gospodyni zaczęła współczuć Gabrielli, która była błada, strudzona i jak się zdawało, schorowana. Ale nie wyglądała na narkomankę. Sprawiała wrażenie osoby schludnej i dobrze wychowanej. Właścicielka pensjonatu, pani Boslicki, wreszcie zmiękła. — Na ostatnim piętrze mam niewielki pokój, który może zechciałaby pani obejrzeć. Nic luksusowego. Łazienka wspólna z trzema innymi.

— Ile kosztuje? — zapytała z niepokojem Gabriella, myśląc o swoim skromnym budżecie.

— Trzysta miesięcznie bez wyżywienia. No i nie może pani gotować. Żadnych podgrzewaczy, kuchenek ani szybkarów elektrycznych. Stołuje się pani poza domem albo przynosi gotowe

dania. — Ten zakaz chyba nie stwarzał problemów, Gabriella bowiem wyglądała na osobę, która w ogóle nie je albo nieustannie się odchudza. Przypominała trzcinkę. — Chce pani zerknąć?

— Z najwyższą przyjemnością.

Była bardzo grzeczna, co również budziło aprobatę pani Boslicki, która nie lubiła pyskatej młodzieży. Wynajmowała pokoje przez dwadzieścia lat, od śmierci męża, i w tym czasie pod jej dachem nie zagościł żaden hipis.

— Czy lubi pani koty? — zapytała gospodyni, kiedy zaczęły wchodzić na górę. Miała ich dziewięć i tłumaczyło to

przynajmniej jeden składnik wyczuwalnego na dole bukietu zapachów. Gabriella przypomniała sobie kocura, który niekiedy siadywał obok niej w klasztorным ogrodzie, i odparła, że wręcz uwielbia.

Kiedy docierały na ostatnie piętro, tęgawa pani Boslicki posapywała z lekka, ale Gabriella wlokła się ostatkiem sił. Trzy piętra to wciąż było dla niej za wiele; doktor szczególny nacisk położył na to, żeby unikała schodów, wysiłku i noszenia ciężarów, bo utrata choćby jeszcze jednej kropli krwi może skończyć się dla niej fatalnie.

— Dobrze się pani czuje? — zapytała z troską gospodyni na widok pozieleniałej nagle twarzyczki i coraz wolniejszych ruchów Gabrielli.

— Ostatnio trochę chorowałam — odparła Gabriella, dochodząc do wniosku, że ze schludnym kokiem, kwiecistą sukienką i kapciami pani Boslicki przywodzi na myśl książkową babunię. Było w niej, mimo skłonności do zadawania kłopotliwych pytań, ciepło i życzliwość.

— Z tymi grypami, które ostatnio panują, trzeba strasznie uważać, bo ani się człowiek obejrzy i zapalenie płuc gotowe. Kaszle pani?

Także gruźlicy nie należeli do jej ulubionych pensjonariuszy.

— Nie, czuję się już dobrze — zapewniła Gabriella.

Pani Boslicki otworzyła drzwi nędznego pokoiku, w którym z trudem mieściło się łóżko, krzesło o prostym oparciu i komoda z toaletką. Firanki i zasłony w oknach były postrzępione, wykładzina zaś niemal łysa. Aż do zeszłego lata zajmowała ten pokój pewna sędziwa warszawianka; od czasu jej śmierci pani Boslicki nie zdołała znaleźć żadnego klienta chętnego zapłacić trzysta dolarów miesięcznie za taką norkę. Gospodyni z niepokojem spoglądała na Gabriellę, której przysłała do głowy myśl, że klasztorne cele były spartańskie, ale nie aż tak przygnębiające.

— Wynajmę go pani za dwieście pięćdziesiąt — pospiesznie oświadczyła pani Boslicki, dumna ze swej wspaiałości. Musiała wreszcie zagospodarować jakoś ten pokój, a poza tym potrzebowała pieniędzy.

— Biorę go — odparła bez wahania Gabriella, nie mając w tej chwili innego wyjścia. Znużona wspinaczką po schodach, pragnęła natychmiast położyć się na kilka minut. Niemniej na myśl, że ta ponura komórka ma zostać jej nowym domem, była bliska łez, kiedy wręczała gospodyni połowę pieniędzy otrzymanych od matki Gregorii.

— Przyniosę pościel i ręczniki. Praniem zajmuje się pani sama... pralnia automatyczna jest parę kroków stąd. Większość mieszkańców stołuje się w restauracji na rogu.

Gabriella pamiętała ten lokal, minęła go po drodze; miała nadzieję, że nie jest zbyt drogi. Zostało jej zaledwie dwieście pięćdziesiąt dolarów, ale przynajmniej na najbliższy miesiąc zapewniła sobie dach nad głową.

Wyszły na korytarz i pani Boslicki pokazała jej łazienkę: znajdował się w niej sedes, mała umywalka z lustrem i wanna z prysznicem oraz plastikową zasłoną. I to pomieszczenie nie prezentowało się zachęcająco, ale czyż Gabriella miała jakikolwiek wybór?

— Proszę utrzymywać ją w czystości, bo jest użytkowana przez trzy inne osoby. Ja sprzątam raz w tygodniu, w pozostałym czasie wszystko zależy od państwa. Na dole jest salonik, w którym będzie pani zawsze mile widziana. Mamy telewizor i — uśmiechnęła się z niekłamaną dumą — pianino. Umie pani grać?

— Przykro mi, ale nie — odparła z zażenowaniem Gabriella. Matka umiała grać, Harrisonowie jednak nie trwonili pieniędzy na lekcje muzyki dla córki, w klasztorze zaś było dość innych, ważniejszych zajęć. Zresztą Gabriella miała drewniane ucho i chociaż śpiew sprawiał jej

przyjemność, nieustannie fałszowała, narażając się na kpinki sióstr.

— Proszę się teraz rozejrzeć za pracą, żeby mogła pani u nas pozostać. Jest pani miłą dziewczyną — powiedziała ciepło pani Boslicki, mówiąc zresztą najzupełniej szczerze. Gabriella była uprzejma, dobrze wychowana i nic nie wskazywało na to, że będzie stwarzać problemy. — Ale proszę na siebie uważać, nie wygląda mi pani zdrowo. Przede wszystkim trzeba dużo jeść, to na pewno dojdzie pani do siebie. Zaraz przyniosę pościel i ręczniki.

Gdy Gabriella odparła, że nie ma sensu się fatygować jeszcze raz na górę, bo przy okazji weźmie je sama, pani Boslicki na pożegnanie pomachała jej dłonią, w której wciąż ścisnęła dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Gabriella wróciła do pokoju, usiadła na niewygodnym krześle i zaczęła rozmyślać, w jaki sposób — kiedy już zacznie zarabiać — mogłaby upiększyć i rozweselić to smutne pomieszczenie. Tak, nowa kapa na łóżko, kilka reprodukcji na ścianach i żywe kwiaty w wazonie zdziałają cuda.

Kiedy otworzyła walizkę i zaczęła wieszać swoje ubrania w szafie wnękowej, natrafiła na dziennik, który pisała dla Joego. Zapomniała, że wetknęła go pomiędzy rzeczy osobiste. Przygnębiająca była świadomość, iż nigdy nie miał okazji go przeczytać... Po chwili nie mogąc oprzeć się pokusie, wyjęła zeszyt, usiadła na łóżku i zaczęła przeglądać notatki o spotkaniach i o miłości... o potajemnych spotkaniach, które przejmowały ją zgrozą, i o pierwszej miłości, która budziła w niej uniesienie. A potem o namiętności, której zaznała w jego ramionach. Było tu wszystko, od początku do końca — refleksje z rozmów o wspólnym życiu i nadzieje związane przez Gabriellę z ich nie narodzonym dzieckiem...

Kiedy czytała ostatni wpis, z pamiętnika wypadł list i Gabriella zdała sobie sprawę, że nie widziała go dotąd na oczy. Na kopercie widniały dwa słowa: „Siostra Bernadette”, wypisane, jak się zdawało, nieznanym charakterem pisma. Dopiero po chwili Gabriella zorientowała się, że zostały skreślone ręką Joego, a wtedy drżącymi dłońmi zaczęła rozrywać kopertę. Zrazu nie zorientowała się, co zawiera... potrzebowała minuty, aby pojąć, że ma przed sobą list pożegnalny.

Książd O'Brian oddał go matce Gregorii, ta zaś wsunęła do pamiętnika, nic Gabrielli nie mówiąc. Gabriella miała łzy w oczach, kiedy uświadomiła sobie, że zaledwie kilka dni temu jego dłoń dotykała tych dwóch arkuszy papieru i że te dwie kartki to jedyne, co jej po nim zostało.

„Gabbie” — zaczynał Joe. Oczywiście musiał zaadresować jakoś kopertę, stąd słowa „Siostra Bernadette” na liście, który zdradził ich tajemnicę; gdyby nie on, Gabriella mogłaby zostać w klasztorze.

„Cóż, co się stało, to się nie odstanie... Nie wiem, co powiedzieć i od czego zacząć. O ileż jesteś lepsza, uczciwsza i silniejsza niż ja. Całe życie zdawałem sobie sprawę ze swoich wad i słabości, wiedziałem, jak wielu ludziom przyniosłem rozczarowanie... choćby rodzicom — przez to, że nie zdołałem uratować Jimmy'ego...”

Jimmy był starszy i silniejszy, a jednak to jego brat obarczał się winą za cud, którego nie zdołał dokonać. Za to samo zapewne winili go rodzice. Jakże ich w tej chwili nienawidziła!

„Przyniosłem więc rozczarowanie wszystkim, którzy znali mnie, kochali i liczyli na mnie. Gdyby było inaczej...”

Miała wrażenie, że z nim w tej chwili rozmawia, a przecież nie mogła powiedzieć Joemu, że się myli, nie była w stanie przekonać go, że jest w błędzie, namówić do pozostania.

„Gdyby było inaczej, gdybym był inny, matka nie popełniłaby może samobójstwa po śmierci ojca, wiedząc, że zawsze może na mnie liczyć. Ale nie miała takiej pewności. Woląla wybrać śmierć.

Zakon dał mi wszystko, co kiedykolwiek miałem w życiu — miłość, szansę, tak potrzebne człowiekowi zrozumienie. Wierzono we mnie, wybaczano słabości i kochano z równą siłą, jak ja kocham teraz Ciebie, a Ty mnie. To jedyne pewne ogniwa w moim życiu, dobrodziejstwa, za które dziękuję losowi nawet w tej najciemniejszej z mych godzin.

Wstąpiłem na drogę kapłaństwa, ponieważ wiedziałem, że niczym nie zdołam sprawić braciom większej radości. Nieobca mi była również myśl, że jeśli wreszcie zrobię coś dobrego, spłacę dług wobec matki i brata, a Bóg mi być może wybaczy.

Długo, długo byłem pewien, iż postąpiłem właściwie. Byłem szczęśliwy, Gabbie. Szczęśliwy, że wybrałem właściwą drogę. Rad, że dług za życie matki i brata spłaciłem własnym życiem... Aż do

chwili kiedy poznałem Ciebie i pojąłem, jak bardzo chcę to życie odzyskać; gdy zrozumiałem, że nie znalazłem dotąd ani prawdziwego szczęścia, ani prawdziwej miłości. Odkąd cię poznałem, myślałem tylko o jednym: żeby zostać Twoim kochankiem i mężem. Pragnąłem być z Tobą, oddać Ci wszystko — siebie, swoją duszę i życie. Moja dusza i życie jednak nie należały już do mnie.

Wszelkimi sposobami próbowałem wyobrazić sobie, że jestem z Tobą, żyję, poślubiam, staję się tym, na kogo tak bardzo zasługujesz. Daremnie. Wiedziałem, że Cię rozczaruję, a poza tym nie umiem łamać danego słowa. Nie mogłem odebrać Bogu swojego życia tylko dlatego, że spotkałem kogoś, kogo kocham bardziej niż Jego. Nie mogłem zrobić tego braciom zakonnym ani księżom z parafii Św. Stefana. Zawiodłem Jimmy'ego i Mamę, odkupiłem więc ich dusze swoim życiem; gdybym teraz to życie odebrał, zawiódłbym ich raz jeszcze... ale również Ciebie i Boga. Moje serce zawsze będzie należeć do Ciebie, zawsze będę Cię kochać, zawsze będę przy Tobie. Nie zniósłbym myśli, że mógłbym żyć bez Ciebie, ale nie mogę rozczarować ich wszystkich jeszcze raz. Nie mogę dowieść po raz kolejny, jak bardzo jestem bezwartościowy. Mielibyśmy okropne życie, gdybym tak postąpił. Bez względu na cenę, jaką trzeba będzie zapłacić, muszę pozostać. Układ został zawarty dawno temu i obiecałem Ci coś, co już do mnie nie należało. A jednak nie potrafię bez Ciebie żyć. Nie wytrzymałbym tu ani dnia wiedząc, że jesteś gdzieś blisko. Nie potrafię bez Ciebie żyć, Gabbie.

Idę już — do Jimmy'ego i Mamy. Nadszedł czas. Wyczerpałem swoje ziemskie możliwości. W latach kapłaństwa zrobiłem dla ludzi trochę dobrego, ale jakże mógłbym tym ludziom spojrzeć w oczy teraz, kiedy wiem, jak niewiele znaczą wobec mojej miłości do Ciebie? Moje miejsce jest albo przy Tobie, albo nigdzie. Nie potrafię spełnić żadnej ze złożonych komukolwiek obietnic. Nie potrafię odejść od Boga i nie potrafię odejść od Ciebie. Jestem człowiekiem rozdartym i grzesznym, jakże więc mógłbym być dobrym ojcem dla naszego dziecka? Gabbie, jesteś silna..."

Boże, znów te zniechęcające słowa!

„...znacznie silniejsza niż ja. Będiesz cudowną matką dla naszego dziecka. Będę szczęśliwy, mogąc obserwować Was z nieba, jeśli kiedykolwiek tam trafię. Pewnego dnia powiedz dziecku, jak bardzo je kochałem, jak bardzo kochałem Ciebie... i powiedz jeszcze, że byłem porządnym człowiekiem, który

próbował... Boże, Gabbie, powiedz mu, jak strasznie Cię kochałem... kochałem Cię... niechaj Bóg mi wybaczy..."

Słowa urywały się w połowie stronicy i niżej widniało jeszcze tylko jedno: „Joe”.

Pochlipując cichutko, długo wpatrywała się w list, który sprawił, że nagle wszystko stało się jasne. Joe sądził, iż wszystkich zawiódł... przypisywał Gabrielli siłę i odwagę, ponieważ sam bał się zrobić coś, czego pragnął. Bał się znacznie bardziej niż ona. Gdyby tylko znalazł w sobie odwagę, aby zrzucić szaty kapłańskie i spróbować z Gabriellą wspólnego życia, zdołałaby go przekonać, że jest w błędzie i że nie zawiódł nikogo... Bo zawiódł dopiero teraz, wszystkich... Porzucił ją, mówiąc, że jest silna. Jakże przypominał ojca... odszedł, nie pozostawiając jej nic prócz tego listu. Miała ochotę krzyczeć, ale tylko płakała. Przeczytała list kilka razy: było w nim wszystko — rozpacz Joego, jego lęki, wyrzuty sumienia za nie popełnione winy.

A któż teraz ponosił odpowiedzialność? Po czyjej stronie leżała wina?

Po jej stronie, odpowiadała sobie Gabriella. To ona zawiódła Joego w ślepy zaułek życia, to ona skazała go na kolejne fiasko. Ona... swoją miłością. Wyprowadziła go na skraj urwiska, z którego nie zdołał znaleźć bezpiecznego zejścia i w końcu, pociągając ją za sobą, skoczył w otchłań. Ona jednak żyła, a on umarł. Skazał ją na ten szmatławy nieznamy pokój. Skazał ją na los człowieka silnego, ponieważ sam wybrał słabość. Nagle, czytając list bodaj po raz dziesiąty, rozgniewała się na Joego za to, czego nie ośmielił się spróbować, czego nie uznał za wartę ceny życia. Uciekł do mamusi i Jimmy'ego. Postąpił tak samo jak jego matka, uznając, iż gra nie jest warta świeczki, że i tym razem nie postąpi właściwie, że znowu nie ma szansy na sukces. Nie pozostawił jej żadnych możliwości wyboru, najmniejszego pola manewru. Podążył jedyną drogą, jaka się przed nim rysowała, pozostawiając Gabriellę zdaną na własne siły. Miała ochotę krzyczeć na niego, wrzeszczeć... potrząsać nim za ramiona. Gdybyż tylko wiedziała wcześniej, co mu chodzi po

głowie. Mogłaby wtedy porozmawiać z nim, argumentować, nawet porzucić, gdyby oznaczało to, że pozostanie przy życiu. Ale nie знаła jego najtajniejszych myśli. Odszedł, pozostawiając między sobą a światem tylko kawałek sznura.

Postąpił jak tchórz i częścią duszy nienawidziła go za to; inną częścią jednak kochała jak dawniej. Zapadł już zmrok, kiedy przypomniała sobie słowa matki Gregorii, która wiązała samobójczą śmierć Joego i jego matki z jakimiś fatalnymi rodzinnymi skłonnościami. A mimo to Gabrielli nie przestawało dęczyć nieznośne poczucie winy... wiedziała w głębi serca, że to ona ponosi odpowiedzialność... że to ona go zabiła, chociaż kochała tak mocno. Zapłaciła już za to wysoką cenę, ale zapłaci jeszcze wyższą. Pojmowała z niewzruszoną pewnością, że Bóg nigdy jej nie wybaczy.

ROZDZIAŁ 16

Po wynajęciu pokoju u pani Boslicki Gabriella przez tydzień wydeptywała chodniki, pytając o pracę w każdym miejscu, które przychodziło jej do głowy. Próbowwała szczęścia w domach towarowych, tanich sklepach sieci „5&10”, kawiarniach, a nawet plugawej knajpce położonej naprzeciwko domu, w którym mieszkała. Jednakże mimo dyplomu Columbii, doświadczenia w ogrodnictwie, kultury i zdolności pisarskich nikt nie chciał jej zatrudnić. W restauracjach argumentowano, że nigdy nie pracowała jako kelnerka, w sklepach — że jako sprzedawczyni. Podczas tych długich wędrówek myślała z lękiem, że mogą powrócić krwawienia, a przecież w tej chwili praktycznie nie było jej stać na lekarza. Traciła już nadzieję i resztki swoich pieniędzy, kiedy późnym popołudniem wstąpiła na kawałek ciasta i kawę do małej cukierenki przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Od rana nie miała nic w ustach i po prostu nie mogła oprzeć się pokusie.

Zamówiła ekierkę i filiżankę kawy z przepyszną bitą śmietaną, a kiedy delektowała się posiłkiem, dostrzegła, że właściciel lokalu, stary Niemiec, przykleja do szyby kartkę z napisem: Zatrudnię kelnerkę. Świadoma, że sprawa jest beznadziejna, zapytała jednak o pracę, gdy płaciła za ciastko i kawę. Oświadczyła bez ogródek, że brak jej doświadczenia, ale chce pracować i jest pewna, że w charakterze kelnerki da sobie radę. Potem zaś w akcie rozpaczony wyznała, iż przebywała w klasztorze i podawała tam do stołu. Właściciel cukierni był pierwszym człowiekiem, któremu zdradziła swoją przeszłość; dotąd tego nie czyniła, bojąc się lawiny pytań, była wszakże gotowa powiedzieć wszystko, byle tylko zdobyć pracę. Niemca wyraźnie zaintrygowały jej słowa.

— Byłaś zakonnica? — zapytał, przypatrując się Gabrielli z zaciekawieniem. Miał obfity siwy wąs, połyskującą łysinę i Gabriella pomyślała natychmiast, że przypomina Gepetta, ojca Pinokia.

— Nie, postulantką — doparła, patrząc nań z takim bezgranicznym smutkiem, że zapragnął nagle wyciągnąć ku niej rękę w geście pociechy. Wyglądała jak ktoś, kto nade wszystko potrzebuje solidnego posiłku i ludzkiej życzliwości. Chuda jak szczapka i przeraźliwie blada, musiała budzić litość.

— Kiedy mogłabyś zacząć? — zapytał. Była piękną dziewczyną o eleganckiej dumnej postawie, właściciela lokalu więc zdumiał fakt, że nosi taką szpetną sukienkę — tę samą czarną błyszczącą sukienkę, z nie dającymi się sprać plamami, którą dostała w klasztorze i której, z braku pieniędzy, nie mogła zastąpić inną. Jej arystokratyczny wygląd, uznał Niemiec, zdaje się świadczyć, że rosła w dostatku, ale ostatnio popadła w nędzę.

— W każdej chwili — odparła. — Mieszkam w pobliżu i jestem zupełnie wolna.

— Bez wątpienia — odparł z uśmiechem. — W porządku, zaczniesz więc jutro. Sześć dni w tygodniu, praca od południa do północy. W poniedziałki nie otwieramy.

Czuła, że trudno będzie jej sprostać dwunastogodzinnym zmianom, uradowana jednak, że wreszcie znalazła pracę, gotowa była nawet szorować podłogi, gdyby szef kazał jej to robić.

Dowiedziała się, że nosi nazwisko Baum i pochodzi z Monachium. W jego lokalu pracowały już cztery kobiety w średnim wieku, z których trzy były Niemkami. W nieskazitelnie czystej knajpce — będącej firmą rodzinną — podawano obfite niemieckie dania, a po południu i późnym wieczorem — ciasta i ciastka. Kucharzeniem zajmowała się pani Baum.

Kiedy uśmiechnięta od ucha do ucha Gabriella wchodziła do domu przy Osiemdziesiątej Ósmej,

natknęła się na panią Boslicki.

— Cóż, poznała pani księcia z bajki czy może znalazła w końcu pracę? — zapytała pani Boslicki, mocno zaniepokojona losem młodej kobiety, która całymi dniami błąkała się po mieście, wieczorami zaś przesiadywała samotnie w ciemnym pokoju. Dla dziewczyny w jej wieku nie było to życie szczęśliwe, a nawet normalne.

— Dostałam pracę — odparła rozpromieniona Gabriella. Miała dostawać dwa dolary za godzinę, co pozwalało jej płacić czynsz u pani Boslicki. Rzecz niebłaha, jeśli zważyć, że z pieniędzy otrzymanych od matki Gregorii pozostały jej smętne resztki. — W cukierni przy Osiemdziesiątej Szóstej.

Lokal pana Bauma dzieliły od pensjonatu pani Boslicki zaledwie cztery przecznice, więc mimo długich godzin pracy układ był idealny. Gabriella zanosila tylko modły, by wysiłek, z jakim niewątpliwie będzie się wiązać wielogodzinna praca, nie spowodował krwotoków w ciągu najbliższych kilku tygodni. Od poronienia minęły niespełna dwa... i tyleż od śmierci Joego... a zaledwie tydzień od chwili, gdy została zmuszona do opuszczenia klasztoru. Być może u krańca łańcuszka nieszczęść zdarzyło się wreszcie coś dobrego.

— Gratulacje! — powiedziała z szerokim uśmiechem pani Boslicki. — Może wreszcie wyjdzie pani ze swojej samotni, aby pooglądać telewizję albo posłuchać muzyki. Wszyscy sądzą, że wynajęłam pokój jakiemuś komiwojażerowi.

— W domu będę spędzać niewiele czasu, pani Boslicki — wyjaśniła Gabriella. — Muszę być w pracy od południa do północy. Ale dziś wieczorem zejdę do salonu, ma pani moje słowo.

— Po kolacji. Proszę spojrzeć na siebie w lustrze, wygląda pani jak szczapka. Nigdy nie znajdzie pani męża, jeśli od czasu do czasu czegoś pani nie zje. Chłopcy nie przepadają za chudzielcami — stwierdziła pani Boslicki, grożąc palcem, a Gabriella wybuchła śmiechem. Gospodyni przywozila jej na myśl niektóre starsze wiekiem siostry z klasztoru, chociaż żadna z nich nigdy nie przekonywała, że warto czynić jakiegokolwiek wysiłki, aby zdobyć męża. Wręcz przeciwnie.

Niemniej jednak usłuchała rady pani Boslicki i poszła do knajpki po drugiej stronie ulicy, gdzie zamówiła porcję pieczeni rzymskiej. Proste, lecz pożywne danie przypominało jej posiłki w klasztorze i w rezultacie — obudziło nostalgię. Oddałaby wszystko, byle tylko zobaczyć znowu matkę Gregorię... ujrzeć chociażby kącikiem oka, jak spieszy korytarzem, chowając w obszernych rękawach habitu dłonie skrzyżowanych na piersiach rąk, usłyszeć postukiwanie paciorków jej różańca. Chętnie zobaczyłaby też którąkolwiek z pozostałych sióstr — siostrę Agatę, Timothy, Emanuel... albo Immaculatę. Rozmyślała o nich wszystkich, wracając do pensjonatu i dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie złożoną pani Boslicki obietnicę, że zajdzie na moment do salonu. Nie miała na to specjalnej ochoty, z drugiej jednak strony nie chciała zachować się niegrzecznie, weszła zatem, mówiąc sobie, że nie zabawi dłużej niż kilka minut. Zaskoczyło ją, że w saloniku przebywa tak wiele osób — sześć, może siedem. Grały w karty lub gwarzyły ze sobą. Telewizor był włączony, a na pianinie brzdąkał starszy pan przypominający z wyglądu Einsteina. Oświadczył w pewnym momencie, że niezbędna jest ponowna wizyta stroiciela, co pani Boslicki zbyła stwierdzeniem, że jej zdaniem instrument nigdy nie brzmiał lepiej.

Kiedy zakłopotana Gabriella weszła do pokoju, wszyscy, jak jeden mąż, podnieśli na nią wzrok. Nie spodziewała się tak liczego towarzystwa. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni zdawali się być dobrze po sześćdziesiątce i tylko pianista był jeszcze starszy; panie, życzliwie uśmiechnięte, miały siwe włosy, czasem z błękitnawym odcieniem. Gabriella wniosła do pokoju powiew młodości, a poza tym wyglądała po prostu ślicznie. Nosiła wprawdzie swoją podniszczoną sukienkę w kwiaty i solidnie znoszone buciki, ale jej proste lśniąca włosy blond otaczały twarzyczkę niemal na kształt aureoli. Z wielkich niebieskich oczu biła niewinność, pensjonariusze pani Boslicki zaś nie byli na tyle przenikliwi, by dostrzec zatajony w ich głębi smutek. Gabriella sprawiała wrażenie zbyt młodej,

aby znać życie i cokolwiek przecierpieć. Jej widok po prostu podnosił na duchu.

Pani Boslicki dokonała prezentacji. Kilku pensjonariuszy pochodziło z Europy: jedna z kobiet, pani Rosenstein, oznajmiła z dumą, że przeszła zwycięsko przez piekło Oświęcimia. U pani Boslicki

mieszkała już od dwudziestu lat. Starszy pan przy pianinie został przedstawiony jako profesor Thomas — zrazu Gabriella nie była pewna, czy to imię, czy nazwisko, profesor jednak natychmiast rozwiął jej wątpliwości, kiedy skłoniwszy się lekko stwierdził, że nazywa się Theodore Thomas i jest profesorem, ale emerytowanym. Gabriellę zaintrygował fakt, iż na Harvardzie nauczał literatury, specjalizując się w osiemnastowiecznej powieści angielskiej.

— A gdzie pani studiowała? — zapytał z łobuzerskim uśmiechem, rezygnując z prób reanimowania pianina. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mogła nie ukończyć studiów.

— Na Columbii — odparła Gabriella cichutko.

— Doskonała uczelnia — stwierdził, ciągle się uśmiechając. Jak wszyscy pensjonariusze, słyszał o Gabrielli od pani Boslicki, chociaż dotąd nie widział jej ani razu.

— I co zamierza pani dalej, młoda damo? — zapytał. Zmierzwiony, w workowatych spodniach, wyglądał jak najprawdziwszy ekscentryczny stary profesor z filmu albo książki. Gabriella prawidłowo odgadła, że zbliża się do osiemdziesiątki, ale miał jasny wzrok, trzeźwy umysł i nie przytępione poczucie humoru.

— Dostałam właśnie pracę w restauracji przy Osiemdziesiątej Szóstej — odparła z dumą. Istotnie, praca była jej wielkim i bardzo pożądanym zwycięstwem. — Zaczynam od jutra.

— Mam nadzieję, że chodzi o jeden z tych przytulnych lokalików, w których podają ciastka. Bez wątpienia ja i pani Rosenstein odwiedzimy panią, kiedy tylko wybierzemy się na przechadzkę w tamte strony.

Pani Rosenstein, która mieszkała w pensjonacie niemal równie długo jak on, była jego stałą towarzyszką i rozmówczynią, profesora bowiem nieodmiennie fascynowały jej wspomnienia. Sam przeniósł się do domu pani Boslicki, kiedy

owdowiawszy osiemnaście lat temu sprzedał mieszkanie; żył ze skromnej emerytury, nie miał żadnej rodziny i czuł się znakomicie w towarzystwie swoich współlokatorów. Najnowszy „nabytek” uznał za wyjątkowo interesujący i urodziwy

— po wyjściu Gabrielli oznajmił wszem wobec, iż młoda kobieta ma wręcz anielską buzię, a także rzucającą się w oczy naturalną elegancję i styl.

Wcześniej starannie wypytał Gabriellę o jej studia na Columbii i wnikliwie przedyskutował wiele książek, które podczas nich przeczytała. Był wyraźnie zaintrygowany jej pisarskimi próbami, o których wypowiadała się powściągliwie i skromnie. Stwierdziła wręcz, że nie są warte czyjejkolwiek uwagi, żywiła bowiem głębokie przekonanie, iż mogłyby być interesujące jedynie dla sióstr, które znały ją osobiście. Podczas jednego ze spotkań w parku kilka z nich dała również do przeczytania Joemu; uznał, że są znakomite, ale w końcu on także, jak zakonnice, znał i kochał Gabriellę.

— Któregoś dnia chciałbym zapoznać się z pani tekstami

— powiedział profesor. Z tonu jego głosu wynikało, iż przypisuje im większe znaczenie, niż na nie zasługują. Gabriella uśmiechnęła się wstydliwie.

— Nie mam ze sobą żadnych — odparła.

— Skąd pani pochodzi? — spytał. Naprawdę fascynowała go ta dziewczyna. Od dawna nie miał okazji, by pogawędzić z kimś równie młodym jak ona, i ta rozmowa — przywołująca wspomnienia lat spędzonych na Harvardzie

— wydała mu się doświadczeniem niezwykle odświeżającym. Młodość i idąca z nią w parze żywość umysłu działała nań jak zastrzyk adrenaliny. Mógłby przegadać z Gabriellą wiele godzin.

— Z Bostonu — wyręczyła nagle zdenerwowaną Gabriellę pani Boslicki. Jeśli profesor wykladał na Harvardzie, znał miasto jak własną kieszeń, podczas gdy ona nie miała o jego topografię żadnego pojęcia.

— Matka mieszka w Kalifornii — pospieszyła z wyjaśnieniem — a ojciec w Bostonie.

Ona zaś nie miała na ziemi innego miejsca prócz pensjonatu pani Boslicki.

— W której części Kalifornii? — zainteresowała się jedna z kobiet, której córka mieszkała we Fresno.

— W San Francisco — odparła Gabriella takim tonem, jakby jej wszelkie kontakty z matką nie urwały się dwanaście lat temu.

— To piękne miasto — stwierdził profesor Thomas, nie spuszczać wzroku z oczu Gabrielli, w których dojrzał bezgraniczny smutek i bolesne poczucie samotności. Pani Boslicki przypisałyby zapewne rzecz zwykłej tęsknocie za domem, on jednak widział nie zabliźnioną ranę, poruszający ślad niedawno przeżytej tragedii.

Gabriella zamieniła jeszcze po kilka słów z każdym z pensjonariuszy, a następnie poszła do siebie na górę, niosąc komplet czystych ręczników, za które nie omieszkała uprzejmie podziękować pani Boslicki.

— Urocza dziewczyna — uznała pani Rosenstein, a jedna z kobiet, której Gabriella przywiodła na myśl wnuczkę, dodała: — Znakomicie wychowana. Zapewne ma cudownych rodziców.

— Niekoniecznie — zaoponował profesor Thomas.

— Rodzice niektórych moich najlepszych i najporządniejszych studentów obyczajami przypominali Attyłę, wodza Hunów, najbłyskotliwszych zaś — byli zwykłymi kretynami. Wiercie mi, genetyka płata najprzeróżniejsze figle.

Gabriella doznałaby przemożnego poczucia ulgi, gdyby mogła to usłyszeć. Czekala latami, aż w jej charakterze zamanifestują się ułomności psychiczne matki; na szczęście dotąd czekała daremnie.

Oto czemu przed poznaniem Joego nawet nie ośmieliła się myśleć o dzieciach.

— Niemniej istotnie jest urocza — dodał profesor

— i mam nadzieję, że pomieszka u nas jakiś czas.

— Nie sądzę, by wybierała się dokądkolwiek, skoro znalazła wreszcie pracę — powiedziała pani Boslicki. Ktoś młody, nawet tak spokojny jak Gabriella, był w pensjonacie wielce pożądanym zastrzykiem świeżej krwi. — Chyba nie ma tu żadnych przyjaciół, a i jej rodzice przez ten tydzień nie zadzwonili ani razu. Zresztą nie odnoszę wrażenia, aby oczekiwała na jakiegokolwiek telefony.

W małym światku pensjonatu wszyscy — bez wyjątku: emeryci i wdowcy — wiedzieli wszystko o wszystkich. Zdobywanie tej wiedzy było praktycznie jedynym, co mogło wypełnić ich czas. Z rzadka pojawiał się jakiś pensjonariusz młodszy wiekiem, znikał jednak, ledwie udało mu się jakoś stanąć na nogi. Przed przybyciem Gabrielli najmłodszym mieszkańcem domu był komiwojażer po czterdziestce, świeżo po rozwodzie. Widział Gabriellę przelotnie, kiedy wracał z kina; oczywiście nie mógł nie zwrócić uwagi na uderzającą urodę młodej kobiety, Gabriella jednak praktycznie go nie zauważyła. Znacznie bardziej interesował ją profesor Thomas.

— Chętnie porozmawiałbym z tą młodą damą nieco dłużej — oświadczył profesor, co pani Rosenstein skwitowała wyrozumiałym uśmiechem.

— Zapewne odczułabym niepokój, gdybyś był pół wieku młodszy — odparła — ale w tej chwili jestem zupełnie spokojna.

Podkochiwała się w Thomasie od lat, ale ich stosunki miały charakter najzupełniej platoniczny.

— Chyba trudno mi to uznać za pochlebstwo — stwierdził, spoglądając na panią Rosenstein ponad szklami okularów. — Zastanawiam się, dlaczego dziewczyna z dyplomem Columbii i błyskotliwym umysłem pracuje jako kelnerka.

— W dzisiejszych czasach trudno o pracę — zasugerowała pani Boslicki rzeczowo, przy czym nie była zupełnie szczerą, wyczuwała bowiem w Gabrielli jakąś tajemnicę.

Nazajutrz profesor Thomas natknął się na Gabriellę, kiedy ta wychodziła z pensjonatu. Miała na sobie tę samą, szpetną aż do śmieszności sukienkę w kwiaty, była jednak tak śliczna, że nawet we włosiennicy, z głową posypaną popiołem wyglądałaby cudownie.

— No i dokąd to się wybieramy? — zapytał tonem kochającego dziadunia. Była tak blada i znużona, iż wydawało się, że ma za sobą nie przespaną noc.

— Do restauracji Bauma — odparła z uśmiechem. Włosy profesora Thomasa sterczały dzisiaj tak bardzo, że mogło się zdawać, iż starszy pan przed chwilą włożył palec do kontaktu.

— Znakomicie. Wpadnę tam później. Upewnię się, żeby usiąść przy jednym z obsługiwanych przez panią stolików.

— Dziękuję — odparła wzruszona. Kiedy wychodziła z domu, pani Boslicki pomachała do niej z okna saloniku. Podlewała akurat kwiaty, wokół niej zaś, preżąc łaciate ciało, krążył jeden z jej licznych kotów.

Był to dziwny dom, zamieszkały przez kompanię zabawnych staruszków, ale Gabriella, nawykła

do ciepłej atmosfery klasztoru, czuła się w nim doskonale. Dochodziła do wniosku, że w samodzielnym mieszkaniu, nawet gdyby — w co powątpiewała — mogła sobie na nie kiedykolwiek pozwolić, byłaby bardzo samotna.

Do pracy stawiała się dziesięć minut przed czasem, nałożyła czysty biały fartuszek i wysłuchała instrukcji pani Baum. Pan Baum, który, jak miał to w zwyczaju, sprawdzał stan kasy, stwierdził z aprobatą, że Gabriella wygląda niezwykle schludnie: jej brzydka sukienka była nienagannie czysta, buciki wypucowane do połysku, lśniące, choć nader krótkie włosy, ujęte w przepaskę kupioną za grosze w „5&io”.

Z punktu widzenia Baumów stanowiła wcieloną doskonałość; wystarczyło kilka godzin, aby dobra opinia właściciela lokalu o nowej pracownicy jeszcze wzrosła. Gabriella była uprzejma wobec klientów, starannie notowała zamówienia i realizowała je bezbłędnie. Co więcej, związała się jak fryga i nie miała problemów z obsłużeniem kilku stolików. Bez wątpienia pomagały jej w tym doświadczenia klasztorne, trzeba było bowiem być osobą szybką, staranną i zorganizowaną, aby w krótkim czasie zaserwować posiłki sporej gromadzie sióstr. Gabriella zasługiwała na każde z tych określeń. Kiedy wreszcie w towarzystwie pani Rosenstein pojawił się profesor Thomas, Gabriella czuła się w lokalu Baumów jak w domu.

Starsi państwo zamówili strudel, placek śliwkowy i kawę z bitą śmietaną, następnie zaś zostawili Gabrielli okazały napiwek, za który nie mogąc oprzeć się zakłopotaniu, wylewnie podziękowała.

Wychodząc, zatrzymali się przy panu Baumie, aby wyrazić uznanie dla wypieków jego żony; Gabriella usłyszała, jak obiecuje, że nie omieszka jej owych

komplementów przekazać. Od drzwi rzucili jeszcze, iż spodziewają się wieczorem ujrzeć Gabriellę w saloniku pani Boslicki, co skwitowała gestem dłoni i znikła w kuchni, aby złożyć następne zamówienie.

Odtąd zjawiali się codziennie, o tej samej porze, czyniąc z wizyt w knajpce Baumów rodzaj rytuału. Poza tym pierwszym, Gabriella nie przyjęła od nich żadnego napiwku

— oświadczyła, że w wystarczającym stopniu okazują swoje uznanie, stając się bywalcami lokalu. Dość, że płacą panu Baumowi za strudel i kawę.

Gdy w poniedziałek, który był jej wolnym dniem, wracała z pralni, natknęła się na panią Rosenstein i przyjęła zaproszenie, by tego wieczoru posiedzieć z nią i profesorem Thomasem w saloniku.

Nawiasem mówiąc, pani Rosenstein oznajmiła po tym spotkaniu pani Boslicki, iż dziewczyna wygląda ostatnio znacznie lepiej, sprawia wrażenie silniejszej, zdrowszej i nie tak bladej.

Ujrzawszy Gabriellę w pokoju, profesor Thomas pomyślał sobie, że ponadto nie jest już chyba tak bezgranicznie smutna.

Kiedy siedzieli w doskonałej komitywie, przyglądając się, jak inni pensjonariusze grają w karty, profesor pochylił głowę tak, że jego usta znalazły się na wysokości ucha Gabrielli.

— Słyszałem od pana Bauma, że była pani zakonnicą

— powiedział cicho.

Gabrielli nawet przez myśl nie przeszło, iż pan Baum mógłby komukolwiek zdradzić jej tajemnicę. Sama zwierzyła się z niej tylko w nadziei, że dzięki swoim klasztorным doświadczeniom — jedynym jakie posiadała — zdobędzie pracę. Profesor zaś ze swej strony zastanawiał się, czy to zakonna przeszłość Gabrielli odpowiada za jej smutek, czy też ma ona inne, jeszcze głębsze podłoże. Podejrzewał, iż w grę wchodzi raczej ta druga możliwość.

— Niezupełnie — odparła z zadumą w głosie. Uciekła wzrokiem w bok, a potem ponownie spojrzęła na profesora.

— Byłam postulantką. To nie całkiem to samo.

— Ależ to samo, to samo — stwierdził z uśmiechem. — Ot, po prostu kijanka zamiast żaby.

Gabriella skwitowała to porównanie wybuchem śmiechu.

— Nie jestem pewna, czy siostry byłyby zachwycone takim określeniem — stwierdziła.

— W Harvardzie zawsze miałem w swoich grupach jakiegoś duchownego, albo i dwóch.

Przeważnie jezuitów. Lubiłem ich, bo byli starannie wykształceni, inteligentni i zaskakująco

otwarcy. — A potem, niemal bez przerwy na zaczerpnięcie powietrza, znów skierował rozmowę na przeszłość Gabrielli. — Jak długo była pani w klasztorze?

Zawahała się, wiele bowiem musiałaby wyjaśniać, a tak naprawdę nie miała na to zbytnej ochoty. Wciąż nie potrafiła myśleć bez bólu o tym wszystkim, co tak niedawno straciła, czuła jednak do profesora tyle sympatii, że sądziła, iż należy się mu uczciwa odpowiedź.

— Dwanaście lat — wyszeptwała. — Wychowałam się tam.

— Jest pani sierotą? — zapytał miękko, a Gabriella odniosła wrażenie, iż pyta powodowany autentyczną troską, a nie dlatego, by podzielić się zdobytą informacją z innymi. Był wrażliwym, dobrym człowiekiem i Gabriella uświadomiła sobie nagle, jak bardzo go lubi.

— Oddali mnie tam rodzice. To był w gruncie rzeczy jedyny dom, jaki znałam w życiu.

A przecież go opuściła. Profesor Thomas miał dość wrażliwości, by nie pytać o powód, wyczuł bowiem, iż Gabriella wolałaby go nie zdradzać.

— Życie zakonnicy musi być ciężkie. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak wygląda. Zresztą celibat nigdy nie przemawiał mi zanadto do przekonania — powiedział z figlarnym błyskiem w oku — ...aż do niedawna. — Zerknął na panią Rosenstein grającą w brydża w drugim końcu pokoju i obydwójce parsknęli śmiechem. Przez czterdzieści lat poza żoną nie widział świata i teraz ani myślał o spotykaniu się z inną kobietą czy też powtórnym ożenku. — Odbyłem na ten temat kilka interesujących rozmów z moimi jezuitami, ci jednak nie potrafili przekonująco dowieść sensowności konceptu.

Te słowa natychmiast przypomniały Gabrielli Joego.

Widząc, jak twarz jego rozmówczyni na powrót powleka się smutkiem, Thomas pożałował, że w ogóle poruszył ten temat, i zapytał z troską:

— Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

— Ależ skąd... oczywiście że nie... ja tylko... tęsknię za tym miejscem, bardzo tęsknię — odparła, podnosząc na niego zażawione oczy. — Niełatwo mi było rozstać się z siostrami.

Powiedziała to w taki sposób, że domyślił się, iż nie zrobiła tego z własnej woli. Doszedł do wniosku, iż najwyższy czas zmienić temat.

— Proszę mi opowiedzieć o swoim pisaniu — rzekł ciepłym tonem.

— Nie ma tu nic do opowiadania — odparła, uśmiechając się z wdzięcznością. — Po prostu od czasu do czasu pisuję głupiutkie opowiadki. Nic godnego dyskusji, a już z pewnością nie takiego kalibru, do jakiego przywykł pan w Harvardzie.

— Oto słowa godne wybitnego pisarza, ci kiepscy bowiem powtarzają zawsze, jak wspaniałe są ich dzieła. Niech się pani strzeże każdego literata, który obiecuje, iż zachwyci się pani jego powieścią. Gwarantuję, że zapadnie pani w kamienny sen jeszcze przed końcem pierwszego rozdziału! — oznajmił, kiwając palcem dla zaakcentowania swych słów. — A skoro mamy już w tej kwestii całkowitą jasność, chciałbym wiedzieć, kiedy będę się mógł zapoznać z pani pracami, panno Harrison.

Delikatny nacisk w jego głosie powiedział Gabrielli, iż profesor przypisuje jej „twórczości” znaczenie, na jakie ta nie zasługuje.

— Nie mam ze sobą żadnej z nich — odparła.

— A więc proszę coś napisać — rzekł, machając dłonią jak czarnoksiężką różdżką. — Potrzebuje pani tylko pióra, papieru i odrobiny natchnienia. — Ale również czasu, wytrwałości i duszy, której część trzeba zostawić w tekście. Tymczasem dusza Gabrielli umarła razem z Joem. — Sugeruję, by jutro nabyła pani notes. — Potem znów poruszył wrażliwy punkt i raz jeszcze zdał sobie sprawę, iż rozmowa z Gabriellą przypomina stąpanie na palcach po polu minowym. — Czy prowadzi pani dziennik? — zapytał niewinnie i zapragnął

ugryźć się w język, widząc, jak na jej twarz powraca wyraz smutku.

— Tak... ja... prowadziłam... ale już tego nie robię.

Nie zapytał, dlaczego zaprzestała, świadom, że temat jest drażliwy. Jak na osobę tak młodą, Gabriella nosiła wiele blizn, a niektóre z nich wciąż były świeże.

— Co sprawia pani największą radość? Poezja czy proza? — zapytał, usiłując wciągnąć ją w rozmowę. Poza wszystkim, jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność, była tak młoda i ładna. Przypominał sobie w jej obecności owe czasy sprzed tysiąca lat, kiedy Charlotte i on, wtedy jeszcze niemal dzieci, studiowali na uniwersytecie waszyngtońskim. Pobrali się w tydzień po uzyskaniu

dypłomów i potem żalowali tylko tego, że nie mogli mieć dzieci. Czterdzieści lat później uważał za dzieci wszystkich swoich studentów. Charlotte była muzykologiem, wykładała teorię i kompozycję, czasem pisywała dlań piosenki z pięknymi tekstami. Opowiedział o tym Gabrielli.

— Musiała być cudownym człowiekiem — stwierdziła z uśmiechem Gabriella.

— Tak — przytaknął melancholijnie. — Kiedyś pokażę pani jej zdjęcie. A w młodości była również bardzo piękna. Zazdrościli mi wszyscy mężczyźni, którzy ją znali. Zaręczyliśmy się, mając po dwadzieścia lat.

Potem zapytał Gabriellę o wiek, a kiedy usłyszał, że liczy sobie dwadzieścia dwa lata, poklepał jej gładką dłoń swoją pomarszczoną.

— Moja droga, nawet pani nie wie, jaka z pani szczęściara. Proszę nie marnować życia na żale za utraconymi miejscami i ludźmi. Ma pani przed sobą bezmiar czasu do wypełnienia treścią, mnóstwo cudownych chwil i wspaniałych ludzi. Niechże jak najszybciej wybiegnie im pani na spotkanie.

Ale ostatnimi czasy nie umiała biegać i zaledwie czołgała się przez życie. Słowa profesora Thomasa jednak głęboko ją poruszyły.

— Czasami trudno nie oglądać się za siebie — powiedziała z zadumą Gabriella, która miała przecież wiele wspomnień, i to wspomnień nie zawsze przyjemnych.

— Czasami robimy to wszyscy. Sekret polega na tym, aby nie oddawać się wspomnieniom zbyt często, zachowywać w pamięci tylko szczęśliwe chwile, a wyrzucać złe.

W przypadku Gabrielli tych drugich było zdecydowanie więcej, a pierwsze, bardzo nieliczne, trwały krótko. Wyjątek stanowiły lata cudownego klasztorного spokoju, skoro jednak straciła je bezpowrotnie, nie mogła myśleć o nich bez bólu.

Z drugiej strony musiała odczuwać podziw wobec profesora Thomasa. Miał za sobą większość życia, a przecież patrzył w przyszłość z entuzjazmem, podnieceniem i ciekawością. Najwyraźniej lubił towarzystwo młodych ludzi, nie tracił energii i poczucia humoru. Warto było brać zeń przykład. Inne osoby przebywające w pokoju rozprawiły nieustannie o swoich dolegliwościach, emeryturach, ostatnio zmarłych znajomych, stanie nowojorskich chodników i liczbie zalegających je psich odchodów. Profesora to zupełnie nie obchodziło: znacznie bardziej interesował się życiem i przyszłością Gabrielli, chciał ją zaopatrzyć w atlas drogowy, dzięki któremu odnajdzie szlak wiodący ku szczęściu i wolności.

Tego wieczora przesiedziała w jego towarzystwie wiele godzin. Profesor nigdy nie grywał w brydża z panią Rosenstein i jej przyjaciółmi — oświadczył wręcz, że nie znosi tej gry — ale w końcu zasiadł z Gabriellą do kilku partyjek domina. Bił ją na głowę za każdym razem, ale Gabriella wiele się od niego nauczyła. Po powrocie do pokoju uznała, że wieczór był wspaniały. Wypełniły go wprawdzie tylko drobne przyjemności, ale miała wrażenie, iż w jej życie wtargnął odświeżający powiew. Spędziła wiele godzin na rozmowie z osiemdziesięcioletnim mężczyzną, który okazał się znacznie bardziej interesujący aniżeli jakikolwiek człowiek dwukrotnie czy nawet czterokrotnie od niego młodszy. Nic dziwnego, że miała wielką ochotę na następne spotkanie i nawet przyrzekła profesorowi, iż idąc nazajutrz do pracy kupi sobie notatnik.

Gdy następnego dnia pojawił się u Bauma — tym razem bez pani Rosenstein, która poszła na wizytę do urologa — natychmiast zapytał Gabriellę, czy wywiązała się z obietnicy.

— Czy zrobiła to pani? — rzucił groźnie, Gabriella zaś, zapisując jego nieodmienne zamówienie na kawę i strudel z jabłkami, nie zorientowała się zrazu, o co mu chodzi.

— Co miałam zrobić? — zapytała z roztargnieniem, tego popołudnia bowiem ruch był znaczny.

— Czy kupiła pani notes?

— Ach! — Rozbawiona jego natarczywością, uśmiechnęła się zwycięsko. — Tak, kupiłam.

— Grzeczna dziewczynka. A zatem po powrocie do domu musi go pani zacząć zapępniać.

— Kiedy wracam do domu, po prostu padam z nóg

— odparła. Wciąż była osłabiona po krwotoku, jaki towarzyszył poronieniu; zdaniem lekarza — a zaczynała mu wierzyć

— będzie potrzebowała wielu miesięcy, aby całkowicie dojść do siebie. O tym jednak nie zamierzała mówić nikomu, profesor Thomas zaś nie przyjmował do wiadomości żadnych

wymówek.

— Musi więc pani robić to z rana, przed pójściem do pracy. Chcę, aby pisała pani codziennie. To zbawienne dla serca, duszy, umysłu i fizycznego zdrowia. Jeśli jest pani pisarką, Gabriello, tworzenie będzie dla pani stanowić system podtrzymywania życia, bez którego nie może pani i nie powinna się obchodzić. Proszę pisać codziennie

— oświadczył z naciskiem, udając, że spogląda na nią surowo. — A teraz czekam na strudel.

— Już się robi, proszę pana — odparła. Profesor Thomas przywodził jej na myśl dobrotliwego dziadka, którego nigdy nie miała i o którym — zaabsorbowana bez reszty rodzicami i tym wszystkim, co ze sobą nieśli — nie potrafiła nawet marzyć. Tak, obecność profesora w jej życiu była prawdziwym darem losu.

Przychodził codziennie, w poniedziałki zaś, kiedy Gabriella miała wolny dzień, zaczął zabierać ją na kolacje. Opowiadał jej o swojej pracy dydaktycznej, o żonie, a nawet swoim dzieciństwie w Waszyngtonie u schyłku dziewiętnastego wieku. Gabriella prawie nie umiała sobie wyobrazić tych prehistorycznych z jej punktu widzenia czasów, a przecież profesor sprawiał wrażenie człowieka nie tylko nowoczesnego, lecz

również zorientowanego w tym wszystkim, co się dzieje na świecie. Uwielbiała te rozmowy, choć wolała słuchać, niż mówić. Najczęściej rozprawiali o pisarstwie. W końcu napisała opowiadanie, które na profesorze Thomasie wywarło duże wrażenie: dokonał w nim kilku poprawek, pouczył, w jaki sposób mogłaby bardziej efektywnie wykorzystać ós fabularną, wreszcie zaopiniował, że ma prawdziwy talent. Kiedy zareplikowała, że po prostu usiłuje być dla niej miłą, autentycznie się zirytował i pogroził jej palcem. Ów palec cieszył się niegdyś wśród studentów złą sławą i nieomylnie zwiastował niebezpieczeństwo. W spektrum uczuć jednak, jakie Gabriella żywiła wobec profesora, nie było miejsca na obawę czy strach. Gabriella zaczynała kochać starszego pana.

— Wiem, co mówię, twierdząc, że ma pani talent, młoda damo. Nie zatrudniono mnie w Harvardzie jako ogrodnika. Musi pani nad sobą popracować, oszlifować to i owo, ale ma pani instynktowne wyczucie właściwej tonacji i tempa... to tylko kwestia zgrania rozmaitych elementów, wyczucia kiedy i w jaki sposób coś powiedzieć. W znacznym stopniu posiadała już pani tę umiejętność. Czy pani rozumie, co mówię? A może po prostu pani się boi? Czy o to chodzi? Czy lęka się pani pisać, Gabriello? Czy obawia się pani, że jest dobra? Otóż jest pani dobra i trzeba tej prawdzie nie tylko stawić czoło, lecz również jej sprostać. To dar będący błogosławieństwem wybranych. Niechże go pani nie roztrwoni!

Uśmiechnęła się do niego smutno, przypominając sobie znieawidzone słowa.

— Zwykle ludzie mówią mi, jak jestem silna — powiedziała, zdradzając profesorowi pierwszą ze swych wielu tajemnic — a potem mnie porzucają.

Ze zrozumieniem pokiwał głową, czekając na dalszy ciąg, a kiedy ten nie nastąpił, oświadczył:

— Więc może to oni są tchórzami. Słabeusze gratulują zwykle innym hartu ducha, dzięki temu bowiem nie muszą w sobie szukać siły i mają doskonały pretekst, by innych ranić. To tak jakby mówili: „Wytrzymasz to, bo jesteś silny”. Na tym świecie, Gabbie, wymagania wobec ludzi silnych są ogromne. Stanowią przytłaczające brzemie. Pani jednak jest naprawdę silna i któregoś dnia znajdzie godnego siebie partnera. Zasługuje pani na to.

— Chyba już znalazłam — odparła z uśmiechem i pogłaskała pomarszczoną dłoń tudzież spoczywający chwilowo beczynnie groźny palec.

— Ma pani szczęście, że nie jestem o sześćdziesiąt lat młodszy, bo nauczyłbym panią, na czym polega prawdziwe życie. A teraz to pani musi mnie uczyć albo chociaż przypominać dawno zapomniane lekcje.

Oboje wybuchli śmiechem.

Co tydzień zabierał ją do śmiesznych restauracyjek gdzieś w okolicy, w West Side czy Yillage, czasem na tyle odległych, że musieli korzystać z metra. Zawsze sam płacił rachunki, chociaż — jak się zdawało — z najwyższym trudem wiązał koniec z końcem. Mając to na uwadze, Gabriella zamawiała z dużym umiarem, co spotykało się z utyskiwaniami profesora, który pamiętał uwagę pani Rosenstein o szczupłości młodej kobiety. Często kończyło się to tak, że ignorując protesty składał zamówienie w jej imieniu. Poza tym grmił ją od czasu do czasu, że nawet nie próbuje

poznawać młodych ludzi.

— Powinnaś bawić się z rówieśnikami — mruknął pewnego razu.

— Ich zabawy są zbyt brutalne — odparła z uśmiechem. — Poza tym nie znam żadnych swoich rówieśników. I uwielbiam przebywać w pańskim towarzystwie.

— Żądam dowodów w postaci jakichś tekstów.

Namawiał ją i zachęcał z takim przekonaniem, że w Święto Dziękczynienia, dwa miesiące po ich pierwszym spotkaniu, miała trzy notesy wypełnione nowymi opowiadaniem. Niektóre były wręcz doskonałe i profesor Thomas uznał, że dzięki pracowitości Gabriella poprawiła styl. Tak samo jak matka Gregoria, nie raz i nie dwa sugerował, by wysłała teksty do magazynów, Gabriella jednak wyraźnie się do tego nie paliła. Miała do swych umiejętności znacznie mniejsze zaufanie niż jej mentor.

— Nie jestem jeszcze gotowa — mawiała.

— Pleciesz jak Picasso. A kto kiedykolwiek był gotów? Steinbeck? Hemingway? Szekspir?

Dickens? Jane Austen? Po

prostu robili swoje i basta. Nie dążymy do doskonałości za wszelką cenę, my się tylko porozumiewamy ze sobą. A skoro o tym mowa, moja droga; czy jedziesz do domu na Święto Dziękczynienia?

Siedzieli tego dnia w małej włoskiej knajpce w East Yillage. Pytanie profesora zbiło Gabriellę z pantałyku.

— Ja... nie... — Wolałaby nie mówić, że nie ma domu, do którego może wrócić. Wiedział wprawdzie, iż dorastała w klasztorze, nigdy jednak nie powiedziała mu wprost, że nie utrzymuje z rodziną żadnego kontaktu, a wśród sióstr nie jest już mile widziana. On był w tej chwili jej jedyną rodziną.

— Chyba nie.

— Słyszę to z prawdziwą radością — oznajmił zadowolony. Pani Boslicki corocznie piekła indyka dla swoich pensjonariuszy, z których zaledwie kilku miało żyjących krewnych. Młody rozwiedziony komiwojażer zdążył się już przenieść do następnego miasta. — Miałem nadzieję, że święto spędzimy wspólnie.

— Ja też — odparła z uśmiechem, a potem zaczęła rozmawiać z profesorem o swoim najnowszym opowiadaniu, którego fabuła sprawiała jej kłopoty. Nie wiedziała, czy wybrnąć z nich, wykorzystując wydarzenia gwałtowne i dramatyczne, czy też wprowadzając wątek romansowy.

— Z pewnością są to dwie opcje różniące się biegunowo

— odrzekł z namysłem — chociaż niekiedy mają ze sobą więcej wspólnego, niż się nam zdaje.

Przemoc i romans. — Wbrew woli natychmiast pomyślała o Joem, a profesor udał, że nie dostrzega mgiełki w jej oczach. Zastanawiał się, czy Gabriella opowie mu kiedykolwiek o przeżytych tragediach. Domyślał się już ich natury, ale miał dość rozważli, by nie pytać o nie wprost. — W istocie — podjął — miłość jest uczuciem nader gwałtownym, bolesnym niekiedy i bardzo niszczycielskim. Nie ma nic od niej gorszego. Jak również lepszego. Wzloty i upadki są dla mnie jednakowo nieznośne, ale jeszcze bardziej nieznośny jest ich brak. — Cudownie i wzruszająco brzmiały te słowa w ustach człowieka tak sędziwego jak profesor Thomas. Gabriella bez trudu wyobraziła go sobie jako młodzieńca rozkochanego w swej dziewczynie. — I podejrzewam, że również ty, Gabriello, poznałaś miłość od tej bolesnej strony. Widzę to w twoich oczach, ilekroć poruszamy ten temat — powiedział z czułością, lekko muskając dłoń Gabrielli. — Przekonasz się, jak bardzo złagodnieje ból, kiedy pewnego dnia znajdziesz w sobie dość sił, by to wszystko opisać. To rodzaj katarsis, ale rzecz może mieć brutalny przebieg. Nie rób tego, dopóki nie będziesz przygotowana.

Chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Czowała strach, a poza tym ujęta w słowa historia jej i Joego sprawiłaby nieznośny ból.

— Raz bardzo kogoś kochałam — wyszeptała tonem, jakim zdradza się najstraszliwsze tajemnice.

Bo zresztą to była jej straszna tajemnica. Profesor Thomas natychmiast wyczuł, iż to, co mu powiedziała, stanowi zaledwie wierzchołek góry lodowej.

— Raz w twoim wieku, Gabriello, to niezwykle skromny rezultat. Czeka cię jeszcze przynajmniej

kilka podobnych doświadczeń. — Sam nie kochał nikogo oprócz Charlotte, ale ich przypadek był wyjątkowy. — Rozumiem, że nie skończyło się to zbyt dobrze?

Skinęła głową i zaczerpnęła powietrza.

— Umarł we wrześnie — szepnęła jeszcze ciszej niż poprzednio. Nie chciała mówić nic więcej, a profesor nie pytał i tylko pokiwał głową. — Myślałam, że przyplacę to życiem i niewiele brakowało, aby tak się stało.

Poronienie, czy też to co z niego zapamiętała, wciąż stało jej żywo przed oczyma, a chociaż czuła się ostatnio znacznie lepiej, wciąż jeszcze nie odzyskała pełni sił.

— Dowiaduję się o tym z prawdziwą przykrością — powiedział, mając świadomość, że być może tragedia, o której usłyszał, nie była jedyną w życiu Gabrielli. — Miłość nie zawsze kończy się w taki sposób, bo nie powinna. Wiele spraw pozostawia w zawieszeniu. Mimo czterdziestu wspólnych lat tyle jeszcze miałbym Charlotte do powiedzenia...

Gabriella doskonale rozumiała, o czym myśli, ale nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa, przez jakiś czas więc ciężar podtrzymywania konwersacji spoczywał na barkach profesora, który opowiadając o swojej żonie i pisarstwie Gabbie, zastanawiał się, w jakich okolicznościach umarł tamten mężczyzna. Zapewne w wypadku, doszedł do wniosku, ale wolał nie pytać. Liczyło się tylko, że nie żyje, a Gabriella ma złamane serce. Trudno było sobie wyobrazić, jaką ta śmierć stanowiła dla niej tragedię, jakie poczyniła spustoszenia. Gabriella zaś miała pewność, że gdyby nawet opisała kiedykolwiek swoje prawdziwe przeżycia w formie literackiej, tekst byłby zbyt drastyczny dla wrażliwej i łagodnej duszy profesora.

Tego wieczoru wrócili do domu taksówką. Profesor, który otrzymał właśnie czek z emeryturą, czuł się jak bogacz, wiedział ponadto, ile kosztowało Gabriellę uczynione przed chwilą wyznanie.

Chciał zrobić dla niej coś szczególnego i umiała to docenić, gdy wysiadali z auta przed obłożoną brązowym piaskowcem podniszczoną kamieniczką pani Boslicki. W tym samym momencie podnieśli wzrok i zobaczyli, że pada pierwszy tej zimy śnieg. Gabriella przypomniała sobie nagle, jak pięknie wyglądał zawsze pierwszy śnieg w przyklasztornym ogrodzie. W dzieciństwie uwielbiała się tam bawić, a siostry nigdy jej tego nie broniły. Uśmiechnięta do swoich wspomnień, powiedziała coś na ten temat, kiedy wchodzili do domu i profesor pomyślał z ulgą, że jednak były w jej przeszłości chwile radosne i dobre. Potrzebowała szczęśliwych wspomnień, które mogłaby pielęgnować, jak wszyscy ludzie.

— Dzisiejszy wieczór był naprawdę cudowny — powiedziała cicho, kiedy przystanęli przed drzwiami jej pokoju. — Dziękuję, panie profesorze.

— Nie ma za co, cała przyjemność po mojej stronie, miła damo — odparł, lekko skłaniając głowę. Nawet nie wyobrażała sobie, jak bardzo czekał na te wieczory, coraz bardziej. Stawała się dlań kimś na kształt córki albo ukochanej wnuczki. Zwłaszcza dziś, kiedy otworzyła przed nim duszę. Był to dowód zaufania, którego nie mógł zlekceważyć. — Liczę na wspólne Święto Dziękczynienia.

— Ja też — odparła z uśmiechem i zupełnie szczerze. Jeszcze niedawno była pełna obaw; teraz wszystko nie wyglądało już tak źle. Straciła w życiu wiele, odnalazła jednak coś, co było jak brylant połyskujący na śniegu. Idąc powoli na górę, pomyślała, że stałoby się bardzo źle, gdyby go przegapiła.

ROZDZIAŁ 17

Święto Dziękczynienia wypadło wspaniale. Całe miasto znieruchomiało pod grubym śnieżnym kożuchem, w Central Parku ludzie jeździli na nartach, a na ulicach dzieci lepiły bałwanki i ciskały śnieżkami.

Pani Boslicki zaś przyrządziła indyka, którego nie można było zapomnieć: był tak wielki, że z trudem zmieścił się w piecyku. Starym zwyczajem podzielił go profesor Thomas, a potem wszyscy zaczęli opowiadać zabawne historyjki związane z dawniejszymi świętami, najczęściej takimi, które nie udały się z jakiegoś powodu, na przykład przez niesympatycznych krewnych.

Potem zgodnie deklarując, że lada chwila eksplodują z przejedzenia, biesiadnicy poszli na spacer.

Restauracja Bauma była zamknięta tego dnia i Gabriella cieszyła się, iż może go spędzić w towarzystwie współmieszkańców, którzy bez wyjątku traktowali ją jak ukochaną córkę, siostrzenicę czy wnuczkę. Wystarczyły dwa krótkie miesiące, aby zawojowała wszystkich.

Przez resztę weekendu głównym tematem rozmów były zakupy świąteczne: ulice nagle roziskrzyły się dekoracjami, a pani Boslicki i pani Rosenstein, które wybrały się do Macy'ego, ze zdumieniem donosiły o przewalających się przez dom towarowy tłumach. Gabriella cały wolny czas spędzała w pokoju, pracując nad opowiadaniem, aż wreszcie w niedzielny wieczór, promieniejąc z zadowolenia, rzuciła notes na kolana profesora.

— Proszę! I niechże pan wreszcie przestanie narzekać.

— Dobra... dobra... zobaczymy najpierw, co tu mamy.

Był kompletnie zaskoczony: Gabriella napisała coś w rodzaju opowieści wigilijnej, podniosłej i tak poruszającej, że nawet jemu, staremu literaturoznawcy, łzy zakręciły się w oczach. Utwór był nienaganny pod względem formalnym, wspaniale napisany, a niespodziewany zwrot akcji w finale — wręcz błyskotliwy. Zakończywszy lekturę, profesor huknął z radości i podziwu.

— No i jak, spodobało się panu? — zapytała nerwowo Gabriella, wtulona w wygodny fotel klubowy.

— Spodobało? Jestem zachwycony! — odparł, dodając, że opowiadanie bezwzględnie musi zostać opublikowane.

— Chyba powinnam je najpierw nieco dopracować — zaproponowała nieśmiało.

— Pozwól, że przedtem dokonam małej adiustacji — rzekł tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Schował notes do kieszeni, zanim Gabriella zdążyła cokolwiek powiedzieć, a potem, dla odwrócenia uwagi młodej kobiety, zaproponował partyjkę domina. Tego wieczoru nie posiadała się ze szczęścia, wyraziłaby więc zgodę nawet na walkę wręcz. Ciężko pracowała nad tekstem i była wniebowzięta, że, przynajmniej zdaniem profesora Thomasa, tak dobrze się udał. Praca zresztą — trwająca ostatnio dzień w dzień do trzeciej nad ranem

— szła jej doskonale. Po raz pierwszy czuła, że naprawdę panuje nad tematem i było to uczucie uderzające do głowy i uzależniające jak narkotyki.

Kiedy kładła się spać, miała wrażenie, iż odniosła zwycięstwo na wszystkich frontach, po raz pierwszy bowiem wygrała z profesorem w domino.

Nazajutrz, ciągle podekscytowana, poszła do pracy, jako że po przedłużonym weekendzie pan Baum postanowił otworzyć swój lokal w poniedziałek. Profesor oczywiście zjawił się, kiedy zaś wychodził, Gabriella ostrzegła go, aby uważał w drodze powrotnej, ponieważ chodniki są śliskie od chlapy. Zawsze niezależny, lekceważąco machnął ręką.

Tego dnia klientom dopisywało znakomite samopoczucie i nawet państwo Baumowie, którzy spędzili Święto Dziękczynienia ze swymi trzema córkami, witali ich znacznie wylewniej niż zazwyczaj. Ba, spytali Gabriellę, jak udał jej się weekend, co było zjawiskiem nader niezwykłym, gdyż dotąd widzieli w niej tylko niegodną bliższego zainteresowania pracownicę.

Na dźwięk kroków wracającej z pracy Gabrielli pani Boslicki wytknęła głowę ze swego pokoju i gestem przywołała młodą kobietę do siebie. Zrazu Gabriella pomyślała z niepokojem, że profesora spotkało nieszczęście, pani Boslicki tryskała jednak zbyt dobrym humorem, aby być zwiastunem złych nowin.

— Mamy nowego pensjonariusza — oznajmiła triumfalnie. Od wielu dni usiłowała bez rezultatu wynająć pokój zajmowany kiedyś przez komiwojażera.

— To wspaniale — odparła Gabriella, ogarnięta poczuciem ulgi, że profesorowi nie przydarzyło się nic złego. Starszy pan był teraz najważniejszą postacią w jej życiu, a nawet bohaterem niespokojnych snów, które nawiedzały ją, kiedy zwinięta w kłębek — jak zawsze, od pierwszych lat życia — spała w nogach łóżka.

— Jest bardzo przystojny — dodała pani Boslicki.

— Cudownie — powiedziała Gabriella, nie mając pojęcia, jaki ta rewelacja ma związek z jej osobą. Chociaż... radosny uśmiech pani Boslicki mógłby świadczyć, że gospodyni jest osobiście zainteresowana nowym lokatorem.

— Ma dwadzieścia siedem lat i jest niezwykle inteligentny. Studiował w koledżu.

Gabriella nie podzielała radosnego ożywienia pani Boslicki, mężczyźni bowiem, bez względu na ich wiek czy prezencję, zupełnie jej w tej chwili nie interesowali. Jedynym wyjątkiem był profesor Thomas.

— Dobranoc, pani Boslicki — powiedziała stanowczym tonem, ucinając rozmowę. Miała za sobą długi wieczór, choć nie mogła się uskarżać na napiwki. A zresztą zawsze otrzymywała ich sporo, tak że ostatnimi czasy mogła pozwolić sobie na zakup kilku sztuk odzieży, ku zadowoleniu państwa Baumów między innymi, którzy kilkakrotnie komentowali jej znoszone sukienki. Na ogół nosiła spódnice i swetry; kupiła nawet sznur sztucznych pereł, kiedy jednak przejrzała się w lustrze, stwierdziła ze zgrozą, że przypomina w nich matkę. Ale profesor zapewnił ją, że w najgorszym razie jest podobna do Grace Kelly.

Wchodząc na górę, uświadomiła sobie z ulgą, że wolny pokój znajdował się na pierwszym piętrze, co oznaczało, że nie będzie musiała dzielić łazienki z nowym mieszkańcem pensjonatu. Z łazienki na górze korzystały wyłącznie kobiety. Miała nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas nie spotka „inteligentnego dwudziestosiedmiolatka”.

Ale natknęła się na niego nazajutrz, kiedy opatulona przed chłodem w swoje nowe szare palto, wychodziła do pracy. Stał w drzwiach, pomagając pani Boslicki wnieść do domu torbę zakupów.

— Cześć, jestem Steve Porter — powiedział. — Ten nowy chłopak.

— Miło mi pana poznać — odparła chłodno Gabriella, czując podświadome zadowolenie, że nie wydaje jej się przystojny. Miał gęste ciemne włosy, ciemne oczy, był wysoki, szczupły, ale potężnie rozrośnięty w barach. Coś się w nim jednak Gabrielli nie podobało: po chwili doszła do wniosku, że arogancja. Sprawiał wrażenie zbyt pewnego siebie. Pod żadnym względem nie przypominał Joego, który — będąc jedynym mężczyzną w życiu Gabrielli — stanowił dla niej wzorzec doskonałości. Tak czy inaczej, znieubiła Steve'a Portera od pierwszego wejrzenia i wieczorem, przy partyjce domina, bez owijania w bawełnę podzieliła się swoimi odczuciami z profesorem Thomasem.

— Nie bądźże taką zrzędą — odburknął. — To miły chłopak, Gabbie. Jest poprostu przystojny i zapewne tego świadom. Wielkie rzeczy. To wcale nie znaczy, że należy dopatrywać się w nim najgorszych cech.

— Nie podoba mi się — odparła stanowczo.

— Boisz się następnego razu. Ale zrozum, nie wszyscy umierają, nie wszyscy odchodzą, nie wszyscy zamierzają cię skrzywdzić — powiedział tonem perswazji, Gabriella jednak tylko pokręciła głową, dając do zrozumienia, że nie interesuje jej dalsza rozmowa na ten temat, lecz tylko doprowadzenie

partii do zwycięskiego końca. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że jest inaczej. Po wyrazie twarzy Gabrielli profesor zorientował się, że dziewczyna odczuwa lęk. W istocie, po tylu latach spędzonych w klasztorze każdy mężczyzna kręcący się w pobliżu stanowił dla niej potencjalne zagrożenie. — A zresztą przestań się nim przejmować, zapewne również nie jest tobą zainteresowany — dodał, mając zarazem nadzieję, że się myli. Steve wyglądał na przyzwoitego faceta, a Gabrielli na pewno przydałby się wreszcie jakiś partner z prawdziwego zdarzenia.

Profesorowi pochlebiało, że Gabriella nie widzi poza nim świata, ale biorąc pod uwagę jej wiek, na pewno nie była to sytuacja normalna. W końcu doszedł do wniosku, że jeśli przestanie poruszać temat, młodzi ludzie sami znajdą w jakiś sposób drogę do siebie.

W następnych tygodniach jednak Gabriella wychodziła ze skóry, aby unikać Steve'a Portera, przy nielicznych spotkaniach zaś była wobec niego, wbrew swojemu charakterowi, wręcz niegrzeczna. Uprzejmość rezerwowała dla innych, pozostawiając dlań najokropniejsze w swym repertuarze miny i fochy. Steve wszakże zdawał się tego nie dostrzegać. Nieustannie dopisywał mu dobry humor, był uprzedzająco życzliwy wobec wszystkich, zwłaszcza osób starszych. Przyniósł piękną choinkę i postawił w salonie. Za własne pieniądze kupił również ozdoby, pani Boslicki bowiem nigdy nie stroiła drzewka, aby nie urazić pensjonariuszy pochodzenia żydowskiego. Tym razem nikt nie miał zastrzeżeń, gdyż Steve cieszył się ogólną sympatią. Przybył właśnie z Des Moines i szukał pracy programisty komputerowego; codziennie rano — ubrany elegancko w garnitur albo sportową

marynarkę i starannie do niej dopasowane spodnie — wychodził na rozmowy kwalifikacyjne do rozmaitych firm. Aprobowali go więc wszyscy prócz Gabbie i panowała zgodna opinia, że byłoby wspaniale, gdyby młodzi ludzie jakoś się dogadali, Gabriella jednak niedwuznacznie dawała do zrozumienia, że to absolutnie nie wchodzi w grę.

Steve irytował ją nieustannie od chwili pierwszego przypadkowego spotkania. Na przykład kupił i porozwieszał na drzwiach wszystkich pokojów stroiki świąteczne, nikogo oczywiście nie pytając o zgodę. Gabriella była więc zła, bo nie chciała mieć wobec niego żadnych długów wdzięczności, a z drugiej strony zdjęcie stroika byłoby aktem niegrzecznym czy wręcz wrogim. Mruczała gniewnie pod nosem, wychodząc do pracy w dniu, kiedy to się stało.

— Sprawia pani wrażenie osoby głęboko uszczęśliwionej

— żartobliwie zauważyła na jej widok pani Boslicki, nie mając wszakże odwagi spytać, co jest powodem niezmiernie u Gabbie rzadkiego przyływu złego humoru.

Do świąt pozostawał zaledwie tydzień i ogromnej większości ludzi dopisywały znakomite nastroje. Gabbie też uwielbiała Boże Narodzenie. Pani Baum od wielu tygodni lepila urocze marcepanowe domki i teraz, jak co roku, sprzedawała je w swoim lokalu. Wystawione za szybą, ściągały tłumy klientów. Tego dnia było podobnie: przy kasie stało kilka osób ze swoimi pociechami, które z podnieceniem wskazywały wybrane przez siebie domki. A domki rzeczywiście były piękne — obsypane słodyczami, przyozdobione czekoladą i lukrem. Obok jednego z nich stał nawet małe czekoladowy renifer.

Patrząc na nie z podziwem, Gabriella żałowała, że w dzieciństwie ani razu nie miała czegoś równie ślicznego i magicznego. Zresztą... w jej dzieciństwie nie było żadnego piękna czy magii — ani marcepanowych domków, ani wizyt Świętego Mikołaja. Było tylko wyczekiwanie, aż szczególnie w tym okresie rozdrażniona matka zacznie bić. I zawsze zaczynała.

W pewnej chwili, obsługując jeden ze stolików, Gabriella zauważyła, że do restauracji wchodzi kobieta z małą dziewczynką, która z ogromnym podnieceniem pokazuje rączką jedno z miniaturowych arcydzieł pani Baum.

— Ten! Ten! — wykrzykiwała radośnie.

Mogła mieć pięć lat i po prostu wychodziła ze skóry, żeby dostać już wymarzony domek.

Stały w kolejce za kilkoma innymi osobami, a kiedy znalazły się przy ladzie, dziewczynka zaczęła podskakiwać jak piłka, klaszcząc w dłonie pokryte czerwonymi rękawiczkami. Nosiła śmieszny czapkę z dzwonkiem, który dźwięczał donośnie przy każdym podskoku. W pewnej chwili mała potknęła się i upadła, a wtedy matka ostrym szarpnięciem poderwała ją na nogi; dziewczynka wybuchła płaczem i chwyciła się za obolałą rękę.

— Kazałam ci przestać. Teraz masz, na co zasłużyłaś. I przysięgam, Allison, zbiję ci pupę, jeśli zrobisz to jeszcze raz.

Gabriella, zapominając o klientach, stanęła jak wryta: w tej scenie i słowach było coś boleśnie znajomego. Zwłaszcza w wyrazie twarzy kobiety, wścieklej w tej chwili jak osa. Dziewczynka płakała jeszcze głośniejszym głosem i wyglądało na to, że ma zwichniętą rękę. Coś takiego w bardzo podobnych okolicznościach przydarzyło się Gabrielli, która jeszcze dziś pamiętała wszystko z ogromną wyrazistością. Ojciec delikatnym pociągnięciem i skrętem zdołał nastawić ramię, potem rodzice długo się kłócili, a w końcu Eloise na dobre zabrała się za córkę. Ta kobieta też była coraz bardziej rozwścieczona, Gabriella podeszła więc do niej i zasugerowała, że wciąż zapłakana dziewczynka doznała, być może, zwichnięcia łokcia.

— Niechże pani nie będzie śmieszna — warknęła kobieta.

— Nic jej nie jest. Maże się i tyle. — Popatrzyła z góry na ściskającą obolałą rączkę i wręcz histeryzującą teraz Allison.

— No więc chcesz ten domek, czy nie? — wrzasnęła, dodając wagi swym słowom jeszcze jednym szarpnięciem, które musiało sprawić małej straszliwy ból. — Allison, jeśli nie przestaniesz wyć, spuszczę ci rajtuzy i zbiję pupę na oczach wszystkich ludzi!

— Nie, nie robi pani tego — powiedziała spokojnie Gabriella, czując w sobie nieznaną moc i elektryzujący przyływ adrenaliny. — Nie robi pani nic w tym rodzaju.

— Jakże ma pani prawo, żeby przeszkadzać mi w wychowywaniu własnej córki? — zapytała

kobieta z bezgranicznym oburzeniem. Nosiła futro z norek, szła zaś z Madison do swojego mieszkania przy Park Avenue.

— Pani jej nie wychowuje — powiedziała Gabriella, w której duszy nienawistne słowo „wychowanie” zabrzmiało jak żałobny dzwon — tylko poniża i dręczy w obecności nieznajomych. Może by ją pani przeprosiła... albo nastawiła rękę. Jeśli zdejmie jej pani paltko, to sama się przekona, że jest zwichnięta.

Kobieta z wyrazem arystokratycznego oburzenia na twarzy zwróciła się do pana Bauma.

— Kim jest ta osoba? — zapytała. — Jak śmie odnosić się do mnie w taki sposób?

Raz jeszcze pociągnęła córkę za ramię, powodując tak przeraźliwy okrzyk bólu, że Gabrielli omal nie pękł zdrowy bębenek. Gabriella bez namysłu postąpiła krok do przodu, delikatnie, lecz stanowczo oderwała Allison od matki i zaczęła zdejmować czerwony płaszczyk. Miała rację: ramię dziewczynki zwisało bezwładnie.

— Proszę nie dotykać mojej córki! — wrzasnęła kobieta.

— Niechże ktoś wezwie policję!

Gabriella odwróciła głowę, popatrzyła na kobietę przeciągle, a wreszcie wycodziła złowieszczo:

— No, niech pani wezwie policję i wyjaśni, co zrobiła własnemu dziecku. Jeszcze jedno słowo, a to ja obiję panią przed tymi wszystkimi ludźmi!

Kobieta zastygła jak żona Lota z szeroko rozdziawionymi ustami, Gabriella zaś, zanosząc modły, aby zabieg się udał, szybko i zdecydowanie powtórzyła zapamiętane czynności ojca. Kiedy pociągnęła ramię do siebie, a potem skręciła, rozległ się przerażający trzask i okrzyk bólu, po chwili jednak dziewczynka przestała płakać, a nawet słabo się uśmiechnęła. Wtedy kobieta przebudziła się do życia, dygocąc z wściekłości porwała paltko, byle jak nałożyła na córkę i ciągnąc Allison w stronę drzwi, wrzasnęła do Gabrielli:

— Jeśli jeszcze raz dotknie pani moje dziecko, wezwę policję i każę panią aresztować!

— A ja zeznam przed sądem, czego byłam świadkiem i przekonamy się, kto zostanie aresztowany

— odparowała Gabriella, która wiedziała dość o podobnych sytuacjach, aby nie liczyć na wyrazy wdzięczności. Była tylko bezgranicznie rada, że zdołała jakoś pomóc małej.

W drzwiach Allison zdołała się zaprzeć.

— Ale, mamusiu, obiecałaś mi marcepanowy domek!

— pisnęła żałośnie.

— Nie teraz, Allison. Nie po tym, co przed chwilą zrobiłaś. Wracamy do domu, a ja powiem tatusiowi, jak

strasznie byłaś niegrzeczna i dopiero wtedy dostaniesz prawdziwe lanie! Przyniosłaś mamie wstyd przed tylu obcymi osobami — odparła, nie widząc wyrazu zgrozy na twarzach owych „obcych osób”. Dostrzegała tylko znieawidzonego bachora i była w tym przerażająca.

— Ale ty mi zrobiłaś kuku w rączkę! — jęknęła dziewczynka, oglądając się na tę dobrą panią, która jej pomogła, być może nawet pragnąc z nią pozostać. Gabbie natychmiast przypomniała się Mariannę Marks, ta piękna kobieta, która pozwoliła jej przymierzyć tiarę. Jakże wtedy pragnęła być jej córką. Takie osoby zawsze pojawiały się na szlakach udręczonych dzieci i nigdy nie zdawały sobie sprawy, ziarno jakiej bezgranicznej tęsknoty posiewają w ich duszach.

Gabriella odprowadziła wzrokiem Allison, która niknęła za drzwiami, brutalnie ciągnięta przez matkę. Nie dostała swojego marcepanowego domku, nie dostała nic. Teraz usłyszy, że to wszystko stało się z jej winy, bo gdyby była choć odrobinę grzeczniejsza, matka nie zrobiłaby jej żadnej krzywdy.

Z uczuciem niemal fizycznego bólu Gabriella zwróciła się w stronę państwa Baumów, by z bezgranicznym oszołomieniem stwierdzić, że są na nią wściekli. Nic takiego nie zdarzyło się nigdy w ich lokalu... Gabriella postawiła ich w głupiej sytuacji... bez względu na słuszność czy niesłuszność swoich motywów obraziła klientkę... sprawiła, że nie zdołali sprzedać jednego marcepanowego domku. W istocie pani Baum doszła do wniosku, że Gabriella jest prawdopodobnie szalona.

Była; przez jedną chwilę. Bez wahania spoliczkowałaby kobietę, sprowokowana najmniejszym nieopatrzonym gestem z jej strony. Miała co do tego całkowitą jasność. Wciąż pamiętała przeraźliwy

ból, który towarzyszył uderzeniu zakończonemu pęknięciem bębna.

— Zdejmij fartuszek — powiedział spokojnie pan Baum, wyciągając rękę. — Jesteś zwolniona. Jego żona aprobuszko pokiwała głową.

— Przepraszam, panie Baum — odparła cicho Gabriella. Nie usiłowała w tej chwili walczyć o pracę, pragnęła tylko dowieść, że obrona dziecka, które nie mogło liczyć na pomoc z żadnej strony, była działaniem uzasadnionym. — Musiałam to zrobić.

— Nie miałaś prawa się wtrącać. To jej dziecko i to ona ma prawo decydować o jego losie. Słowa pana Bauma były echem ogólnie panującej opinii, że rodzice mogą robić ze swoimi dziećmi, co im się żywnie podoba, obojętne jak okrutnego, nieludzkiego czy niebezpiecznego. A jeśli nikt ich nie powstrzyma? Kto stanie w obronie tych dzieci? Tylko ludzie silni i odważni, nie zaś tchórze w rodzaju Baumów czy jej ojca. W obronie Gabrielli nikt nigdy nie stanął.

— A jeśli matka zabije tę małą? Co wtedy? Co by się stało, gdyby zabiła ją na środku pańskiego lokalu? Co będzie, jeśli zabije ją po powrocie do domu, panie Baum? Co powie pan jutro, kiedy przeczyta pan o tym w gazecie? Że panu przykro, że ubolewa pan, iż nie pospieszył z pomocą... że pan nie wiedział? Ależ wiedział pan. Wszyscy wiemy. Widzimy, a jednak przechodzimy obok, ponieważ nie chcemy wiedzieć, ponieważ to nas przeraża, wprawia w zakłopotanie i jest po prostu zbyt bolesne. A co pan powie o tym dziecku, panie Baum? Bo dla niego to jest znacznie bardziej bolesne. To ręka tej dziewczynki zwiisała ze stawu, nie zaś ręka jej matki.

— Wyjdź z mojej restauracji, Gabriello — powiedział dobitnie — i nie wracaj tu nigdy więcej. Jesteś niebezpieczna i szalona.

I z tymi słowy odwrócił się do klientów, którzy czekali, aż zostaną obsłużeni i mimo tego co widzieli i słyszeli, pragnęli tylko zapomnieć.

— Mam nadzieję, że jestem niebezpieczna dla takich ludzi jak ta kobieta — odparła Gabriella spokojnie, kładąc fartuszek na ladzie. — I mam nadzieję, że będę taka zawsze. Ale znacznie niebezpieczniejsi są ci, którzy odwracają głowy. Ludzie pańskiego pokroju, panie Baum.

Powiodła spojrzeniem po wszystkich obecnych, a kiedy nikt nie ośmielił się spojrzeć jej w oczy, zdjęła palto z wieszaka przy drzwiach. Dopiero wtedy zorientowała się, że świadkiem całej sceny był również profesor Thomas, który wszedł akurat w chwili, kiedy dziewczynka zaczęła płakać. Był zdumiony

i oszołomiony. Bez słowa pomógł Gabrielli nałożyć płaszcz, a potem wyszedł z nią na dwór, otaczając ją ramieniem; czuł, jak mocno drży, a kiedy zatrzymała się i spojrzała na niego, zobaczył, że płacze.

— Widział pan, co się stało? — zapytała. Teraz, gdy było już po wszystkim, głos z trudem przeciskał się jej przez gardło, a poza tym dygotała na całym ciele jak człowiek ogarnięty gorączką. — Jesteś niezwykłą kobietą, Gabriello, i nie posiadam się z dumy, że cię znam. To, co przed chwilą zrobiłaś, było piękne. Większość ludzi po prostu tego nie rozumie.

— I boi się — dodała ze smutkiem. Oddalili się od restauracji, a profesor wciąż tulił do siebie Gabriellę, jakby pragnął bronić ją zarówno przed przeszłością, jak i przyszłością. — O ileż łatwiej udawać ślepego. Tak właśnie postępował zawsze mój ojciec. Po prostu pozwalał jej to robić.

Pierwszy raz wspomniała coś o swoim dzieciństwie; profesor Thomas pojmował, że te słowa są tylko wierzchołkiem góry lodowej i że usłyszy znacznie więcej, kiedy Gabriella będzie gotowa.

— Czy tak właśnie wyglądało twoje dzieciństwo? — zapytał z powagą. Nigdy nie miał dzieci, ale nie mieściło mu się w głowie, aby ktokolwiek mógł traktować je nieludzko i okrutnie.

— Znacznie gorzej. Matka biła mnie do utraty przytomności, a ojciec na to pozwalał. Jestem niemal głucha na jedno ucho, miałam połamane prawie wszystkie zębra, miewałam blizny, szwy, sińce, wstrząsy mózgu. Biła mnie tak mocno, że zakrwawiona padałam na podłogę, a później dostawałam jeszcze za to, że pobrudziłam dywan. To się skończyło dopiero z jej odejściem.

— Dobry Boże — wyszeptał ze łzami w oczach i poczuł się nagle bardzo stary. Wierzył Gabrielli, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jakim koszmarem było jej dzieciństwo. Wyjaśniało zresztą tak wiele: dystans Gabrielli wobec ludzi, nieśmiałość, powściągliwość, ucieczkę do klasztornej spokoju. A zarazem dostrzegł w niej coś, co sprawiło, że mówiono jej, iż jest silna. Miała w duszy moc zdolną pokonać szatana, przeszła przez

piekło, jakie zwykłym ludziom nie jawi się nawet w koszmarnych snach. I mimo blizn — ocalała. Nie była człowiekiem okaleczonym, lecz zdrowym i bardzo silnym. Matka, mimo wszelkich podejmowanych wysiłków, nie zdołała w niej zabić ducha. Kiedy wracali do pensjonatu, podzielili się z Gabriellą swoimi spostrzeżeniami.

— To dlatego nienawidziła mnie tak bardzo — odparła Gabriella, krocząc obok niego z wysoko uniesioną głową. Wciąż była dumna ze swojego uczynku. Kosztował ją utratę pracy, ale gra była warta świeczki. — Zawsze czułam, że chce mnie zabić.

— To okropne oskarżenie w stosunku do matki, ale wierzę ci bez zastrzeżeń. — Z troską zmarszczył czoło. — Gdzie jest teraz?

— Nie mam pojęcia. Pewnie w San Francisco. Odkąd mnie porzuciła, nie miałam od niej znaku życia.

— I doskonale. Nie powinnaś czynić nic, aby nawiązać z nią kontakt. Bólu, jaki ci sprawiła, wystarczy na całe życie.

Kiedy ramię w ramię wchodzili do pensjonatu, natknęli się na panią Rosenstein, która natychmiast pomyślała z niepokojem, że skoro Gabriella wraca tak wcześnie, profesor Thomas musiał poczuć się źle i dziewczyna go odprowadza.

— Wszystko w porządku? — zapytała i westchnęła z ulgą, kiedy jak jeden mąż pokiwali głowami.

— Właśnie zostałam wylana z pracy — wyjaśniła spokojnie Gabriella. Już się nie trzęsła i była nadspodziewanie opanowana. Profesor poszedł do swojego pokoju, żeby przynieść dla całej trójki po kieliszku brandy.

— Jak to się stało? — spytała pani Rosenstein, gestem odmawiając przyjęcia swojej lampki. — Sądziłam, że wszystko idzie ci jak po maśle.

— Bo szło — odparła Gabriella z uśmiechem, czując się po pierwszym łyku alkoholu nad wyraz wolna i silna. Brandy paliła język, kręciła w oczach i nosie, kiedy jednak spłynęła do gardła, Gabriella uznała, że jej smakuje. — Wszystko układało się znakomicie, dopóki nie otworzyłam buzi i nie obiecałam, że spoliczkuję pewną osobę.

— Ktoś się do ciebie dobierał? — zapytała z oburzeniem pani Rosenstein, milcząco przyjmując założenie, że przyczyną nieszczęścia Gabrielli był mężczyzna.

— Później ci wszystko wyjaśnię — powiedział profesor. Opróżniał właśnie wzgardzoną przez panią Rosenstein lampkę brandy, kiedy, zwabiona poruszeniem w holu, pojawiła się pani Boslicki.

— Co się dzieje? Urządziliście przyjęcie i zapomnieliście mnie zaprosić?

— Świętujemy — odparła roześmiana Gabriella. W głowie jej szumiało i było to przyjemne uczucie. Miała ciężki wieczór, pełen ponurych wspomnień, a jednak kończyła dzień jako człowiek silniejszy niż ten, który go zaczynał.

— Co świętujecie? — zapytała z ożywieniem pani Boslicki, gotowa podzielić radość swoich pensjonariuszy.

— Właśnie straciłam pracę — odpowiedziała z chichotem Gabriella.

— Czy jest pijana? — Pani Boslicki oskarżycielsko zerknęła na profesora.

— Proszę uwierzyć, zasłużyła sobie na małego drinka — odparł, a potem nagle przypomniał sobie, że jest przecież coś, co naprawdę warto ucześć. To dlatego pofatygował się do restauracji. Wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Gabrielli. Cała historia zajęła tylko dwa tygodnie. Obawiał się, że potrwa dłużej. — Jeśli nie jesteś zbyt podchmielona — powiedział ciepło — przeczytaj to.

Z przesadną gestykulacją człowieka pod dobrą datą otworzyła kopertę i uważnie przeczytała list. Potem wytrzeźwiała w okamgnieniu, a jej oczy stały się okrągłe jak spodki.

— O mój Boże... — westchnęła — ...o mój Boże! Nie do wiary. Jak pan tego dokonał? — zapytała profesora z oszołomieniem i nagle zaczęła podskakiwać.

— Co to jest? — zainteresowała się pani Boslicki, dochodząc do wniosku, że jej mieszkańcy albo powariowali, albo raczą się w holu koniakiem już dłuższy czas. — Wygrała na loterii czy jak?

— Lepiej — wykrzyknęła Gabriella, obściskując panią Boslicki, panią Rosenstein i na koniec profesora Thomasa.

Profesor potajemnie wysłał najnowsze opowiadanie Gabrielli do „New Yorkera”, redakcja zaś odpowiedziała, że opublikuje tekst w numerze marcowym. List zawierał również pytanie o agenta

literackiego Gabrielli, jak również informację, iż honorarium wyniesie tysiąc dolarów. Dzięki profesorowi z dnia na dzień stała się publikowaną pisarką. Wyręczył ją, świadom, że sama nigdy nie zdobyłaby się na taki czyn.

— Jak zdołam się kiedykolwiek panu odwdziaczyć? — zapytała wzruszona. List z redakcji stanowił potwierdzenie wszystkich jego opinii i wcześniejszych słów matki Gregorii. Mieli rację. Była dobra... mogła pisać. Po prostu nie do wiary.

— Okażesz wystarczającą wdzięczność, jeśli będziesz pisać dalej. Zostanę twoim agentem, o ile, rzecz jasna, nie zdecydujesz się na zawodowca.

— Niech pan będzie moim agentem. W życiu nie dostałam na gwiazdkę cudowniejszego prezentu.

— Nagle przestała przejmować się utratą pracy. Była teraz pisarką, a poza tym zawsze zdoła się gdzieś zatrudnić jako kelnerka.

Inni pensjonariusze dawno poszli spać, a Gabriella i profesor Thomas siedzieli jeszcze w saloniku, rozmawiając o incydencie w restauracji, o znaczeniu tego wydarzenia dla Gabrielli, o jej dzieciństwie, pisarstwie i nadziejach na przyszłość. Profesor stwierdził, że daleko zajdzie jako pisarka, jeżeli będzie tego pragnąć i pracować ze wszystkich sił. Odpowiedziała, że pragnie, a on nie miał powodów, by jej nie wierzyć. Co więcej, mając za dowód list z „New Yorkera”, który ciągle ścisnęła w garści, wierzyła w to teraz sama Gabriella.

Zanim się rozstali, raz jeszcze podziękowała mu wylewnie, a potem, wróciwszy do siebie na górę, długo stała w swoim maleńkim pokoiku, rozmyślając o Joem i o tym, jak byłby z niej dumny.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, byłiby małżeństwem i przymierając wprawdzie głodem, radowali się swoim szczęściem w jakimś nędznym mieszkaniu. Obchodziliby swoje pierwsze Boże Narodzenie, a Gabriella byłaby w piątym miesiącu ciąży. Ale to wszystko nie zostało im dane, bo Joe zrezygnował z walki. Zbytńio się bał, aby razem z Gabriellą przekroczyć most prowadzący do innego życia.

I nagle Gabbie pojęła, co miał na myśli mówiąc, że jest silna. Tu leżała różnica pomiędzy nimi. Ona pragnęła przekroczyć ten most, podjąć walkę za każdego i za wszystko. Chciała bez reszty poświęcić się Joemu, podczas gdy on, bez względu na siłę swej miłości, nie był w stanie tego uczynić. Zastanawiała się, jak zareagowałby na scenę w restauracji, by dojść w końcu do wniosku, że mając w sobie zbyt wiele łagodności, nie zdobyłby się na interwencję. Kochała go jednak i nigdy już nie pokocha nikogo z równą mocą. On zaś nie kochał jej dostatecznie mocno, by podjąć o nią walkę. Cofnął się w ostatniej chwili, dał za wygraną i w ten sposób stracili wszystko. Ona musiała zaczynać od nowa, krok po kroku. Nie czuła za to do Joego nienawiści, była tylko bezgranicznie smutna. I pewnie zawsze, ilekroć o nim pomyśli, będzie smutna.

Wyglądając tej nocy przez okno, widziała oczyma duszy jego twarz tak wyraziście, że odnosiła wrażenie, iż mogłaby jej dotknąć. Szeroki uśmiech, niebieskie oczy... Pamiętała, jak ją tulił i całował. Bolało ją serce, lecz pojmowała w tej chwili coś jeszcze.

Ocalała. Joe opuścił ją, a jednak zdołała przetrwać. I po raz pierwszy nie z lękiem, lecz radosnym podnieceniem myślała o tym, co w zanadrzu ma dla niej życie.

ROZDZIAŁ 18

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem, a niespełna tydzień po tym, jak wyrzucono ją z pracy, Gabriella poszła do księgarni, żeby kupić prezent dla profesora Thomasa. Pragnęła znaleźć coś cudownego, coś, czego naprawdę by pragnął, a nie miał jeszcze na przepelnionych półkach w swoim pokoju.

Za nową pracą postanowiła rozejrzeć się dopiero po świętach: miała dość zaoszczędzonych pieniędzy, aby zapłacić styczniowy czynsz, honorarium z „New Yorkera” zaś solidnie postawi ją na nogi. Biorąc je pod uwagę w swoich rachubach, zamierzała olśnić profesora imponującym prezentem. Dla wszystkich pensjonariuszy domu pani Boslicki — wyjąwszy Steve'a, którego nie znała dostatecznie dobrze — miała już drobne, ale starannie przemyślane podarki.

Zastanawiała się również nad prezentem dla matki Gregorii, zdawała sobie jednak sprawę, że w zaistniałych okolicznościach przeorysza nie mogłaby go przyjąć. Postanowiła zatem przesłać jej

egzemplar „New Yorkera”, kiedy tylko opublikują w nim opowiadanie. Matka Gregoria będzie z pewnością rada i dumna z Gabrielli, bo przecież — w co dziewczyna nie wątpiła ani przez chwilę — wciąż ją kocha. Czowała ból, że nie może jej zobaczyć: miały to dla niej być pierwsze od wielu lat święta Bożego Narodzenia spędzone poza klasztorem, z dala od matki Gregorii. Ale na to nic nie można było poradzić.

Gabriella weszła do eleganckiej księgarni przy Trzeciej Alei i rozejrzała się dokoła. Dominowały książki nowe, ale był również dział antykwaryczny, w którym — pośród wielu oprawnych w skórę woluminów — nie brakowało prawdziwych białych kruków. Gabriella zaczęła przeglądać książki i doznała szoku widząc, jak drogie są niektóre z nich: cena dwóch sięgała kilku tysięcy dolarów! Znalazła jednak w końcu coś, co powinno sprawić profesorowi radość — stare trzytomowe wydanie dzieł autora, na którego wielokrotnie się powoływał w swoich wywodach. Oprawione w skórę książki były zacytane, ale najwyraźniej traktowano je z pietyzmem i miłością. Uważnie wyliczała pieniądze, kiedy za nie płaciła, nigdy bowiem w życiu nie kupiła czegoś równie drogiego. Ale książki warte były swej ceny.

— Dokonała pani wyśmienitego wyboru — stwierdził młody Anglik, przyjmując pieniądze. — Nabyłem je zeszłego roku w Londynie i byłem zaskoczony, że nikt ich natychmiast nie porwał. To bardzo rzadkie wydanie.

Wdali się w pogawędkę o książkach, a wreszcie księgarz spojrzał na Gabriellę spod oka i zapytał, czy przypadkiem sama nie pisze.

— Tak odparła ostrożnie a raczej zaczynam. Właśnie sprzedalam opowiadanie „New Yorkerowi”... dzięki osobie, dla której przeznaczone są te książki.

— To pani agent? — zapytał z zainteresowaniem.

— Nie, przyjaciel.

— Rozumiem — pokiwał głową. Potem oświadczył, że sam też pisze i przez cały ubiegły rok borykał się ze swoją pierwszą powieścią.

— Ja ciągle pozostaję przy krótkich formach — odpowiedziała z uśmiechem. — Wciąż nie jestem pewna, czy mam dość odwagi, aby zabrać się za powieść.

— Znajdzie ją pani w sobie — stwierdził z przekonaniem

— chociaż nie wiem, czy należałoby jej pani życzyć. Zaczynałem od opowiadań i poezji, ale trudno zarobić tym na życie.

— Wiem — odparła z uśmiechem. — Pracowałam jako kelnerka.

— Ja też — wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Najpierw byłem barmanem w East Yillage, potem kelnerem w „Elaine's”, a teraz pracuję tutaj. Jestem kierownikiem

uprawnionym do dokonywania zakupów. Właściciele księgarni mieszkają na Bermudach... kupili ją, ponieważ kochają książki. To pisarze — tu wymienił nazwiska, które na Gabrielli natychmiast wywarły wielkie wrażenie. — Pewnie nie myśli pani o rezygnacji z kelnerowania? — zapytał, mając w pamięci wysokość napiwków, które w znacznym stopniu rekompensowały długie godziny i okropne z reguły warunki pracy.

— To kelnerowanie zrezygnowało ze mnie — odparła ze śmiechem. — Zostałam wylana w tym tygodniu. Wesołych Świąt!

— Moja pracownica jest w zaawansowanej ciąży i odchodzi na dobre w przyszły piątek. Może byłaby pani zainteresowana, co? Pensja jest niezła, a poza tym może sobie pani czytać do woli, kiedy nie ma dużego ruchu. — Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — I ponoć nie jestem najstraszniejszym z przełożonych. A tak nawiasem mówiąc, nazywam się Ian Jones. — Wyciągnął rękę, a Gabriella uściśnęła ją i również przedstawiła się, szalenie podekscytowana propozycją. Pensja, o czym dowiedziała się już po chwili, miała być wyższa niż jej zarobki u Baumów łącznie z napiwkami! Zaproponowała, że przyniesie referencje, ale odparł, iż nie jest to potrzebne. Była inteligentna, ładnie się wysławiała i zajmowała pisarstwem, z jego punktu widzenia więc stanowiła ideał kandydatki. Uzgodnili, że podejmie pracę po Nowym Roku.

Z zapakowanymi książkami pod pachą, szeroko uśmiechnięta, wróciła do domu autobusem i jak bomba wpadła do środka.

— Sprzedała pani następne opowiadanie? — zapytała z podnieceniem pani Boslicki, kiedy swoim zwyczajem weszła do holu.

— Nie, jeszcze lepiej... no, prawie. Dostałam wspaniałą pracę w księgarni! Zaczynam po Nowym Roku.

Kilka chwil później podzieliła się nowinami z profesorem, który przyjął wieści ze szczerą radością. Nie czuł się jednak tego dnia dobrze, miał grypę i początki bronchitu, kiedy więc rozmawiali w jego pokoju, ciasno otulał się swoim starym szlafrokiem. Gabriella nie mogła doczekać się momentu, w którym wręczy mu podarek, ale z tym musiała poczekać do świąt.

Idąc na górę, spotkała Steve'a Portera. Był nieco przygaszony, ale zapytał ją o powody radosnego nastroju, jaki dostrzegł na jej twarzy, gdy zaś odparła, że znalazła pracę, pogratulował z całego serca i wyraził ubolewanie, iż jemu dotąd nie dopisało takie szczęście. Mieszkał w Nowym Jorku od miesiąca, odbył dziesiątki bezowocnych rozmów kwalifikacyjnych, a ponadto zaczynały mu się kończyć pieniądze.

— Słyszałem, że sprzedała pani opowiadanie do „New Yorkera” — dodał z podziwem. — Chyba ma pani ostatnio szczęśliwą passę. Szczerze gratuluje.

Skąd mógł wiedzieć, że łańcuch jej dotychczasowych nieszczęść starczyłby innemu człowiekowi na całe życie? Ale współczuła Steve'owi i była nieco zawstydzona, że wobec jego przygnębienia ją rozpiera taka radość. Nagle pożałowała wszystkich rzeczy, jakie powiedziała na jego temat.

— A przy okazji dziękuję za stroik, Steve. Będę za pana trzymała kciuki.

— Dzięki, to mi się na pewno przyda — odparł i ruszył w swoją stronę. Nagle przystanął i z wahaniem popatrzył na Gabriellę, która uловиła to spojrzenie. — Miałem zamiar coś pani zaproponować, ale nie byłem pewien, czy ta propozycja nie wyda się pani dziwaczna. Otóż... czy w wieczór wigilijny nie zechciałaby pani pójść ze mną na pasterkę?

Była wzruszona jego sugestią. Te święta, po utracie Joego i banicji z klasztoru, miały być dla niej bardzo trudne. Ale od tak dawna nie była w kościele...

— Jeszcze nie wiem, czy pójdę — odparła szczerze — jeśli się jednak zdecyduję, na pewno przyjmę pańską propozycję. Dziękuję, że pan zapytał.

— Jasne. Zawsze do usług. — Uśmiechnął się i zbiegł na dół, żeby przejrzeć pozostawione dla siebie wiadomości. Zrozumiałe, że skoro szukał pracy, wykonywał i odbierał wiele telefonów. Gabriella zrozumiała nagle, jak błędnie go oceniała. To profesor Thomas miał rację: Steve Porter był sympatycznym facetem. Tak samo jak Ian Jones, jej nowy szef. Na pewno współpraca ułoży się im doskonale, Ian napomknął, że z kimś

mieszka, zatem jego zainteresowanie Gabriellą z pewnością było zawodowej i intelektualnej, nie zaś romansowej natury. Z punktu widzenia Gabrielli lepszy układ nie wchodził w grę. Nowe związki, nawet przelotne flirty, zupełnie jej nie pociągały. Wciąż tęskniła za Joem i zadawała sobie nawet pytanie, czy kiedykolwiek znajdzie mężczyznę, który chociaż odlegle będzie go przypominał. Ale Steve zachował się miło, zapraszając ją na pasterkę. Może jednak zostaną przyjaciółmi. Dopisujący jej ostatnio dobry nastrój sprawił, że była znacznie bardziej otwarta na taką możliwość.

— Chyba miał pan w jego sprawie słuszną rację — oznajmiła profesorowi, gdy tego dnia przyniosła mu obiad z knajpki po drugiej stronie ulicy. — Przypuszczalnie jest przyzwoitym człowiekiem. Powiada, że ma problemy ze znalezieniem pracy.

— Dziwna historia, biorąc pod uwagę, jakim jest bystrzakiem. Odbyłem z nim kilka pogawędek. Ma wiele atutów. Yale ukończył z wyróżnieniem, do tego dołożył magisterium ze Stanford. Imponujące.

Między innymi dlatego zachęcał Gabbie do zawarcia bliższej znajomości ze Steve'em Porterem. Chłopak miał wszystko, czego trzeba: odpowiednią powierzchowność, inteligencję i wykształcenie. Bez wątpliwości, kiedy tylko znajdzie pracę, będzie doskonale dawał sobie radę. Musi tylko okazać cierpliwość.

Gabriella przegadała z profesorem jeszcze kilka chwil, widząc jednak, że jego kaszel się nasila,

uznała, iż starszemu panu należy się odpoczynek, poszła więc do swojego pokoju, żeby przed nocą chociaż trochę popisać. Ku swojemu zdumieniu znalazła na progu uprzejmy i starannie wykaligrafowany liścik od Steve'a Portera.

„Droga Gabbie — pisał Steve — dzięki za słowa otuchy. W tej chwili są mi bardzo potrzebne, bo mam ogromnie wiele kłopotów, szczególnie rodzinnych. Mama przechorowała cały rok, a tata zmarł zeszłej zimy. Wszyscy potrzebujemy choćby krótkich chwil radości, a ponieważ z wielu względów nie mogę Pojechać teraz do Des Moines, byłbym szczęśliwy, gdybyś zechciała pójść ze mną na pasterkę. Jeśli odmówisz, trafi się następna okazja. Może kiedyś zjemy wspólnie kolację. Udowodnię, że jestem genialnym kucharzem, o ile pani Boslicki pozwoli mi skorzystać ze swojej kuchni. Steki, spaghetti, pizza — do wyboru, do koloru! Trzymaj się ciepło. Mam nadzieję, że koniec pory świątecznej będzie dla Ciebie równie szczęśliwy jak początek. Naprawdę na to zasługujesz. Wszystkiego najlepszego. Steve.”

Poruszona tym, co napisał o swojej rodzinie, obiecała sobie, że od tej chwili już zawsze będzie dla niego miła. Przechodził ciężki okres w swoim życiu. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się jej wcześniejsze uprzedzenia. Może z tego, że był zbyt gładki, zbyt przyjacielski, zbyt usłużny. Choć trudno mieć człowiekowi za złe to, że jest uprzejmy. Zawstydzona swoją podejrzliwością, doszła do wniosku, że może nawet pójdzie z nim na pasterkę — choćby dla jego dobra. I chyba powinna pomodlić się za matkę Gregorię i duszę Joego, była im przecież to winna. Będzie jej ciężko, ale jakoś przeżyje.

Odłożyła liścik na komodę, wyjęła notes i natychmiast zapomniała o Stevie Porterze.

Spotkała go dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia, a gdy oświadczyła, że pójdzie z nim na pasterkę, nie posiadał się ze szczęścia i wylewnie jej podziękował. Znowu poczuła wstyd, że kiedyś traktowała go tak źle, i jak zawsze podzieliła się swoimi odczuciami z profesorem Thomasem, kiedy przyniosła mu posiłek.

— Słusznie, powinnaś mieć wyrzuty sumienia — powiedział karcącym tonem. — To miły chłopak, któremu nie wiecie się w życiu.

Istotnie, mimo setek telefonów i dziesiątek rozmów nie zdołał dotąd znaleźć pracy, co zrodziło w profesorze podejrzenie, że być może ustawił sobie poprzeczkę zbyt wysoko i liczy na stanowisko prezesa General Motors. Jednakże mimo dawniejszych opinii Gabbie, wcale nie wydawał się arogancki

— był tylko bystry i miły w obejściu.

Spotkali się w holu o wpół do dwunastej, Steve otworzył Gabrielli drzwi i wyszli w siarczysty mróz nocy. Śnieg poskrzypywał pod ich stopami, a z ust i nosów wydobywały się kłęby pary. Niewiele ze sobą po drodze rozmawiali, bo zimne powietrze parzyło płuca jak ogień; kiedy dotarli do świątyni, Gabriella miała kompletnie zdrętwiałą twarz.

Kościółek Św. Andrzeja był niewielki i wypełniony po brzegi — można było odnieść wrażenie, że na pasterkę ściągnęli wszyscy parafianie, przyprowadzając ze sobą znajomych. Zajmując miejsce w ławce, Gabbie doświadczyła przyływu tak dobrze znajomych uczuć... Płonęły świece, unosił się silny zapach kadzidła, od ołtarza ciągnął wonny aromat gałązek sosnowych. Przypominało to powrót do domu i Gabriella z przemożną siłą zawładnęła tęsknota i rozpacz. Klęczała przez całą mszę, a kiedy Steve zerknął na nią w pewnej chwili, miała łzy w oczach. Na krótki moment położył dłoń na ramieniu dziewczyny, a potem — nie chcąc, by czuła, że wdziera się w prywatny świat jej zadumy — szybko ją cofnął.

Pieśni, które Gabriella знаła jak pacierz, brzmiały tej nocy szczególnie pięknie; wszyscy wierni odśpiewali „Cichą noc”, a kiedy chór zaintonował „Ave Maria”, w oczach Gabbie i Steve'a stanęły łzy. Oboje mieli wiele smutnych wspomnień.

Po mszy Gabriella podeszła do jednego z bocznych ołtarzy przed posązką Najświętszej Marii Panny zapaliła trzy świece — za matkę Gregorię, za Joego i za ich nie narodzone dziecko. Potem długo się modliła, a wreszcie w milczeniu wyszła z kościoła. Steve dłuższy czas się nie odzywał i dopiero kiedy uszli spory kawałek drogi, podjął próbę

nawiązania rozmowy.

— Odnoszę wrażenie, że i dla ciebie ten rok nie był łatwy

— powiedział, pamiętając jej łzy podczas nabożeństwa.

— Nie był — odparła po prostu. — Straciłam dwie ukochane osoby... a z trzecią nie mogę się zobaczyć. Było mi bardzo ciężko, kiedy wprowadzałam się do pani Boslicki.

— To miła i bardzo wyrozumiała kobieta — odparł Steve.

— Biedactwo, traci pół każdego dnia na odbieranie moich telefonów.

— Jestem pewna, że nie ma nic przeciwko temu — stwierdziła Gabbie.

Od pensjonatu dzieliła ich jedna przecznica, kiedy Steve,

minął człowieka, który wpadł nagle na genialny pomysł,

zapropozował, żeby skoczyli na kawę. Minęła pierwsza w nocy, ale kawiarenka na rogu wciąż była otwarta.

— Jasne, czemu nie? — łatwo zgodziła się Gabriella, wiedząc, że jeśli wróci teraz do domu,

zacznie rozmyślać o Joem i uderzy w płacz. Było Boże Narodzenie, najtrudniejszy okres dla ludzi samotnych. Może obydwójce potrzebowali towarzystwa, bo przecież Steve też dźwigał niemałe brzemię.

Opowiadał o swoim dzieciństwie spędzonym w Des Moines, o studiach w Yale i Stanford;

uwielbia wprawdzie Kalifornię — oświadczył — ale uznał, że w Nowym Jorku będzie miał

znacznie lepsze perspektywy kariery zawodowej. Teraz obawia się, iż podjął niewłaściwą decyzję.

Gabriella odparła na to, że nie ma sensu za wcześnie rezygnować.

Wtedy napomknął ostrożnie, iż obilo mu się o uszy, że Gabriella była w klasztorze. Skinęła głową.

— Spędziłam dwanaście lat w klasztorze Św. Mateusza. Byłam postulantką. Ale odeszłam z wielu skomplikowanych powodów.

— Życie w ogóle jest piekielnie skomplikowane, prawda? A szkoda. Czasem odnoszę wrażenie, że człowiekowi nic nie przychodzi łatwo.

— A ja, że komplikujemy je sobie sami. Tak przynajmniej ostatnio zaczynam to postrzegać.

Wszystko byłoby prostsze, gdybyśmy nie usiłowali wpływać na bieg rzeczy.

— Chciałbym w to uwierzyć — westchnął.

Kiedy kelnerka przynosiła im po trzeciej kawie — bezkofeinowej tym razem — Steve wyznał, że

był zaręczony z dziewczyną, którą poznał w Yale. Zamierzali wziąć ślub minionego lata, w święto

Czwartego Lipca. Dwa tygodnie przed uroczystością, jadąc na spotkanie ze Steve'em, dziewczyna

zginęła w wypadku samochodowym. Steve stwierdził, że to na zawsze odmieniło jego życie.

Potem, mając łzy w oczach, postanowił przypuścić Gabriellę do największej ze swych tajemnic...

Ta śmierć poraziła go tym mocniej, że jego dziewczyna była w ciąży. Nie... mieli zamiar wziąć ślub niezależnie od tego, po prostu tak się złożyło, że nieco przesunęli jego termin. Marzył o tym dziecku, nie mógł się go doczekać.

Gabriella słuchała w oszołomieniu, była to przecież historia jej i Joego, w której los dokonał

zamiany ról. Miała ochotę opowiedzieć o tym Steve'owi, ale nie znalazła w sobie odwagi, bowiem

związek księdza i zakonnicy wciąż nie był do przełknięcia dla większości ludzi. Nie wspomniała o nim nawet profesorowi Thomasowi.

— Czulałam zupełnie to samo, kiedy umarł Joe — wyznała jednak. — Też planowaliśmy ślub, ale

trzeba było rozwikłać wcześniej bardzo wiele problemów. — Patrząc na niego swymi wielkimi

smutnymi oczyma, postanowiła zdjąć z ramion swe ostatnie brzemię. — We wrześniu popełnił samobójstwo.

— Och, mój Boże... Gabbie... to straszne. — Powodowany impulsem, wyciągnął rękę i dotknął dłoni Gabbie, a ona go nie powstrzymała.

— Kiedy patrzę na wszystko teraz, z perspektywy czasu...

— krótkiej perspektywy, skoro minęły zaledwie trzy miesiące

— ...nie wiem, jak to przeżyłam. Zgodnie uznano mnie za winną, a ja, nawet wobec siebie, nie

potrafiłam się oczyścić z tych zarzutów — powiedziała ze smutkiem. Była to jedna z długiej listy jej win, ale zarazem wina najstraszniejsza.

— Nie możesz się oskarżać. Ludzie popełniają samobójstwa z najrozmaitszych powodów.

Najczęściej żyją pod taką presją, że tracą zdolność rozsądnego widzenia spraw.

— I tak, w większym czy mniejszym stopniu, było również w tym przypadku. Joe winił się zarówno za tragiczną śmierć brata, jak i późniejsze samobójstwo matki. Nie znaczy to jednak, że mogę się rozgrzeszyć do końca, bo w istocie to ja stałam się bezpośrednią przyczyną jego kroku. Uznał, że nie sprostą w życiu moim oczekiwaniom.

— Złożył na twoje barki straszny ciężar — powiedział Steve ze współczuciem. Kiedy wracali do domu, delikatnie objął Gabriellę ramieniem i nie napotkał oporu. Było Boże Narodzenie i otworzyli przed sobą serca. Zdumiewające, że łączyło ich tak wiele.

Pożegnał ją na podeście przedostatniego piętra, nie chcąc, by odniosła wrażenie, że jest natrętny, ona zaś po powrocie do siebie myślała o nim jeszcze przez kilka chwil. Był miły i zaznał w życiu podobnych udręk jak ona...

A potem znowu rozplakała się nad listem Joej wtedy mogła porozmawiać z Joem, być przy nim. potoczyłoby się inaczej.

Nie musiałyby być tej noc dzielić się swoim bólem z nieznanym mężczyzną dać mu, jak bardzo się z Joem kochali. Jakże niespr jakże okrutnie postąpił Joe. Ale gniew na niegopozostał tylko smutek.

Kiedy wreszcie zasnęła tej nocy, przyśnił się jej Joe czekający na nią w klasztornej ogrodzie.

;o. Gdybyż .. wszystko ;y samotna, lą, opowia-awiedliwie, niała już za sobą;

ROZDZIAŁ 19

W pierwszy dzień świąt pani Boslicki znowu upiekła indyka i tym razem w kolacji uczestniczył Steve, rozbawiając wszystkich dowcipnymi historyjkami. Potem nastąpiła uroczysta chwila wymiany prezentów: poprzedniego dnia Gabriella kupiła dla Steve'a płyn po goleniu, zakłopotana, że nic dla niego nie przygotowała. Steve oświadczył, że jest nie tylko uradowany, lecz również uratowany, bo płyn po goleniu właśnie mu się skończył, a nie stać go na zakup następnego flakonu. Książki wprawiły profesora Thomasa w stan ekstazy; nie mógł uwierzyć, że Gabriella zdołała wytropić gdzieś taki rarytas, a kiedy dowiedział się, że przy okazji znalazła pracę, uznał to za zrządzenie Opatrzności. Opatrznościowe było również pojawienie się na jej drodze Steve'a. Profesor nie przegapił faktu, że młodzi ludzie przegadali ze sobą pół wieczoru, kiedy więc w końcu zasiadł z Gabriellą do domina, już po pierwszej — jak zwykle zwycięskiej dla siebie — partii zaprosił do kompanii również Steve'a.

Gabriellę niepokoił stan zdrowia profesora Thomasa: starszy pan ciągle miał grype, a paskudny kaszel dokuczał mu od dobrych kilku tygodni. Pani Boslicki zrobiła mu herbatę z cytryną i miodem, którą we własnym zakresie wzmocnił kilkoma kropelkami brandy, a następnie zaproponował Steve'owi szklanek owego uzdrawiającego napitku. Propozycja została przyjęta z wdzięcznością. Steve powiedział wręcz, że dzięki nim wszystkim uniknął najgorszych świąt Bożego Narodzenia w swoim życiu. Znacząco zerkał przy tym na Gabriellę. Dał jej w prezencie piękny oprawny w skórę notes — na który zapewne nie było go stać — profesorowi zaś ciepły szalik. Dla wszystkich pensjonariuszy zresztą przygotował sympatyczne podarki.

Kiedy tego wieczoru odprowadził Gabriellę do pokoju, nie odszedł od razu, lecz na chwilę zatrzymał się w drzwiach.

— Zaczynam traktować ich jak rodzinę — powiedział, a Gabriella doskonale go rozumiała. Czują to samo. Potem pogawędzili jeszcze o nowej pracy Gabrielli i jej pisaniu, starannie unikając wszystkich spraw związanych z przeszłością. I bez niej mieli masę trosk. Podczas kolacji jednak Gabriella tęskniła za siostrami i ubolewała, że nie ma fotografii Joego, na którą mogłaby patrzeć. Pozostawała jej zawodna pamięć, żyła więc z obawą, że zapomni, jak wyglądał, jakie miał oczy, jak się uśmiechał.

Steve wyczuwał zapewne, że Gabriellę wciąż prześladuje duch zmarłego mężczyzny, starał się więc zachowywać powściągliwie, niemniej na pożegnanie delikatnie musnął dłonią jej policzek. Później ten drobny gest stał się dla Gabrielli źródłem niepokoju.

Wciąż było za wcześnie na jakikolwiek nowy związek, a zresztą nie wiedziała jeszcze, czy kiedykolwiek na taki związek się zdecyduje. No i jakże odmienny od Joego był Steve...

Światowiec, początkujący biznesmen, nie miał w sobie nic z niewinności i naiwności Joego, ale również nic z jego magii. Jednakże w przeciwieństwie do Joego żył i był przy Gabbie. Joe ją opuścił. Wykił się najtańszym kosztem, ponieważ nie był dość odważny, by o nią walczyć. Temu również trudno było zaprzeczyć.

Dzień po Bożym Narodzeniu Steve wszedł na górę i zapukał do drzwi Gabrielli. Wrócił ze spaceru i przyniósł jej filiżankę czekolady. Gabriella była akurat zajęta pisaniem.

— Mógłbym przeczytać coś twojego? — zapytał nieśmiało.

Dała mu dwa opowiadania, którymi — ku zadowoleniu Gabrielli — szczerze się zachwyił.

Porozmawiali chwilę a potem wyszli na spacer. Było zimno i zanosilo się na śnieg.

Istotnie, spadł w nocy, kiedy więc nazajutrz znowu spacerowali, zaczęli ciskać w siebie śnieżkami jak dwójka dzieciaków. Po powrocie do pensjonatu Steve wyznał, że niepokoi się swoją sytuacją finansową. Dotąd wysyłał pieniądze matce; jeśli rychło nie znajdzie pracy, będzie musiał wrócić do domu albo poszukać sobie tańszego pokoju, być może w jakiejś gorszej dzielnicy, na przykład w West Side. Każde z tych rozwiązań wydawało się Gabrielli straszne... Nie wiedziała, w jaki sposób poruszyć temat, żeby nie postawić Steve'a w kłopotliwej sytuacji, ale uwzględniając honorarium z „New Yorkera”, będzie przecież dysponować pewną nadwyżką, mogłaby zatem pożyczyć mu parę groszy, dopóki nie stanie na nogi. Wreszcie po wielu nieudanych próbach zaproponowała, że zapłaci za niego styczniowy czynsz. Niech potraktuje to jak pożyczkę, którą zwróci wtedy, kiedy będzie go na to stać. Miała stałą pracę, dopisywało jej zdrowie i była ostrożna w gospodarowaniu pieniędzmi. Przyjął ofertę ze łzami w oczach.

Kiedy nazajutrz Gabriella płaciła pani Boslicki za Steve'a, gospodyni uniosła jedną brew.

— A więc wzięłaś go na utrzymanie? Prawdziwy szczęściarz z tego biedaczka.

Nie życzyła sobie, by ktokolwiek wykorzystywał Gabriellę, nawet tak sympatyczny młodzieniec jak Steve Porter. A zresztą — jak to ujęła poprzedniego dnia w rozmowie z panią Rosenstein — „Co my o nim wiemy? Tylko tyle, że odbiera mnóstwo telefonów”. Gabbie odparła, że to jednorazowa pożyczka.

— Mam nadzieję — stwierdziła pani Boslicki. Lubiała, gdy płacono jej czynsz, ale wołała, gdy każdy płacił za siebie.

Poinformowany o wszystkim przez Gabriellę profesor Thomas nie wyraził dezaprobaty. Uważał, że Steve'owi można zaufać i był rad z oczywistego zacieśnienia stosunków między dwojgiem młodych ludzi.

W sylwestra Steve zaprosił Gabriellę do kina; wahała się przez jakiś czas, w końcu wyraziła zgodę. Poszli na nowego Bonda i świetnie się bawili; po seansie pokrzepili się hot dogami i zdążyli do pensjonatu na czas, aby zobaczyć w telewizji noworoczną transmisję z Times Square. Gabrielli kamień

spadł z serca, gdy o północy Steve nie próbował jej pocałować. Wiele mówił o swojej narzeczonej, ona zaś rozmyślała o Joem... W końcu odprowadził ją do pokoju.

Stojąc w drzwiach, popatrzył na nią przeciągle i powoli przygarmał do siebie. Mogła go powstrzymać i może chciała, ale w sposobie, w jaki na nią patrzył, było coś tak nieodparcie kuszącego, że usiłując wyrzucić z duszy wspomnienie Joego, oddała pocałunek z namiętnością, o jaką się nie podejrzewała. Całując zupełnie już teraz uległą Gabriellę po raz drugi, delikatnie wepchnął ją do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wywierał na nią tak hipnotyczny wpływ, że z największym trudem zdołała go powstrzymać, kiedy poczuła, że zaczyna rozpinąć jej bluzkę.

— Chyba nie powinniśmy tego robić — wyszeptala przez ściśnięte gardło.

— Ja też tak myślę — odpowiedział również szeptem — ale nie mogę przestać.

Był bardzo chłopięcy, przystojny i tak zmysłowy, że Gabriella zrozumiała, iż go pragnie. Rozpięła mu koszulę, on zaś rozchylił jej bluzkę, rozpiął stanik, zaczął pieścić piersi i całować sutki. Znow, resztką sił i woli, oderwała się od niego.

— Steve, nie chcę, byśmy zrobili coś, czego potem oboje będziemy żałować — powiedziała, zdając sobie sprawę, że jeśli nie powstrzyma go teraz — nie powstrzyma już nigdy. Byli dorośli, przed nikim nie musieli opowiadać się ze swoich uczynków, stracili najbliższych i ze swymi wciąż bolesnymi urazami duszy balansowali na krawędzi załamania nerwowego.

— Nie będę żałował niczego, co z tobą zrobię — wyszeptał. — Gabbie, ja cię kocham. Nie mogła odwzajemnić wyznania, bo nie byłoby ono prawdziwe. Wciąż kochała Joego, ale... ale dłonie Steve'a miały nad nią czarodziejską władzę. Chciała, by wrócił do swojego pokoju, a jednak nie powiedziała, by to zrobił. Bo jeszcze bardziej pragnęła, aby został przy niej. Tym razem nie chciała być samotna. W sylwestrową noc nie chciała myśleć o niczym prócz teraźniejszości.

— Gabbie, pozwól mi ze sobą zostać. Nie chcę wracać do siebie, mój pokój jest taki pusty... Obiecuję, nie zrobię niczego bez twojego przyzwolenia. Po prostu chcę z tobą być. Wahala się, ale czuła to samo. Nie chciała pozostać sam na sam ze swoimi wspomnieniami... mogliby być razem i równocześnie nie posunąć się do ostateczności. Byli przecież dostatecznie silni.

W końcu skinęła głową, a potem półubrani — ona w rajstopach i bluzce, on zaś w koszuli i spodenkach — położyli się do łóżka i objęli ramionami. Steve był zupełnie inny niż Joe, nie tak potężnie zbudowany... a poza tym nie kochała go, chociaż, jak sądziła, być może z upływem czasu zdoła pokochać. Miał w sobie dużo ciepła i czuła się przy nim bezpieczna, a to dla Gabrielli znaczyło ogromnie wiele.

Długo szeptali ze sobą w ciemnościach, aż wreszcie Gabriellę ogarnęło błogie rozmarzenie. Mruknęła półprzytomnie: „Szczęśliwego Nowego Roku, Steve” i zaczęła zapadać w sen. Wtedy poczuła, że coś się zmieniło. Steve leżał przy niej jak poprzednio, nie miał jednak na sobie ani koszuli, ani spodenek, poza tym delikatnie ściągał jej majteczki, uporawszy się przedtem z rajstopami. Nie miała zbyt chęci do stawiania oporu... Pieścił ją delikatnie i wbrew sobie Gabriella pomrukiwała jak przeciągająca się kotka. Zmysłowy i doświadczony, docierał do takich pokładów namiętności Gabrielli, które dla naiwnego Joego były zupełnie nieosiągalne. Tamten związek był pełnym złączeniem się w jedność dwóch dusz, tu zawładnęła obojgiem niczym nie powściągnięta namiętność. Pocałunkami, dotknięciami i pieszczotami Steve tak rozpałił Gabriellę, że za żadne skarby świata nie nakazałaby mu teraz przestać. Błagałaby wręcz, żeby nie przestawał. Grał na jej ciele jak na harfie, ona zaś prężyła się, pragnąc go wreszcie mieć w sobie, ale dopiero po następnej fali rozkosznie dręczących pieszczot dał jej powoli... ach, jak nieznośnie powoli... to, czego pragnęła. Utonęła w nim... utonęła w szaleństwie, do jakiego ją doprowadził, kiedy w jej mózgu rozbłysło pierwsze, a potem drugie i trzecie światło eksplozji. W końcu nie mogła już tego wytrzymać, wykrzyknęła więc błagalnie, żeby przestał.

Poszli potem pod prysznic, gdzie Steve wziął Gabriellę na stojąco, później zaś, z zaskakującą siłą i zmysłowością, jeszcze raz, na podłodze. Bezgranicznie wyczerpana i pozbawiona tchu, uświadomiła sobie, że z Joem nie zaznała nigdy czegoś takiego i być może nigdy więcej nie zazna. Miała pewność, że na całe życie zapamięta tę noc.

Gdy na koniec znowu legła w jego ramionach, potrzebowała zaledwie kilku chwil, by zasnąć jak dziecko.

ROZDZIAŁ 20

Rozpoczęty w noc sylwestrową romans Gabrielli i Steve'a został ponownie skonsumowany nazajutrz, zanim wstali z łóżka, i jeszcze kilka razy po południu tego samego dnia. Potem, przez następne dni, Gabriella odnosiła wrażenie, że nie robią nic innego. Na dole, wśród pensjonariuszy pani Boslicki, odnosili się do siebie uprzejmie i powściągliwie, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji gnali osobno na górę i zaczęli się kochać. Kochali się wszędzie i w każdy możliwy sposób, a Steve nauczył Gabriellę rzeczy, których nie uważała za możliwe. To nie była czysta niewinna miłość, która łączyła ją z Joem — to było coś zupełnie innego, potężnego i uzależniającego jak narkotyki. Gabriella potrzebowała całej siły woli, aby rankami wstawać do pracy.

Rozpoczęła ją zgodnie z planem tuż po Nowym Roku i z miejsca polubiła, zarówno więc dni spędzane w księgarni, jak i noce spędzane w ramionach Steve'a, sprawiały jej olbrzymią przyjemność. Kiedy nie byli w łóżku, rozmawiali ze sobą i żartowali, zapominając z reguły o zjedzeniu kolacji. Żywili się sobą z małym dodatkiem chipsów i herbatników.

— Zresztą i tak nie stać mnie na stawianie ci posiłków — mawiał żartobliwie Steve. Istotnie w tych nielicznych sytuacjach, kiedy postanawiali coś zjeść, stroną fundującą była

nieodmiennie Gabriella. Wiedziała, że w końcu zła passa Steve'a się skończy i odzyska swoje pieniądze zapłacone pani Boslicki za styczeń. Na razie jednak sytuacja nie wyglądała najlepiej. Steve zaczął napomykać o wyprowadzce na początku miesiąca, Gabriella więc, nie mogąc znieść myśli, że się rozstaną, wyłożyła pieniądze również na lutowy czynsz. Tym razem jednak dała je Steve'owi, nie zaś bezpośrednio pani Boslicki.

Profesor Thomas z radością konstatował, że Gabriella darzy sympatią Steve'a, o którym wciąż miał dobrą opinię. Inni wszelako podejrzewając romans, nie podzielali jego entuzjazmu; Steve pozostawał bez pracy od czterech miesięcy, co oczywiście musiało się stać źródłem komentarzy. Ciągłe odbieranie masę telefonów, jednak mimo błyskotliwego intelektu, wykształcenia i wykwinnych strojów nie wypalił dotąd żaden z jego kontaktów. Po prostu — przekonywał Gabriellę — nikt nie życzy sobie pracowników o tak wysokich kwalifikacjach. Twierdził, że wprawia ludzi w zakłopotanie swoim przygotowaniem zawodowym, niektórzy zaś są po prostu zazdrośni. Wierzyła mu bez zastrzeżeń.

Znacznie mniej czasu poświęcała ostatnio pracy literackiej, co, rzecz zrozumiała, spotykało się z dezaprobatą profesora Thomasa. W marcu, kiedy „New Yorker” opublikował jej opowiadanie, oświadczył wręcz, że bezwzględnie musi się wziąć za następny utwór. Trzeba kuć żelazo póki gorące, powiedział z naciskiem. Gabrielli jednak wystarczało gorąco bijące z ciała Steve'a, w jego ramionach bowiem odkrywała świat, którego istnienia nie podejrzewała, świat uderzający do głowy jak mocny alkohol. Jedynym ciemnym punktem tych dni przepełnionych uniesieniem był pogarszający się stan zdrowia profesora Thomasa. Namawiany usilnie przez panią Rosenstein do przeprowadzenia kompleksowych badań, powtarzał z uporem, że nie znosi lekarzy, ponieważ mają skłonność do stwarzania problemów tam, gdzie ich nie ma. Gabriella zresztą skłaniała się, by mu wierzyć. Kaszlał jednak nieustannie i trudno było zaprzeczyć, że wygląda kiepsko. Stan zdrowia nie pozwalał mu zabierać Gabrielli do restauracji, był więc rad, że dziewczyna jest ze Steve'em; dochodził do wniosku, iż rozkwitła ostatnimi czasy i bardzo wypiękniała.

Steve odwiedzał czasem Gabriellę w pracy i zawsze wdawał się w interesujące rozmowy z łanem.

Ku zadowoleniu

Gabrielli obaj mężczyźni poczuli do siebie sympatię, dzięki czemu doszło do kilku wypadów we czwórkę — łan zabierał swoją dziewczynę — chociaż jak zawsze musiała pożyczać Steve'owi pieniądze na rachunki w restauracjach. Ciągłe był bez grosza, a skoro swoje konto bankowe wyczyścił już trzy miesiące temu, mógł gospodarzyć tylko tym, co pożyczył od Gabrielli. Utrzymując Steve'a ze swojej pensji, musiała narzucić sobie wiele samoograniczeń, ofiary tej jednak nie uważała za wielką. Steve zresztą wzruszał ją zawsze wyrazami wdzięczności i na wiele rozmaitych sposobów usiłował się rewanżować: czasem prał jej rzeczy, kiedy była w pracy, ale przede wszystkim był gotów do miłości, gdy tylko przestępowała próg pokoju. Niekiedy nawet nagi czekał na nią w łóżku. Nigdy nie mówiła mu, że jest zmęczona po długim ciężkim dniu albo nie ma ochoty, zdawała sobie bowiem sprawę, że obdarowuje ją jedynym prezentem, na jaki go w tej chwili stać. Obdarowywał zresztą niezwykle hojnie.

W maju zorientowała się nagle, iż przestał wspominać o rozmowach kwalifikacyjnych czy też firmach, do których dzwonił. Najwyraźniej zrezygnował z poszukiwania pracy i bez żenady domagał się od Gabrielli pieniędzy, nie używając już określenia „pożyczka”. Gdy kilkakrotnie przyłapała go na grzebaniu w jej torebce, zaczęła chować przed nim pieniądze w rozmaitych miejscach. Pierwszego czerwca, uświadomiwszy sobie, że już od pół roku płaci za niego czynsz, zapytała, czy nie zrezygnowałby ze swojego pokoju, aby zamieszkać wspólnie z nią. Nie przyjął tego pomysłu z entuzjazmem.

— Byłoby to żenujące — odparł z godnością. — Wszyscy zorientowaliby się, że mnie utrzymujesz. No i nadszarpnęłoby twoją reputację.

Czynsz za pokój Steve'a wywracał jednak budżet Gabrielli do góry nogami. Dochodziły do tego jeszcze taksówki, którymi jeździł na spotkania i rozmowy, a także codzienne wydatki na wyżywienie. Pensja wystarczająca dla jednej osoby okazywała się zdecydowanie zbyt skromna dla dwóch. Kiedy pewnego dnia, nie mając nawet kilku dolarów na odebranie z pralni swoich rzeczy, Gabriella delikatnie usiłowała zasugerować

Steve'owi, by podjął wreszcie jakąkolwiek pracę, choćby kelnera, bezgranicznie się oburzył.

— Nazywasz mnie żigolakiem? — spytał oskarżycielsko i gniewnie.

— Ależ co ci przychodzi do głowy — zaprotestowała gorąco. — Po prostu nie stać mnie na to, aby cię utrzymywać.

Poruszała się po nieznanym terenie i czuła wręcz okropnie, jak potwór. Być może Steve sądzi, że ma wobec niego jakieś zobowiązania i jest szczerze urażony.

— A więc uważasz, że utrzymujesz mnie? — krzyknął z oburzeniem. — Jak śmiesz? Ty mi tylko pożyczasz niewielkie sumy!

— Wiem, Steve... Przepraszam. Chodzi o to... że nie zawsze mnie stać. Mam za małą pensję. Chyba powinieneś znaleźć sobie jakąś pracę.

— Nie studiowałem w Yale i Stanford, żeby uczyć się kelnerowania.

— A ja nie uczyłam się tego na Columbii, choć to również dobry uniwersytet. Ale po opuszczeniu klasztoru musiałam coś jeść.

On też musiał, tylko że znalazł prostsze rozwiązanie. Ba, jakimś sposobem zdołał budzić w Gabrielli poczucie winy, ilekroć wypływał temat jego ewentualnej pracy. W końcu Gabriella przestała o tym mówić i postanowiła napisać kilka opowiadań; zrobiła to, żadne jednak nie zostało przyjęte.

W dniu kiedy przyszła ostatnia negatywna odpowiedź, znów przyłapała Steve'a na grzebaniu w torebce. Po wyjściu z łazienki zobaczyła, że trzyma w ręku niemal całą jej pensję.

— Co ty wyrabiasz? — zapytała, ogarnięta popłochem. — Jeszcze nie zapłaciłam czynszu.

— Pani Boslicki może poczekać. Ma do nas zaufanie. Jestem komuś winien pieniądze.

— Za co? Komu? — zapytała bliska łez. Steve stwarzał sytuację, z którą nie umiała się już uporać; ich związek przeradzał się w koszmar. Kiedy sięgała po zdroworozsądkowe argumenty, Steve zaczynał zachowywać się wrogo... Tłumaczyła sobie, że usiłuje w ten sposób skryć swoje zakłopotanie.

A jego odpowiedzi były ostatnimi czasy coraz bardziej mętne.

— Ludziom — odparł.

— Jakim ludziom?

Podobno w Nowym Jorku nie miał żadnych znajomych, choć jak na człowieka pozbawionego znajomych, odbierał dużo telefonów. Już od kilku miesięcy pani Boslicki uskarżała się, że ma dość tej pracy telefonistki. Gabriella uświadomiła sobie, że nie wie o Stevie wielu rzeczy, a on nie jest skłonny dzielić się z nią swoimi tajemnicami.

— Rzygać mi się chce od tych twoich pytań! — wrzasnął, a potem wypadł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Czasem zniknął na wiele godzin, udowadniając później czarno na białym, że stało się to z winy Gabrielli. Dowodził bardzo przekonująco, nikt zaś nie był lepszy w roli winowajcy niż Gabriella. Całe życie wierzyła oskarżeniom kierowanym pod swoim adresem i przypisywała niewinność innym. Poza tym wiedziała, w jakim stresie żyje Steve, wielokrotnie bowiem powtarzał, jak bardzo gryzie się tym, że mimo ośmiomiesięcznego pobytu w Nowym Jorku nie zdołał dotąd znaleźć pracy.

Kiedy — czując zresztą, że jest niełojalna wobec Steve'a — rozmawiała o tym z profesorem Thomasem, ów nieodmiennie zalecał cierpliwość. Przecież poszukiwania nie mogły trwać w nieskończoność.

— Gdyby zgłosił się do mnie, zatrudniłbym go bez chwili wahania — mawiał profesor. — Na pewno ktoś podzieli wreszcie mój punkt widzenia.

Ale rzadziej ostatnio zwracała starszemu panu głowę swoimi problemami, od zimy bowiem stan zdrowia profesora nieustannie się pogarszał. Wiosną zaś wyszło na jaw, że pani Rosenstein ma raka... Nikomu nie brakowało zgryzot, a kłopoty Gabrielli nie wydawały się największe. Skończą się zresztą bezpowrotnie, kiedy Steve znajdzie pracę.

W lipcu odkryła, że Steve podkrada i fałszuje jej czek. Zrealizował kilka z nich, tak że w połowie miesiąca nie mieli już grosza przy duszy. A tydzień później pani Boslicki tylko jednego popołudnia odebrała trzy telefony z Biura Zwolnień Warunkowych w Kentucky. Nie wiedząc, jak je rozumieć, udała się po radę do profesora. Uznał, że za wcześnie na panikę, bo z pewnością rzecz ma jakieś

sensowne wytłumaczenie.

Trudno powiedzieć, jak doszło później do tego, iż profesor otworzył kilka listów adresowanych do Steve'a; zrobił to jednak i dowiedział się, że Steve, posługując się kilkoma różnymi nazwiskami, sieje po kraju czekami bez pokrycia, a także był zwolniony warunkowo z więzień w Kentucky i Kalifornii, gdzie odsiadywał kary za fałszerstwa. Kilka telefonów pozwoliło profesorowi ustalić całą resztę wcale niepięknej prawdy o Stevie Porterze, znanym również jako Steve Johnson, John Stevens czy Michael Houston. Lista jego pseudonimów była zresztą równie długa jak akta policyjne. Oczywiście nie studiował w Yale ani w Stanfordzkiej Wyższej Szkole Biznesu, do Nowego Jorku zaś nie przybył z Des Moines tylko — znów warunkowo wypuszczony na wolność — z Teksasu. Profesor czuł się okropnie, że zachęcał Gabrielle do spotkań z takim wyrzutkiem. Po długich godzinach rozmyślań doszedł do wniosku, że nic Gabrielli nie powie, lecz osobiście stawi Steve'owi czoło i pod groźbą ujawnienia jego grzeszków zażąda odeń natychmiastowego wyjazdu z miasta. Wolał, by Gabriella nigdy się nie dowiedziała, że mężczyzna, o którym sądziła, iż ją kocha, jest łgarzem, hochsztaplerem i zawodowym utrzymankiem. Po wszystkim, przez co w życiu przeszła, może jej dać choćby tyle.

Ubrany w czystą koszulę i swój najlepszy garnitur usiadł w salonie, a kiedy usłyszał kroki Steve'a, zanosząc się od kaszlu pospieszył mu na spotkanie. Pragnął, by była to rozsądna męska rozmowa, w wyniku której dojdzie do czegoś w rodzaju dżentelmeńskiej ugody mającej na celu ochronę Gabrielli.

Jednakże kiedy zobaczył Steve'a, pojął, że nie obędzie się bez problemów. Młody człowiek był w fatalnym nastroju i chyba lekko podпиты; w Lower East Side usiłował kupić nieco marihuany z zamiarem dalszej sprzedaży i został obłuskany przez dealera z reszty pieniędzy Gabrielli.

— Steve, chciałbym zamienić z panem kilka słów, jeśli to możliwe — powiedział uprzejmie profesor.

Steve, którego manieri nie było ostatnio tak nienaganne jak kiedyś, omal na niego nie warknął.

— Nie teraz, profesorze, muszę się zająć różnymi sprawami.

Miał zamiar starannie przeszukać pokój Gabrielli, która ostatnio chowała pieniądze w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach.

— To ważne, Steve — powiedział z naciskiem profesor, patrząc nań wzrokiem, którym niegdyś zwykł terroryzować studentów, ci jednak nie dorastali Steve'owi Porterowi do pięt. Profesor Thomas też zresztą nie dorastał.

— O co chodzi? — Steve odwrócił się i ujrzał w ręku starszego pana plik obciążających listów, które dały impuls do rozpoczęcia prywatnego śledztwa. Profesor Thomas dzwonił nie tylko na obie uczelnie, lecz również do biur zwolnień warunkowych w czterech stanach. Miał Steve'a na widelcu i Steve doskonale to rozumiał. — Skąd pan to ma? — zapytał, postępując krok do przodu.

Profesor nie wyglądał na wystraszonego.

— Przypadkiem trafiły do mnie i otworzyłem je odruchowo. Zapewne zgadzamy się obaj, że Gabriella nie powinna ich zobaczyć.

— Chyba niezbyt dobrze pana rozumiem — wycedził Steve. — Czy zamierza mnie pan szantażować, profesorze?

— Nie, zamierzam jedynie prosić, aby pan stąd zniknął. Wtedy nie będę musiał o niczym mówić Gabrielli.

Steve patrzył nań spod zmrużonych powiek; wiedział, że w pensjonacie nie ma nikogo, bo nawet pani Boslicki poszła do dentysty. Byli sam na sam.

— A jeśli nie zniknę? — zapytał.

— Wtedy pana wydam. To proste jak drut.

— Czyżby? — zdziwił się Steve, lekko popychając profesora, który jednak zdołał utrzymać równowagę. — Wyda mnie pan? Nie sądzę. Przypuszczalnie, drogi przyjacielu, nic pan Gabrielli nie powie, bo inaczej podczas najbliższej przechadzki spotka pana mały wypadek. Kapuje pan, jedna z tych drobnych nieprzyjemności w rodzaju pękniętej miednicy, rozbitej czaszki, potrącenia przez samochód. Mam kilku bardzo skutecznych przyjaciół.

— Ty parszywy zgniłku — powiedział profesor z wściekłością, widząc, że Steve jest występnym do

szpiku kości, dzięki czemu mógł wykorzystać w pełni naiwność i niewinność Gabrielli. — Ona niczym sobie na to nie zasłużyła. Była dla ciebie dobra. Wycisnąłeś z niej wszystko, co się dało. Dlaczego nie zostawisz jej w spokoju?

— A dlaczego miałbym zostawić? — zdziwił się Steve. — Kocha mnie.

— Nawet cię nie zna, panie Johnson... panie Stevens... panie Houston. Kimże ty, do cholery, jesteś, jeśli nie drobnym kombinatorem, wszawym hochsztaplerem, który żeruje na kobietach? Jesteś zerem.

— I dobrze mi z tym, dziadku. Chyba nie wyobrażasz sobie, że haruję od dziewiątej do piątej, co? To bombowa robota, jeśli człowiek zdoła się już na nią załapać.

— Ty odrażający gnojku — syknął profesor, ruszając przed siebie. Nie wiedział jeszcze, że drażni kobrę i że w tej konfrontacji jest bez szans. Wciąż liczył na to, iż zastraszy Steve'a i zmusi go do wyjazdu.

Wtedy Steve bez słowa skoczył w przód i tak potężnie pchnął starego człowieka, że profesor stracił równowagę i upadł, rozbijając przy tym głowę o krawędź stołu. Po jego skroni popłynęła krew. Steve pochylił się i złapał go za kołnierz.

— Jeśli jeszcze kiedykolwiek będziesz mi grozić, żaloszny stary skurwysynu, zabiję cię jak psa, rozumiesz? — syknął.

Profesorowi, dławionemu zarówno własnym gniewem, jak i zaciskającą się z coraz większą mocą dłonią Steve'a, zaczynało brakować powietrza. Jego twarz skurczyła się konwulsyjnie, kiedy uniesiony z podłogi daremnie usiłował wziąć oddech... Steve nie zwalniał uścisku, bo chodziło mu właśnie o to, coż bowiem lepiej mogło posłużyć jego celom niż zawał serca? W pewnej chwili profesor zakrztusił się i zwiśł bezwładnie w dłoni Steve'a, który upuścił na podłogę nieruchome ciało, a potem poprawił stół, obszedł pokój, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, a wreszcie bez pośpiechu wykręcił

numer pogotowia. Kiedy uzyskał połączenie, wyjaśnił głosem, w którym pobrzmiwała panika, że jest mieszkańcem pensjonatu i przed chwilą znalazł na podłodze nieprzytomne ciało jednego z współlokatorów, pana w starszym wieku. Zapewniono go, że karetka przyjedzie w ciągu pięciu minut.

Zanim się zjawiała, podniósł z podłogi i schował do kieszeni obciążające listy.

Potem wyjaśnił pielęgniarzom, że jego zdaniem profesor upadł i przy okazji rozbił sobie głowę, oni jednak, przeprowadziwszy wstępne badanie, doszli do wniosku, że uraz głowy nie jest przyczyną stanu starego człowieka.

— Wyjdzie z tego? — zapytał Steve, kiedy pospiesznie układali na noszach ciało profesora Thomasa. — Co mu jest?

— Wygląda mi to na wylew — odkrzyknął już z ulicy jeden z pielęgniarzy.

Kiedy syrena karetki milkła w oddali, Steve, uśmiechając się pod nosem, powoli wszedł do domu.

ROZDZIAŁ 21

Gabriella rozkładała na półkach nowo dostarczone książki, kiedy w księgarni zadzwonił telefon, łan wyszedł akurat po lunch dla nich, musiała więc pospiesznie zejść z drabiny. Kiedy usłyszała zdenerwowany i niemal płaczący głos Steve'a, natychmiast pojęła, że wydarzyło się coś złego.

— Co się stało? — spytała. Nigdy dotąd nie był tak rozstrojony. Ostatnio panowało pomiędzy nimi pewne napięcie, spowodowane głównie tym, że wciąż nie potrafił znaleźć pracy. Gabriella nie chciała sprawiać wrażenia, że wywiera na niego nacisk, niemniej jednak dość często dawała mu delikatnie do zrozumienia, że na dłuższą metę niełatwo będzie wyżyć im dwojgu z jej niewielkich dochodów. — O co chodzi?

— Ach... ach, Boże... Gabbie, nie wiem, jak ci to powiedzieć — wyjąkał, a ona poczuła, że do jej serca wślizguje się przerażenie. — Chodzi o profesora.

— Chryste, Steve... mów szybko!

— Po powrocie do domu znalazłem go w salonie, na podłodze... sądziłem, że upadł i uderzył o coś głową... miał zakrwawioną skroń. Może omdlał, potknął się albo... no, sam nie wiem.

— Był przytomny? — wyrzuciła z siebie, ogarnięta przerażeniem, że usłyszy tę najstraszliwszą

odpowieź.

— Niezupełnie. Majaczył coś, kiedy go znalazłem, a potem stracił przytomność. Natychmiast wezwałem pogotowie... Pielęgniarze nie potrafili od razu określić, czy miał zawał, czy też wylew i niezwłocznie zabrali go do szpitala. Ledwie odjechali, pobiegłem do telefonu, żeby do ciebie zadzwonić. Zabrali go do szpitala miejskiego. Był to wielki państwowy szpital i Gabriella wcale nie była pewna, czy profesor może liczyć w nim na najlepszą opiekę. Tak samo jak pani Boslicki i pani Rosenstein, od miesięcy namawiała profesora, żeby zrobił sobie kompleksowe badania, skoro od zimy systematycznie podupadał na zdrowiu. Przestali bywać w restauracjach, rzadko wychodził na spacer, dręczył go chroniczny kaszel.

— Mają dać nam znać, kiedy tylko postawią pewną diagnozę — podjął Steve. — Będę czekać przy telefonie.

— Bogu dzięki, że go znalazłeś. Przyjadę, kiedy tylko wróci Ian. Poszedł po lunch — odparła Gabriella, mając ochotę już w tej chwili porwać torebkę i wybiec z księgarni.

— Może raczej poczekaj, aż zadzwonią ze szpitala — zasugerował Steve, ale Gabriella nie chciała go słuchać. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się przy profesorze, człowieku, który dał jej złudzenie, że posiada coś na kształt rodziny.

— Oszałamiałam z niepewności — odrzekła. — Pojadę, kiedy tylko wróci Ian.

Pojawił się w drzwiach kilka sekund później. Gabriella pospieszenie wyjaśniła mu sytuację, wypadła z księgarni i zatrzymała taksówkę. Kiedy jednak przed szpitalem otworzyła portmonetkę, żeby zapłacić za przejazd, zorientowała się, że ma w niej znacznie mniej pieniędzy, niż sądziła. Wczoraj z pewnością było ich więcej. Uznała, iż zapewne Steve, wiecznie zakłopotany, że musi ją prosić o gotówkę, „pożyczył” sobie parę groszy bez jej wiedzy. Z trudem uzbierała dość drobniaków, żeby zapłacić taksówkarzowi.

Wbiegła do szpitala i chaotycznie zaczęła wypytywać o profesora; dopiero po godzinie uzyskała pierwsze konkretne informacje na jego temat, z których najważniejsza była ta, że nie umarł w drodze z pensjonatu. Gdy w końcu go zobaczyła, zastygła jak kamień, zaszokowana jego stanem. Miał zamknięte oczy, poszarzałą twarz, a liczne przewody biegingy do rozmaitych monitorów niemal z każdego punktu jego ciała. Krzątała się wokół niego spora grupa lekarzy i pielęgniarek, Przerzucających się krótkimi urywanymi zdaniami. W chwili kiedy Gabriella — która podała się za jego córkę — niepostrzeżenie weszła na salę, był pod tlenem i kroplówką, równocześnie zaś robiono mu ekg.

Dopiero po dłuższej chwili jedna z sióstr zwróciła uwagę na Gabbie i ruszyła w jej stronę.

— Jak się czuje? — zapytała roztrzęsiona Gabriella.

— Czy to pani dziadek? — zapytała ze współczuciem pielęgniarka.

— Ojciec — odparła Gabriella, postanawiając nie zmieniać wersji, która zresztą pochlebiłaby zapewne profesorowi. Ciągłe powtarzał, jak bardzo on i Charlotte pragnęli takiej córki jak Gabbie.

— Miał wylew — wyjaśniła siostra. — Prawa strona jego ciała jest praktycznie sparaliżowana, ale słyszy nas w chwilach, gdy odzyskuje przytomność.

— Wyjdzie z tego? — wyszeptła ledwie słyszalnie, zanosząc modły o jakąś pocieszającą odpowiedź.

— Za wcześnie wyrokować. Wyniki ekg nie są zbyt optymistyczne, ponadto podczas upadku doznał dość rozległego urazu głowy.

— Czy mogłabym z nim porozmawiać? — zapytała Gabriella, usiłując opanować narastającą panikę.

— Za kilka minut — odrzekła pielęgniarka i odeszła w stronę łóżka profesora.

Minuty przeciągnęły się w godziny. Profesorowi robiono kolejne badania i podłączano go do kolejnych monitorów, a gdy wreszcie przewieziono na oddział intensywnej terapii, Gabriella była rozdygotanym kłębkim nerwów. Wreszcie pozwolono jej podejść do chorego.

— Tylko proszę zbyt wiele nie mówić i nie oczekiwać, że pani odpowie — ostrzegła pielęgniarka dyżurna.

Gabriella powolutku zbliżyła się do łóżka profesora, który był bardziej rozczochrany niż zwykle i

miał zamknięte oczy, ale na dźwięk kroków Gabrielli ciężko unióś powieki.

— Cześć — powiedziała cicho. — To ja... Gabbie.

Chyba rozpoznał ją natychmiast, ale poniósł fiasko, usiłując uśmiechnąć się i coś powiedzieć.

Czując, jak po policzku spływa jej łza, ujęła dłoń profesora i podniosła do ust.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniła. — Lekarze są tego pewni.

Wydawało się, że zrazu wierzy jej słowom, potem jednak, jak człowiek ogarnięty nagłym bólem, zmarszczył czoło i groźnie popatrzył na Gabriellę, która odniosła wrażenie, iż daremnie usiłuje przekazać jej jakąś myśl. Tkwił w kamiennym więzieniu swojej niemocy i mógł tylko ścisnąć jej palce. Kiedy jęknął cicho, pielęgniarka poprosiła Gabriellę o wyjście z sali.

— Czy nie mogłabym zostać? — zapytała Gabbie błagalnie, nie wypuszczając dłoni profesora.

— Może pani wrócić za kilka godzin. Chory potrzebuje wypoczynku — odparła siostra, ubolewając w duchu, iż tak niewiele osób rozumie, na czym polega praca oddziału intensywnej terapii.

— Przyjdę później — wyszeptła Gabriella i delikatnie pogłaskała profesora po policzku, a kiedy znów wydał z siebie jakiś gardłowy dźwięk, położyła mu palec na wargach. — Niech pan nic nie mówi. Proszę odpocząć. Kocham pana.

Pląkała przez cały czas, wracając do domu metrem, jako że nie było jej stać na taksówkę.

Powtarzała sobie zresztą, żeby po powrocie zapytać Steve'a o pieniądze, które wyparowały z jej portmonetki. Jednakże kiedy weszła do pensjonatu, zapomniała o tym widząc, iż w salonie zebrali się praktycznie wszyscy mieszkańcy domu pani Boslicki. Steve po raz nie wiedzieć który opowiadał im, w jakich okolicznościach i stanie znalazł profesora.

— Jak się czuje? — zapytali na jej widok zgodnym chórem.

— Trudno powiedzieć — odparła. — Miał wylew i podczas upadku doznał urazu głowy. Nie może mówić, ma sparaliżowaną prawą stronę ciała, ale najwyraźniej mnie rozpoznał. Ciągle — bez rezultatu — usiłuje coś powiedzieć i sprawia wrażenie bardzo poruszonego.

— Nie do wiary, że stało się to tak nagle — stwierdził żalobnym tonem Steve, a następnie podszedł do Gabrielli, objął ją i wyszeptał: — Przykro mi, Gabbie.

Nawet nie miał pojęcia, jak wiele znaczy dla Gabrielli starszy pan: był jedynym prawdziwym ojcem, jakiego miała w życiu, ukochanym nauczycielem, powiernikiem. Dał jej poczucie wartości, bezinteresowną miłość i nadzieję, to wszystko zatem, czego tak bardzo potrzebowała w życiu. Znała go znacznie krócej niż matkę Gregorię, a przecież stał się dla niej kimś równie ważnym jak ona.

Kilkakrotnie dzwoniła do szpitala, tocząc zarazem bój z panią Boslicki i panią Rosenstein, które skłaniały ją do zjedzenia kolacji. Czuli, że nie zdoła niczego przełknąć, w końcu jednak dla świętego spokoju zjadła trochę gulaszu i kilka słynnych pierogów pani Boslicki. Potem natychmiast wstała od stołu.

— Wracam do szpitala — oświadczyła, rozglądając się za torebką, i wtedy uzmysłowiła sobie, że nie ma ani grosza. Wbiegła na górę, przypomniawszy sobie, że w szufladzie komody pod pończochami ukryła kopertę z pieniędzmi; kiedy ją jednak wyjęła, przekonała się z oszołomieniem, że jest pusta. Jeszcze wczoraj było w niej dwieście dolarów.

Łatwo się domyśliła, kto je wziął; nie miała ochoty na rozmowę ze Steve'em w tej chwili, ale nie miała też nastroju na wieczorną jazdę metrem.

Zbiegła piętro niżej; Steve siedział w swoim pokoju, czytając jakieś listy.

— Potrzebuję pieniędzy na taksówkę — oświadczyła bezceremonialnie Gabriella.

— Nie mam grosza przy duszy, kitek. Cholernie mi przykro. Musiałem znów kupić papeterię, a kserokopie moich życiorysów kosztują majątek.

— Daj spokój, Steve, wzięłeś dwieście dolarów z koperty i niemal wszystko, co miałam w portmonetce.

— Z ręką na sercu, kochanie, nie wzięłem. No, wzięłem czterdzieści na ksero i zapomniałem ci o tym powiedzieć. Zostały mi dwa dolce — odparł, pokazując swój portfel.

Wiedziała, że zażenowany sytuacją ucieka się czasem do kłamstw, aby wytłumaczyć, dlaczego podbiera jej pieniądze, nie mogła jednak jego opowiastkami zapłacić za taksówkę.

— Steve, proszę. Jestem bez grosza, muszę dostać się do szpitala, a wypłatę odbiorę dopiero w

piątek.

— Nie zrobiłem nic złego — powiedział z urazą. — Nieustannie mnie o coś oskarżasz. Czy nie widzisz, jak się

miotam? Czy sądzisz, że jestem zadowolony z takiego stanu rzeczy?

— Nie czuję się na siłach podejmować w tej chwili dyskusji na ten temat.

— No więc przestań zarzucać mi najrozmaitsze głupstwa. To nie fair z twojej strony.

— Wybacz — odparła, usiłując zachować spokój — ale ktoś bez przerwy podkrada mi pieniądze. Zapewne nie robi tego pani Rosenstein. Nie chciałam być nieprzyjemna.

— Nie ma sprawy — odparł, podchodząc do Gabbie, aby ją pocałować. — Chcesz, żebym z tobą pojechał?

Udobruchał się, choć wciąż wyglądał na urażonego, a Gabriella pomyślała przez chwilę, że może to naprawdę nie on ukraść jej pieniądze. Przecież tak często zapominała zamknąć drzwi do swojego pokoju.

— Dam sobie radę. Zadzwoń, gdyby coś się stało.

Pocałowała go, zbiegła na dół i — po raz pierwszy w życiu — poprosiła panią Boslicki o pożyczanie pieniędzy na taksówkę. Pani Boslicki, z marsem na czole, wyjęła z portmonetki i wręczyła Gabbie dziesięciodolarowy banknot. Tak samo jak wszyscy miała już dość Steve'a, jego bajeczek o Yale i Stanford, tych pokrętnych tłumaczeń, dlaczego nie może znaleźć pracy. Każdy mógł znaleźć pracę wcześniej czy później, dlaczego więc on stanowił wyjątek? Może uważał, że proponowane mu stanowiska są poniżej jego godności? Te dziesiątki telefonów zdawały się świadczyć, że coś kombinuje. Pani Boslicki pożałowała, że tak omotał Gabbie. Dziewczyna zasługiwała na kogoś wartościowszego.

— Zadzwoń i powiedz, jak się miewa profesor — rzuciła pani Boslicki w ślad za Gabriellą, która zbiegła na ulicę.

Na pierwszy rzut oka stało się oczywiste, że sytuacja wygląda kiepsko. Profesor zdawał się cierpieć, ilekroć zaś patrzył na Gabbie, ogarniało go widoczne poruszenie. Znowu pielęgniarki wyprosiły ją z sali, zamiast jednak wrócić do Pensjonatu, usiadła na korytarzu, czekając na rozwój wydarzeń.

O świcie ponownie wpuszczono ją do pokoju profesora.

— Cześć — powiedziała, siadając na krześle obok łóżka. — Pozdrowienia od wszystkich współmieszkańców. A pani Rosenstein kazała powtórzyć, żeby bez żadnego gadania łykał pan swoje lekarstwa. — Istotnie tak powiedziała, gorączkowo wycierając oczy chusteczką. — Bardzo pana kochamy.

Przez całą noc rozmyślała o tym, czyby nie wziąć urlopu, aby zaopiekować się profesorem, kiedy zostanie wypisany do domu. Łan zapewne nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby jej takiego urlopu udzielić. Siedząc teraz przy starszym panu, zaczęła streszczać opowiadanie, nad którym pracowała zeszłego tygodnia, kiedy jednak wspomniała, iż Steve'owi bardzo się podoba, profesor nagle uniósł lekko swe nie sparaliżowane ramię i pogroził jej palcem — „słynnym palcem, jak mawiała pani Rosenstein. Poruszał nim bowiem, ilekroć chciał położyć na coś nacisk albo ostrzec rozmówcę, że jest w błędzie. Gabriella uśmiechnęła się, sądząc, iż karci ją za lenistwo w pracy pisarskiej.

— Poprawię się — obiecała. — Ale wie pan, mam mnóstwo roboty w księgarni, no i pomagam Steve'owi, który ciągle nie może się nigdzie zatrudnić.

Palec znowu jej pogroził.

— Niech pan nie próbuje powiedzieć — oświadczyła stanowczo — bo znowu mnie przepędzą, jeśli pana zdenerwuję. Kiedy wróci pan do domu, zastanowimy się wspólnie nad moimi wypocinami.

Poza tym pierwszym nie sprzedała żadnego utworu, ale też ostatnimi czasy, zbyt rozproszona i rozkojarzona, poświęcała pisaniu zdecydowanie za mało uwagi. A teraz zdarzył się jeszcze ten wypadek... kariera literacka wydała się Gabrielli czymś błahym i nieistotnym wobec choroby profesora. Jakże pragnęła, by wrócił do siebie, jakże chciała tchnąć weń na powrót życie.

Strudzony zamknął oczy i zapadł w niespokojny sen, budził się jednak często i za każdym razem z

uporem wpatrywał się w dziewczynę, jakby usiłował mocą swej woli przekazać jej jakąś myśl. Dyżurująca tej nocy pielęgniarka była tolerancyjna i ani razu nie wyprosiła Gabrielli, która siedziała nieruchomo i cicho, zanosząc modły do Boga, w którego

bezgraniczną dobroć wierzyła podczas swoich długich spędzonych w klasztorze lat.

Po południu postanowiła wrócić do pensjonatu, aby zameldować współmieszkańcom o stanie profesora, szczęśliwie w ciągu minionych godzin ustabilizowanym. Na pożegnanie pocałowała policzek swego nauczyciela, który ciągle głęboko spał, a jeszcze stojąc w drzwiach posłała mu uśmiech, którego nie mógł widzieć.

Pani Rosenstein zamierzała pod wieczór złożyć mu wizytę, pani Boslicki rozważała, jak należy go karmić, kiedy wreszcie wróci do domu, Steve natomiast był nieobecny, jakkolwiek zostawił wiadomość, że idzie do parku na mecz baseballu z grupką przyjaciół, którzy mogą okazać się niezmiernie pomocni w znalezieniu pracy.

Stojąc pod prysznicem, Gabriella rozmyślała bez przerwy o tym starym człowieku, który walczył o życie na oddziale intensywnej terapii. Był dla niej kimś znacznie ważniejszym niż najbliższy przyjaciel — stał się częścią jej duszy i wiedziała, że nie może go stracić. Gdyby okazało się to konieczne, gotowa była jego życie opłacić swoim. Był darem od Boga i nie pozwoli Mu daru tego odebrać. Nie miał prawa. Zabrał jej już zbyt wiele.

W drzwiach pokoju profesora minęła się z paniami Boslicki i Rosenstein. Obie były zapłakane; oznajmiły, że nastąpiło pogorszenie, oprócz postępującego paraliżu prawej strony ciała, profesor zaczynał mieć kłopoty z oddychaniem. Zrobiono mu tracheotomię i podłączono do respiratora.

— Słyszałam, że był pan dzisiaj niegrzeczny—powiedziała Gabriella, siadając przy jego łóżku. — Ponoć podszcypywał pan wszystkie pielęgniarki.

W oczach profesora walczył o życie słaby uśmiech, ale słynny palec nie wykonał najmniejszego ruchu.

Gabriella paplała bez opamiętania, a w pewnym momencie zaczęła ubolewać, że starszy pan przestał zapraszać ją na kolacje.

— To, że w moim życiu pojawił się Steve, wcale nie znaczy, że powinniśmy skończyć z naszymi randkami — stwierdziła.

Oczy chorego przymgły się lekko, jakby profesor toczył jakąś straszną walkę z samym sobą.

— A tak nawiasem mówiąc, Steve gra w baseball z kolegami, którzy, jak twierdzi, pomogą mu znaleźć pracę.

Szeroko otworzył oczy i wbił w Gabriellę nieme spojrzenie.

Spędziła z nim całe popołudnie; przez moment ważyła myśl, czyby nie wrócić na noc do pensjonatu, koniec końców jednak postanowiła zostać z profesorem. Zadzwoiła tylko do Steve'a, informując go o swej decyzji, on zaś pokrótce zrelacjonował zwycięski dla swej drużyny mecz.

Kumple

— pracownicy najrozmaitszych spółek z Wall Street — byli wspaniałymi facetami, zapewne wprowadzą go w układy, o jakich dotąd mógł tylko marzyć.

Profesor, kiedy do niego wróciła, wydawał się spokojniejszy, jako że respirator ułatwiał mu oddychanie. Około północy delikatnie ścisnął dłoń Gabrielli.

— Kocham pana — wyszeptala, nie po raz pierwszy zadając sobie pytanie, czy przypadkiem nie widzi w niej Charlotte. Miał spokój w oczach, ilekroć — nieczęsto zresztą

— je otwierał, w czym Gabriella dostrzegała symptom poprawy. Może czuł, iż kryzys mija, może powoli wracały mu siły.

Po pewnym czasie oboje na krótką chwilę zapadli w sen; Gabriellę nawiedziły osobliwe sny o Joem, ojcu, Stevie i profesorze... Kiedy się przebudziła, na szarzejącym niebie rysowały się różowe pasma. Gabriella nie wątpiła, że profesor wróci do zdrowia — miał rozluźnioną spokojną twarz, a respirator oddychał za niego rytmicznie. I wtedy jeden z monitorów pisnął przeraźliwie, a po sekundzie, piskiem tym razem przerywanym, zawtórował mu drugi. Rozjarzyła się jakaś niebieska lampka...

Do pokoju wpadli dwaj pielęgniarze, odepchnęli Gabriellę na bok i zaczęli robić profesorowi masaż serca... napływało coraz więcej ludzi, a Gabriella, ogarnięta bezgraniczną zgrozą, słyszała i co

gorsza rozumiała, co mówią. Pojęła również słowa jednej z sióstr, wypowiedziane chwilę po tym, jak spoceni pielęgniarze wyprostowali się i opuścili ręce.

— Nie żyje... bardzo mi przykro.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w pustkę. Kłamali. Musieli kłamać. Nie mógł jej tego zrobić... był obok niej... patrzył na nią... ścisnął jej dłoń. A ona usiłowała wlać weń każdą cząstkę swoich sił, każdą drobinę życia. Niemożliwe, żeby umarł...

Umarł jednak, odszedł do swojej ukochanej Charlotte.

Wyłączyli respirator i wyszli z sali. Gabriella usiadła na skraju łóżka, ujęła dłoń profesora i zaczęła do niego mówić, jakby wciąż mógł ją słyszeć.

— Nie może mi pan tego zrobić... niech mnie pan nie zostawia... tak bardzo pana potrzebuję...

Niech pan wróci, błagam.

Pojmowała jednak, że nie wróci. Miał długie i bogate życie, trwające osiemdziesiąt jeden lat.

Zresztą nie należał do niej, został jej tylko na krótko użyczony. Był własnością Boga i Charlotte.

Opuścił ją, jak inni. Bez złości, gniewu, oskarżeń. Nic mu złego nie zrobiła, a on jej o nic nie oskarżał. Łączyły ich tylko dobre rzeczy. Ale ją opuścił. Zgodnie z własnym planem... Odszedł w inny czas, inny wymiar — gdzieś, gdzie nie mogła z nim być.

W pewnej chwili pojawiła się pielęgniarka i zapytała, co postanawia zrobić z ciałem.

— Nie wiem — odparła. — Muszę sprawdzić, jaka w tej sprawie była jego wola. — Nie miała zresztą pojęcia, któż mógłby o tym wiedzieć. Może pani Rosenstein. Nie miał żadnej rodziny, żadnych dzieci i jedynymi jego bliskimi byli współlokatorzy z pensjonatu, w którym spędził dwadzieścia ostatnich lat życia.

Wstała w końcu, pocałowała profesora po raz ostatni i dopiero wtedy zdała sobie w pełni sprawę, że odszedł. Jego duch nieodwołalnie uleciał, pozostawiając znużone i mało ważne ciało. Delikatnie odkładając na łóżko jego dłoń, wyszeptwała bezgłośnie:

— Pozdrów ode mnie Joego.

Powoli wyszła z oddziału intensywnej terapii, zjechała windą na dół i ruszyła ku wejściu. Był piękny lipcowy dzień, wokół roili się roześmiani i rozgadani ludzie. Dziwne, pomyślała, że życie toczy się dalej, że świat nie stanął w miejscu

choćby na krótką chwilę, aby potwierdzić, że śmierć profesora nie umknęła jego uwadze. Czowała na sercu taki sam ciężar jak wtedy, kiedy zatrzasnęły się za jej plecami drzwi klasztoru. Nie miała pieniędzy na taksówkę ani metro, a zresztą i tak wołałaby wracać do pensjonatu piechotą.

Potrzebowała świeżego powietrza i czasu na rozmyślanie.

Koniec końców profesor wcale jej nie opuścił. Pozostawił po sobie tyle rzeczy — słów, myśli, uczuć, wrażeń. Odszedł jak inni, ale odszedł inaczej.

ROZDZIAŁ 22

Ku ogólnemu zaskoczeniu profesor Thomas pozostawił wszystkie swoje sprawy w niezwykłym porządku. Starszy pan miał opinię człowieka nieco rozkojarzonego, Gabriella nie wierzyła więc własnym oczom, gdy zamiast spodziewanego bałaganu znalazła starannie posegregowane dokumenty, zapieczętowany testament i szczegółowe instrukcje. Profesor nie życzył sobie ceremonialnego pogrzebu, lecz tylko skromnej uroczystości żałobnej — najchętniej pod gołym niebem — podczas której zostanie odczytany fragment utworu Tennysona i krótki wiersz Browninga, zawsze przypominający mu Charlotte.

Pani Rosenstein nie posiadała się z żalu i przypominała swym zachowaniem zrozpaczoną wdowę, największy więc udział w załatwianiu wszelkich spraw związanych z pochówkiem miała pani Boslicki, której wiele pomógł Steve. To oni poszli do pobliskiego przedsiębiorstwa pogrzebowego i wybrali surową prostą trumnę. Profesor miał spocząć na cmentarzu na Long Island, obok Charlotte. W dniu smutnej uroczystości wszyscy pojechali na Long Island wynajętą limuzyną; Gabbie położyła na trumnie czerwoną różę, następnie zaś — co stanowiło jedyne odstępstwo od życzeń profesora — głosem drżącym ze wzruszenia przeczytała własny wiersz. Usiłowała w tym momencie nie myśleć o Joem, bezgranicznie rada, że w jej życiu pojawił się Steve. To jemu zawdzięczała siłę, dzięki której jakoś przetrwała ten ciężki okres w swoim życiu. Steve zresztą był

w ostatnich

dniach cudowny i nawet odzyskał w opinii pani Boslicki kilka punktów.

Profesor został pochowany w jedynym ciemnym garniturze, jaki posiadał; wszystkie jego pozostałe ubrania oddano na cele dobroczynne.

Gdy w nowojorskim „Timesie” ukazał się krótki nekrolog, wszystkich zdumiała liczba zdobytych przez profesora nagród i laurów akademickich.

Wreszcie w saloniku pani Boslicki nastąpiło oficjalne odczytanie testamentu; zajął się tym jeden z pensjonariuszy, emerytowany prawnik, obecni zaś byli wszyscy współmieszkańcy zmarłego.

Ceremonia nie budziła specjalnych emocji, miała bowiem być czystą formalnością, jako że wedle ogólnie panującej opinii profesor Thomas posiadał bardzo niewiele. Jednakże w miarę odczytywania schludnie wykaligrafowanego tekstu oczy tak lektora, jak i słuchaczy zaczęły się zaokrąglać. Otóż profesor uciułał, a następnie rozsądnie zainwestował całkiem ładną sumkę, w pensjonacie pani Boslicki zaś nie mieszkał z potrzeby, lecz z przyzwyczajenia i sympatii do współlokatorów.

Każdej z dwóch swych wiernych przyjaciółek, Marcie Rosenstein i Emmie Boslicki, w rewanżu za okazywaną przez tyle lat miłość i życzliwość zapisywał po pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pani Rosenstein miała nadto otrzymać jego złoty zegarek; profesor wyrażał nadzieję, iż ten jedyny kosztowny przedmiot, jaki posiadał, będzie dla obdarowanej cenną pamiątką.

W chwili odczytywania tego fragmentu ostatniej woli pani Rosenstein wybuchła płaczem.

Co się tyczy reszty dóbr doczesnych, przede wszystkim najważniejszych dlań zbiorów bibliotecznych, zapisywał je swojej młodej przyjaciółce i protegowanej, pannie Gabrielli Harrison. Prócz tego Gabbie miała otrzymać całą pozostałą gotówkę i zdeponowane w sejfie bankowym akcje o łącznej wartości — tu sędziwy prawnik zrobił przerwę dla zaczerpnięcia powietrza, spoglądając przy tym na Gabriellę — nieco ponad sześćset tysięcy dolarów. Wszyscy, jak jeden mąż, wydali przeciągłe westchnienie, a Gabriella nie mogła uwierzyć własnym uszom. To niemożliwe, to jakiś żart. Dlaczego miałyby zapisać jej taką fortunę? To również profesor wyjaśnił w swym testamencie. Wierzył, iż Gabriella wykorzysta te pieniądze rozsądnie i dobrze, głównie po to, aby wolna od finansowych trosk mogła rozwijać swą karierę literacką. Profesor wyrażał pogląd, iż jest na tyle młoda, że solidne zaplecze majątkowe w sposób istotny odmieni jej kondycję, zapewniając poczucie bezpieczeństwa, jakie zapewne nie było jej dane nigdy w życiu. Stwierdzał również, że traktował ją jak córkę, którą nigdy nie uszczęśliwił go los, obdarowuje zatem Gabriellę z podszeptu serca, pełen podziwu dla przymiotów jej charakteru i pisarskiego talentu. Kończył testament podziękowaniami i najlepszymi życzeniami dla wszystkich, podpisał się zaś w sposób niesłychanie formalny „Profesor Theodore Rawson Thomas”. Dokument, jak zapewnił zebranych mecenas, został zredagowany prawidłowo i ma całkowitą moc prawną.

Przez chwilę w salonie panowała cisza, a potem wszyscy na wypródki zaczęli wzdychać, pokrzykiwać radośnie i gratulować Gabrielli — zdawało się, iż nikt nie odczuwał zazdrości, że otrzymała od losu taki prezent. Kiedy zerknęła na Steve'a, uśmiechał się szeroko, najwyraźniej ciesząc się jej szczęściem.

— Pewnie teraz nas opuścisz — powiedziała przez łzy pani Boslicki, obejmując Gabriellę. — Przecież stać cię na własną kamienicę...

— Cóż za bzdury pani opowiada, nigdzie się nie wybieram

— odparła Gabriella, wciąż ogarnięta niedowierzaniem, że profesor potrafił dojść cichaczem do takiej magnackiej fortuny, która zresztą wyjaśniała często okazywany przezeń gest

— wielokrotnie wszak zapraszał Gabriellę na kolacje, chociaż wszyscy przypuszczali, że skromna emerytura ledwie pozwala mu związać koniec z końcem. Sam testament pokazywał czarno na białym, co czuł profesor wobec Gabrielli i jak ją traktował. Liczył, iż odwdzięczy mu się kontynuując swą karierę literacką, co zresztą miała zamiar robić — zarówno dla uczczenia pamięci swego mentora, jak i własnej przyjemności.

— A zatem co teraz, księżniczko? Limuzyna czy wakacje w Honolulu? — zapytał żartobliwie Steve, obejmując Gabriellę.

Mówiąc jednak najzupełniej serio, spadek po profesorsze eliminował wiele jej problemów i

diametralnie odmienił życie. Ubolewała, że nie może podzielić się radosną nowiną z matką Gregorią i siostrami. Czyżby istotnie prawdziwa była sentencja, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? Jakże inaczej potoczyłyby się jej losy, gdyby nie została wygnana z klasztoru! Od tego momentu minęło zaledwie kilka miesięcy, a przecież miała wrażenie, że upłynęły lata. Profesor sporządził testament w czerwcu; może, świadom fatalnej choroby pani Rosenstein i pogarszającego się stanu własnego zdrowia, przeczuł bliski koniec? Jakkolwiek było, jego działaniami kierowała ręka Opatrzności.

Wieczorem wszyscy poszli na kolację, której fundatorką — za pieniądze pożyczone od pani Boslicki — była Gabriella. Po powrocie do pensjonatu wślizgnęła się cichutko do pokoju profesora, żeby obejrzeć odziedziczony księgozbiór; uczyniwszy to — a wśród wielu pięknych woluminów dostrzegła swój gwiazdkowy prezent — usiadła przy biurku i zaczęła wertować dokumenty wypełniające segregatory i szuflady. W pewnej chwili jej wzrok padł na starannie ułożony plik listów z przypiętą adnotacją „Steve Porter”.

Była to dotycząca Steve'a korespondencja profesora Tho-masa ze Stanford, Yale, a także rozlicznymi biurami zwolnień warunkowych. Gabriella zaczęła je czytać, w miarę lektury zaś w jej spojrzeniu wkradała się coraz większa zgroza; ujrzała bowiem wizerunek mężczyzny, jakiego nie знаła. A raczej wielu mężczyzn, celnie określonych przez profesora łącznym mianem „potwór”. Poznała całą listę jego pseudonimów, przestępstw, wyroków i odsiadek, przeważnie za fałszerstwa i wymuszenia. Specjalizował się w wykorzystywaniu kobiet: doił je tak długo, aż wyciągnął z nich ostatni grosz. Poza tym na drobną skalę handlował narkotykami... robił wszystko, co w sposób niezgodny z prawem pozwalało mu zdobyć parę groszy. Z listu relacjonującego rozmowę, jaką w więzieniu przeprowadził z nim pracownik opieki społecznej, wynikało jasno, że nie ukończył nawet gimnazjum. Nie miał żadnych dyplomów, ani Stanfordu, ani Yale. Nie to wszakże było najważniejsze...

Gabriella zdała sobie oto sprawę, że wykorzystywał ją cynicznie i bezlitośnie, że — abstrahując od pieniędzy — obchodziła go tyle co zeszłoroczny śnieg. Jego narzeczona wcale nie zginęła w wypadku, rodzice osierocili go, kiedy był dzieckiem, chował się u obcych i w domach opieki społecznej... Schorowana matka nie czekała więc w Des Moines na wsparcie ze strony syna, żaden zmarły rok temu ojciec nie był oplakiwany po dziś dzień. Zасыpywał ją kłamstwami, aby obudzić w Gabrielli współczucie i zbliżyć się do niej. Nawet jego nazwisko było fałszywe. Steve Porter, którego znała i — jak się jej zdawało — darzyła czymś na kształt miłości, okazał się całkowicie sztucznym tworem.

Było to gorsze niż wszystko, co przydarzyło się jej do tej pory, z pewnych względów gorsze nawet niż utrata Joego. Bo Joe naprawdę ją kochał, a ten... ten typ był hochsztaplerem i kryminalistą. Okłamał ją, okradł, wykorzystał na wszystkie możliwe sposoby. Nagle poczuła się splugawiona do tego stopnia, że ogarnęły ją mdłości... poczuła się jak dziwka. Tyle że dziwką, a nawet kimś znacznie gorszym, był on.

Długo siedziała z listami w dłoni, a wreszcie odłożyła je do szuflady i przekręciła klucz w zamku. Nie wiedziała, co powiedzieć Steve'owi, jak przed nim uniknąć.

W pewnym momencie przeszedł ją dreszcz i opadły przerażające myśli. A jeśli Steve dowiedział się, co na jego temat ustalił profesor i zrobił starszemu panu krzywdę? Cicho wyszła z pokoju i wróciła do siebie. Siedziała na krawędzi łóżka, usiłując uporządkować panujący w jej głowie chaos, kiedy w drzwiach stanął Steve.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. Natychmiast spostrzegł, że Gabriella ma dziwny wyraz twarzy, ale uznał, że po takim dniu to zupełnie naturalne. Ten dzień zresztą był szczególny również dla niego, trafił bowiem główną wygraną na loterii, podczas gdy liczył tylko na nędzne grosze, do których sprowadzały się dochody dziewczyny.

— Koszmarnie boli mnie głowa — odparła z roztargnieniem, spoglądając na Steve'a jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Istotnie po raz pierwszy widziała go takim, jakim był naprawdę.

— Cóż, kochanie — odparł słodkim głosem — za sześćset tysięcy dolarów możesz kupić cholernie dużo aspiryny. Może jutro wyskoczylibyśmy gdzieś, żeby uczcić to wszystko? A potem kapkę dalej — do Paryża albo Rzymu?

Musiał starannie ją urobić, Europa zaś wydawała mu się do tego idealnym miejscem.

— W tej chwili jeszcze trudno mi o tym myśleć, Steve, a poza tym nie mogę z dnia na dzień zostawić lana na lodzie. Wreszcie nie mogę trwonić tych pieniędzy, skoro profesor życzył sobie, bym wykorzystała je na kontynuowanie kariery pisarskiej. To by było nieuczciwe wobec niego. Nie wiedziała, dlaczego zadaje sobie trud podejmowania rozmowy ze Steve'em, uznała jednak, że w tej chwili musi coś powiedzieć. Należało grać na zwłokę, aby spokojnie podjąć decyzję, jak postępować dalej. Tylko że nie mogła na niego patrzeć... niewykluczone przecież, że był w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć profesora.

— Posłuchaj, kochanie — powiedział z lekkim rozbawieniem — profesor nigdy się nie dowie, co zrobiłaś z pieniędzmi. Należą do ciebie.

Skinęła głową, nie potrafiąc wydusić z siebie ani słowa. W tej chwili Steve pokazywał swoją prawdziwą naturę.

Tej nocy spali jak zwykle w jej pokoju, ponieważ ostatnio Steve wykorzystywał swój wyłącznie jako garderobę i gabinet. Gabriella oświadczyła, że czuje się fatalnie; miała pewność, że spoliczkowałyby Steve'a, gdyby próbował ją tknąć... Zranił ją równie okrutnie jak niegdyś matka, chociaż jego okrucieństwo nie było fizycznej natury.

Nazajutrz oznajmiła, że idzie do pracy, zadzwoniła jednak z budki do lana, powiedziała, że jest chora, następnie zaś usiadła w parku na ławce i zaczęła rozmyślać.

Steve, który rano znów poruszył temat wyjazdu do Europy, był umówiony na lunch z jakimiś przyjaciółmi, pani Boslicki wybierała się do miasta, żeby kupić nowe łóżko do jednego z pokoi; pani Rosenstein szła do lekarza... wszyscy pozostali pensjonariusze albo pracowali, albo wydeptywali już swoje stałe spacerowe szlaki. Gabriella wyliczyła, że w okolicach południa mogłaby być w domu sama. Chciała raz jeszcze

przejrzeć dokładnie obciążające Steve'a dokumenty, a potem zwrócić się po poradę do adwokata. Pragnęła raz na zawsze wyrzucić Steve'a ze swojego życia, nie życzyła sobie, by z nią rozmawiał i jej dotykał. Miała nadzieję, iż pani Boslicki wyeksmituje go z pensjonatu, nie stać go było bowiem na płacenie czynszu. Ale to wszystko mogło trwać tygodniami i na ten okres należało opracować jakąś taktykę.

Kiedy około dwunastej wchodziła do domu, w kamieniczce panowała zupełna cisza — zgodnie z przewidywaniami Gabrielli wszyscy gdzieś wyszli. Wbiegła po schodach, nie zamykając za sobą drzwi — nikt przecież nie mógł jej widzieć — wślizgnęła się do pokoju profesora, usiadła przy biurku i ponownie zaczęła studiować listy, które tym razem wydały się jej jeszcze bardziej przerażające niż uprzednio. Poznawała kolejne przestępstwa i pseudonimy Steve'a, nazwiska kobiet oszukanych przezeń w całych Stanach. Biorąc pod uwagę jego wiek, wykazywał niezwykłą aktywność. Pogrążona w przygnębiającej lekturze, nagle usłyszała za plecami jakiś głos, wzdrygnęła się i odwróciła głowę. W drzwiach stał Steve.

— Już się zabrałaś za przeliczanie forsy, Gabbie? A może chcesz sprawdzić, czy nie ma jej jeszcze więcej? Nie bądź taka pazerna, kiciuś — powiedział z dziwnym uśmiechem na twarzy. Gabriella pobladła jak płótno.

— Zamierzam trochę uporządkować dokumenty profesora i łan pozwolił mi później wrócić z lunchu — odparła.

Steve powoli zmierzał w jej stronę. Nie wiedziała, czy odwołał spotkanie, czy ją okłamał. A może to pułapka... może wiedział od samego początku.

— Interesująca lektura, nieprawdaż? — zapytał, pokazując ręką stos listów. Wyczytała w jego oczach, że widział je wcześniej.

— Nie wiem, co masz na myśli — odparła jak najbardziej obojętnym tonem, zakrywając jednym z listów wszystkie pozostałe.

— Ależ wiesz, wiesz. Zdążył ci powiedzieć przed śmiercią? A może znalazłaś je przypadkowo?

Wrócił do domu, mając nadzieję, że pod nieobecność wszystkich pensjonariuszy starannie przeszuka pokój profesora i usunie wszystkie kompromitujące dowody. Stary sukinsyn był szczwany jak lis, mógł pochować po kątach kopie i Bóg wie, co jeszcze.

— Co takiego miałabym znaleźć? — zapytała ze zdziwieniem.

— Historyjkę mojego żywota. Profesor odwalił kawał dobrej roboty, żeby ją ustalić. Nie dogrzebał się wszystkiego, rzecz jasna, ale sprawy najważniejsze nie umknęły jego uwadze

— powiedział z dumą, która Gabriellę przyprawiła o mdłości.

— Gawędziliśmy o tym owego dnia, kiedy... mhm... tak niefortunnie upadł.

Zerwała się z gorejącym spojrzeniem.

— A więc ty to zrobiłeś, tak? Ty... ty bękarcie! Uderzyłeś go? A może tylko popchnąłeś? Co mu zrobiłeś, Steve?

— Ależ nic a nic. Cholernie ułatwił mi zadanie... Stary dureń tak się zaperzył, że musiałem mu tylko odrobinę pomóc. Bardzo się o ciebie niepokoił i teraz dobrze rozumiem dlaczego. Nie miałem pojęcia, że jesteś dziedziczką fortuny. Niesamowity fart, co? Dla nas obojga. A może wszystko wiedziałaś z góry i ten numer z zaskoczeniem był tylko gierką?

— Oczywiście, że nie wiedziałam. Bo skąd miałabym wiedzieć?

— Może ci powiedział.

— Otóż nie powiedział, ale ja zamierzam wszystko wyjawić — odparła zuchwale, żywiąc przekonanie, iż dobro zawsze zwycięży zło, jeśli tylko człowiek znajdzie w sobie odwagę, aby stawić mu czoło; zapomniała tylko, że przynajmniej raz

— w swej konfrontacji z matką — bardzo się na tej wierze zawiodła. — A potem powiadomimy policję. Natychmiast zabieraj się z pensjonatu i z miasta, bo gorzko tego pożałujesz.

— Nie sądzę, Gabbie, wcale nie sądzę — odparł ze spokojem. — Nikomu o niczym nie będziemy mówić. A przynajmniej ty nie będziesz. Bo ja niewątpliwie mógłbym. Mógłbym na przykład powiedzieć policji, że spodziewałaś się spadku, wielokrotnie namawiałaś mnie, bym ukatrupił profesora. Pragnęłaś tego. Odmówiłem, rzecz jasna, i wyperswadowałem ci ten pomysł, chociaż proponowałaś mi za przysługę duże pieniądze: połowę zdobyczy, trzysta tysięcy dolarów. To na człowieku wywiera wrażenie. W końcu odbyłem z nim tylko rozmowę, a że podczas niej trafił go szlag, to już inna sprawa. Za takie rzeczy nie idzie się do pudła. Rzecz natomiast wygląda zupełnie inaczej, gdy wchodzi w grę podżeganie do zbrodni, której celem jest zdobycie korzyści finansowych. Gdybym

— powiedzmy — poszedł na układ z prokuraturą stanową i złożył obciążające zeznania, wyszedłbym czysty jak łąza, a ty dostałabyś dziesięć do piętnastu lat. Zresztą tak właśnie postąpię, jeśli w tej chwili nie odpalisz mi pięciuset tysięcy dolarów. To Wielka Gra, Gabbie, a zarazem mała cena za wolność. Zastanów się. Dziesięć do piętnastu lat. Więzienie to wyjątkowo parszywe miejsce dla takiego niewiniątka jak ty. Wiem, o czym mówię, bo znam je od podszewki.

— Jak mógłbyś mi zrobić coś takiego? — zapytała, czując nagle, jak do oczu napływają jej łzy.

Twierdził, że ją kocha... A teraz obrzydliwie szantażował, grożąc, że zniszczy jej życie

— za pół miliona dolarów.

— Prosta sprawa, kitek. Z powodu tego, co nakręca cały świat: forsy. To bombowy towar, jeśli już człowiek go ma. Poza tym nie możesz się uskarżać: masz skromne potrzeby, a zostawiam ci całą setkę. Tylko nie zwlekaj, bo zabiorę wszystko. Chyba najwyższy czas, żebyś zadzwoniła do banku i adwokata.

— Jak wytłumaczysz, że robię ci taki prezent? Nie boisz się, że będzie to wyglądać podejrzanie?

— Jakoś to rozegramy. Zakochane kobiety popełniają najrozmaitsze głupstwa, Gabbie, któż wie o tym lepiej niż ty.

— Nie wierzę, że mógłbyś zrobić coś takiego.

— No więc lepiej uwierz. Pięćset tysięcy... sześćset, jeśli sienie pospieszysz... i znikam z twojego życia jak sen jaki złoty. Duży zły wilk odejdzie, a ty do usranej śmierci będziesz mogła go opłakiwać, zwinięta w kłębuszek w nogach łóżka, mieć te swoje koszmary albo wyć na wspomnienie mamuski i Joego.

W swym bezwzględnym okrucieństwie nie omieszkał wykorzystać nawet najbardziej poufnych zwierzeń Gabrielli.

— Ty sukinsynu! — powiedziała, postępując krok do przodu, jakby zamierzała go spoliczkować. Zabił profesora, a teraz nie okazując krzty sumienia, rozrywał w strzępy jej życie. Zabił człowieka... człowieka, którego kochała i poważała... człowieka, który był przez

miniony rok jedyną jej deską ratunku... i chce pod fałszywym zarzutem posłać ją do więzienia. Zdawała sobie sprawę, że nie potrafiłaby tego znieść.

— Zabij mnie, jeśli chcesz, powiedz policji, co ci ślina na język przyniesie, ale nie dostaniesz ode mnie złamanego grosza, panie Porter, czy jak się naprawdę nazywasz. Przez siedem ostatnich miesięcy zabierałeś mi wszystko, co mogłeś, wmawiałeś, że mnie kochasz, wykorzystywałeś, kłamałeś... ale nie dostaniesz ode mnie już nic. Nigdy!

Choć wyczuwał, że Gabriella nie blefuje, był pewien, iż będąc stroną silniejszą, zdoła rozstrzygnąć tę partię na swoją korzyść. Bez słowa podszedł do Gabrielli, złapał ją za włosy i odciągnął jej głowę do tyłu.

— Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w taki sposób, Gabbie. Nie pieprz o tym, co zamierzasz albo czego nie zamierzasz zrobić. Postąpisz dokładnie tak, jak ci każe. Albo cię zakatrupię... Chcę forsy, i to zaraz. Kapujesz? A może jesteś jeszcze durniejsza, niż sądziłem? Mam dość tych kretynizmów. — Wyciągnął rękę w stronę telefonu. — Dzwon do adwokata.

— Do nikogo nie dzwonię — odrzekła spokojnie, chociaż trzęsły się jej kolana. — Gra skończona.

— O nie — stwierdził, puszczając włosy Gabrielli. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał ją straszyć, zanim odzyska zdrowy rozsądek. Zapewne niedługo, bo bidula bała się własnego cienia.

— Gra się dopiero zaczyna. To romans się skończył. To całe pieprzenie i udawanie. Teraz nawet nie muszę udawać, że cię kocham, żeby dostać to, czego chcę. Wystarczy, że powiem, co zamierzam zrobić, jeśli nie będziesz posłuszna. Czy to jasne? — Milczała, tocząc bezgłośnie walkę z nawałem sprzecznych uczuć. — Zadzwoń do banku, Gabbie, albo ja zadzwonię na policję. Facet nie żyje... ty masz jego forsy. Jesteś jedyną osobą, która zyskała na tym całym interesie.

W tej chwili, ogarnięta wściekłością, bez wahania zabiłaby go własnymi rękami. Chwyliła z biurka aparat telefoniczny i wykręciła numer centrali.

— Co robisz? — zapytał, ogarnięty nagłym niepokojem.

— Dzwonię na policję, żeby cię wyręczyć. Miejmy to już z głowy.

Wyszarpnął jej aparat z rąk, łupnął słuchawką o widelki, a potem wyrwał przewód ze ściany.

— Będziesz wreszcie rozsądna czy mamy dyskutować całe popołudnie? Chodźmy do banku, co będzie najprostszym rozwiązaniem, a potem ja załapię się na jakiś samolot do Europy i po wszystkim. Dla ciebie. Bo dla mnie to będzie dopiero początek.

— Skąd mogę wiedzieć, że i tak nie doniesiesz policji, że opłaciłam cię, żebyś zabił profesora? — zapytała, mimowolnie dostarczając mu argumentu, że jest na dobrej drodze. Zorientowała się zresztą natychmiast, iż Steve gotów posunąć się do ostateczności.

— Znikąd... a w ogóle podsunęłaś mi niezły pomysł. Po prostu musisz mi wierzyć. Nie masz wyboru. Jeśli nie dostanę tej forsy, mogę cię zabić, co wcale nie byłoby głupie biorąc pod uwagę fakt, jak cholernie dałaś mi w kość.

Nagle to ona znów okazywała się winowajczynią... mógł... musiał to zrobić, bo była niegrzeczna... sama pchnęła go do takiego czynu...

— Zabij mnie — rzuciła mu w twarz.

Nic już nie miało znaczenia. Oto znów ktoś ją oskarżał, ktoś chciał ją skrzywdzić. Znów była winna. Po nim przyjdzie następny, który ją okłamię, zrani, porzuci, zagrozi, że zniszczy jej ciało i duszę... Pod pewnymi względami wielokrotnie już zadano jej tę dwojaką śmierć. Nie bała się następnej.

— Jesteś idiotką — syknął z groźbą w głosie. Nie zamierzał dopuścić, by pokonała go ta kretynka, z którą musiał żyć, której podkradał pięciodolarówki z koperty schowanej pod materacem. Miał dość żywienia się okruchami. — Nie drażnij mnie, Gabbie.

Widział jednak, że jest niewzruszona w swym biernym oporze, a zaczynało mu brakować czasu. Chciał dostać swoje pieniądze, zanim do pensjonatu zaczną wracać inni mieszkańcy. Swoje pieniądze, bo ciężko na nie zapracował.

Zacisnął dłonie na szyi Gabrielli i zaczął nią potrząsać. Jak zawsze w swoim życiu nie broniła się, pozwalała mu to robić. Była grzeczną dziewczynką.

— Zabiję cię, pieprzona dziwko! — wrzasnął. — Czy tego nie rozumiesz?

Ale miała w sobie moc, wobec której był bezsilny, jakąś niezgłębioną otchłań, do której, jak zresztą

inni przed nim, nie miał szansy dotrzeć. Tylko że oślepl, pragnąc tych pieniędzy tak, jak niczego w życiu.

— Nienawidzę cię — powiedziała cicho, zwracając się w takim samym stopniu do niego, jak i wszystkich swych dawniejszych katów. — Nienawidzę cię, Porter.

Wtedy, gestem aż przerażająco znajomym, wymierzył jej policzek, a gdy szarpnęła się w tył i zderzyła z biurkiem, chwycił ją za ramię, pociągnął do siebie i walnął ponownie, tym razem pięścią. Miała wrażenie, że na betonowe płyty chodnika upadł ciężki wór z piaskiem... tak samo jak wtedy, gdy matka uszkodziła jej ucho. Teraz, po koszmarze pierwszych dziesięciu lat życia, nic jej nie mógł zrobić, była poza jego zasięgiem. Bił ją w twarz i po całym ciele, a gdy upadła — zaczął tłuc jej głową o podłogę. Widziała gdzieś w oddali rozmazany kontur jego sylwetki, mówił coś o pieniądzach... Zupełnie stracił panowanie nad sobą, widząc w Gabrielli bestię, która musi zostać unicestwiona, bestię, która odmawia mu tego, na co zasłużył i o czym marzył.

Gdy poderwał ją na nogi i rzucił na ścianę, Gabriella zrozumiała, że ma złamaną rękę; ale przestała się tym przejmować — nawet życiem, które zamierzał jej odebrać. Zbyt wiele słyszała kłamstw, zbyt wiele doznała strat i bólu, żeby przejmować się kolejnym kłamstwem, następną stratą, jeszcze odrobiną cierpienia. Kiedy znów upadła na podłogę, a on kopał ją, jadowicie wyrzaskując, że jej nigdy nie kochał i jaka jest obrzydliwa i plugawa, dostrzegła wokół siebie świetlistą poświatę i wyłaniające się z niej sylwetki — najpierw Joego, potem profesora, a wreszcie matki... Joe mówił, że ją kocha, ale nie mogą być razem... Profesor błagał, żeby broniła się przed Steve'em... Matka stwierdzała zimno, że jest istotnie obrzydliwa i w pełni zasłużyła na karę. Wtedy Gabriella zrozumiała, że to nie ona jest winowajczynią, lecz Steve — to Steve zabił profesora, a teraz chce zabić ją... Nie sądziła, że znajdzie w sobie dość sił, aby powstać, dźwignęła się jednak z podłogi i popatrzyła Steve'owi w oczy. Ociekała krwią, nie mógł teraz wezwać policji — mógł tylko uciekać. Bez pieniędzy.

Zrozumiał to wreszcie i ogarnięty ostatnim atakiem szału zacisnął dłonie na szyi Gabrielli, pragnąc zdławić kołatające się w niej jeszcze drobiny życia. Była zdecydowana nie pozwolić mu na to... nie pozwolić, by od tej chwili ktokolwiek potraktował ją w taki sposób... tym razem stawiała więc opór, zaczęła się szarpać i drapać jego twarz, w końcu jednak osunęła się na podłogę. Kopnął ją jeszcze raz i wybiegł z pokoju.

Nie wiedziała, czy odniosła zwycięstwo, czy poniosła porażkę. I nie miało to dla niej znaczenia. Wszyscy na swój sposób usiłowali ją zabić — Joe, matka, Steve, ojciec... Próbowali i ponosili fiasko. Sięgali najgłębiej jak mogli, aby stłumić płomyk jej ducha i życia, ten jednak zawsze znajdował się poza ich zasięgiem. Za to nienawidzili jej jeszcze bardziej.

Gabriella przewróciła się na wznak i patrząc przez czerwonawą mgiełkę na sufit, zobaczyła znów Joego. Przepraszał, mówił, że mu przykro.

Kiedy tym razem wyciągnął do niej rękę w przyzywającym geście, odwróciła się doń plecami i powoli, samotnie, pomaszerowała w nieprzenikniony mrok.

ROZDZIAŁ 23

Kiedy późnym popołudniem tego dnia do pokoju profesora Thomasa weszła, zaintrygowana otwartymi drzwiami, pani Rosenstein, zobaczyła zrazu tylko poprzewracane meble i plamy krwi na podłodze oraz ścianach. Dopiero po chwili spostrzegła bezwładne ciało Gabrielli, która ze zmasakrowaną twarzą, posiniaczoną szyją i zlepionymi krwią włosami leżała przy biurku jak szmaciana lalka. Jej nienaturalna pozycja zdawała się świadczyć, że młoda kobieta nie żyje, na co zresztą wskazywał również pozorny brak oddechu. Pani Rosenstein krzyknęła tak donośnie, że ze swoich pokojów powypadali wszyscy mieszkańcy pensjonatu.

Jeden z nich dopadł telefonu, ale gdy usiłował uzyskać połączenie z centralą, stwierdził, iż przewód aparatu został wyrwany z gniazdka. Profesor był jednym z niewielu pensjonariuszy, którzy dysponowali własną linią.

Stali zbici w zapłakaną gromadkę, czekając na przyjazd karetki; ktoś zbadał Gabrielli puls i stwierdził, że jeszcze jest wyczuwalny, ale ledwie, ledwie... Ktoś inny wystąpił z uwagą, że ślady uderzeń na głowie i twarzy są tak wyraźne, iż mogło dojść do trwałych uszkodzeń mózgu... Taka

młoda... taka piękna... — poszeptywali między sobą, zadając sobie pytanie, kto był sprawcą pobicia. Pani Boslicki przysłała do głowy myśl, że zrobił to Steve, który następnie zbiegł, kiedy jednak ktoś zajrzał do pokoju młodego mężczyzny, okazało się, że wszystkie jego rzeczy leżą w największym porządku, nic więc nie wskazuje na gorączkową ucieczkę. Zastanawiano się zgodnie, jak przekazać mu okropne wieści. Stali zatem jak żałobnicy czuwający przy zwłokach, aż wreszcie nadjechała karetka. Pielęgniarskom wystarczyło jedno spojrzenie, aby stwierdzić, w jakim stanie znajduje się Gabriella; błyskawicznie położyli ją na noszach i po niespełna dwóch minutach słychać było tylko słabnące wycie syreny ich wozu.

Tym razem Gabriella nie słyszała nic i nawet nie miała żadnych wizji; trwała w śpiączce, gdzieś bardzo daleko od miejsca, w którym zostawił ją Steve. Daleko od wszelkich cierpień. Do wieczora truduła się nad nią cała załoga urazówki: złożono jej złamaną rękę, pozszywano rany, opatrzono sińce, najbardziej niepokojące były jednak urazy głowy — kilkakrotnie robiono EEG, należało wszakże poczekać, aby zyskać pewność, czy nie doznała trwałego urazu mózgu. Wreszcie do dzieła wziął się chirurg plastyczny, który zszyl długą otwartą ranę na podbródku i nieco mniejszą nad lewym łukiem brwiowym. Zadowolająco — jak sądził — uporawszy się z zadaniem pozostał jeszcze przez chwilę na urazówce, aby zamienić kilka słów z jej ordynatorem, młodym lekarzem o nazwisku Peter Mason.

— Ktoś ją nielicho obrobił — zauważył, dokonując wpisu do karty Gabrielli. — Musiała go diabło wkurzyć.

— Może kiepsko gotuje — odparł Peter Mason z kamienną twarzą.

Ten rodzaj wisielczego humoru pozwalał względnie normalnie funkcjonować personelowi urazówki, który widział aż nazbyt wiele ofiar wypadków samochodowych, skoczków-samobójców, co przeżyli wbrew wszelkim podejmowanym przez siebie staraniom, osób pobitych, a nawet niemal na śmierć zakatowanych. Najgorsze były dzieci. Praca na urazówce pozbawiała człowieka wszelkich złudzeń.

— Oglądali ją już gliniarze? — zapytał obojętnym tonem chirurg plastyczny, oddając kartę.

— Natraskali masę zdjęć, gdyśmy już złożyli jej rękę

— odparł Peter Mason. — Nie wypadła na nich rewelacyjnie.

— Sądzisz, że się wyliże?

Młody lekarz wzruszył ramionami. Miała rozległe urazy głowy, uszkodzenia wątroby i nerek, a jakby tego było mało, rentgen wykazał, że w dawniejszych czasach padła, być może, ofiarą poważnego wypadku samochodowego.

— Mam nadzieję — odparł z niczym w tej chwili nie uzasadnionym optymizmem.

— Oby dopadli sukinsyna, który to zrobił — powiedział chirurg plastyczny i poszedł do domu na kolację.

— Zapewne kochającego mężulka — mruknął pod nosem Peter. Miewał już do czynienia z podobnymi sprawami: mężowie lub kochankowie wpadali w szał po pijaku albo z sobie tylko znanych powodów i potrafili posunąć się nawet do zabójstwa, byle tylko zaspokoić swe męskie ego. Peter Mason liczył sobie trzydzieści pięć lat, był rozwiedziony i żył w obawie, iż zaczyna być zgorzkniały. Żona porzuciła go uznawszy, że dłużej nie potrafi znieść jego ciągłej nieobecności w domu, a przede wszystkim jego nieobecności duchem nawet w tych nielicznych chwilach, kiedy był u jej boku. Albo rozmyślał o swoich pacjentach, albo gnał do szpitala, żeby ratować kolejne ofiary wypadków samochodowych. Odeszła więc do chirurga plastycznego, który specjalizował się w liftingach. Peter nie był przekonany, czy może mieć jej to za złe.

Tej nocy kilkakrotnie zaglądał do Gabrielli, stwierdzając za każdym razem, że jej stan nie ulega zmianie. Leżała na sali intensywnej terapii wraz z parą innych pacjentów: kobietą, która wyskoczyła z okna trzeciego piętra, zabijając podczas upadku dwójkę dzieci, oraz dogorywającym narkomanem, który po przedawkowaniu runął z peronu wprost pod koła nadjeżdżającej kolejki metra. Gabriella wciąż stanowiła zagadkę — mogła przeżyć albo umrzeć; wszystko zależało od tego, czy wyjdzie ze śpiączki i czy jej organizm obudzi w sobie dość sił do walki o życie. Dowiedział się od pielęgniarek, że o stan zdrowia chorej pytało wprawdzie telefonicznie kilka osób

z pensjonatu, w którym mieszkała, nie odezwał się jednak ani mąż, ani żaden bliski krewny, uznał więc, że sprawcą pobicia jest zapewne chłopak Gabrielli. Rabusie nie przemęczali się w takich sytuacjach — tylko mężowie i kochankowie szli na całość. Oprawca młodej kobiety zapomniał tylko o jednym punkcie repertuaru: nie oblał jej benzyną i nie podpałił.

— Jakież zmiany? — zapytał Peter pielęgniarkę dyżurną. Pokręciła głową.

— Wegetuje — odparła.

— Miejmy nadzieję, że powegetuje jeszcze trochę

— stwierdził. — Idę się zdrzemnąć. Wezwij mnie, gdyby coś się działo.

Kiwnęła głową i pożegnała go uśmiechem. Był sympatycznym i — choć nigdy nie wyraziłaby takiej opinii przed mężem

— cholernie przystojnym facetem. Miał wiecznie zmierzwiłone kasztanowe włosy, ciemnopiwnie oczy i trochę nieregularne wyraziste rysy. Twardy i wymagający, cieszył się opinią doskonałego lekarza.

Przez całą noc pielęgniarki nie spuszczały z Gabrielli oka: leżała w kompletnym bezruchu, ledwie oddychała, ale monitory nie pokazały zaniku żadnych funkcji życiowych.

W pensjonacie panowała przygnębiająca atmosfera. Rankiem pani Boslicki przekazała wszystkim komunikat o stanie zdrowia Gabrielli, obiecując, że da znać, kiedy tylko dowie się czegoś nowego. Zeszłego wieczoru pojawili się policjanci, wypytywali o Steve'a, zabrali kartki, na których gospodyni zapisywała dla niego wiadomości telefoniczne; gdy nie pojawił się z rana, pani Boslicki powiadomiła komisariat, że zniknął.

Po południu wieści ze szpitala wciąż nie były pocieszającej pani Rosenstein wzięła na spytki doktora Masona, który oświadczył, że Gabriella ciągle jest w śpiączce, jej stan uznaje się za krytyczny, a co do rokowań to należy je formułować z daleko posuniętą „ostrożnością”. Nikt nie miał pojęcia, co ów enigmatyczny termin może znaczyć.

Peter miał mieć wolne tego dnia, ale lekarz, który powinien objąć dyżur, zadzwonił z informacją, że jego żona rodzi i chciałby jej asystować, ordynatorowi więc nie pozostawało nic innego, jak pozostać w szpitalu na kolejne dwadzieścia cztery godziny. Cóż innego zresztą miał do roboty?

Wracając z kantyny dowiedział się w rejestracji, że mają dwa nowe przypadki: dziesięcioletniego chłopca poparzonego podczas pożaru w Harlemlu i sześćdziesięcioośmioletnią kobietę, która spadła z marmurowych schodów. Normalka. Rutynowo — bo nie działo się nic nowego — zajrzał do Gabrielli. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w monitory, a potem delikatnie zaczął badać chorą, lecz przerwał natychmiast, kiedy wydało mu się, że jej twarz wykrzywia lekki grymas bólu. Zerknął na kartę, żeby przypomnieć sobie nazwisko, pochylił się nad pobitą dziewczyną i powiedział:

— Gabriello... Gabriello... otwórz oczy, jeśli mnie słyszysz. — Nic nie nastąpiło. Wsunął palec w jej dłoń, a następnie zwinął ją w piąstkę. — Ściśnij mój palec, Gabriello, jeśli mnie słyszysz. — Czekał jakiś czas nadaremnie i był już gotów cofnąć palec, kiedy poczuł lekkie stężenie jej mięśni.

Uśmiechnął się szeroko. Dla takich zwycięstw żył, dla nich poświęcił swoje małżeństwo. Ponowił eksperyment i tym razem uścisk palców dziewczyny wydał się mocniejszy. — Możesz otworzyć oczy? — zapytał cicho. — Albo chociaż mrugnąć? Zaciśnij powieki albo je unieś.

Długo nie działo się nic, wreszcie powieki Gabrielli zdrząły z lekka, lecz nie zdołały unieść się do góry. Było jednak oczywiste, że dziewczyna go słyszy. Doktor Mason przywołał gestem jedną z pielęgniarek i zrelacjonował jej, co się stało.

— Dochodzimy do pierwszej bazy. Mów do niej bez przerwy, wróć za kilka chwil.

Poszedł do starszej kobiety, która spadła z marmurowych schodów, łamiąc miednicę i kość udową. Była zła jak osa, oświadczyła, że jest nazajutrz umówiona z fryzjerem. Peter obiecał nieznośnie rozkapryśzonej i wyniosłej damie, że odeśle ją do domu, kiedy tylko będzie mogła poruszać się o kulach. Potem zajął się robotą papierkową.

Dochodziła północ, kiedy wrócił do Gabrielli.

— Co nowego z naszą śpiącą królowną? — zapytał pielęgniarkę, która w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami. Przez cały wieczór chora nie okazała żadnej reakcji, może więc ta wcześniejsza była tylko skurczem mięśni, grymasem bólu.

Może dziewczyna miała dość życia i wycofała się do kryjówki, w której nikt nie potrafi jej znaleźć. Takie rzeczy czasem się zdarzały.

Usiadł obok łóżka i znów wsunął palec w jej zaciśniętą dłoń. Nic się nie działo; odnosił wrażenie, iż Gabriella trwa w głębokiej śpiączce. Zrezygnowany chciał już odejść, kiedy wydało mu się, iż porusza ręką i wyciąga w jego stronę dwa palce. Miała wciąż zamknięte oczy, ale nie ulegało wątpliwości, że go słyszy.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — zapytał miękko. — No więc powiedz, nie krepuj się. A może wolisz zaśpiewać jakąś piosenkę?

Peter Mason miał nawet do najbardziej poszkodowanych pacjentów niewymuszone żartobliwe podejście, które zjednywało mu wielką sympatię chorych; koledzy po fachu niezwykle szanowali go za to, że umiał postawić na nogi również osoby nie rokujące praktycznie żadnych nadziei na wyleczenie.

— No, Gabriello, co o tym sądzisz? Hymn narodowy a może „Migocz, migocz, gwiazdko mała”?

— Zaczął podśpiewywać, fałszując z lekka, czym wywołał uśmiech na twarzy przechodzącej obok pielęgniarki. — Czy wolisz „Abecadło”? Wiesz, to na tę samą melodię. Zrobmy duet... ja zaśpiewam „Abecadło”, a ty „Gwiazdkę”.

I w tym momencie usłyszał cichy jęk.

— Co to było? — zapytał, czując, iż zwycięstwo jest w zasięgu ręki. — „Abecadło” czy „Gwiazdka”? Rozpoznałem melodię, ale nie zrozumiałem tekstu.

Jęknęła ponownie, tym razem głośniej i Peter pojął, że wraca między żywych. To nie mógł być przypadek. Powieki młodej kobiety kilkakrotnie drgnęły, ale wciąż były zbyt opuchnięte, aby mogła je unieść; wyciągnął dłoń i delikatnie zaczął jej pomagać... po chwili otworzyła oczy.

Dostrzegła tylko rozmazany kontur pochylonej sylwetki; nie mogła wiedzieć, że młody lekarz patrzy na nią przez łązy radości i ulgi. Pragnął w tej chwili wykrzyknąć: „Mam cię!”. Siłą woli wyrwał ją z mrocznych otchłani śmierci. Rodziła się wąta, wątłutka szansa, że Gabriella wyżyje.

— Cześć, Gabriello. Witaj w domu, tęskniliśmy za tobą

— powiedział. Jęknęła znowu, a jej opuchnięte wargi leciutko drgnęły. Usiłowała mówić, było jednak za wcześnie, aby zadać jej najważniejsze pytania: jak do tego doszło i kto ją pobił. Peter zdecydował się więc na inne: — Jak się czujesz?

— dodając zaraz: — Wyobrażasz sobie bardziej idiotyczne pytanie?

Tym razem słabo skinęła głową, zamknęła oczy, a po minucie otworzyła je znowu.

Widział, jak wielkich cierpień przysparzają jej te drobne gesty, ale nie chciał natychmiast po wyjściu ze śpiączki oszalać jej środkami przeciwbólowymi.

— Możesz mi już coś powiedzieć? Nie zaśpiewać, tylko powiedzieć? — zapytał.

Chyba usiłowała się uśmiechnąć, ale nie zdołała tego dokonać i jęknęła tylko ochryple.

— Boli.

— Wierzę — odparł, świadom, że jest w tej chwili prawdziwym kłębkim bólu. — Głowa?

— Tak... — wyszeptała nieco mniej ochryple. — Ręka... twarz...

Uznał, że może zacząć ją wypytywać. Na rano zapowiedzieli się policjanci; od dawna, jak oświadczyli, nie mieli do czynienia z tak ciężkim pobiciem i byli zdecydowani złapać jego sprawcę.

— Czy wiesz, kto ci to zrobił? — Zamknęła tylko oczy, ale Peter nie dawał za wygraną. —

Powiedz mi, jeśli wiesz. Chyba nie chcesz, żeby pobił kogoś jeszcze, prawda?

Otworzyła oczy i można było odnieść wrażenie, że się zastanawia. Zawsze ich osłaniała, ale ten przypadek, z czego zdawała sobie sprawę nawet w mrocznych oparach swego oszołomienia, był inny.

— Czy wiesz, kto to był? — zapytał ponownie Peter, podejrzewając, że raczej nie włamywacz, którego mogła nie znać. Kiedy wciąż milczała, dodał: — Cóż, porozmawiamy o tym później.

Opuściła powieki i poruszyła wargami.

— Nazwisko...

— Nazwisko osoby, która cię pobiła? Lekko zmarszczyła czoło, jakby poirytowana jego tępotą, a potem nieznacznie wymierzyła weń palec.

— Peter Mason. Jestem lekarzem, a ty leżysz w szpitalu. Poskładamy cię i odeślemy do domu, ale

chcemy, żebyś była tam bezpieczna i dlatego właśnie musimy poznać nazwisko sprawcy. Wyczerpana zamknęła oczy i zapadła w sen. Peter zaś patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem wyszedł z sali, pełen otuchy. Najwyraźniej myślała trzeźwo i to było na razie najważniejsze. Zdrzemnąwszy się tej nocy przez kilka kwadransów, rankiem ponownie odwiedził Gabriellę. Odczyty monitorów były pokrzepiające, dziewczyna wyglądała nieco lepiej i była w stanie dość wyraźnie szeptać. Wedle skromnych w tej mierze wymagań Petera, stawała na nogi. Wciąż siedział przy jej łóżku, kiedy zjawili się detektywi; uprzedził ich, aby jej nie forsowali, bo odzyskała przytomność dopiero ubiegłego wieczoru, niemniej jednak natychmiast, i to nader stanowczo, zaczęli domagać się informacji o sprawcy pobicia. Zapewnili, że będzie bezpieczna dopiero wtedy, kiedy zostanie aresztowany.

Miała na twarzy wyraz zadumy i mogło się zdawać, że nasłuchuje jakichś wewnętrznych głosów.

— Nie można dopuścić, żeby coś takiego przytrafiło ci się znowu — wtrącił cicho Peter.—

Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia. Ten człowiek omal cię nie zabił. Robił wszystko, aby cię zabić.

Kopał ją, masakrował, dusił. W oczach Petera nie był to przypadek ani nawet przestępstwo w afekcie, lecz podjęta z całą premedytacją próba unicestwienia młodej kobiety.

— Nie będziesz bezpieczna, dopóki nie trafi do więzienia, gdzie jest jego miejsce. Zastanów się nad tym.

Zastanawiała się. Przez całe życie osłaniała innych. Kryła ich występki, szukała wymówek, wmawiała sobie, że to wszystko z jej winy... Teraz nie mogła już w to uwierzyć. Winny był Steve, ona niczym sobie nie zasłużyła na to, co jej zrobił. Wciąż jednak nie potrafiła zdobyć się na powiedzenie prawdy. Peter zaczynał już wątpić, czy doczekają się odpowiedzi, kiedy Gabriella spojrzała mu prosto w oczy i skinęła głową.

— No, Gabriello... powiedz. Musisz nam powiedzieć. Niczym sobie nie zasłużyłaś na taki los. Teraz już sama o tym wiedziała. Nie ponosiła żadnej winy. To się nie może powtórzyć... nikt i nigdy nie zrobi jej krzywdy. Nie pozwoli na to.

— Steve — wyszeptała ledwo słyszalnie. — Steve Porter...

Pojmowała jednak, że musi powiedzieć więcej, a czuła, że brak jej sił. Detektywi i lekarz zawiśli nad nią wyczekująco.

— Inne nazwiska... — podjęła z wysiłkiem — ...listy w biurku profesora... różne nazwiska... siedział w więzieniu...

Policjanci popatrzyli po sobie: ta sprawa będzie łatwa. Strzał w dziesiątkę.

— Czy pamięta pani jego pseudonimy, panno Harrison?

— Steve Johnson... John Stevens... Michael Houston...

— Przypominała sobie wszystko ze zdumiewającą łatwością. I chciała, bardzo chciała mówić.

Splącała w ten sposób dług wobec siebie samej. Nikt więcej jej nie skrzywdzi. Nikt jej nie złamie.

— Był w więzieniach... w Kentucky... Teksasie... Kalifornii...

— Czy zna pani jego obecne miejsce pobytu? — Przecząco pokręciła głową. — Z jakiego powodu to zrobił? Był zły? A może zazdrosny? Może chciała pani z nim zerwać lub spotykała się z innym mężczyzną?

Oczywiście w pierwszej kolejności przychodziły im do głowy najczęstsze powody takich przestępstw.

— Chciał pieniędzy... utrzymywałam go od kilku miesięcy

— wyszeptała. — Przyjaciel zapisał mi w spadku pewną sumę... chciał, bym mu ją oddała... większość... groził, że w przeciwnym wypadku zezna, iż skłaniałam go do zamordowania profesora... To on zapisał mi te pieniądze... A Steve chciał je zabrać... Zamierzał wyjechać do Europy... Powiedział, że mnie zabije, jeśli mu odmówię... — Zamilkła na moment, a potem postawiła kropkę nad i: — Myślę, że to on zabił profesora... próbował go skrzywdzić... i profesor... dostał wylewu.

W tej chwili detektywi nie potrzebowali niczego więcej, szczegółów bowiem mogli dowiedzieć się od pensjonariuszy pani Boslicki, zadali więc tylko jeszcze jedno pytanie.

— Czy posłużył się jakimś narzędziem? Popatrzyła na nich ze zdziwieniem.

— Bił mnie rękoma i kopał.

— Przyjemniaczek.

Zamknęli notesy i skierowali się w stronę drzwi, wyrażając nadzieję, że już niebawem będą dla niej mieli dobre wieści.

Gabriella leżała z zamkniętymi oczyma, zaskoczona trochę, że niczego nie żałuje. Miała pewność, że postąpiła właściwie. Był najwyższy czas, aby powstrzymać tych, którzy ją krzywdzą. Niektórzy wprawdzie — jak Joe czy matka Gregoria — nie mieli innego wyjścia... ale matka... nawet ojciec... no i oczywiście Steve... nie musieli tego robić.

Peter wciąż nad nią stał, kiedy po dłuższym czasie otworzyła oczy. Usiłował odgadnąć, o czym w tej chwili myśli, co czuje. Czy naprawdę kocha tego faceta i ma serce złamane tym, co się stało? Chyba nie. Sprawiała raczej wrażenie szczęśliwej i przepelnionej poczuciem ulgi. Dochodził do wniosku, że pod sińcami i bandażami może być nawet ładna, co zresztą nie miało dlań największego znaczenia. Wyczuwał w niej wielką siłę i to pociągało go najbardziej. Przeszła przez piekło, a przecież potrafiła się uśmiechać.

— Odwaliłaś kawał dobrej roboty — stwierdził.

— To zły człowiek... straszny... zabił mojego przyjaciela.

— I omal nie zabił ciebie — odrzekł Peter. — Mam nadzieję, że go złapią.

— Ja też.

Życzenie obojga spełniło się bardzo szybko.

O szóstej wieczorem, kiedy Peter schodził z dyżuru, ponownie zjawili się policjanci. Dwie godziny wcześniej Steve został aresztowany w jednym z kasyn Atlantic City, a do jego zatrzymania doprowadziła współpraca z FBI oraz służb śledczych Kalifornii i Teksasu. Wypierał się wszystkiego, utrzymując, że Gabriella jest psychopatką, która groziła, że go wrobi, biorąc jednak pod uwagę obecny stan dziewczyny nikt nie dawał mu wiary za grosz. Wpadł i to na dobre: złamał w trzech stanach warunki przedterminowego zwolnienia i już to wystarczyło, aby na długo trafił za kratki. Zarzucano mu próbę morderstwa, a nadto policja liczyła, iż zdola zgromadzić dowody pozwalające oskarżyć go o zabójstwo profesora. Koniec końców Steve miał rację. To była Wielka Gra — gra o wszystko.

— A więc pójdzie do więzienia? — zapytała Gabriella szeptem, kiedy detektyw skończył relację. Wciąż nie mogła mówić głośniej, bo każde wypowiedziane słowo przyprawiało ją o straszny ból w zębach.

— I to na wiele lat — zapewnili ją detektywi.

Skinęła głową. Bezgranicznie ubolewała, że ta cała obrzydliwa historia miała miejsce. Wolalaby nie mieć tej fortuny, byle tylko profesor wciąż żył.

Przed wyjściem policjanci powiedzieli, że w pensjonacie huczy jak w ulu, a wszyscy mieszkańcy przesyłają jej najlepsze życzenia. Wciąż jednak nikt nie mógł jej odwiedzać. Taką decyzję podjął lekarz prowadzący.

— Czyli ja, typ wredny i bezwzględny — wyjaśnił Peter po wyjściu policjantów. — Potrzebujesz wypoczynku. Jak się czujesz? — zapytał z troską, zdając sobie sprawę, jakim stresom podlega od samego rana. Najpierw postanowiła wydać tego faceta, a teraz usłyszała dalszy ciąg historii. Świadomość, że wysła się kogoś do więzienia — nawet najbardziej zasłużenie — musi być nieprzyjemna, a tu w grę wchodził dodatkowo konflikt uczuć, Peter zakładał bowiem, iż dziewczyna kochała swego oprawcę.

W pewnym sensie i w pewnym momencie było to prawdą, chociaż należałoby raczej mówić o namiętności i uzależnieniu, z którego Gabriella nie umiała się wywikłać — nawet wtedy gdy bez ogródek zaczął domagać się pieniędzy. Był hochsztaplerem, a ona łatwą ofiarą. Teraz już wiedziała, że nie darzyła go miłością.

— Jak się czujesz? — powtórzył Peter. — Lepiej?

— Chyba tak — odparła, nie mając właściwie pojęcia, jak się naprawdę czuje.

— Musi ci być ciężko, skoro uważałaś go za przyjaciela.

— Chyba go wcale nie znałam. Wciąż nie wiem, kim naprawdę był. — Popatrzyła na niego w taki

sposób, że poczuł ukłucie w sercu. — Jak długo jeszcze tu zostanę?

Przypomniała mu się starsza pani, zaniepokojona, że nie zdoła pójść do fryzjera, zapytał więc z uśmiechem:

— Jesteś umówiona z fryzjerem?

— Niezupełnie. — Kiedy ją przywieziono, nie zwrócił uwagi na kolor jej włosów, a teraz nie mógł się go nawet domyślać, wszystkie bowiem były schowane pod czepcem z bandażu. — Tak się po prostu zastanawiałam.

— Kilka tygodni. Dostatecznie długo, żebyś mogła wrócić do swojego stepowania czy innego hobby. A w ogóle, co ci sprawia przyjemność?

Z karty zdrowia wiedział tylko, że liczy sobie dwadzieścia trzy lata, jest niezamężna, nie ma rodziny, mieszka w pensjonacie i pracuje w księgarni.

— Pisanie. Próbuję zostać pisarką — odparła nieco zawstydzona.

— Opublikowałaś już coś? — zapytał z zainteresowaniem.

— Opowiadanie. W marcowym „New Yorkerze”. Zaimponowała mu, magazyn bowiem cieszył się znacznym prestiżem.

— Musisz być niezła.

— Jeszcze nie — odrzekła skromnie. — Ale pracuję nad tym.

— Na razie nie przelewaj na papier swoich najświeższych doświadczeń. Dojdź najpierw do siebie.

A w ogóle gdzie poznałaś tego faceta? Na konwentyklu recydywy?

Roześmiałyby się, gdyby tylko mogła. Lubiła doktora Masona; był dla niej dobry i najwyraźniej przejmował się jej losem.

— Mieszkał w moim pensjonacie.

— Może powinnaś pomyśleć o własnym mieszkaniu. A skoro o tym mowa — zerknął na zegarek

— to chyba zaczynam zapuszczać tu korzenie. Znikam na dwa dni. — Delikatnie poklepał nogę dziewczyny. — Uważaj na siebie, Gabriello, pod moją nieobecność.

— Gabbie — sprostowała.

Kiedy wrócił dwa dni później, pierwsze kroki skierował do jej łóżka i z radością stwierdził niezwykłą poprawę. Mówiła prawie normalnym głosem, choć śmiech ciągle sprawiał jej ból. Rano i wieczorem sadzano ją na skraju łóżka i teraz mogła dokonać tego o własnych siłach, nie popadając w omdlenie, jak to zdarzyło się za pierwszym razem. Obiecywano — jakkolwiek nie potrafiła w to uwierzyć — że pod koniec tygodnia stanie na własnych nogach. Zdążyła już odwiedzić ją pani Boslicki w towarzystwie pani Rosenstein, przynosząc róże i masę drobnych podarków od wszystkich mieszkańców pensjonatu. Wciąż byli zbulwersowani i przejęci zgrozą, zwłaszcza odkąd w gazecie ukazał się artykuł o Stevie i jego przestępstwach.

— Wyobraźcie sobie, państwo, mieszkał wśród nas! — wykrzyknęła wówczas, załamując ręce, pani Rosenstein.

Straszna była również świadomość, że to być może on jest sprawcą śmierci profesora Thomasa.

Gabriella nie miała dalszych wieści na jego temat i wcale sobie nie życzyła, by kiedykolwiek napłynęły. Wszystko przewracało się w niej na myśl, że utrzymywała go, mieszkała z nim i sypiała. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia spotka go w sądzie i usłyszy masę kłamstw na swój temat, czuła jednak, iż będzie wtedy dość silna, by stawić mu czoło.

Zadzwoił również Ian Jones, aby oznajmić, że posada będzie czekać na nią tak długo, jak się to okaże konieczne. Mimo odziedziczonych pieniędzy zamierzała wrócić do pracy, która sprawiała jej satysfakcję i dawała sporo czasu na pisanie. Nie miała też w planach przeprowadzki z pensjonatu pani Boslicki; teraz, gdy Steve bezpowrotnie zniknął, będzie się w nim czuć zupełnie bezpiecznie.

— No i co wyprawiałaś pod moją nieobecność? — zapytał Peter, zakończywszy badanie. — Jakaś kolacyjka, potańcówka? Zwykle numery?

— Najzwyklejsze. Ktoś umył mi włosy... wciąż nie pozwalają mi korzystać z łazienki.

— To może uda się zmienić — powiedział, wpisując do karty swoje uwagi. A potem zadał pytanie, które dręczyło go od chwili, gdy analizował rentgenowskie zdjęcie Gabrielli.

— Brałaś kiedyś udział w wypadku samochodowym, Gabbie? Twoje żebra wyglądają tak, jakby należały do weterana kilku wojen.

Nie przegapił również podczas wstępnych oględzin wielu blizn na czaszce.

— Można to i tak nazwać — odparła enigmatycznie. Natychmiast spostrzegł, że zamyka się w sobie. Była kobietą mającą wiele tajemnic.

— Interesująca odpowiedź. Wrócimy do tej sprawy przy innej okazji.

Poszedł zbadać innych pacjentów, ale wieczorem pojawił się ponownie, niosąc filiżankę kawy dla siebie i kubek piwa imbirowego dla Gabrielli.

— Pomyślałem, że sprawdzę, jak się miewasz. Właśnie zjadłem kolację. W kantynie mają pompę do płukania żołądka na wypadek, gdyby kogoś struli. Jest w robocie co najmniej cztery razy dziennie.

Usiadł na krześle, a Gabriella odniosła wrażenie, że wygląda na zmęczonego. Pochodził z południowego zachodu i miał w sobie coś z kowboja: nosił kowbojskie buty, a po korytarzach i salach maszerował długim zamaszystym krokiem.

Peter zaś zauważył, jak bardzo błękitne są oczy Gabrielli i jak śliczna, w miarę znikania opuchlizny, staje się jej twarz. Była kobietą pełną sprzeczności: młodą, a zarazem doświadczoną nad wiek, skłoną do uśmiechu, lecz równocześnie zadumaną i smutną. Nic dziwnego, skoro otarła się o śmierć. Usiłował delikatnie nawiązać w rozmowie do jej przyjaciela, nie zdradziła jednak chęci, aby podjąć temat, on zaś nie wspominał ani słowem, że czytał artykuł o Stevie Porterze, jaki pojawił się w prasie.

— No więc gdzie się wychowywałaś? — zapytał lekkim tonem, popijając kawę.

— Tu, w Nowym Jorku — odparła.

Podczas dalszej rozmowy ustalili, że łączą ich dwie rzeczy: byli jedynakami i studiowali na Columbii, poza tym jednak nie mieli żadnych podobnych doświadczeń życiowych. Peter na przykład widział w życiu wiele okrucieństwa, ale sam nigdy nie padł jego ofiarą, więc chociaż wyczuł, że przystępu do duszy Gabrielli bronią masywne drzwi, nie umiał znaleźć do nich klucza.

W pewnym momencie napomknął zupełnie przypadkowo, że jeden z jego przyjaciół został księdzem i że wciąż utrzymują ze sobą bliskie kontakty. Gdy Gabriella uśmiechnęła się wieloznacznie, doszedł do wniosku, iż mimochodem ją rozśmieszył, wytoczył więc całą baterię argumentów, że duchowni są takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni. Wtedy, nie mogąc oprzeć się pokusie, wyznała, iż omal nie została zakonnicą, chociaż ani słowem nie wspomniała o Joem i wydarzeniach sprzed roku.

Zaintrygowany jej losami, zapytał po chwili, dlaczego zmieniła zdanie.

— To długa historia — odparła z westchnieniem.

Wtedy zrozumiał, że przynajmniej na razie nie może liczyć na odpowiedź. Musiał zresztą wracać do obowiązków.

Zajrzał do Gabrielli po północy; był pewien, że śpi, ze zdumieniem jednak stwierdził, iż chociaż leży zupełnie nieruchomo, ma otwarte oczy.

— Mogę wejść? — zapytał niepewnie.

— Oczywiście — odparła, podpierając się na zdrowym łokciu. W kącie pokoju paliła się mała lampka, większą część pomieszczenia natomiast spowijał przytulny półmrok.

— Sprawiałaś przed chwilą wrażenie bardzo zadumanej. Dobrze się czujesz? — zapytał.

Skinęła głową. Istotnie, rozmyślała o wszystkim, co stało się ostatnio, ale również dawniej. Steve nieodwołalnie zniknął z jej życia... z jej życia znikali wszyscy, którzy cokolwiek

— w taki czy inny sposób — dla niej znaczyli. Teraz jednak miała w sobie znacznie więcej stoicyzmu niż kiedyś.

— Myślałam o rodzicach — odparła, budząc w Peterze współczucie. Wywnioskował z jej karty, że nie żyją, zapytał więc, kiedy i w jakich okolicznościach umarli.

Odpowiedziała dopiero po dłuższym wahaniu.

— Wcale nie umarli. Ojciec chyba mieszka w Bostonie, a matka w Kalifornii. Jego nie widziałam od czternastu lat, jej

— od trzynastu.

Ze zdumieniem uniósł brwi.

— Byłaś pewnie niegrzeczną dziewczynką, uciekłaś z domu i przyłączyłaś się do wędrownego cyrku. Parsknęła śmiechem.

— Nie, wstąpiłam do klasztoru. To zresztą długa historia. Ojciec odszedł z inną kobietą, matka zaś oddała mnie pod opiekę zakonnicy i nie pokazała się nigdy więcej.

— Dziwna sprawa. Dlaczego żadne z nich nie chciało cię zatrzymać? Czyżbyś była aż tak irytująca?

— Tak właśnie sądzili. Nie przepadali za dziećmi.

— Cóż za uroczą parka — stwierdził. Miał ochotę przysunąć się do niej bliżej, ale był przecież lekarzem, a ona — jego pacjentką. I tak spędzał u niej aż nazbyt wiele czasu.

— Gorzej — odparła, postanawiając nagle odsłonić przed nim najmroczniejszą ze swych tajemnic.

— To oni byli tym wypadkiem samochodowym, o który mnie pytałeś. A raczej tylko ona. Ojciec zachowywał dla siebie rolę gapia.

— Chyba nie bardzo cię rozumiem — odrzekł. Bo nie chciał zrozumieć, wolał nie przyjmować do wiadomości tego, co jasno wynikało ze słów Gabrielli.

— Te połamane żebra... to gwiazdkowe prezenty od matki. Jej ulubione. Fundowała mi je przez kilka lat pod rząd.

— Biła cię? — zapytał z niedowierzaniem. — To stąd te zrosty, które widziałem na zdjęciu rentgenowskim?

— Zapewne. Nigdy nie miałam innych wypadków. Zanim zniknęła, biła mnie pracownicy i nieustannie przez dziesięć lat. Wyciągnął rękę i delikatnie ujął jej dłoń.

— Gabbie, to straszne... — powiedział. — Czy nikt nie usiłował jej powstrzymać?

— Nie. Ojciec czasem się przyglądał, ale nigdy nie powiedział ani słowa. Bał się matki. W końcu, nie umiając znieść tego dłużej, po prostu od niej odszedł.

— Czemu nie zabrał cię ze sobą? Bezradnie wzruszyła ramionami.

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Nie znam odpowiedzi na wiele innych pytań dotyczących moich rodziców. Wiem, dlaczego pobił mnie Steve; to było oczywiste od pierwszej chwili. Wściekł się, bo nie chciałam oddać mu

pieniędzy. Ale nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego rodzice nienawidzili mnie tak bardzo.

Powtarzali, że jestem zła... nieznośna... że gdybym była tylko trochę grzeczniejjsza, nie musieliby tego robić. Jakież jednak zbrodnie może popełnić małe dziecko?

— Na pewno nie takie, które należy karać łamaniem kości. Ja też nic nie rozumiem. Próbowalaś ich spytać?

— Oboje zniknęli bez śladu. Rok temu chciałam skontaktować się z ojcem, ale w bostońskiej księżce telefonicznej nie zdołałam znaleźć jego numeru.

— A matka? Z twoich słów jasno wynika, że należy do tych osób, której lepiej omijać z daleka.

— Należała ją omijać z daleka — odparła Gabriella, wciąż pełna strasznych wspomnień. —

Nieustannie zadaję sobie pytanie, czy się zmieniła, czy teraz, po tylu latach, żałuje swoich postępów. Niemal zniszczyły mi życie, może więc i po niej nie spłynęły bez śladu. — Podniosła oczy i zdało jej się, iż wejrzała wprost w głąb jego duszy. — Nadal chcę się dowiedzieć, dlaczego nienawidziła mnie tak bardzo.

— Była zapewne chora psychicznie — odparł z zadumą.

— To nie mogło mieć z tobą nic wspólnego, Gabbie.

Wielokrotnie miał na urazówce do czynienia z dziećmi, które padły ofiarą przemocy ze strony dorosłych. Pamiętał te przerażone oczy, zmasakrowane ciała, gorączkowe zapewnienia, że spadły z drzew, schodów, ogrodzeń... Oślaniały swoich rodziców, ludzi zwyrodniałych i złych. Zaledwie dwa miesiące temu na jego oddziale zmarło dziecko skatowane przez matkę. Pragnął wtedy wybiec ze szpitala i zadusić tę kobietę własnymi rękoma. Teraz w areszcie oczekiwała na proces, a jej adwokaci mieli zamiar wystąpić o wyrok w zawieszeniu.

— Nie wiem, jak to zdołałaś przeżyć — powiedział cicho.

— Czy nikt ci nie pomógł?

— Nikt. Bezpieczna byłam dopiero w klasztorze.

— Jak cię tam traktowano?

— Cudownie. Byłam tam bardzo szczęśliwa.

— Więc dlaczego odeszłaś?

— Musiałam. Zrobiłam coś strasznego i siostry nie mogły pozwolić, bym z nimi została.

— Cóż takiego strasznego mogłabyś zrobić? — zapytał lekkim tonem. — Ukraść habit innej zakonnicy?

— Z mojego powodu umarł człowiek, a ja już zawsze muszę z tym żyć.

Słabo ją znał, ale nie przyjmował do wiadomości, iż mogłaby kogokolwiek zabić.

— Czy to był wypadek? — zapytał.

Popatrzyła na niego przeciągle, zastanawiając się, na ile może mu zaufać, aż wreszcie, z niepojętych dla siebie powodów, doszła do wniosku, iż może zaufać bezgranicznie.

— Popęłił samobójstwo z mojego powodu. Był księdzem, kochaliśmy się i byłam z nim w ciąży. Peter oniemiał. Ta dziewczyna przemierzyła piekło we wszystkich kierunkach.

— Kiedy to się stało? — zapytał, żeby coś powiedzieć.

— Rok temu. A właściwie jedenaście miesięcy. Nie wiem, jak do tego doszło. Przedtem ani spojrziałam na mężczyznę. Chyba żadne z nas nie zdawało sobie sprawy, co robi... a potem... potem było już za późno. Planowaliśmy wspólne życie, ale on nie potrafił odejść z Kościoła. To było jedyne życie, jakie znał, a zresztą prześladowały go demony przeszłości. Nie umiał zrezygnować ani z sutanny, ani ze mnie. Odebrał więc sobie życie, wyjaśniając mi motywy swojego uczynku w liście pożegnalnym.

— A dziecko? — zapytał Peter, mocniej ściskając jej dłoń.

— Straciłam je — odparła, znów mając przed oczyma rozmazaną, nierzeczywistą wizję tamtej tragedii. — We wrześnieu.

— A teraz przytrafiło ci się to. Miałas fatalny rok, Gabbie.

— To, jak powiadasz, było inne. Uczciwsze w jakiś dziwny sposób. Wykorzystał mnie, zdradził... cierpiałam, gdy zdałam sobie z tego sprawę. Ale pojęłam również, że go nie Kocham.

— Byłaś dla niego łatwą ofiarą — stwierdził Peter. — Miejmy nadzieję, że dostanie solidny wyrok. Co zamierzasz dalej?

— Nie wiem... Pisać... pracować... zacząć wszystko od nowa... okazywać więcej rozsądku... Wiele musiałam się

nauczyć, kiedy opuściłam klasztor. Tamto życie było nierzeczywiste, bezpieczne, toczyło się w innym wymiarze. Myślę, że Joe przestraszył się tego prawdziwego.

Zdaniem Petera samobójstwo było po prostu schowaniem głowy w piasek. Ukochany Gabrielli okazał się słabym samolubnym człowiekiem.

— Potrzebujesz wiele czasu, aby zaleczyć wszystkie swoje rany — powiedział cicho. — Nie tylko te najświeższe. Tego, przez co przeszłaś, wystarczyłoby na dziesięć ludzkich żywotów.

— Uleczy mnie pisanie. Zawsze wywierało na mnie zbawienny wpływ. Profesor, o którym ci wspominałam, bardzo mi pomógł... To on otworzył drzwi, o których istnieniu nie miałam pojęcia, drzwi do mego serca i duszy, do miejsc, w których rodzi się mój prawdziwy głos.

— Nie sądzę, że powinnaś przypisywać zasługę komuś innemu. On najwyżej wskazał ci, gdzie możesz znaleźć klucz.

— Możliwe — odparła.

Kilka chwil później do pokoju wpadła pielęgniarka. Na urazówkę przywieziono czteroletnie dziecko poszkodowane w wypadku samochodowym. Jechało bez pasów bezpieczeństwa.

Po wyjściu Petera Gabriella długo leżała nieruchomo, rozmyślając o ich rozmowie. Powiedziała mu wszystko i przyszło jej to zdumiewająco łatwo.

Kiedy w końcu zjrzał do salki, Gabriella spała kamiennym snem; patrzył na nią przez dłuższy czas, a potem poszedł do dyżurki i położył się na kozetce. Nie mógł jednak zasnąć. Zastanawiał się, dlaczego niektórzy ludzie muszą znosić w życiu aż tyle cierpień i rozczarowań. Również Gabriella często zadawała sobie to pytanie i tak samo jak Peter nie znała na nie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 24

Długie tygodnie rekonwalescencji Gabrielli upłynęły obojgu na nie kończących się rozmowach,

nadszedł jednak moment, gdy Peter stracił ostatnie preteksty, aby zatrzymać dziewczynę w szpitalu. Zrosła się złamana ręka i żebra, zagoiły rany na głowie. Gabriella była prawie zdrowa. Ostatniego dnia kuracji przyszedł do niej z bukietem kwiatów i oznajmił, że będzie za nią tęsknił. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przez dłuższy czas nie potrafił wykrzesać z siebie dostatecznie dużo odwagi.

— Zastanawiałem się — zaczął wreszcie, mając wrażenie, że jest głupim młokosem —...co byś powiedziała... na wspólną kolację... albo lunch... albo kawę.

Mieszkał niedaleko od niej, w okolicach Wschodnich Osiemdziesiątych.

— Bardzo chętnie — odparła Gabriella bez przekonania. Wiele ostatnio rozmyślała i doszła do wniosku, że najpierw, choćby dla własnego dobra, musi zrobić coś innego. — Wiesz, zamierzam odnaleźć swoich rodziców.

— Dlaczego? — wykrzyknął zdumiony. Raczej powinna unikać ich jak zarazy. Była silna, co pozwalało jej przetrwać, a zarazem podatna na wszelkie ciosy i tak krucha, że budziła w nim instynkt opiekuńczy. — Sądzisz, że to dobry pomysł?

— Może nie najlepszy — odparła z uśmiechem.

Podziwiał i uwielbiał jej odwagę. Była gotowa walczyć o wszystko, co miało dla niej znaczenie, tyle że dotąd zbierała tylko razy. Potrzebowała kogoś, kto by ją obronił, choć może sama nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. Starszy od niej o dwanaście lat, doświadczony przez życie, dobrze to rozumiał, jakkolwiek nie był pewien, czy to właśnie on mógłby dać jej to wszystko, czego potrzebuje. Popępiał błędy, zniszczył małżeństwo, a przecież wiele się nauczył. Daleki niegdyś od doskonałości, pragnął być dla Gabbie idealnym partnerem i opiekunem.

— Ale po prostu wiem, że muszę to zrobić, Peter — podjęła. — Bo jeśli nie zrobię, nie usłyszę od nich odpowiedzi na pytania, które mnie dręczą i zawsze będę wewnątrznie okaleczona.

— Może już znasz te odpowiedzi, Gabbie, może tkwią w tobie przez cały czas.

On też wiele dla niej w tej chwili znaczył, ale pragnąc go, nie chciała zaistnieć w jego życiu jako człowiek ułomny, zakotwiczony w przeszłości jakąś niezwykle ważną częścią swojej duszy.

— Muszę to zrobić — powtórzyła z uporem.

Postanowiła już, że mimo bólu, jaki może jej przynieść ta rozmowa, zadzwoni do matki Gregorii, aby poprosić o wszelkie informacje, jakich na temat rodziców mogłaby jej udzielić przełożona zakonu.

Peter rozpoczynając kolejny dwudniowy dyżur, miał zatelefonować do niej wieczorem. Kiedy to uczynił, powiedziała mu, że weszła na górę z najwyższym trudem i że nie chce mieszkać w pokoju, który budzi w niej tak wiele złych wspomnień. W pensjonacie nastąpiło wiele zmian: został wynajęty pokój Steve'a i pokój profesora, w związku z czym odziedziczony przez Gabriellę księgozbiór spakowany do pudeł spoczął w piwnicy. Pani Boslicki jest bardzo miła, przyniosła jej kolację na tacy.

Tej nocy Gabriella spała źle, rozmyślając o tym, co czeka ją następnego dnia. Kiedy tylko się zbudziła, zadzwoniła do klasztoru; telefon odebrała jakaś nieznajoma siostra i po nieznośnie długiej chwili oczekiwania oświadczyła, że połączy Gabriellę z matką przełożoną.

Słyszając w słuchawce tak ukochany i wytęskniony głos, Gabriella poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

— Jak się czujesz, Gabbie? — zapytała matka Gregoria. Po przeczytaniu relacji w prasie omal nie złamała zakazu władz kościelnych, zabraniających jej kontaktowania się z Gabriellą. Kilkakrotnie jednak dzwoniła do szpitala i przestała to robić dopiero w chwili, gdy zapewniono ją, że pacjentka przebudziła się ze śpiączki i zaczyna wracać do siebie.

— Dobrze, matko. Wciąż jestem trochę posiniaczona, ale to dla mnie nic nowego — odparła Gabriella, a potem zdradziła, dlaczego telefonuje.

Matka przełożona wahała się przez dłuższy czas, wreszcie jednak — wychodząc z założenia, iż kontakt z rodzicami może okazać się dla Gabrielli korzystny — podała jej ostatni adres matki w San Francisco oraz numer domu ojca przy jednej ze Wschodnich Siedemdziesiątych.

— Mieszka w Nowym Jorku? — zdziwiła się Gabbie.

— Nie miałam o tym pojęcia.

— Spędził w Bostonie zaledwie kilka miesięcy, Gabbie. Cały czas jest tutaj.

— To dlaczego nie odwiedził mnie ani razu?

— Nie znam odpowiedzi na to pytanie — odparła powściągliwie stara zakonnica, jakkolwiek miała swoje podejrzenia.

— Czy dzwonił kiedykolwiek do klasztoru?

— Nigdy. Jego adres podała mi twoja matka na wypadek, gdyby coś jej się przydarzyło. Nie kontaktowaliśmy się z nim jednak ani razu.

— Pewnie nie miał pojęcia, gdzie jestem.

— Teraz możesz mu to powiedzieć osobiście — odparła matka Gregoria, podając Gabrielli zarówno prywatny, jak i służbowy numer ojca. Były sprzed dwunastu lat, ale w najgorszym razie mogły stanowić punkt wyjściowy dalszych poszukiwań.

— Dziękuję ci, matko — powiedziała cicho Gabriella.

— Bardzo za tobą tęskniłam.

— Często modliłyśmy się za ciebie — odparła przełożona, a potem uśmiechnęła się z dumą. — Czytałam twoje opowiadanie w „New Yorkerze”. Jest doskonałe.

Wtedy Gabriella opowiedziała jej o profesora, jego dobroci i odziedziczonym majątku. Matka przełożona słuchała z zamkniętymi oczyma, dziękując Bogu, że ktoś roztoczył opiekę nad tym ukochanym dzieckiem, którego imienia wciąż nie można wymieniać w klasztorze.

— Czy będę mogła napisać ci o tym, czego dowiedziałam się na temat moich rodziców, matko? — zapytała niepewnie Gabbie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Nie, moje dziecko. Nie możemy ze sobą korespondować. Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Gabbie.

— Kocham cię, matko... zawsze będę kochać — odparła Gabriella, przelatykając łzy.

— Uważaj na siebie — wyszeptała matka Gregoria.

Bardzo postarzała się przez ten rok, za utratę Gabrielli zapłaciła wysoką cenę.

Gabbie miała ochotę opowiedzieć jej o Peterze, ale doszła do wniosku, że byłoby to przedwczesne. Może zapomni o niej, skoro została już wypisana ze szpitala, może rozmawiał z nią tylko dlatego, że była akurat pod ręką. Życie ją nauczyło, że mężczyźni potrafią tylko skrzywdzić i odejść.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece — powtórzyła matka Gregoria i odłożyła słuchawkę.

Gabriella musiała odczekać długą chwilę, żeby opanować płacz, wreszcie jednak zebrała dość sił, aby wykręcić służbowy numer ojca. Był sprzed tak wielu lat, że nie liczyła na sukces, kiedy jednak poprosiła o połączenie z Johnem Harrisonem, telefonistka bez krzty zdziwienia poleciła jej czekać. Nie trwało to długo.

— Gabriella? — rozległ się w słuchawce tak dobrze znajomy głos, a przed oczyma Gabbie stanął zapamiętany sprzed lat wizerunek księcia z bajki.

— Tatusz?

Znów miała dziewięć lat... albo jeszcze mniej.

— Gdzie jesteś? — zapytał z niepokojem.

— Tu. W Nowym Jorku. Właśnie zdobyłam twój numer. Dotąd myślałam, że mieszkasz w Bostonie.

— Przeprowadziłem się z powrotem trzynaście lat temu — odparł rzeczowym tonem.

— Mama oddała mnie do klasztoru — wyrzuciła z siebie, wciąż czując się jak dziecko.

— Wiem — odparł cicho. — Poinformowała mnie o tym listownie.

— Kiedy? — zapytała Gabriella, kompletnie zbита z tropu. Wiedział, dlaczego więc nie odezwał się ani razu? Co mu stało na przeszkodzie?

— Gdy tylko zamieszkała w San Francisco. Później nie miałem od niej żadnego znaku życia. Sądzę, że ponownie wyszła za mąż.

— Wiedziałaś od trzynastu lat? — zapytała z niedowierzaniem.

— Życie nie stoi w miejscu, Gabriello. Wszystko się zmienia... także ludzie — odparł takim tonem, jakby liczył na zrozumienie z jej strony.

— Kiedy moglibyśmy się zobaczyć? — zapytała bez ogródek.

— Ja... — zaczął. Nie spodziewał się takiego pytania. Przypuszczał, że zażąda od niego pieniędzy. Nie zrobił wielkiej kariery, ale miał niezłą posadkę w banku inwestycyjnym. — Sądysz, że to dobry pomysł?

— Doskonały.

Nieco zaskoczył ją brak entuzjazmu z jego strony, ale w końcu mógł być speszony po tylu latach rozłąki. Nie zamierzała jednak ustąpić i z natarczywością dziecka — bo w tej chwili czuła się jak dziecko — zapytała:

— Czy mogłabym przyjść dzisiaj?

Zawahał się i nie mogła widzieć, że na jego twarzy maluje się udręka. W końcu doszedł do wniosku, że lepiej jak najszybciej mieć z głowy to spotkanie, które będzie na pewno bolesne dla nich obojga, zaproponował zatem:

— Może wpadniesz do mnie do biura, co? Powiedzmy o trzeciej.

— Będę — odparła rozpromieniona, odkładając słuchawkę.

W miarę upływu godzin zmieniała się w kłębek nerwów:

zastanawiała się, jak będzie wyglądał ojciec, co powie, jak

wyjaśni swoje zachowanie sprzed lat. Musiała go o to zapytać. Wiedziała, że wina leżała po stronie matki, ale nie miała pojęcia, dlaczego zachowywał się tak biernie.

Ubrana w swój najlepszy granatowy zakiet z lnu pojechała taksówką na róg Park Avenue i Pięćdziesiątej Trzeciej, gdzie w majestatycznej kamienicy mieściło się eleganckie biuro niewielkiej, lecz poważnej firmy, w której pracował.

Sekretarka powitała ją uprzejmie, a następnie, gdy tylko zegar wybił trzecią, poprowadziła długim korytarzem do narożnego gabinetu, z namaszczeniem otworzyła drzwi i odstepiła na bok. Gabriella ujrzała ojca. Stał za biurkiem, nie zmieniony z pozoru i przystojny jak niegdyś; dopiero po chwili Gabbie dostrzegła siwiznę we włosach i kilka zmarszczek na twarzy. Łatwo było wyliczyć, że przekroczył pięćdziesiątkę.

— Witaj, Gabriello — powiedział, zaskoczony urodą i wdziękiem córki. Nie przypominała matki: rysy, kolor włosów i barwę oczu dziedziczyła po nim. — Usiądź, proszę — dodał z zakłopotaniem, pokazując krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Miała ochotę podejść do niego, objąć go i pocałować, ale nagle poczuła się onieśmielona. Usiadła więc, zakładając, że to on podejdzie, by ją pocałować, kiedy tylko stopnieją pomiędzy nimi pierwsze lody.

Na biurku stały cztery oprawione w srebrne ramki fotografie: dwóch dziewcząt w jej wieku i dwóch znacznie młodszych chłopców — oraz dużo większe zdjęcie kobiety w czerwonej sukni. Miała surową i niezbyt szczęśliwą twarz. Oczywiście nie było żadnego portreciku Gabrielli.

— Jak się miewasz? — zapytał oficjalnym tonem, a rysujące się na jego twarzy zakłopotanie wzięła za wyraz poczucia winy. W końcu od nich odszedł.

— Czy to twoje dzieci, tatusiu? — zapytała, nie mogąc oprzeć się ciekawości. Skinął głową.

— Dziewczynki to córki Barbary z poprzedniego małżeństwa. Chłopcy, Jeffrey i Winston, są nasi.

Jeden ma dwanaście, a drugi dziewięć lat. — Potem, pragnąc chwycić byka za rogi, zapytał wprost:

— Dlaczego postanowiłaś mnie odwiedzić?

— Już dawno chciałam cię odnaleźć. Nie miałam pojęcia, że mieszkasz w Nowym Jorku.

— Barbarze nie spodobał się Boston — odparł, jak gdyby wyjaśniało to fakt, że żyjąc o parę kroków od Gabrielli nie usiłował nawiązać z nią kontaktu.

— Dlaczego ani razu nie odwiedziłaś mnie w klasztorze?

— zapytała i w tym samym momencie dostrzegła na jego twarzy wyraz tak dobrze zapamiętany z dzieciństwa — wyraz twarzy człowieka bezradnego i zapędzonego w ślepy zaułek.

— A jakież sens miałaby taka wizyta? — powiedział z wysiłkiem. — Nasze dawne życie było jednym pasmem nieszczęść... Sądzę, że również z twojego punktu widzenia. Uznałem, iż lepiej zatrasnąć za nimi drzwi i starać się o wszystkim zapomnieć. Twoja matka była chorą kobietą. — A potem dodał coś, co kompletnie zaszokowało Gabrielle. — Zawsze sądziłem, że cię w końcu zabije. Wtedy zadała jedno z tych pytań, które dręczyły ją przez całe życie:

— Dlaczego jej nie powstrzymałaś?

— Nie mogłem jej powstrzymać. Bo jak miałbym to zrobić? — Było wiele rozwiązań: groźba,

użycie siły, policja, rozwód. — Cóż mogłem zrobić? Gdybym zaczął krytykować sposób, w jaki cię traktuje, byłaby jeszcze gorsza dla nas obojga, w szczególności dla ciebie. Mogłem tylko odejść i zacząć życie od nowa.

A ja? — miała ochotę wykrzyknąć Gabriella. — Jakie zapewniłeś mi nowe życie?

— Uznałem, że u sióstr będzie ci dobrze — ciągnął

— a zresztą w żadnym razie nie pozwoliłaby mi cię zabrać.

— Czy pytałeś ją o to, kiedy oddała mnie do klasztoru?

— Nie — odparł bez owijania w bawełnę. — Barbara byłaby z tego bardzo niezadowolona.

Stanowiłaś część inego życia, Gabriello, w nowym nie było dla ciebie miejsca.

— A potem zadał ostateczny cios: — I wciąż nie ma. Nasze losy potoczyły się odrębnymi torami, minęło zbyt wiele lat. Barbara zresztą byłaby wściekła, gdyby dowiedziała się o naszym spotkaniu.

Uznałaby, że przyjmując cię, zdradzam nasze dzieci.

— A co powiesz o jej córkach? Czyż nie mieszkają z wami?

— Oczywiście, ale to zupełnie inna sprawa.

— W jakim sensie?

— To jej córki. Ty byłeś dla mnie tylko fragmentem złych wspomnień, koszmaru, który chciałem zostawić za sobą. Nie mogłem cię zabrać, Gabriello. I nie mógłbym tego zrobić teraz. Nie należymy już do siebie.

— Jak możesz mówić coś takiego? — zapytała ze łzami w oczach.

— Bo to prawda. Również z twojego punktu widzenia. Mając mnie obok siebie, ciągle pamiętałabyś ból, jakiśmy ci zadawali, moją bezradność czy obojętność. W końcu znienawidziłabyś mnie za to.

Już zaczynała nienawidzić. Był zaprzeczeniem tego wszystkiego, o czym marzyła. Dziś był równie bezradny jak kiedyś. Nie miał dość odwagi, aby być ojcem. Egoistyczny, słaby, dawał sobą teraz kierować Barbarze tak samo jak dawniej matce.

— Ale dlaczego nie odezwałeś się do mnie ani razu przez tyle lat?

— I co miałbym ci powiedzieć, Gabriello? — Wbił w nią martwe spojrzenie. — Nie chciałem cię widzieć.

Ot i cała tajemnica. Nie miał w sercu nic, czym mógłby ją obdarzyć. Być może nie był w stanie dać niczego nawet tym uroczym dzieciakom z fotografii. Nie był człowiekiem, lecz żalonym ludzikiem z papieru.

— Czy kiedykolwiek mnie kochałeś? — spytała, wstydząc się nagle swych łez, których ten człowiek nie był wart. Wyglądał zresztą tak, jakby pragnął zapaść się pod ziemię. Nie współczuła mu jednak, walczyła o swoją przyszłość. — Zadałam ci pytanie — dodała, kiedy uporczywie milczał.

— Nie pamiętam, co wtedy czułem. Oczywiście, musiałem cię kochać, byłeś przecież moim dzieckiem.

— Nie kochałeś jednak dostatecznie mocno, aby poświęcić mi całe swoje życie. Dostałam od ciebie tylko dziewięć lat. Dlaczego?

— Bo związek z twoją matką był fiaskiem. Gorzej: katastrofą. A ty stałaś się symbolem tej katastrofy.

— Raczej ofiarą.

— Niestety — przyznał. — Wszyscy nimi byliśmy.

— Ale ty, w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie wylądowałeś w szpitalu.

— Wiedziałem, że nas za to znienawidzisz. Mówiłem twojej matce. Ale nie potrafiła nad sobą zapanować.

— Dlaczego nienawidziła mnie tak mocno?

Nie zadała wszakże pytania, które cisnęło się jej na usta: „Dlaczego ty kochałeś mnie tak mało?”.

Znała zresztą na nie odpowiedź — nie potrafił, nie był zdolny do prawdziwej miłości.

Z westchnieniem utonął w swym przepastnym skórzanym fotelu.

— Była o ciebie zazdrosna. Od samego początku. Od chwili kiedy przyszedł na świat. Nie nadawała się do macierzyństwa, a ja, kiedyśmy brali ślub, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Szkoda.

Sam zaś, bez względu na zdobiące jego biurko fotografie dzieci, był wyjątkowo lichym materiałem na ojca.

Popatrzył na nią przeciągle, pragnąc zakończyć wreszcie tę rozmowę.

— Czy jesteś usatysfakcjonowana, Gabriello? Czy odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania?

— W większym czy mniejszym stopniu — odparła, zdając sobie sprawę, że niektóre pytania na zawsze pozostaną bez odpowiedzi. Może zresztą, jak zauważył Peter, powinna ich szukać w sobie? Ojciec wstał, ale nie wyszedł z za biurka, aby przytulić ją lub pocałować. To wciąż sprawiało ból, mimo wszystkiego co teraz o nim wiedziała.

— Dziękuję, że zechciałaś mnie odwiedzić — powiedział, po czym przycisnął guziczek na biurku. Natychmiast w drzwiach stanęła sekretarka, aby wyprowadzić Gabbie z biura.

— Ja również dziękuję — odparła Gabriella. Nie nazwała go już „tatusiem”, nie próbowała do niego podejść. Był kimś znacznie gorszym niż tamten zapamiętany z dzieciństwa zły ojciec. Ba, przestała go traktować jak ojca. Zrezygnował z tej posady raz na zawsze czternaście lat temu. Przez chwilę stała w drzwiach, pragnąc utrwalić w pamięci jego wizerunek, a potem odwróciła się bez słowa i ruszyła przed siebie.

Kiedy za Gabriellą zamknęły się drzwi, wyszedł z za biurka i wydał głębokie westchnienie ulgi. Miał wrażenie, że przez kilkanaście minut spoglądał przez nagle otwarte okno w bolesną, nieprzyjemną przeszłość. Gabriella była piękną dziewczyną, ale nic do niej nie czuł. Już dawno spisał ją na straty i nie zamierzał zmieniać raz podjętej decyzji.

Chcąc jak najszybciej o niej zapomnieć, wymazał z pamięci spojrzenie jej rozjarzonych oczu, przyrządził sobie mocne martini i wypił je zagapiony w okno.

ROZDZIAŁ 25

Po wyjściu z budynku, w którym pracował ojciec, Gabriella skierowała się wprost do biura linii lotniczych przy Piątej Alei i kupiła bilet do San Francisco. Ciągle rozmyślała o niedawno zakończonym spotkaniu, które przebiegło zupełnie inaczej, niż zakładała. Przepelniał ją smutek przemieszany z uczuciem ulgi, ponieważ teraz wiedziała już z całą pewnością, że nic nie stało się z jej winy — to rodzice ze swoimi ułomnościami ponosili za wszystko pełną odpowiedzialność. Jakże pustym człowiekiem okazał się ojciec, jakże oziębłym, wystraszonym, niezdolnym do jakichkolwiek uczuć i stawienia czoła rzeczywistości. Podczas całej rozmowy nie usiłował się do niej zbliżyć i pewnie cofnąłby się jak oparzony, gdyby ona podjęła taką próbę. Dowiedziała się wreszcie czegoś istotnego na jego temat: on jej nigdy nie skąpił miłości, lecz po prostu nie był do niej zdolny. Nie mógł dawać czegoś, czego w sobie nie miał. Straciła ostatecznie żywione tak długo złudzenia, że zadzwoniłby do niej, napisał albo przyszedł, gdyby tylko wiedział, gdzie ją znaleźć. Wiedział przez cały czas... Nie było ucieczki przed prawdą, że jej nie kocha i nie chce w swoim życiu. To było bolesne, ale równocześnie dawało wolność. Człowiek uznawany przez czternaście lat za zaginionego na polu walki okazał się poległym. Należało mu tylko sprawić pogrzeb. Po powrocie do pensjonatu dowiedziała się, że ze szpitala dzwonił Peter. Zdołała złapać go telefonicznie i opowiedziała mu o przebiegu spotkania.

— No i co, czujesz się teraz lepiej? — zapytał z troską.

— W pewnym sensie — odparła. — Ale wiesz, miałaś rację w jednej sprawie. Niektórych odpowiedzi powinnam szukać w sobie. Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Co zamierzasz teraz? — zapytał pospiesznie, przywoływany przez jedną z sióstr.

— Jutro lecę do San Francisco — odparła.

Czuł, że powinien towarzyszyć jej w tej wyprawie, wiedząc zarazem, że się na to nie zgodzi. Była zdecydowana samotnie stoczyć walkę ze smokami swej przeszłości, obojętne, jak bardzo miałyoby to być niebezpieczne czy bolesne.

— Dasz sobie radę?

— Chyba tak.

Spotkanie z matką wciąż napawało ją lękiem, ale nie wątpiła ani przez moment, że musi je odbyć. To matka знаła wszystkie istotne odpowiedzi, zwłaszcza tę najważniejszą — na pytanie: „Dlaczego nigdy mnie nie kochałaś?”. Gabriella czuła się jak dziewczynka z bajki, która szuka odpowiedzi...

jak Alicja w Krainie Czarów albo Dorotka z krainy Oz.

— Jeśli poczekałabyś kilka dni, mógłbym z tobą pojechać. Pod koniec tygodnia będę wolny.

— Nie chcę zwlekać — odparła.

— Uważaj na siebie, Gabbie — powiedział, a po chwili milczenia dodał niespodziewanie: — Będę za tobą tęsknić.

— Ja też — odrzekła cicho.

Była to zapowiedź czegoś lepszego, co miało szansę zrodzić się między nimi w przyszłości, najpierw jednak Gabriella musiała ostatecznie uporać się z przeszłością, w przeciwnym bowiem razie demony dzieciństwa, lęk, że porzuci ją jak wszyscy inni, stanęłyby pomiędzy nimi wcześniej czy później. A wyczekiwanie na ten moment zaczęłoby rozkładać ich związek od samego początku.

— Zadzwoń, kiedy będziesz na miejscu — poprosił Peter na pożegnanie.

Wchodziła na górę ogarnięta zadumą, a pokój, tak samo jak ubiegłej nocy, wydał się jej przygnębiający. Zbyt wiele było w nim śladów Steve'a, złych wspomnień, koszmarów. Nie zdołała zmrużyć oka i bezsennie przeleżała do samego rana.

Kiedy wychodziła z pensjonatu, wszyscy jeszcze spali, zostawiła więc dla pani Boslicki krótką wiadomość: „Jadę do San Francisco, żeby spotkać się z matką”.

Lot minął spokojnie, ale San Francisco przywitało Gabriellę brzydką pogodą: było mgliście, zimno i wiał przenikliwy wiatr. Pojechała autobusem do miasta, przegryzła co nieco w barze, a potem z budki zatelefonowała pod numer podany przez matkę Gregorię. Zdała sobie sprawę, że powinna była zrobić to znacznie wcześniej, matka przecież mogła wyjechać na wakacje. W rzeczywistości było jeszcze gorzej, usłyszała bowiem nagrany wiadomość, że telefon o tym numerze został odłączony. Nie mając pojęcia, co robić, wsiadła do taksówki i pojechała pod znany sobie adres, kiedy jednak zadzwoniła do drzwi, usłyszała, że osoba, której poszukuje, na pewno tu nie mieszka. Bliska łez, wróciła do samochodu, a wtedy taksówkarz zasugerował, żeby po prostu zadzwoniła do informacji. Był to fortunny pomysł, dowiedziała się bowiem, że pan Frank Waterford mieszka przy Dwudziestej Ósmej Alei, w części miasta, którą taksówkarz nazywał Seacliff.

Kobieta, która odebrała telefon, nie była jej matką, oświadczyła jednak, że państwo Waterford wrócą do domu o wpół do piątej, czyli za godzinę. Gabriella zastanawiała się, czy ma zadzwonić, czy od razu jechać i w końcu wybrała to drugie rozwiązanie. Kiedy dokładnie o czwartej trzydzięci zajeżdżała pod adres uzyskany w informacji, zobaczyła na podjeździe przed domem srebrnego bentleya.

Zadzwoniła do drzwi, ściskając w dłoni tę samą tekturową walizeczkę, z którą opuszczała klasztor. Od tamtego czasu wzbogaciła nieco swoją garderobę, ale — skoro nigdzie nie podróżowała — zapomniała zaopatrzyć się w bardziej elegancki bagaż.

Drzwi otworzyła kobieta w żółtym kaszmirowym swetrze. Była po pięćdziesiątce, musiała już chyba farbować włosy, żeby pozostać blondynką, i nosiła na szyi sznur pereł.

— Czym mogę służyć? — zapytała miłym tonem, patrząc na Gabriellę, która ze swą walizeczką i młodą buzią wyglądała na uciekinierkę z domu.

— Szukam pani Waterford — odparła Gabriella, a potem aż oniemiała, gdy dowiedziała się, że pani Waterford właśnie przed nią stoi. W San Francisco mieszkał zatem niejeden Frank Waterford. Jąkając się zaczęła wyjaśniać, że próbuje odnaleźć matkę, gdy za plecami kobiety pojawił się wysoki, dobrze zbudowany, szpakowaty mężczyzna.

To był ten sam Frank Waterford, którego zapamiętała z dzieciństwa — tylko o trzynaście lat starszy.

— Co się dzieje? — zapytał, zerkając przez ramię żony na dziewczynę stojącą przed drzwiami. Sprawiała wrażenie zagubionej i zupełnie nieszkodliwej.

— Ta młoda dama poszukuje matki — wyjaśniła mu kobieta — i trafiła pod niewłaściwy adres. Usiłujemy wspólnie znaleźć jakieś rozwiązanie jej problemów.

— Gabriella? — zapytał niepewnie, marszcząc czoło. Pamiętał dziewczynkę o tym imieniu, ale ta młoda kobieta zupełnie jej nie przypominała.

— Tak. — Skinęła głową. — Pan Waterford? Szukam matki. Jak rozumiem, już tu nie mieszka.

— Nie, nie mieszka — odparł powściągliwie. — Może wejdiesz na minutkę?

Sprawiał wrażenie szczerze uradowanego z jej wizyty — znacznie bardziej niż jej rodzony ojciec. Poprosił, by zostawiła w holu bagaż i weszła do salonu. Gdy zaproponował drinka, odparła, że poprzestanie na szklance wody.

— Czy rozwiódł się pan z moją matką? — zapytała nerwowo.

Zawahał się przez moment, ale przecież nie mógł ukrywać przed nią prawdy.

— Nie, Gabriello, nie rozwiedliśmy się. Twoja matka zmarła cztery lata temu. Bardzo mi przykro. Zaskoczenie odebrało Gabrielli mowę. Matka odeszła, zabierając do grobu wszystkie swoje tajemnice; dziewczyna pojęła, że już nigdy nie będzie całkiem wolna.

— Byłem pewien, że wiesz o tym od ojca — powiedział Frank Waterford. Miał akcent właściwy ludziom z Południa i Gabbie przypomniała sobie słowa matki, że pochodzi z Teksasu. — Wysłałem mu egzemplarz gazety z nekrologiem.

— Wczoraj widziałam ojca po raz pierwszy od czternastu lat — wyjaśniła. — Nic mi nie powiedział, ale nie wspomniałam mu, że się tu wybieram.

— A więc nie mieszkałaś z nim? — zapytał kompletnie zbity z pantafelku Frank Waterford. — Eloise powiedziała mi, że zrzekła się na jego korzyść opieki nad tobą i że zabronił jej nawet odwiedzin. Nie powiesiła na ścianach ani jednego twojego zdjęcia, utrzymując, że sprawiłoby jej to zbyt wielki ból.

Gabriella westchnęła głęboko, bezgranicznie zdumiona łgarstwami, jakie rodzice zaserwowali swoim współmałżonkom, byle tylko wyrzucić ją ze swojego życia.

— Nie było żadnych zdjęć, panie Waterford, bo nigdy mi ich nie robiono, matka zaś przed wyjazdem do Reno oddała mnie pod opiekę zakonnicy. Nie wróciła nigdy więcej, nie dzwoniła i nie pisała, ograniczając się tylko do wysyłania czeków, które miały pokryć koszty mego utrzymania. Przestały zresztą napływać, kiedy ukończyłam osiemnaście lat.

— Umarła rok później — stwierdził. Powoli fragmenty szarady zaczynały układać się w całość. — Mówiła mi, że to datki na klasztor, ponieważ siostry zrobiły kiedyś dla niej wiele dobrego. Nie miałem pojęcia, że tam mieszkasz — dodał przeproszającym tonem, choć Gabriella nie sądziła ani przez moment, że przyłożył rękę do perfidnej intrygi swej żony.

— Na co umarła?

— Na raka piersi. Nie była szczęśliwą kobietą — powiedział dyplomatycznie, nie chcąc zranić Gabrielli czy też rozwiać złudzenia, jakie mogłaby żywić w związku z osobą matki. — Może za tobą tęskniła. Na pewno tęskniła.

— Dlatego właśnie tu jestem — odparła Gabriella, odstawiając szklanekę. — Chciałam jej zadać kilka pytań.

— Może ja mógłbym ci pomóc — zaproponował Frank, którego żona przysłuchiwała się rozmowie ze szczerym zainteresowaniem i współczuciem.

— Nie sądzę. Chciałam ją zapytać, dlaczego mnie opuściła i dlaczego... — zająknęła się, przetykając łzy — ...i dlaczego przedtem robiła mi różne rzeczy.

Frank zaczął podejrzewać, że z całą historią wiążą się sprawy, o jakich mu się nawet nie śniło. Postanowił być z Gabriellą zupełnie szczerzy, żywiąc przekonanie, iż dziewczyna w pełni na to zasługuje.

— Gabriello, zamierzam mówić z tobą zupełnie otwarcie. Rzeczy, które usłyszysz, może nie przypadną ci do gustu, z drugiej jednak strony mogą okazać się pomocne. Małżeństwo z twoją matką to dziesięć najgorszych lat mojego życia. Myśleliśmy o rozwodzie, ale akurat wtedy wyszło na jaw, że jest chora; uznałem, że powinienem zostać z nią do końca. Była oziębłą, trudną, kłótniawą i mściwą kobietą, w której duszy nie gościła nawet drobina dobroci. Nie wiem, jak sprawdzała się w roli matki, skłonny jestem jednak przypuszczać, że równie fatalnie, jak w roli żony. Być może oddając cię pod opiekę sióstr, zrobiła najlepszy uczynek w swym życiu. Potrafiła budzić jedynie odrazę i nienawiść. Przykro mi, że cię porzuciła — ciągnął — ale nie wyobrażam sobie, byś mogła być z nią szczęśliwa. Nawet pod moim dachem. Nie rozumiem, dlaczego w Nowym Jorku nie pozwoliła mi z tobą rozmawiać. Lubię dzieci, a ty byłaś na j ślicznie j szym dzieckiem, jakie widziałem w życiu. Mam w Teksasie piątkę własnych; dopóki trwało moje małżeństwo z Eloise, nie odwiedziły mnie ani razu. Nienawidziła ich jak zarazy, a one z miejsca tę nienawiść odwzajemniły.

Chyba nie mogę mieć im tego za złe, bo pod koniec naszego małżeństwa czułem podobnie. Jej nekrolog był chyba najkrótszy na świecie, bo nikomu nie przychodziło do głowy nic miłego na jej temat. Wiesz, wtedy w Nowym Jorku, usiłowała mi wmówić, że to ty zniszczyłaś jej małżeństwo z twoim ojcem. Nie bardzo sobie wyobrażałem, jak mogłabyś tego dokonać, ale zawsze coś mi mówiło, że jest o ciebie zazdrosna, że to dlatego zrzekła się opieki nad tobą. Nie chciała mieć cię przy sobie, kochanie. Ale nawet nie przypuszczałem, że cię porzuciła. Gdybym to wiedział, nigdy bym się z nią nie ożenił. Każda kobieta, która jest zdolna do takiego uczynku... cóż, sama sobie wystawia świadectwo.

Porzucili ją oboje, ojciec i matka; cisnęli do grobu razem ze swoją przeszłością.

Wtedy Gabriella zaczęła opowiadać o swoim dzieciństwie

— biciu, sińcach, szpitalu, bierności ojca, nienawiści, oskarżeniach. Mówiła długo, kiedy zaś kończyła, płakali wszyscy troje. Frank trzymał Gabriellę za rękę, a jego żona, Jane, obejmowała ją i tuliła. Byli jednymi z najcudowniejszych ludzi, jakich spotkała w życiu, a fakt, że Eloise stanęła na drodze Franka, należało postrzegać jako okrucieństwo losu. Ona wygrała los na loterii, on za jej szczęście zapłacił wysoką cenę.

— Chciałam ją spytać — wychlipała Gabriella — dlaczego nigdy mnie nie kochała.

To był klucz do wszystkiego, najważniejsza odpowiedź. Teraz już jej nie pozna, nie dowie się, po czyjej stronie leżała wina. Nie usłyszy słów, na które w skrytości ducha liczyła — że matka ją przeprosza, że zawsze ją kochała, ale nie wiedziała, jak to okazać.

— Istnieje na to pytanie bardzo prosta odpowiedź, Gabbie

— rzekł Frank, wycierając oczy. — Ona nie była w stanie kochać nikogo. Nie miała w sobie nic, co mogłaby ofiarować drugiemu człowiekowi. O zmarłych wprawdzie nie powinno się mówić źle, ale była zepsuta do szpiku kości i jadowita jak żmija. Normalny człowiek nie mógłby mieć w sobie aż tyle nienawiści. Przez pięć pierwszych lat naszego małżeństwa winą za wszystko obarczałem siebie, wierzyłem, że to ja rozczarowałem Eloise, że to ja zawiodłem, że to ja nie byłem dość dobry. A potem pojąłem nagle, że jest na odwrót, i życie stało się łatwiejsze. Wciąż ciężkie, ale łatwiejsze. To, co ci zrobiła, jest niewybaczalne, bo te blizny na ciele i duszy będziesz nosić do końca życia. Sama musisz postanowić, czy znajdziesz w swoim sercu dość wyrozumiałości, by jej wybaczyć, czy też idąc za jej przykładem, odwrócisz się plecami i zapomnisz, że kiedykolwiek istniała.

Jakąkolwiek jednak podejmiesz decyzję, pamiętaj, że nie ponosisz żadnej winy. Przecież każdy, kto cię zna, musi cię kochać, i miałaś tylko straszego pecha, że los dał ci tak parszywych rodziców.

Może ta odpowiedź wyda ci się zbyt prosta, ale uwierz, jest w stu

procentach prawdziwa. Eloise była złym człowiekiem, bo brakowało jej czegoś, co stanowi o człowieczeństwie — nie umiała kochać. Była piękna i potrafiła być ujmująca, ale nie trwało to długo; swoją prawdziwą naturę zademonstrowała tuż po naszym ślubie i pokazywała aż do śmierci. To ona ponosi winę, Gabbie, nie ty. Kiedy w niebie rozdzielano rodziców, ustawiłaś się w niewłaściwej kolejce.

I to już wszystko? — postawiła sobie pytanie. — To takie proste? Ale musiało tak być, pozbyła się ostatnich wątpliwości. Otrzymała odpowiedź: niczemu nie była winna. Wszystko stało się za sprawą zbiegu okoliczności, kaprysu losu, kolizji dwóch planet, które nie powinny były się znaleźć na tej samej orbicie. Ona, Gabriella, padła po prostu ofiarą wybuchu. A dlaczego matka nigdy jej nie kochała? Bo Eloise Harrison-

-Waterford nigdy nie kochała nikogo.

Gabriellę zaczął ogarniać osobliwy spokój. Wiedziała, że w końcu dotarła do kresu drogi i może wracać do domu. Jej odyseja trwała dwadzieścia trzy lata... inni potrzebują niekiedy więcej czasu. Ale miała dość odwagi, by stawić czoło wyzwaniu, pytać, poddawać się najcięższym próbom. Mieli rację ci, którzy utrzymywali, że jest silna. Teraz i ona zdawała sobie z tego sprawę.

Waterfordowie zaprosili Gabriellę na kolację, a Gabbie z radością przyjęła zaproszenie. Poruszyła ją wiadomość, iż Frank był jej ojczymem przez trzynaście lat, a przecież wcale go nie знаła. Jane również budziła w niej sympatię. Była wdową, a kiedy trzy lata temu wychodziła za Franka, ów — wedle jej słów — był za sprawą Eloise strzępem człowieka, który z najwyższym trudem zdołała pocerować. Frank parsknął śmiechem.

— Nie wierz ani jednemu słowu, Gabbie. Była biedną samotną wdową, którą sprzątnąłem sprzed nosa pewnemu nadzianemu starym durniowi z Palm Beach. Zanim się połapał, byliśmy po ślubie. Wieczorem zaproponowali Gabrielli, by została na noc. Nie chcąc się narzucać, odparła, że weźmie pokój w hotelu obok lotniska, a nazajutrz wróci do siebie, Frank jednak oświadczył, że skoro nie miał Gabrielli przy sobie przez tyle

lat, tym razem nie pozwoli się okraść z jej towarzystwa. Oczywiście postawił na swoim.

Oddali do jej dyspozycji piękny pokój gościnny z widokiem na most Golden Gate, a nazajutrz rano służąca podała jej do łóżka śniadanie na tacy. Gabriella czuła się jak księżniczka i nie potrafiła oprzeć się pokusie, aby zadzwonić do Petera.

Wiadomość o śmierci Eloise przyjął z uczuciem ulgi, przekonany, że gdyby Gabbie spotkała się z matką, ta znalazłaby jakiś sposób, żeby ją zranić. Był szczerze rad, iż poszukiwania dobiegły końca, zwłaszcza że z głosu Gabbie bił jakiś wewnętrzny spokój. Kiedy oznajmiła, że wraca wieczorem, wpadł na lepszy pomysł. Lubił San Francisco, a miał akurat cztery wolne dni.

— A może ja przyjechałbym do ciebie? — zaproponował. Wahala się dłuższy czas. Dla nich dwojga to był dopiero początek... pozbyła się duchów przeszłości, zawarła z nimi pokój: z Joem, Steve'em, nawet z rodzicami... Rozumiała teraz lepiej, dlaczego jej życie ułożyło się tak a nie inaczej... W pewnym sensie Frank miał słuszość: nie dopisało jej szczęście, kiedy Bóg rozdawał rodziców. To oni byli wszystkiemu winni. I zdała sobie wreszcie sprawę, że nie ponosi odpowiedzialności za śmierć Joego, który tę ostatnią i jedyną decyzję podjął sam.

— No i co sądzisz? — spytał Peter. Uśmiechnęła się, wyglądając przez okno gościnnego pokoju Waterfordów.

— Cudowny pomysł — odparła, gotowa wreszcie znów otworzyć drzwi do swego serca. Nie wiedziała, czym skończy się historia z Peterem, była jednak pewna, że czeka ich coś dobrego, coś, na co być może sobie zasłużyła. Przestała się czuć jak wieczny winowajca, człowiek przeklęty i potępiony na wieki. Zrzuciła z ramion swoje brzemie... dożywocie zostało cofnięte.

— Przylecę po południu — oznajmił Peter z entuzjazmem — spotkamy się gdzieś, a potem wezmę pokój w hotelu.

Kiedy jednak Gabriella powiadomiła Waterfordów o przyjeździe Petera, ci stwierdzili stanowczo, że oboje będą musieli zamieszkać u nich.

— Muszę przeświecić tego mojego przyszłego zięcia, zanim popełnisz jakiś błąd — powiedział żartobliwie Frank, który znał z relacji Gabrielli incydent ze Steve'em i niezwykle okoliczności, w jakich poznała Petera.

Kiedy Gabbie odjeżdżała taksówką na lotnisko, Waterfordowie rozmawiali ze sobą o piekle, przez jakie przeszła dziewczyna, o współczuciu, jakie w obojgu budzą jej losy, i o tym wreszcie, że być może będą mieli swój udział w łańcuchu zdarzeń znacznie dla niej fortunniejszych.

Gdy wychodzili do ogrodu, aby nasycić się widokiem, za którym tak przepadali, samolot Petera podchodził do lądowania.

ROZDZIAŁ 26

Koła samolotu dotknęły pasa startowego. Gabriella była podniecona, lecz również zdenerwowana rychłym spotkaniem. Tak wiele rozmawiali ze sobą w szpitalu, ale od tamtego czasu — i na prawdziwym świecie — nie widzieli się ani razu.

Wyszła ze szpitala zaledwie trzy dni temu; nie do wiary, jak wiele rzeczy wydarzyło się w tym czasie, jak wiele upiorów usnęło wiecznym snem z osikowymi kołkami w piersiach. Cieszyła się, że tu przyjechała. Ona i Peter przyjęli zaproszenie Waterfordów, aby spędzić z nimi weekend i potem Peter miał wrócić do szpitala, ona zaś podjąć pracę w księgarni.

Stanęła nieco na uboczu, kiedy więc wychodził z samolotu, omal jej nie przegapił. Szedł prosto przed siebie i nagle uśmiechnął się szeroko, gdy postąpiwszy krok do przodu znalazła się tuż przed nim. Patrząc na lśniące jasne włosy Gabrielli, mając przed sobą jej wielkie niebieskie oczy, całym sercem zapragnął ją pocałować, lecz w końcu tylko otoczył ramieniem... Szli przez port lotniczy, a Gabriella opowiadała mu, jak spędziła czas, jakich dokonała odkryć. Wciąż dostrzegał w jej oczach głębię, która na początku wydała mu się tak pociągająca, nie zauważył wszakże udręki. W pewnym

momencie przystanął i powiedział z uśmiechem:

— Tęskniłem za tobą. Bez ciebie urazówka nie jest już tym samym miejscem.

— Ja też za tobą tęskniłam, Peterze — odparła, podnosząc nań oczy. Oczy kobiety. Mądre, silne, odważne oczy, które już nie bały się go dostrzegać. — Dziękuję, że przyjechałeś.

— Dziękuję, że trafiłaś na urazówkę...

...że przeżyła, przetrwała swoje cholerne obrzydliwe życie i dotarła wreszcie do tego punktu.

Czekał na nią od tylu lat, ale jeszcze do niedawna o tym nie wiedział. Przez wszystkie te lata nikt tak naprawdę się dlań nie liczył, nikt mu nie odpowiadał, nikt nie miał dość silnego charakteru, by z nim wytrzymać. Instynktownie wyczuwał jednak, że z Gabriellą będzie inaczej. Niczego się nie bała, a zresztą zawsze będzie mogła liczyć na jego pomoc. Należeli do osób mających odwagę robić to, co zrobić muszą, osiągających cele, które sobie wyznaczają, gotowych do wzajemnych poświęceń. Życie dało im, a zwłaszcza Gabrielli, surową szkołę. To Gabbie była prawdziwą bohaterką tej bajki, to ona zeszła do piekieł, ale zdołała powrócić.

Ujął jej dłoń, mocno ścisnął w swojej i powoli ruszyli ku wyjściu. On niósł na ramieniu torbę, ona — poczucie świeżo zdobytej wolności. Nie wiedzieli dokładnie, dokąd idą, i nigdzie się nie spieszyli. Mieli przed sobą całe życie, za sobą zaś żadnych demonów przeszłości. Pragnęli tylko siebie i czasu, aby się sobą sycić. Gabriella nie musiała szukać już odpowiedzi. Była wolna.

Wychodząc w sierpniowe słońce, uśmiechali się do siebie. Droga, która przywiodła ich w to miejsce, była kręta i chwilami mogło się zdawać, że nie ma kresu. Teraz, widziana ze szczytu góry, nie sprawiała wrażenia tak wyboistej. Ale była wyboista. I długa.

Prowadziła jednak do domu.